Kwiecień — 1856.

OPINIA PUBLICZNA.

Przejrzałem niskie ludzkości obszary.
Z różnych jéj mniemań i barwą i szumem
Wielkie i mętne gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne przed oczyma wiary.

MICKIEWICZ.

W miastach i po wsiach, w domach i na rynkach, w książkach i w dziennikach, w gronach uczonych i w lekkich towarzystwach, z ust pierwszym puchem młodości okraszonych i z takich, które już szron siwizny dosięgnął, a czasam z samych nawet kazalnic, brzmią dwa słowa obcego pochodzenia, ale widać myśl wielką obejmujące, kiedy je sobie tak powszechnie przyswojono, i tak często ich używają. Dwa te słówka położyliśmy też na czele téj pogadanki, żałując najmocniéj, że nie możemy ozdobić je w jakieś piękne floresy, aby im jeszcze przydać ile tyle wdzięków, choćby dla oka, bo mamy zamiar przypatrzyć im się nieco z jednej i drugiej strony, i zbadać je dokładniéj, jak to zabierają się czynić tego roku pa-

nowie astronomowie z nowo zapowiedzianym kometą. (Porównanie, mowiąc nawiasowo, wcale stósowne, gdyż i owe dwa słowa mają blask nie mały, mają długi ogon i powszechną uwagę zwykły ściągać na siebie).—

Komużto z nas nie zdarzyło się słyszeć: „*Tak mówi opinia publiczna*,“ — „*Opinia publiczna tego wymaga, lub jest temu przeciwną*,“ — „*Odwołuję się do opinii publicznéj*,“ — a Boże odpuść! te frazesy wychodziły nieraz z tychże samych ust, które były więc naraz i *swiadkami* owéj opinii, i *sędziami* w imieniu jéj wyrokującemi, i *obżałowanemi* poddanemi tejże opinii, kiedy się do jéj wyroków odnosiły. Zdarzało nam się przecież widzieć, jak w skutek pierwszego frazesu spuszczano najpokorniéj głowy, w skutek drugiego wstrzymywano się w biegu, zaniechiwano różne, czasem najobojętniejsze, lub najniewinniejsze kroki, a w skutek trzeciego frazesu (a liczba *trzy* jest wiadomo już sama z siebie fatalna i mistyczna,) puszczano bezkarnie najtęższego nieraz filuta ba i łotra.... Cóż to więc za dziwna i tajemnicza potęga, która zamyka w jednej chwili usta, krępuje nogi, wstrzymuje kij już w powietrzu zawieszony, i tym podobne wyrabia psoty; wszędzie jéj pełno, okrąża nas, stoi tuż za plecami, wznosi się w górę, pełza po ziemi, biega, lata, pływa, śmieje się, płacze, moralizuje, przedrzyźnia, grozi, porządnie nawet trzepie, potrąca, wywraca, a nigdzie jéj nie widać, jak cień umyka, i chcąc ją objąć, rozpływa się w naszych rękach.

Aby ją poznać, trzeba być zwinnym jak ona, ale trzeba dla saméj już oczywiście równowagi, niekonie-

cznie zaraz śmiać się z nią lub płakać, trzeba nadewszystko utrzymać się na nogach, kiedy ona harcuje, i nie dać się porwać w młyńca. Niezawadzi przedewszystkiem uzbroić się rozmyślaniem i nauką, bo wiadomo, że są sposoby i na samego złego ducha, a tu chodzi właśnie głównie o *rozeznanie duchów*.

Lecz im daléj zapuszczamy się myślą, tém więcéj odstępuje nas weselsze usposobienie, a nasuwają nam się coraz to poważniejsze obrazy:

Oto mamy przed sobą rynek ateński, gdzie najpierwszy z greckich ludów, celujący oświatą, kunsztami, prawodawstwem, grzecznością, sam się rządzi i wyrokuje. Właśnie też chodzi o wygnanie owego *Aristidesa*, od całéj Grecyi *Sprawiedliwym* przezwanego, a jeden z *obywatelów* nie umiejący pisać, zakłopotany jak skreślić imie Aristidesa na czerepie do tego służącym, prosi samego tego znakomitego męża, którego nigdy nie widział, aby go w tem wyręczył. „*Czy skrzywdził cię kiedy w czém ten Aristides?*“ — spyta on sam. „*Bynajmniéj* odpowie obywatel, *ale tego znieść nie mogę, że go tak powszechnie Sprawiedliwym nazywają*“. — I napisał Aristides sam swe imie, aby i téj przysługi współobywatelowi nie odmówić, i poszedł na wygnanie skazany przeważnym głosem *publicznéj opinii*, (któréj *typem* był ów wspomniany od Plutarcha Ateńczyk), a opuszczając swe mury, które tylekroć piersiami swemi zasłaniał, i gdzie jako Archont najwyższą nieraz piastował władzę, wzniósł ręce do nieba z modlitwą: „aby nigdy nie nadeszła chwila, w któréjby go żałować musieli!“ i ta sama *opinia publiczna*

przywołała go nazad, lecz dopiero po dwóch latach, kiedy już Xerxes ciągnął z chmurą najezdników na Grecyą.... Ta sama *opinia pnbliczna* wygnała potem *Temistoklesa* i *Cimona*, co Persów pokonali, i znów ich usilnie zaprosiła do domu. — Ta sama *opinia publiczna* podała truciznę *Sokratesowi i Focionowi*, lecz nie mogąc ich już wskrzesić, stawiała im statuy jak półbogom. — O statuy, o pomniki opinii publicznéj! miał ich 365. Demetriusz z Falery, a potem wszystkie obalono, i jego samego na śmierć skazano! —

Lecz dajmy pokój staremu światu. Oto mamy przed oczami Tego, który był zapowiedziany od początku. Oto lud uniesiony, że go cudownie nakarmił, chce go jednogłośnie królem swym obwołać, a On uchyla się od nich na górę; oto znów chce go ukamienować, a On musi się schronić, bo nie przyszła jeszcze Jego godzina; oto otacza Go tłumnie po wskrzeszeniu Łazarza, i wprowadza w tryumfie do Jerozolimy, ścieląc Mu pod nogi swe szaty i gałęzie palmowe, a oto w parę dni późniéj woła jakby mąż jeden: *ukrzyżuj; ukrzyżuj, niech krew jego spadnie na nas i na nasze dzieci*, i urąga Mu się jeszcze na krzyżu, a Bóg-Człowiek lituje się nad tą *publiczną opinią*, i woła: „*Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą co czynią!*“

Komuż była więcéj przeciwną *publiczna opinia* jak pierwszym opowiadaczom Ewangelii? Kogóż więcéj ścigała, aż ręce swe w ich krwi zbroczyła? Cóżby się było stało ze światem, gdyby ulegli byli téj opinii Apostołowie, gdyby Św. Piotr nie był wyrzekł zaraz na początku: „*należy nam słuchać raczéj Boga jak*

ludzi,“ Komu była późniéj, (aby już przestać raz na kilku najwięcéj znanych i bijących w oczy przykładach) więcéj przeciwną *publiczna opinia*, jak Krzysztofowi Kolumbowi, kogóż poczytywała wtenczas za większego szaleńca, kiedy ja usiłował przekonać, że są jakieś lądy po tamtéj stronie kuli ziemskiéj? Próżno prosił i błagał, aby mu na miłość Boską pozwolono dać światu świat nowy; odwracały się od niego, wzruszając z politowaniem ramionami i ojczysta jego Genua, i oświecona Anglia i świadoma mórz Portugalia, i ledwie nie ledwie wyżebrał sobie w Hiszpanii wbrew publicznéj opinii, z wielkiem jéj zgorszeniem, od *wyższéj nad nią* Izabelli, parę małych statków, z których go jeszcze nieraz w morze rzucić chciano. Cóż gdyby był uległ téj publicznéj opinii najoświeceńszych wówczas narodów, najuczeńszych ludzi?

Najświeższym podobno z więcéj uderzających przykładów *zmienności i omylności* publicznéj opinii jest jeden z panujących dziś Monarchów. Okrzyczała go najprzód *awanturnikiem*, potem postawiła na czele narodu, następnie wydała nań krzyk oburzenia, nakoniec sławi go, jako jednego z najznakomitszych mężów XIX wieku; a kto wie co jeszcze kiedyś o nim powie? zawsze podobna do fali, co wznosi się i opada, wre, huczy i pryska, z szumem i pianą! —

Wracając więc do tego, który z taką powagą i uroczystością rzekł nam dopiero: „*Tak mówi opinia publiczna!*“ — „*Opinia publiczna tego wymaga: jest temu przeciwną*“. — „*Odwołuję się do opinii publicznej*“ — stracą podobno te słowa nieco ze swego u-

roku, i może się cokolwiek namyślimy nim na pierwszy frazes spuścimy pokornie głowę, nim w skutek drugiego zaraz staniemy, a w skutek trzeciego zaraz uniewinnimy protestującego.

Gdybyśmy bowiem samą tylko *zmienność* publicznéj opinii, i jéj *sprzeciwianie się* saméj sobie rozważyli, pomijając nawet cały jéj *rodowód*, jéj *drogi*, jéj *skutki*, i wykazaną dopiero, a właśnie z tych okoliczności wynikającą, jéj *omylność*, tobyśmy już musieli być nader ostrcżnymi w *bezwzględném jéj ubóstwianiu*. — Zasady religii, cnoty, honoru, zdrowego rozsądku są *niezmienne* i zawsze zgodne z sobą, a opinia publiczna o tychże samych osobach i rzeczach raz tak, raz inaczéj wyrokuje. Jakżeż może iść ciągle w parze z powyższemi niezachwianemi zasadami? „*Les générations des opinions* (mówi Vauvenargues, w swych Maxymach) *sont conformes à celles des hommes, bonnes et vicieuses tour à tour*“. (Warstwy opinii odpowiadają pokoleniom ludzkim, bywają dobre, bywają i złe).

Tu, (i nie dając nam czasu rozwinąć daléj myśli nasze o powstawaniu i szerzeniu się opinii) przerwą nam przeciwnicy i przytoczą sławne ono przysłowie „*Vox populi, vox Dei,*“ i zawołają; że samo już powszechne przyjęcie i uznanie téj prawdy najwymowniéj zbija nasze twierdzenia!... Odpowiemy im najspokojniéj:

Najprzód: że w obec przytoczonych dopiero, z dziejów i rozumu czerpanych dowodów nieutrzyma się najdowcipniejsze przysłowie, i że popełniłby zapewne blu-

źnierstwo, ktoby np. na mocy tego przysłowia twierdził, że głos ludu żydowskiego wołającego *ukrzyżuj! ukrzyżuj!* był głosem Boskim. —

Powtóre: że dowodząc nieomylności opinii publicznej przysłowiem, które właśnie orzeka tylko jako filozoficzny pewnik *tę samę nieomylność*, popełnia się jeden z najgrubszych błędów przeciw loice, to jest *kółko w rozumowaniu*, bo to samo dowodzi się przez to samo, i rzecz dopiero dowieść się mająca, przyjmuje się już jako punkt oparcia, jako pewnik. —

Potrzecie, nakoniec mylném jest w ogólności uprzedzenie wielu, jakoby przysłowia były niezachwianą powagą, prawdami bezwzlędnemi, i jakoby w nich zawartą była mądrość i filozofia narodu. Prawdę tę wykazał już bardzo gruntownie jeden z naszych uczonych (a.), odsyłając więc ciekawych czytelników do jego rozpraw, przestaniemy tylko na uwadze: że przysłowia są tylko twierdzeniami czerpanemi z doświadczenia dla codziennego, że się tak wyrazimy, użytku, a nigdy nie mogą zastąpić prawideł czerpanych z rozumu i wyższych zasad, i największą podobno wartość mają pod względem historycznym. Bo jużciż, często nie tylko *są w sprzeczności ze sobą*, (kiedy przepisy rozumu sprzeciwiać się sobie nie powinny), ale co więcéj: *nie dają się zawsze pogodzić z prawidłami moralności*, ani ze *zdrowym rozsądkiem*.

Przytoczone przeciwko nam przysłowie: *Vox populi*,

(a) O stosunku przysłowiów i przypowieści do filozofii przez Jana Szlachtowskiego w Bibliotece Naukowéj Zakł. Im. Ossolińskich 1843 Tom VII. str. 93—110. —

vox Dei, ma właśnie swego wroga w drugiém przysłowiu: *Co głowa to rozum* — Inne, niemniéj przeciwne sobie są np. *Nie szukaj dobra w lichu* = *Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło* — *I w kiju był kiedyś rozum* = *Pięścią prawdy nie dowiedziesz.* — *Nie daleko padnie jabłko od jabłoni* = *Z jednego drzewa krzyż i motyka.* — A bardzoż to moralne są przysłowia: *Gdzie nie można przeskoczyć tam podleść trzeba. Ręka rękę myje, Kto smaruje ten jedzie* i t. p. Nie należyż do najfałszywszych przysłowiów owo, także zbyt często używane: *De mortuis nil nisi bene*, bo w cóżby się obróciła historya? chyba w panegiryk, w jakieś rzeszoto, przepuszczające wszystko co było złe, a podające to tylko, co było dobre. —

Dajmyż więc pokój przysłowiom, bo one nic za publiczną opinią dowieść nie mogą. Że jednak, (jak to powiedział już podobno Cyceron) nie ma tak niedorzecznéj zasady, którejby jakiś filozof nie bronił, więc znalazła i powyższa „*Vox populi, vox Dei*“ swego orędownika w osobie głośnego *Franciszka de Lamennais*, którego system opiera się na twierdzeniu, że: wprawdzie rozum pojedynczych ludzi nie wystarcza do poznania prawdy, lecz że głos powszechny jest nieomylnym. Odpowiedziano mu bardzo gruntownie; że skoro, czemu sam nie przeczy, poznanie w pojedynczych ludziach tysiącznym podlega błędom i pomyłkom, niepodobna dać więcéj wagi i mniemaniu powszechnemu, które składa się oczywiście ze zdań pojedynczych, omylnych.

Przyjmując albowiem jego hipotezę, trzebaby koniecznie przypuścić, że nieomylność jest własnością jakiejś *liczby*, jakiejś *cyfry*. Bo kiedy może omylić się jeden, trzech, dziesięciu, tysiąc i t. d. — musi być jakaś jednostka, którą dodawszy, już tem samem ten cały szereg *omylnych*, zamieni się nagle w *nieomylność*, a że to sprzeciwia się loice, ponieważ samo zesumowanie pewnych jednostek nie może nigdy zmienić ich wewnętrznej wartości, więc cały ten system upada.

Przypomina to owe sławne słowa mowcy *Mirabeau* kiedy w zwykłém sobie gorączkowém uniesieniu, na uczyniony sobie zarzut: „*Mais tout le monde se trompe* (Ależ wszyscy się w tem mylą) odrzekł bez najmniejszego namysłu: „*Donc tout le monde a raison.*“ (*Więc* wszyscy mają słuszność)!... Niech sam bezstronny czytelnik osądzi, dokądby taka zasada doprowadziła? —

Nie trzeba atoli mieszać z tém owych *powszechnych przeświadczeń ludzkości*, które nie *w opinii*, nie w większości zdań, ale w *ludzkiéj naturze*, w saméj istocie i wymaganiach duszy naszéj, źródło swe i podstawę mają, i we wszystkich narodach czy cywilizowanych, czy barbarzyńskich nawet, przez wszystkie wieki, współcześnie, bez żadnéj możliwéj zmowy ani porozumienia się, *powszechnie i stale* się objawiają, jakiemi są np. przekonanie o *Najwyższej Istności*, o *nieśmiertelności duszy*, o *związku tego świata z drugim*, o *różnicy złego i dobrego, cnoty i występku*, bo sumienie jest właściwą cechą ludzkiéj natury. Takie przeświadczenia, które często już u dzieci nawet po-

strzegać się dają, na które tak słusznie odwołuje się filozofia i sam kościół, nie są bynajmniéj „*Vox populi*“, ale są *vox naturae humanae* (głosem ludzkiéj natury) czyli tak zwanym u filozofow: *Sensus naturae communis* (zmysłem powszechnym ludzkości) który utrzymuje się i przebija wszędzie, nawet mimo grubéj mgły barbarzyństwa i ciemnoty. Bo nawet przesądy i zabobony, jako to: wiara w czarnoksięstwo, w magią, w astrologią i t. p. co niektóre wieki cechowała, i dotąd w niektórych plemionach żyje, zdradza przeświadczenie o siłach nadprzyrodzonych, nadludzkich, i o styczności tego świata z drugim. —

Bóg dał człowiekowi prawa nieodmienne, zagłębił w jego sercu sumienie z największą tylko trudnością przygłuszyć się dające, dał mu rozum zdolny do rozeznania w pewnym stopniu złego i dobrego i do kierowania się w téj ziemskiéj pielgrzymce, ale ludzie umieli podać w wątpliwość owe prawa, stłumić często súmienie, skrzywić przez namiętności rozum i wolę, i utworzyli sobie różne najbłędniejsze teorye, które potem przez wychowanie w młodzieży zaszczepić, a przez mowy, pisma, czyny, podstępy, często i gwałty, na wszystkie strony rozszerzyć usiłowali. —

Skrzywienie rozumu, a ztąd wynikłe tysiączne przesądy i uprzedzenia, złe skierowanie woli, a ztąd płynące tysiączne, niezgodne z sumieniem działania, musiały oczywiście być najgłówniejszymi czynnikami w tworzeniu się opinii, która jest tylko objawem wewnętrznych usposobień i dążności. — Stanowisko *Noego* pośród powszechnego skażenia pierwotnego światła,

stanowisko *Lota* pośród ogólnego zepsucia Sodomy, jest poniekąd zwierciadłem stosunku, w jakim znajdują się pośród ludzkości, mężowie nieskazitelni, na których polegać można, których opinia jest rzeczywiście ważną, bo zgodną z prawami boskiemi i z rozumem, pośród tylu krzyżujących się zdań, mniemań odgłosów, które przecież nazywają się opinią publiczną, to jest najpowszechniejszą.

Gdy złe daleko zajdzie, spuszcza Bóg czasem światło dla sprowadzenia znów ludzkości na prawą drogę. „*Rozmaicie i wielą sposobami* (mówi S. Paweł na wstępie pamiętnego swego listu do żydów) *mawiał przedtem Bóg ojcom przez proroki, na ostatek tych dni mówił do nas przez Syna*“.... Nie zbywa nam i dziś na świecących gwiazdach, na mężach nieposzlakowanych przed którymi słusznie większość głowę powinnaby uchylić, lecz ci niestety najczęściéj *prorokują na puszczy*, bo przygłusza ich publiczna opinia — jakto za dni naszych naderemnie dotąd mówili i pisali dla Hiszpanii *Balmès* i *Donozokortes*!

Jakże to więc wspaniały widok, kiedy wielki człowiek przejrzawszy zgubne dążności, uzbrojony w środki do ich pokonania i w niezłomną ku temu wolę, walczy z obałamuconą publiczną opinią, i albo ją zupełnie pokonywa, albo przynajmniéj ile możności na właściwszą sprowadza drogę. Tak działał u nas przez całe życie Zbigniew Oleśnicki, Piotr Skarga, Stanisław Konarski, Andrzéj Zamojski, Stanisław Małachowski i inni. Cześć i chwała czasom, kiedy się to udawało, bo złe nie musiało być powszechnem, nieuleczonem!

Taką bohaterską walkę podnieśli w naszym wieku: *De Maistre*, *Chateaubriand* i *Bonald* z szeroko grasującą już przed pierwszą rewolucyą francuzką rozpowszechnioną, a przez tę rewolucyą panującą opinią publiczną, przeciw wszystkiemu co jest katolickie a nawet chrześciańskie, i sprowadzili stanowczy zwrot ku religijności.

Taką walkę podniósł *O'Connell,* aby uzyskać dla swéj ojczyzny równouprawnienie od tej Anglii, która, mimo swych przechwalanych wolnomyślnych zasad, obchodziła się z Irlandyą jak z niewolnicą, i złamawszy wstępnym bojem tak powszechną i przemożną publiczną opinię, wymógł na drodze legalnéj i bez wylewu krwi, prawa dawno się należące. —

Powitamy pewnie wszyscy z okrzykiem radości tego, co skruszy w Zjednoczonych Stanach Ameryki ową haniebną, a tak głęboko na materialnych interesach zakorzenioną opinię, skazującą czarnych bliźnich na wieczną niewolę!

Kiedyżto u nas o Boże! obali ktoś nieszczęsną i niestety! aż nadto upowszechnioną opinię za *pojedynkami*, kiedyż ta plaga dzisiejszego spółeczeństwa, mająca główną swą podstawę na niedorzecznej opinii, tępiącéj nawet miecz sprawiedliwości wszędzie napróżno przeciw nim wymierzony, przestanie plamić czasy, co mają się *mimo niéj* za oświecone? Czy zaświta kiedyś ów dzień, gdzie opinia publiczna potępi i wstydem obarczy te, w naszym narodzie najwięcéj rozpowszechnione *rozwody*, któreby nie mogły się utrzy-

mać, gdyby nie osłaniała je tak pobłażliwa i zdrożna publiczna opinia.

Wszystko prawie co wielkie czy w świecie moralnym czy w piśmiennictwie, czy nawet w świecie materyalnym, wprowadzono najczęściéj w brew ówczesnéj, publicznéj opinii, a nawet czasem po długich z nią starciach.

Dla tego to już w pogańskim świecie najznakomitsi ludzie nie wielką przywięzywali wagę do publicznéj opinii, o ile była niezgodną, z wyższemi zasadami— Któż nie umie na pamięć owéj pięknéj pieśni Horacego:

„Justum et tenacem propositi virum,
„*Non civium ardor prava jubentium*,

„Non vultus instantis tyranni
„*Mente quatit solida* ....
. . . .
„Si fractus illabatur *orbis*
„Impavidum ferient ruinae“

(Granitowej duszy męża sprawiedliwego i niezłomnego w swych przedsiewzięciach nie zachwieją okrzyki tłumu wymagające zdrożności, nie przerazi twarz groźnego tyrana.... Gdyby rozpadał się nawet ruszony ze swych podwalin świat cały, toby w niestrwożonego ugodziły jego ruiny.)

A *Seneka* pisał:

„Male de te loquuntur homines? — Sed *mali* — Mo-

„verer, si de me *Cato*, si *Lelius sapiens*, si *duo Sci-*
„*piones* ista loquerentur: *nunc malis displicere lauda-*
„*ri est.* — Male de te loquuntur? — Moverer si *judi-*
„*cio* hoc facerent: nunc *morbo* faciunt, non de *me*
„loquuntur sed de *se* — Male de te loquuntur? — *Bene*
„*nesciunt loqui*, faciunt non quod *mereor*, sed quod
„*solent*". — (Źle mówią o tobie ludzie? Ale *źli* — Dotknęłoby mnie gdyby tak mówił o mnie Katon lub Leliusz mądry, lub oba Scypiony: teraz niepodobać się złym zaletą jest. — Źle mówią o tobie? — Poruszyłoby mnie gdyby się to stało w skutek dojrzałéj rozwagi, lecz oni to czynią w szale, nie *mnie* tym sposobem wyobrażają ale *siebie*. Źle o tobie mówią? Bo dobrze mówić nie umieją, działają nie według tego, na com *zasłużył*, ale do czego *przywykli*.) Pamiętnemi będą téż po wszystkie wieki słowa prezesa parlamentu paryskiego *Mateusza Molé*, który, gdy mu w zaburzonych czasach Frondy groziła pewna fakcya śmiercią za niezłomne wytrwanie przy obowiązkach, powiedział: „Że daleka jest droga od sztyletu mordercy do piersi prawego człowieka".—

Przypatrzmyż się teraz tworzeniu się owéj publicznéj opinii. O! przemyślny jest w tem rozum ludzki! Co namiętność i uprzedzenie, co osobiste widoki doradzają, to umie nader dowcipnie w życie i w ruch wprowadzić.

Jeden utalentowany, śmiały i zuchwały człowiek może dać popęd do opinii, a jeżeli zdoła sobie ująć mnóstwo wymową pismami i jakimeś czynem odpowiadającym chwilowéj potrzebie, jeżeli uderzy w słabą stronę

ludzi, jeżeli załechta ich pożądliwości, i poda drogę do zaspokojenia ich, stanie się nieraz ich bożyszczem. To tłumaczy ową przechodnią wziętość niejednéj głośnéj w dziejach osoby, co jak ogniotrysk wzniosła się nagle z ciemności w górę, z sykiem i trzaskiem, a potem czasem spadła tem haniebniéj, że od nikogo nawet nie żałowana. — Ciekawy przykład podobnego utworzenia opinii przedstawia nam ów *Wolter*, wszystko wyszydzający, wszystkiem pomiatający, uosobistniona negacya, który przyszedł w chwili powszechnego obyczajowego skażenia, kiedy ludzie zmaterializowani pragnęli uspokojenia w swéj zgniliźnie, łaknęli za przekonaniem, że żadna ich nie czeka kara, że niema Sądu na tamtym świecie, a chcieli oraz uchodzić za mądrych i oświeconych. Któż niesłyszał o owéj kuźni publicznéj opinii w *Ferney* z hasłem *Ecrasons l' Infame* (Zgniećmy bezecną) to jest religię katolicką. Zgłaszali się tam nawet monarchowie z Berlina i Petersburga schlebiając Dyktatorowi opinii, aby im użyczył choć jeden listek ze swego filozoficznego wieńca, dla ozdobienia nim ich koron. Bilecik od Woltera, pochwała z jego ust odebrana była dostateczną dla ugruntowania czyjéjś reputacyi; on rozdawał patenta na filozoficzność, bo każdy należący do tego stronnictwa był *ipso facto: filozofem.* — Były więc *Panie filozofki, Obywatele filozofowie, poeci filozoficzni, aktorki filozoficzne, artyści filozoficzni, wojownicy filozofowie, monarchowie filozofowie.* Ledwie można było znaleźć kogoś: *un peu comme il faut*, słowem człowieka *dobrego tonu*, coby niemiał się za *filozofa*,

a ta filozofia zależała na tem, aby drwić z religii, z hierarchii, z historyi kościelnéj z całego Nieba i lekko traktować samego Pana Boga, jeżeli go nawet, przez grzeczność lub pobłażanie uznawać raczyli, — a z resztą robić, co się komu podoba. Mnogie klucze do sposobów, jakiemi się to wojsko filozoficzne rekrutowało', i jakie miało zadanie, podaje nam kilkotomowa korrespondencya samego Patryarchy. Gdy np. pisze dnia 19 stycznia 1757 do *d' Alemberta: Faites un corps, ameutez Vous, et Vous serez les maitres.* (Utwórzcie jeden zastęp, podnieście gromadnie głosy, a wszystko opanujecie) lub z 25 maja 1758. *Si Vous étiez tous unis, Vous donneriez des lois. Tous les Caçouacs devraient composer une meute.* (Gdybyście byli zgodni między sobą przepisywalibyście prawa. Wszyscy szczekacze powinni składać jednę sforę), lub z 20 kwietnia 1761. *Que les philosophes véritables fassent une confrérie, comme les francs — maçons, qu' ils s'assemblent, qu' ils se soutiennent, qu' ils soient fidèles à la confrérie. Cette académie secrète vaudrait mieux que l'académie d'Athènes et toutes celles de Paris. Mais chacun ne songe qu' à soi et oublie le premier des devoirs, qui est d' anéantir l' Infame. Confondez l' Infame le plus, que Vous pourrez.* (Niech prawdziwi filozofowie zawiążą braterstwo na wzór wolnych mularzów, niech się zbiorą, popierają na wzajem, a trzymają się wiernie koleżeństwa. Ta tajna akademia więcéj byłaby wartą jak akademia ateńska i wszystkie paryzkie. Tymczasem każdy myśli tylko o sobie i zapomina o najpierwszym z obowiązkow, który mu nakazuje zniszczyć

Bezecną. Zawstydzajcie *Bezecną* najwięcéj jak możcie!) Któż zresztą niesłyszał o tém upomnieniu, które nieraz w swych *listach pasterskich* powtarzał: »*Calomniez, calomniez, il en restera toujours quelque chose!*« (Oczerniajcie, oczerniajcie bo zawsze coś z tego zostanie!) A że to wszystko co się pisało, lubo nie miało żadnéj gruntowności i najmniejszego nie znosiło krytycznego rozbioru, błyszczało jednak najczęściéj dowcipem, a cały świat lgnął już od czasów Ludwika XIV do francuzczyzny, więc z francuzczyzną i dowcipami rozeszło się po całéj Europie, a bywało tém łapczywiéj chwytane i przyswajane, że dogadzało wszelkim cielesnym wymaganiom, i za bardzo małą cenę dawało reputacyą: rozumu, wyższych pojęć, elegancyi, słowem *filozoficzności!*

Nie mało podobnych przykładów przedstawiają nam dzieje świata, nad któremi trudno obszerniéj się rozwodzić.

Nie można przecież pominąć tak słynnéj fabryki opinii jaką są i były zawsze polityczne kluby i tajne polityczno-religijne towarzystwa. Co się tam wylęgnie, często pośród wrzawy i swarów, to potem roznoszą po rynkach i ulicach, po miasteczkach i siołach, czasem szepcząc tylko do ucha, czasem (jak piękny czas po temu) głośno wołając: *świéże*, *gorące hasła*, *nowe sposoby do wiadomego celu* i t. p. Te grona tajemnicze skarżą się zwykle z razu i szeroko rozwodzą po książkach i w pismach ulotnych nad *brakiem publicznéj opinii*, nad niezbędną potrzebą *utworzenia* jéj, i zaraz podają główne jéj zarysy, a jeżeli kto, broń Boże!

objawi jakąś wątpliwość w téj mierze, to zdrajca! to wróg ojczyzny! to egoista! to płatne narzędzie! Głoszą wolność mowy i pisma, a gdyby jakiś łatwowierny biorąc to na serio odezwał się za panowania ich opinii, niekoniecznie jéj wtorując, bądź ustnie, bądź pisemnie, zagłuszą go nim skończy, niedadzą wydrukować co napisał. Niema zaprawdę ostrzejszéj cenzury, jak cenzura ludzi, którzy są za jéj zniesieniem! Głównem ich narzędziem są *dzienniki*, które rzeczywiście w naszym wieku przywłaszczyły sobie berło publicznéj opinii, wyłączny przywiléj kierowania nią. Wiemy jak się z tego wywiązywały do niedawna i wywiązują po części dotąd w Niemczech, w Szwajcaryi, we Francyi, we Włoszech, w Hiszpanii i nikt z lepiéj świadomych rzeczy nie zaprzeczy; że im po największéj części należy przypisać te smutne widoki jakie przedstawiała obałamucona, i nawzajem bałamucąca publiczna opinia w latach 1846, 1847, 1848 i 1849.

Tak zwana *opinia publiczna* jest najczęściéj płodem jakiegoś czynnego *kółka*, czyto *politycznego*, czy *literackiego*, czy *eleganckiego*, które usiłuje wmówić we wszystkich że *jego* zdania są zdaniem i przekonaniem *ogółu*. W obec tych krzątających się żwawo agitatorów i gueryllasów, stoi massa złożona po największéj części z ludzi albo obojętnych, czem innem i codziennym swym chlebem zajętych, albo nieoświeconych, czasem nawet bardzo ograniczonych, albo nie mających chęci, czasu lub sposobności, zgłębić prawdę w tym lub owym względzie. Niezbywa też na ludziach, którym lada

co imponuje, u których ten ma zawsze słuszność co głośniéj mówi, co rzecz dowcipniéj przedstawi i do śmiéchu pobudzi, co śmieszności bliźnich w jaskrawszém ukaże świetle, co wykładając swoje zdanie umie wmówić w słuchających, że to są i były zawsze *własne ich* przekonania, tylko że ich nie wyjawiali w czém nawet w tenczas niepospolity spryt i takt pokazali i t. p. Nie od wczoraj też są ludzie skłonniejszymi do złego jak do dobrego, pochopniejszymi do ganienia jak do pochwał. Z drugiéj strony tłum pędzi zawsze za szczęściem i powodzeniem, w dziewięciu przypadkach na dziesięć można być pewnym, że przyklaśnie *zwycięzcy*, a odwróci się od upadającego od słabszego, owszem jego upadek i niepowodzenie przypisze jedynie własnéj jego nieudolności i głupstwu. Wystarczają mu pozory (*jak cię widzą tak cię piszą*) a nic zwyczajniejszego jak posądzenie o hipokryzyą, o zdradę, gdzie ani śladu tychże niema. Słusznie uważa *La Rochefoucauld* w swych maxymach: »Notre *mérite* nous attire l'estime des *honnêtes gens*, et notre *étoile* celle du *public*«. (Nasze zalety zjednywają nam szacunek ludzi godnych, nasza gwiazda poklask ogółu). Ztąd tak częste, nieraz bardzo tragiczne zwroty opinii publicznéj, mianowicie w Rzeczachpospolitych, gdzie nic nie kładzie tamy tworzeniu się i zewnętrznym objawom podobnych opinij, a ktokolwiek zna dzieje Rzeczypospolitych greckich, włoskich i t. p. pamięta jak krwawemi głoskami zapisane są na kartach ich historyi.

Za pierwszymi dowódzcami powtarzają drudzy, obałamuceni lub z innych osobistych powodów i w najrozliczniejszych widokach, »*za panią matką pacierz*,« i występują z frazesami »*Tak mówi opinia publiczna.*« »*Odwołuję się do opinii publicznéj*,« i trwożą słabych i nakazują im milczenie..... Czasem są to tylko jak owe strzały moździerzowe przy uroczystościach, dla dodania świetności i wagi jakiemu twierdzeniu, kiedy sam ten, co używa podobnego *zaklęcia*, nieprzysiągłby czy to jest istotnie publiczną opinią, a może ma sam to aksioma, z taką fanfaronadą i zarozumiałością wygłoszone, od drugiego podobnego; może nawet nie zrozumiawszy dokładnie myśli pierwszego, a ustroiwszy ją własnemi dodatkami przedaje z lichwą towar, który za bezcen kupił.

Tymczasem najsmutniejsze ztąd wynikają skutki! Pomijając przytoczone już wyżéj gubne następności, pomijając, że da się tu zastosować często owe upomnienie zacnéj Żaby Krasickiego do wyuzdanych lampartów:

»Przestańcie chłopcy, bo się źle bawicie,
»Dla was to jest *igraszką*, mnie idzie o *życie!*«

ograniczymy się na dotknięciu moralnego skażenia, które obałamucona i bałamucąca publiczna opinia, zwykle za sobą pociąga.....

A najprzód jest to najczęściéj systematycznem rozszerzaniem *fałszu* z *przemyślnem* i wyrachowanem naprzód tłumieniem i zagłuszaniem prawdy. Jest więc

w wieku, gdzie tyle i o postępie rozprawiają, widocznie ujemném i *wsteczném działaniem*, bo każdy fałsz jest nową raną zadaną spółeczeństwu, i o tyle cofa lub przynajmniéj wstrzymuje rozwijanie się rzeczywistéj oświaty, która polega na zdrowych pojęciach i przekonaniach. Jest *postrachem* i *terroryzmem* dla słabych i mniéj oświeconych, lub nie mających dość silnych zasad, aby się temu oprzeć. Bo kiedy zachowanie praw boskich, wytrwanie w cnocie i pełnienie obowiązków, już samo przez się ma do czynienia z wewnętrznem lenistwem, z różnemi namiętnościami i wymaga często wyrzeczenia się własnéj woli, przezwyciężenia złych nałogów i t. p., publiczna opinia mnoży jeszcze nie raz te zapory i trudności, grożąc śmiesznością, utratą względów i wziętości u świata, wzgardą i t. d. Iluż to ludzi złożyło już, i składa co dzień na ołtarzu téj bałwochwalczéj opinii swe przekonania, swe sumienie, swą godność, byle uchronić się od, często najmylniéj przewidywanych i zagrożonych niebezpieczeństw, lub dla pozyskania owéj *popularności*, na któréj wychodzi nieraz podobnie jak ów pies w bajce, rzucający dla cieniu w wodzie odbitego, rzeczywistość! Wszyscy piorunują na pochlebstwa i łaszenie się *możnym*, a czemże proszę różni się od nich ubieganie się za popularnością? Tem chyba, że tamte kłaniają się w *górę* a to kłania się w *dół* i na *około*. Można powiedzieć, że tyrania publicznéj opinii jest najwybredniejszą ze wszystkich, bo im więcéj jéj się poświęca, tém więcéj wymaga, a wyrokuje w naj-

wyższéj instancyi bez dopuszczenia żadnego dalszego odwołania się.

Co ztwierdzają dzieje całéj ludzkości, to popierają nawet i dzieje pismiennictwa. Któż świadomy ich niewie, jaki szkodliwy wpływ wywierały długo pewne wyrocznie na rozwój samorodnych pojęć, jak skrępowały polot myśli i dążności każdemu plemieniowi europejskiemu właściwych? Co tylko nie wchodziło w ciasne głowy tych akademij, w wązkie szufladki owych biór literackich, to obarczał ich wyrok znamieniem złego smaku, szaleństwa, głupoty i potężnych trzeba było geniuszów, aby skruszyć te więzy długim fałszywym kierunkiem i najmylniejszemi wyobrażeniami o rzeczach sztuki narzucone. Dość przypomnieć walkę, jaką stoczył z Warszawskiemi recenzentami mistrz niedawno zmarły.

Powiedzieliśmy wyżéj jak wysoką wagę przywiązujemy do zdania ludzi cnotliwych, i że tacy czasem istotnie przemogli, i opinię za sobą pociągnęli. Oby panowała zawsze taka publiczna opinia! Lecz niestety! opinia publiczna w siedmiu wypadkach na dziesięć nie ściga tego złego co na chłostę zasługuje, nie wynosi tego dobrego, które zasługuje na zachętę, poparcie i rozpowszechnienie, lecz przeciwnie obarcza śmiesznością różne uczciwe dążności, zachowanie się religijne, obyczajowe, obowiązkowe, a wysławia i stawia na ołtarzu najwięcéj rażące zdrożności, lub przynajmniéj bierze je pod swoją tarczę, broni, wymawia i tym sposobem dłuższe im zapewnia trwanie. Nie należy bowiem zapominać, że są rzeczy, które prawodawstwo

najoględniejsze i najbaczniejsza policya wykorzenić i wykryć niezdołają, a któreby jedynie dobrze skierowane, prawdziwie chrześciańska i oświecona publiczna opinia zwalczyć mogła. Lecz opinia zamiast być cywilizującą, staje się najczęściéj rozstrajającą.

Mimo tego ma dziwną pretensyę i zarozumiałość, i mniema że zdoła poskromić wszelkie występki..... O dziwna Nemezys! Kiedy prawa opinia jest niewątpliwie wielce skuteczną do powściągnienia od zdrożności i wstrzymania czasem ludzi nad brzegiem przepaści wiszących, kiedy widziano nieraz przykłady podobnych od niéj sprawionych owoców: zwykła, tuzinkowa, przewrotna publiczna opinia, jak ten kłamca, który choć i prawdę kiedy powie, wiary przecież nie znajduje, w dobrych swych nawet zamysłach nie odnosi pożądanych skutków! Zapamiętali adoratorowie téj tyrańskiéj piękności, występują bowiem nieraz z wielce budującą i moralizującą postawą i mową, i twierdzą, ze w wypadkach, kiedy ktoś pełza scieszkami podłości, stanie się *apostatą* od prawych zasad, a zakrywa go i ochrania właśnie ten mur, przez który przeskoczył bez namysłu dla zerwania słodkich owoców za nim będących, *oni* go tylko do zastanowienia przywieść, i na drogę obowiązku i honoru nazad sprowadzić mogą.

Lecz ten nieszczęśliwy grzesznik zasłoni się właśnie tém: że kiedy najgodniejsi ludzi mało *ich* cenią i niebardzo oglądają się na *ich* opinią, i on żadnego do tego niewidzi powodu. Tu właśnie wpada mi na myśl ciekawe twierdzenie autorki, która niezbyt da-

wno imieniem swem i pismami całą napełniła Europę. Pani *Staël-Holstein* mówi w bardzo czytanéj wówczas »*Delfinie*«. »Un *homme* doit braver l' opinion publique, une *femme* s' y soumettre!« (Mężczyzna powinien gardzić opinią publiczną, kobieta ma się jéj poddać). Nie podobna zgodzić się z tém, bo najprzód, *co się tyczy kobiet*, niema żadnéj rozsądnéj przyczyny, dla któréjby one nie kierowały się w rzeczach moralnych temi samemi prawidłami co i mężczyźni, co więc dla tych jest dobre lub naganne, jest niem i dla tamtych. *A co się tyczy opinii*: to są wprawdzie, (jakeśmy widzieli) *zdrożne*, ale są i *nieposzlakowane*. Chodzi więc przedewszystkiém o ich charakter, o źródła z jakich powstały, o ich dążności i hasła. Kamieniem próbierczym zdrowych opinij jest zaś, jakeśmy to już nieraz powiedzieli, ich zgodność z prawem bożem i z rozumem. Co innego jest być niewolnikiem każdéj publicznéj opinii, i nie dać się od niéj obałamucić, a co innego *gardzić* wszelką opinią, i działać jéj na *przekorę*, chyba dla saméj oryginalności i próżnéj jakiéjś sławy, co niezgadzałoby się oczywiście nieraz z sumieniem, bobyśmy gardzili także opinią i dobrą reputacyą u ludzi cnotliwych, która powinna być każdemu drogą, ponieważ winien ją sam sobie każdy zacny człowiek dla utrzymania swéj godności i dla lepszego nawet wypełnienia swych obowiązków, i łacniéjszego sprawienia dobra, które zamierza i wykonać może. Dla tego i Zbawiciel pytał raz uczniów (Mateusz rozdz. 16. wiersz 13), »kim powiadają być ludzie Syna Człowieczego«? i mędrzec pański w sta-

rym już zakonie mówi: »*Lepsze jest imie dobre niż wielkie bogactwa*« (Przypow. rozdz. 22, w. I.).

Upór i zaciętość we własném zdaniu i *widzi mi się* w obec rozsądnych i gruntownych przedstawień, a często nawet w obec saméj już powagi ludzi starszych doświadczeńszych, i znanych ze swych cnót i zasług, jest cechą głupoty.

Gdy zaś te uwagi uzupełniają, jak sądzę, myśl moją o publicznéj opinii, zakończę na nich tę pogadankę, aby mnie *opinia publiczna nawet rozsądna* nie obwiniła najsłuszniéj o *wielomowność*.

Maurycy Dzieduszycki.

Z NAD CZERNAI DO KAIRU.

Po kilku dniach podróży nie zbyt pomyślnéj, nie nadto téż i przykréj, ujrzeliśmy się 10go grudnia nadedniem w bliskości Stambułu. Pierwsze promienie słońca z za chmur się łamiące oświecały nam blado niczém nieporównany widok Stambułu, Pery, Skutari, długiego szeregu pałaców nad Bosforem i t. d. Złotego Rogu wcale widać nie było, tak go okrywała niezliczona massa okrętów kupieckich i statków parowych; okręty zaś wojenne poważnie stały na kotwicach na środku Bosforu. W pośród tego lasu masztów i kominów snuło się mnóstwo statków żaglowych i parowych; jedne rozpinając żagle wolno się z pomiędzy masztów wysuwały, inne przybywające szukały dogodnego miejsca do zarzucenia kotwicy. Między niemi z dziwną szybkością uwijały się małe parowce, które przepełnione passażerami utrzymują ciągłą komunikacyę między wszystkiemi punktami Bosforu od Bujukdere aż do wysp Książęcych. Ruch ten niezwykły, obecność mnogich okrętów wojennych rozmaitych pawilonów, komendy we wszystkich prawie ję-

zykach które się słyszeć dawały, wszystko to przypominało żeśmy się znajdowali już w blizkości owych miejsc, gdzie się w olbrzymiéj walce przyszłe losy wielu narodów ważyły. Wjazd do Stambułu zawsze przepyszny ma teraz coś tak wielkiego, tak uroczystego, że bez mocnego wzruszenia nie można patrzeć na wszystko co otacza.

Z wielką zręcznością parowiec nasz w tém natłoku okrętów prowadzony, zrobiwszy mnóstwo zygzaków zarzucił kotwicę prawie pod samym mostem łączącym stary Stambuł z Galatą. Lądowanie trwało długo: było nas bowiem przeszło sto pięćdziesiąt podróżnych, a kapitan chciał najprzód debarkować harem zmarłego baszy Albańskiego; ten był nie mały, bo prócz licznych wdów, dzieci, sług i straży haremowéj, było mnóstwo jeszcze turków, muszyrów należących do świty, a bagaży bez końca. Nareszcie przyszła kolej i na nasze rzeczy. Wśród zgiełku, wołania, szarpania się o passażerów i ich kufry, jak zwykle w takich razach, wsiadłem do kaïka przebywszy kilka innych czółen, które już najęte zapełniały się podróżnemi i ich bagażami, ze wszystkiemi żegnając się jakby z dawnemi znajomemi.

W kilka chwil przybiliśmy do brzegu, gdzie już wielu tragarzy na nas czekało. Jeden z nich porwał moją walizę i płaszcz, kiedy się zaraz jakiś cywilny w fezie pojawił, migami dając do zrozumienia że będzie rewidował. Nie widziałem tam ani rogatki, ani budynku celnego, ani nawet stołu; rewizya więc po turecku, na ulicy, w błocie. Nie było co mówić; szanować wszelkie prawa krajów najpierwszy warunek. Szukałem więc kluczyka, gdy mój tragarz rzekł do mnie: *Ingliz effendi* pokazując że kluczyka nie trzeba, ale natomiast *bakszysz* abym dał urzędnikowi; tak więc zrobiwszy puściliśmy się główną ulicą Galaty. Podobne załatwianie formalności celnych nie mogło mnie z resztą nadto i zadziwiać, gdyż nadużycia zdarzają się wszędzie. W Neapolu to samo

się przytrafia, z tą tylko różnicą, że się tam nierównie więcéj czasu traci, bo chcąc aby przy téj manipulacyi *nikt* oszukanym nie był, oznaczono zdaje się *prix-fixe* od kufra, celnicy wydają więc resztę z naddanych karlinów, a drobnych często nie mając, pożyczają je u spektatorów, na czém jest niejaka strata czasu. W Stambule urzędnik kontentuje się wszystkiém, procedura w nadużyciach im prostsza tém lepsza. Ale muszę za moim tragarzem podążyć, aby się w ciasnych, krętych ulicach Galaty nie zgubić.

W Pera, które jest *quartier fashionable* stambulskie, szukałem pomieszkania; w hotelach *de Byzance*, *du Globe*, *d'Angleterre* wszystko już zajęte zastałem, szczęściem w hotelu *d'Europe* znalazłem jeszcze nie zły pokoik. Oberże w Stambule bardzo są teraz drogie, co się łatwo tłumaczy, widząc ten nieustający natłok wojażerów. *Table d'hote* zwykle dobrze usłużoną bywa, stancyjki zaś ciasne, brudne, a usługa jak najgorsza. Dzwonka niezobaczy nigdzie, ale że się europejczycy zwykle o taki bardzo upominają, więc im dzwonek przynoszą z którym wychodzą z rana i po korytarzach i schodach tak długo hałasują dopókąd im się jakieś *subito signore!* nie odezwie. Ponieważ jeszcze wcześnie było, wyszedłem na miasto i do wieczora spacerowałem.

Lat dwadzieścia jak w Stambule byłem, zmian jednak znalazłem bardzo mało. Prócz pysznych pałaców Czeragan i Besziktasz nad Bosforem, jakiegoś hotelu ambassadorskiego, lub nowego szpitalu, z resztą wszystko po dawnemu, może nawet po najdawniejszemu, bo sądzę że przed wiekiem albo i wiekami Stambuł prawie takim samym być musiał. Odtąd jednak większych zmian spodziewać się należy, dzisiejsze polityczne wstrząśnienie zapewne wszystkiemu wielki nada popęd, a następne lata Stambułowi i Turcyi więcéj zmian zbawiennych pod każdym względem przyniosą, niż owe cztery wieki od

upadku Bizantyńskiego państwa. Mając niedługo nad Bosforem bawić, pośpieszyłem do obozu francuzkiego pod Maslak. W smutném bardzo miejscu zkąd ani Stambułu, ani morza, ani nawet drzewka nie widać, rozrzucony ten obóz; baraki formują gdyby wsie, mniéj więcéj od siebie oddalone. Stała naówczas w obozie tylko brygada piechoty, ale pomieścić tam można do 30,000 wojska. Baraki z porządnych grubych tarcic, pokryte są płótnem dziegciem napuszczoném. Ztamtąd udałem się do Skutari, gdzie ogromne niegdyś janczarskie koszary i inne improwizowane, zajętemi były przez Anglików i angielskie kontyngensa, między któremi jeden batalion legii cudzoziemskiéj w sile 15,000.

Miałem do Krymu płynąć na francuzkim parowcu „Amsterdam", lecz przybywszy do okrętu dowiedziałem się że z powodów tych i owych dopiero jutro odpłyniemy, trzeba więc było do hotelu jeszcze powracać bez żadnéj nawet pewności aby i jutro statek odpłynął, takie zawody są tam bardzo częste. Wszelako tym razem nie było tak źle, bo nazajutrz z południa opuściliśmy Stambuł. Cały pokład żołnierzami i wojskowemi rekwizytami tak był zawalony, że stawaliśmy w łódkach obok okrętu zawieszonych, aby lepiéj użyć cudownego widoku. W zatoce Baikos stało tylko kilka egipskich okrętów, więcéj okrętów rozmaitych flag zastaliśmy w Bujukdere. Dla zabrania poczty zatrzymaliśmy się przed jakąś fregatą francuzką stojącą na kotwicy, i kiedy się jéj przypatrujemy dostrzegamy na niéj *Belle poule;* wszyscy gdyby na komendę powitaliśmy okrzykiem historyczny okręt, na którym zwłoki Napoleona do Francyi przewiezione zostały. W krótce potém znów koła uderzyły, i wjechaliśmy w ścieśniający się coraz bardziéj Bosfor, po obydwóch stronach gęsto działami najeżony. Zmrok już zaczął padać gdy do stołu znać dano, opuściliśmy więc nasze wiszące trybuny i udaliśmy się do salonu,

gdzie wszelako nie długo zostaliśmy w komplecie. Wzmagające rzucanie okrętem ostrzegło nas w krótce że już na wielkiém morzu być musiemy; wielu więc czując się niedobrze udało się do swych kabin, zkąd dopiero dojeżdżając do Kamieszu znów się pojawiło, choć podróż nasza mimo przeciwnego wiatru, do przykrych liczyć się nie mogła.

W porcie stało dużo okrętów, prawie same kupieckie, gdyż główna stacya wojennych jest w Bałakwie; na brzegu ujrzeliśmy długie szeregi armat, moździerzy, długie stosy kul, bomb, granatów i nieprzerwane treny wozów amunicyjnych i furgonów: tu już zupełnie wojenne powietrze. Na miejscu gdzie był dawny Kamiesz stoi jeszcze kilka zaledwie resztek domów, całe więc dzisiejsze *miasto* jest z baraków złożone, które długie równoległe tworzą ulice; wszystkie te baraki zbudowane i zamieszkałe przez rozmaitych spekulantów, którzy swe pomieszkania mają w tylnéj części baraku, na przodzie zaś od ulicy są sklepy. Zaprowadzono mnie do takiego deszczkowego hotelu, do którego w gęstém gliniastém błocie ledwie zabrnąłem.

Hotel du commerce na *rue de la gloire* jest najpierwszym w Kamieszu; uprzedzono mnie że nieco drogi, ale że za te 25 franków dziennie, już się i dobrze mieszka i wybornie jada. W sali jadalnéj zastałem ćmę oficerów, podoficerów i żołnierzy francuzkich, których dla kłębów dymu *de la cigarette* w pierwszych chwilach ani rozeznać można było. Zażądałem pokoju, zaprowadzono mnie po drabince na strych, który tarcicami poprzegradzany formował z jakie dziesięć ciemnych niby izdebek, z których tylko pierwsza i ostatnia dziurą w dachu nieco oświecone były. W każdéj ciemnicy stało po dwa łóżka, stolik, krzesło, i nie wiem na co zwierciadło. Chcąc być osobno i mieć nieco więcéj miejsca, kazałem z takiego apartamentu wynieść jedno łóżko; roztasowa-

wszy się potém jako tako, spuściłem się ostrożnie po chwiejnéj drabinie do sali jadalnéj i kazałem sobie dać obiad. Zanim zupę przyniesiono, obstawiono mnie massą rozmaitych *hors d'oeuvres*, jako to: starém masłem, spleśniałemi korniszonami etc. Usługujący garson podając mi ogromną bułkę, wykroił w niéj wprzódy olbrzymią dziurę, mówiąc że z temi szczurami rady sobie dać nie można, nic się przed niemi nie ostoi, wszystko z rąk wyrywają. Łatwo sobie wystawić, ile taka wiadomość apetyt zaostrzyć może, niczego prawie dotknąć się już nie mogłem, myśląc wynagrodzić sobie może desserem. Przyszedł i on nakoniec, ale złożony z kawałka sera, kwaśnego jabłka i wysuszonych orzechów laskowych bez tłuczka!!

Zapaliwszy po takim obiadku cygaro, zacząłem rozpamiętywać nad materyalnemi niedogodnościami tauryjskiego półwyspu. O piątéj bębnią pierwsze *roulement*, po naszemu capstrzyk, wypraszające żołnierzy z kantyn; o 7méj drugie *roulement* zapraszające ich do obozów, a punkt o 10téj muszą już wszystkie ognie i świéce być pogaszone w całym Kamieszu; minutowe opóźnienie mogłoby kollizye z żandarmeryą sprowadzić, a z tą żartować nie dobrze. To też się jéj boją, że aż miło. Przed samą 10tą nie jeden spóźniwszy się do gospodarza przybiega:

— *Dites donc bourgeois, n'auriez vous pas un gîte à me donner?*

— *Si, mais dépechons nous, car dix heures vont sonner à l'instant, et le brigadier n'est pas homme à entendre raison.*

Takie krzątanie i półgłosowe dialogi słychać ciągle przed oznaczoną godziną; elastyczna podłoga grozi ciągle zapadnieniem pod szybkiemi krokami uwijających się, kiedy z pierwszém uderzeniem zegara, jak przy dobréj zmianie dekoracyi, w okamgnieniu cały Kamiesz nocnym

powleka się kirem i cisza zupełna nastaje. Ale cóż, cisza to tylko pozorna, tylko na zewnątrz; bo prawdziwe bujanie szczurów dopiero się zaczyna; zewsząd słyszy się ich bieganie, kąsanie się, pisk na wszystkie strony; co chwila to lichtarz runął ze stołu, to flaszka, to talerz leci z pułki i rozbija się na drobne, słowem niepomnę czy kiedy fatalniejszą noc miałem.

Przetrwawszy wszystkie te większe i mniejsze *niedogodności* poszedłem nazajutrz rano do komendy placu, zkąd wziąwszy *permis de séjour* puściłem się manowcami ku Sewastopolowi. Nikogo niechciałem brać z sobą, przewodnik tam zupełnie niepotrzebny, a idąc z nim idzie się zwykle spieszniéj, co przeszkadza rozpatrywaniu się; potém jego niepotrzebne, nieżądane objaśnienia sprawiają dystrakcyę i psują tak miłą illuzyę przenoszenia się myślą w czasy oblężenia i szturmu. Zatrzymując się co chwila szedłem daléj i daléj, postępując ciągle między morzem a obozami francuzkiemi. Cała ta przestrzeń jest puszczą kamienistą, często parowami przerywaną; drzewa, krzaku, ani tam dostrzedz, cała powierzchnia drobnemi kamieniami okryta. Po prawéj, ukazywały się obozy gdyby oazy porozrzucane, każda dywizya osobny obóz tworzyła, zewsząd bębny, trąby, czasem muzyki pułkowe słyszeć się dawały. Nakoniec północne forty Sewastopola w oddaleniu ukazywać się zaczęły; po nad niemi wznosiły się chwilami białe kłęby dymu, poczém w znacznym odstępie głuchy huk ciężkiego działa poważnie się rozlegał. Przy dniu cudownie pięknym, cały ten obraz miał coś nadzwyczaj uroczystego. Przypomniałem sobie naówczas tak trafne o wojnie słowa Guizota: *ce mélange puissant d'action humaine et de fortune qui saisit et transporte les âmes les plus hautes comme les plus simples.* W miarę jak się zbliżałem, pole coraz gęściéj zasiane ułamkami bomb, granatów, nawet całych

bomb dość dużo tam leżało, które zbierać nie zadają sobie pracy.

Tak idąc zaszedłem aż do przylądka Chersonesu, zkąd już wybornie ujście portu widać. Zdawało mi się że patrzę na okolicę doskonale mi znaną, na okolicę w któréj kiedyś długo gościłem, ale gdzie już od dawna nie byłem, tak już wszystko wiadomém jest z opisów i rysunków. Owe forty Konstantyna, Katarzyny itd. któżby ich od razu nie poznał. Perspektywą doskonale widziałem maszty zatopionych okrętów smutnie a śmiesznie z wody sterczące, widziałem żołnierzy rosyjskich łapiących ryby, przechadzających się po brzegu. Widok ten niby znany niby nowy dziwne wrażenie sprawia, i gdyby ciągłe wystrzały artyleryi i wycie bomb nie przypominały widzowi że go teatr wojny otacza, łatwo by mógł myśleć że się na jakie diorama patrzy. Tak stojąc jak wryty, nie odejmując perspektywy od oka to jednego to drugiego, znajdowałem się nad jedną z bateryj które w początkach oblężenia fort kwarantanny ostrzeliwały. W około bateryi od rykoszetów ciężkich pocisków dziura koło dziury, całe pole gdyby zorane. Byłbym szedł daléj, albo stał jeszcze chwilkę w tém zajmującém miejscu, ale obejrzawszy się spostrzegłem słońce nad samym już zachodem, puściłem się więc sporym krokiem napowrót do Kamieszu od którego byłem daleko. Rachowałem na gwiazdy, a tu gęsta jakaś mgła raptownie się spuściła i zupełnie się ciemno zrobiło. Idąc bez drogi co moment z mojéj dyrekcyi zbaczałem, i byłbym Bóg wié gdzie zanocował, gdyby mnie żołnierze nie byli sprowadzali, którzy wesoło „*En avant marchons*“ śpiewając z kantyn wracali.

Aby być w samym Sewastopolu trzeba mieć pozwolenie na piśmie ze sztabu głównego, i taka przepustka tylko na ten dzień służy w którym jest wydaną. Wziąwszy więc konia, ruszyłem nazajutrz murowanym go-

ścińcem do francuzkiéj kwatery głównéj, gdzie z największą uprzejmością żądaną kartę mi wydano, o moje *permis de séjour* ani pytając; nie tracąc więc i minuty, siadłem znów na koń i daléj ku ruinom z tylu względów sławnym. Zbliżając się ku miastu gościniec zniża się cokolwiek i biegnie ponad coraz głębszy parów ku bastionowi *masztowemu*. Przekopy które się ciągle po jednéj i po drugiéj stronie drogi widzi, są to rowy zaledwie półtora sążnia szerokie, mające przed sobą eskarpy z faszyn i worków napełnionych ziemią. Tu owdzie głęboko wkopane, cegłą wyłożone magazyny amunicyjne, oto wszystko co prócz bateryów robotami oblężniczemi zowią. Jechałem już czas niejaki między gruzami byłego niegdyś przedmieścia i wjeżdżałem do miasta, gdy niedaleko teatru szyldwach mnie zatrzymał, zbliżył się zaraz kapral, wziął moją przepustkę i odniósł oficerowi służbowemu; ten po chwili wyszedł i oddając mi kartkę, prosił bym zjechawszy na dół nie nadto się nad morzem pokazywał, gdyżbym siebie i szyldwachów tam stojących niepotrzebnie na strzały sztućcowe naraził. Zaspokoiwszy z téj strony porucznika pojechałem daléj. Chcąc aby nędzny mój wierzchowiec nieco wypoczął, wjechałem na jakiś dziedziniec, gdzie konie pociągowe spostrzegłem, i prosiłem wachmistrza by mój koń mógł z parę godzin obok jego koni pozostać.

— Widzisz brygadyerze, rzekłem oddawszy konia żołnierzowi, jakie to szkapy w *Chnapanville* (bo Francuzi inaczéj Kamieszu nie zowią) wynajmują nam po 30 franków.

— *Parbleu! avec deux promenades la rosse est largement payée!* zawołał oburzony furgonista i rzucił wiązkę siana przybyłemu.

Kto był w Pompei, ten mieć będzie najlepsze wyobrażenie dzisiejszego Sewastopola. Wszędzie tylko szczątki domów, całe szeregi przetrąconych lub powywracanych

kolumn, co krok głębokie dziury w bruku; w istocie błąkając się po tych nieszczęsnych zwaliskach Pompeja nie wychodziła mi z myśli. Jedynie porozrzucane jeszcze gdzie niegdzie ładownice, manierki, leżące kule, czerepy bomb i tym podobne, przypominają że się jest na świeżém pobojowisku; z resztą nieustające monotonne wystrzały działowe kontrastują z głuchością przedwiecznego grodu. Wszedłem do jakiéjś cerkwi, oczywiście drzwi nie szukając, bo zewsząd stała otworem, tylko wysokie wały rumowiska gdyby progi przebywać trzeba było. Na dole zwiedziłem fort Mikołajewski, ogromne półkole z dwoma piątrami strzelnic działowych; dziś wszystkie te forty choć bardzo mało uszkodzone stoją rozbrojone i służą tylko Francuzom na składy rekwizytów wojennych. Potém udałem się ku dokom, ku którym bomby nieprzyjacielskie prawie wyłącznie skierowane. Piękne te i kosztowne dzieła prawie zupełnie podminowane już były; w czasie kiedy tam byłem kilka bomb po nad nami przeleciało, inne szły bokami, jedna tylko w doku uwięzła ale nie pękła. W ogóle to strzelanie bardzo mało zawadza, to téż od dwóch miesięcy nie odpowiadano na nie. Z tamtąd grzeczny jakiś oficer poszedł ze mną do Małachowa. Duża ta fortyfikacya jest tylko okopem, którego ani eskarpy ani parapet nigdzie murowanemi nie były; forma jego jeśli się tak wyrazić można, jest wielokątny podłużny kwadrat; poprzeczne, to jest krótsze jego dwie strony ku nieprzyjacielowi i miastu zwrócone, długość zaś poprzecinana kilką obronnemi trawersami. Przy samym prawie przednim parapecie stoi w szańcu murowany bastion, od którego nazwisko, zniesiony jednak prawie do wysokości parapetu. Kazamaty są w ziemi, nad któremi jeszcze belki i faszyny, w czasie oblężenia napiętrzonemi były. Zmrok padający niedozwolił mi zwiedzić jeszcze „zielonego mamelonu“, który z resztą we wszystkiém podobny do in-

nych Sewastopolskich fortyfikacyj. Zmuszony więc byłem opuścić te zajmujące miejsca, a odszukawszy mego konia, późno już powróciłem do siebie.

Następnych dni jeździłem do Bałakławy i do piemonckiego i angielskiego obozu. Małą ale zewsząd wysokiemi górami doskonale osłonioną bałakławską zatokę zastałem dosłownie okrytą okrętami wojennemi. Cały handel skupiony jest dzisiaj w Kamieszu, gdzie wielu majątki porobiło, szczególnie w początkach okupacyi. Największe zyski przynosiła sprzedaż żywności; zapewniali mnie np. że niektóre markietanki po 60 do 80,000 franków zarobiwszy, powróciły do ojczyzny. Teraz już na niektórych spekulacyach tracą, szczególnie na winach *en gros*, bo tych stosunkowo jest dziś więcéj w Krymie, niż we Francyi. Bałakława mocno ufortyfikowana, wszelako dla dominujących pozycyj, wielkiéjby wymagała załogi; z tego względu Kamiesz i Kercz jako *pied-à-terre* mają być dogodniejsze. Koléj żelazna z Bałakławy aż pod Sewastopol zupełnie jest ukończoną; dziwnie się owe latające pociągi w téj pustyni wydają.

Obóz piemoncki zastałem nad Czernają w miejscu gdzie była bitwa 16 czerwca. Porządek i czystość w tym obozie wzorowe, równie jak w obozie angielskim, który nieco na przodzie ku Inkermanowi rozłożony. Obozy francuzkie nie mają tyle militarnéj cechy, szczególnie rekwizyta wojenne nie w takiém u nich poszanowaniu jak u sąsiadów, furgony a szczególnie uprzęże ich, nieco na folwarczną drużynę zakrawają. Najbardziéj uderzyło mnie niebaczne ze strony Francuzów męczenie koni; jak na bulwarach, tak toż samo i w Krymie: nikt żołnierza inaczéj nie spotka jak wyciągniętym goniącego kłusem; wszelako niepodobna, aby wszystkie bez wyjątku rozkazy większego pośpiechu wymagały. Oficera nie w służbie ani zobaczyć inaczéj, jak pędzącego co koń wyskoczy. Być bardzo może, iż temu jedynie przy-

pisać należy, że kawalerya francuzka nigdy słynną nie była, choć niezaprzeczenie z wybornych składa się żywiołów; ale nie mogą się tem przejąć, jak dalece jest ważną mieć w kampanii wypoczęte ile możności, świeże konie. Pułki strzelców konnych afrykańskich *(chasseurs d'Afrique)* i Spahisów już cokolwiek orientalnego przywiązania do koni nabrały, konie téż ich dużo się różnią od koni innych pułków. Furgony jeśli tylko nie zbyt obciążone, idą kłusem, a powracające konie lub muły muszą cwałować; mnóstwo ich téż ustaje, choć dowozy furażu dostateczne, a wojny od września tak właśnie jak nie ma.

Co znów przyjemnie wszędzie uderza, to prawdziwy duch koleżeński między sprzymierzonemi; we wszystkiem jedni drugich uprzedzają, witają się zawsze jak najserdeczniéj i wzajemnie szacują. Pewien oficer Zuawow dużo mi o zimnéj krwi anglików opowiadał, o wzorowym porządku z jakim nad Almą manewrowali choć na najtrudniejszym zawsze terrenie i pod gradem wszelakich pocisków: „*il reste à savoir si nous l'aurions fait comme ça*“, dodał w końcu. Anglicy znów uznają wyższość wykształcenia wojskowego we Francuzach i większą ich intelligencyjną zdatność do rzemiosła żołnierskiego. Piemontczyki dobrze są widziani od wszystkich swych kolegów, zdaje się że ich armia znaczne korzyści z téj wojny odniesie. Pomimo jednak tych tak dobrych stosunków, słyszałem i to nieraz tak anglików jak i francuzów spoglądających z obawą na przyszłe układy o pokój; lękają się bowiem by się w tenczas ta dla zachodu tak pożądana zgoda nie nadwerężyła.

Zamierzałem dłużéj bawić w Krymie, lecz wzmagające się zimno, z resztą i materyalne niedogodności o których wyżéj wspomniałem, spowodowały mnie do odpłynięcia po kilkodniowym tam pobycie. Okręt nasz przepełniony był chorymi francuzkiemi, mrozy 19go i

20go grudnia liczbę ich bardzo powiększyły; rannych było niewielu, między tymi jeden oficer rossyjski. Przykro było patrzeć na brak starania, powiem nawet na lekceważenie z jakiem obchodzono się z chorymi. Uważano ich jako nieznośny ładunek, którym passażerskie statki obdarzano. Dwóch jenerałów i wielu oficerów, którzy się za urlopem do Francyi udawali, zbyt swym powrotem do ojczyzny byli uszczęśliwieni, i zajęci opowiadaniem epizodów wojennych, aby do chorych choć zajrzeć, choć się o nich spytać, a przecież to prosty żołnierz francuzki niewątpliwie pierwsze miejsce w armii zajmuje; przyznają to często sami oficerowie. Mówił nam naprzykład jeden z jenerałów: „*un officier une fois à la tête d' une colonne d' attaque, ne saurait s' arreter même, s' il le voulait, tellement est il poussé par ses soldats.*“ Tak mówiąc niesłyszał wszakże jenerał jęków konających i zanim się Stambuł ukazał, wrzucono już sześciu umarłych w morze.

Po krymskiéj puszczy o wiele jeszcze pyszniejszym wydaje się wjazd do Stambułu. Po przejmujących mrozach jakże miłem owe wiosenne ciepło nad Złotym Rogiem; nigdy mi się miasto siedmiu gór piękniejszem nie okazało, żaden hotel londyński lub hamburski nie zdał się być tak wygodnym jak grecka moja lokanda *d' Europe* po zimnym strychu na *Rue de la Gloire.* Aby sobie uzupełnić wrażenie kraju cywilizowanego, poszedłem na teatr, dokąd jakoś pierwéj zebrać się nie mogłem, i znalazłem tak lokal jako i muzykę nierównie lepszemi niż sobie wyobrażałem. Szanowna tylko publiczność zdawała mi się mniéj dobraną; piękniejszym ustępom wtórowała ona chórem, a tłukąc laskami po ławkach i ścianach oklaskom dodawała mocy. Na nieszczęście „Lukrecya“ wielkiego doznawała tryumfu, przyszłoby więc ogłuchnąć, gdyby wytrwale chcieć zostać *usque ad finem*; z wielkiem więc zgorszeniem carogrodz-

kich melomanów opuściłem salę po pierwszym akcie. W ostatnich dniach mego pobytu poznałem pewnego znakomitego oficera, który świetny miał udział w pamiętnéj obronie Karsu. Gdy kapitulacya już postanowioną została, i w układy z nieprzyjacielem wchodzić zaczęto, opuścił on Kars wraz z kilkoma innymi i przemknął się szczęśliwie do Erzerum, zkąd późniéj do Stambułu się dostał. Mówiliśmy dużo o téj sławnéj obronie, która mimo smutnego końca swego, niemniéj zaszczytne miejsce obok wiekopomnéj Sylistryi w rocznikach historyi zajmować będzie. Szturm 29 września był jak wiadomo rozpoczęty o samym świcie; już od niejakiego czasu żadnych wedet w nocy przed miasto nie wysuwano, z razu dla tego, że wedety często znikały, nie chcąc już do smutnego obozu powracać, a późniéj i koni nie było. To ułatwiło niedostrzeżone zbliżenie się nieprzyjacielowi. Owéj pamiętnéj nocy księżyc w ostatniéj swéj kwadrze już tylko półkulą nadedniem okolicę trochę oświecał, nie tyle więc okiem jak bardziéj słuchem odkryto iż nieprzyjaciel podstępuje, bo zajmowanie zbliżonych pozycyj przez artyleryą, w zupełnéj cichości odbyć się nie mogło. Ostrzeżona o tem kommenda, w kilku chwilach już wszystko miała pod bronią, i spieszono zajmować ważniejsze stanowiska. Właściwie Karsu fortecą nazwać nie można, gdyż tylko ułomki dawnych murów pozostały, obok których tu i owdzie usypano okopy; nie potrzeba więc było wybijać wyłomu, to też załoga nie zdołała jeszcze wszystkich zająć stanowisk, a już, nieprzyjaciel razem prawie z rozpoczęciem ognia ze swych bateryj rzucił piechotę do szturmu. Ośm batalionów w kolumnach jedne za drugiemi tuż postępując, tworzyły główną kolumnę attaku. Głębokość i ściśnienie takie musiało szturmujących na ogromne narazić straty, bo każda kula lub granat gdziekolwiek trafiły, wyrywały całe szeregi, a oblężonym na

licznéj i dobréj artyleryi nie zbywało. Pomimo jak najżywszego ognia wdarli się Rossyanie do obozu, a wielu z nich poczytując zwycięztwo już za pewne, rozbiegło się po namiotach. Widząc to dowódzcy najbliższych bateryj, sypnęli w te namioty kartaczami, a na wypłoszonych piechota rzuciła się z bagnetem, tak że nikt prawie z tamtąd nie uszedł. Kilka razy świeże prowadząc bataliony usiłowali szturmujący opanować koniecznie miasto; lecz z coraz większemi odpierani stratami, po czterogodzinnych daremnych a zawsze krwawych wysileniach odstąpili nakoniec. Siedm tysięcy parę set Rossyan między którymi około 300 oficerów pochowano w Karsie. Podobną klęskę i także w równie krótkim czasie tylko nad Czernają ponieśli; tak tam jak i tu strata odpierających w żadnem nawet porównaniu nie była ze stratą Rossyan; a przyczyną tak znacznych i bezowocnych ofiar, tak nad Czernają jak i pod Karsem było zawsze bezwzględne rzucanie przebojem na nieprzyjaciela, który i w mocnéj stał pozycyi i niczem jeszcze zachwianym być nie mógł. Potem i szyk kolumn szturmowych był bardzo błędny, bo aby wspierać poprzedzające oddziały niekoniecznie trzeba stąpać im po piętach albo na najprostszéj za niemi postępować linii; taki szyk ułatwił Turkom strzelanie i ogień ich bardzo czynił morderczym.

Liczba rannych jak wnosił ów oficer, mogła nie być w zwykłym stosunku do liczby poległych, z powodu że najwięcéj dnia tego artylerya czynną była i po większéj części z bardzo bliska strzelała. Po odparciu szturmu, na zimno już ważniejsze chwile krwawego dnia tego rozbierając, zgadzali się wszyscy, że gdyby tylko 10ciu minutami później Turcy o zbliżającym się attaku byli ostrzeżeni, kto wie jakiby obrót rzeczy wziąść były mogły; i to zdaje się bardzo naturalném, bo gdzie równe lub prawie równe ciężary na szali się ważą, tam

lada co stanowcze przechylenie sprowadzić może. Głód jednak coraz bardziéj czuć się dawał, dowozy i furażowania stały się już niepodobne, szpitale przepełniały się coraz więcéj, nakoniec śmierć głodowa szerzyć się poczęła, i odtąd więc śmiertelność wzmagać się koniecznie musiała. Nadziei odsieczy wcale nie było, Omer ciągle postępował zwolna w kierunku Kutais, a w Erzerum nie było sił, z któremiby się dało cokolwiek przedsięwziąść. Myślano chwilę o przeboju, lecz przebijać się w kilkanaście tysięcy wygłodniałéj piechoty bez jazdy, a co więcéj bez armat, konie bowiem już zjedzono, byłoby tylko niesumiennem szaleństwem. W téj więc okropnéj ostateczności postanowiono kapitulować. Warunki które załoga uzyskała, przynoszą zaszczyt jenerałowi Murawiewowi; bydź bardzo może, że niezupełnie znane mu było położenie oblężonych, zresztą może wiedział i o niem, lecz nie chcąc nadużywać przewagi jaką mu jedynie pomyślny zbieg okoliczności nadawał, szlachetnie oddając należną cześć walecznéj wytrwałości, uczcił najwięcéj siebie.

Spotkawszy jednego z naszych europejskich baszów, który prosto z rady wojennéj powracał, pytałem, co też tam o Omerze mówią?

— *On est furieux contre lui*, odpowiedział; ale furya turecka ulatnia się prędko, zwykle po kilku fajkach, sorbetach ustępuje stoickiemu *Allah kerim!* (Niech tam Bóg rozrządza).

Po wielu naradach wyprawiono nakoniec komissyę do Redut-Kale, by rozpoznać w czem Serdar mógł być winnym, w czem niewinnym. Ta komissya by nie obrażać dumy narodowéj złożoną była wprawdzie z Turków, ale Omerowi nie bardzo sprzyjających; wszelako wiadomo każdemu jak łatwo możnym na Wschodzie niechęci, w dobre dla siebie chęci zamieniać. Ztąd przewidywano że sprawozdanie komissyi we wszystkiem

Serdara Ekrem usprawiedliwić nie omieszka. Szkoda wielka tureckiego żołnierza, bo bitny, trudy i niewczasy wytrwale znosi, z musztrą łatwo się oswaja, zwierzchności chętnie ulega, słowem, jest to żywioł z którego by jedną z najpierwszych armij utworzył, gdyby tylko innych miano oficerów tak wyższych jak niższych, ale o tych najlepiéj tyle tylko powiedzieć, ile nasz Krasicki o Ryczywole powiedzieć nam raczył.

Przed moim wyjazdem ze Stambułu chciałem jeszcze odwiedzić niewolników rossyjskich na Wyspach Książęcych. Zastałem ich obóz na pięknéj uboczy nad samem morzem; tam żołnierze pod namiotami swobodnie oczekują końca wojny, lub wymiany niewolników. Niezdawało mi się jednak, by te dwie szanse *oswobodzenia* ze zbyt wielką niecierpliwością przez nich wyglądane były, gdyż im tam pewnie lepiéj jak w wojennéj a nawet i pokojowéj biedzie. Oficerom czas dłuższym wydawać się może; od rządu mają utrzymanie, jeżdżą do Stambułu kiedy tylko chcą, gdzie na słowo honoru wolno przebywają; pisują też do swoich często, a listów ich nikt niezatrzymuje, choć zawierają często niepotrzebne ustępy przeciw *najezdnikom ojczyzny*.

Zwiedziwszy to co mnie więcéj zajmować mogło, opuściłem Stambuł na francuzkim parowcu *Le Tage* choć nie zbyt wygodnie, gdyż mieliśmy z sobą baszę Alepu, który z ogromną świtą udawał się na miejsce przeznaczenia. On sam z haremem zajmował wszystkie pierwsze miejsca, część drugich zajął jego sztab; a rozmaici baszybozuki zalegali pokład, gdzie jeszcze i kilka koni stało. Bagażów najrozmaitszych mieli coniemiara; między któremi broń i fajki głównie figurowały, choć były tam i klatki z kanarkami. Z ostatnim czerwieniącym się odblaskiem słońca parowiec opuścił Bosfor, w kilka chwil potem już się nam księżyc w przeźroczystych falach morza Marmora odbijał. W Gallipoli, Dardanellach, Mitilene zatrzy-

mywaliśmy się tylko dla oddania i odebrania pak pocztowych; w Smyrnie zaś bawiliśmy dzień cały.

Wypływając z golfu Smyrneńskiego mieliśmy najpiękniejszą pogodę, noc cudowną; kiedy przy wyjściu z cieśniny Cźesme nad ranem zerwał się silny wiatr i przez cały dzień mocno nami miotał, a w nocy burza coraz bardziéj i bardziéj wzmagać się poczęła. Co chwila przysyłał basza po swego lekarza, a że wszystko prawie ciężko chorowało, wnosiliśmy zatem, że z otyłym baszą źle być musi; zapewnił nas jednak powracający doktór, że nie jest tyle chorym ile raczéj w niesłychanym zostaje strachu, i że po niego posyła jedynie, by się kapitana pytać zkąd wiatr, czy się przypadkiem nie wzmaga jeszcze, czy by może nie dobrze zarzucić kotwicę, choćby na próbę, kto wie może się uchwyci i t. p. Włoch, którego naprzód grzecznie, potem z fukiem odprawiał kapitan, już sam wymyślał zaspokajające odpowiedzi. Gdy wreszcie wicher już znacznie zwolniał, lękliwe zapytania ustąpiły miejsca uczonym dyssertacyom o żegludze w ogólności; tak tedy będąc *en train* informowania się i duskussyi, zapytał Hamdi basza, co znaczą owe niby zegary na pokładzie stojące? Tłumaczono mu więc co bussola, i jaka jéj konieczność. Wysłuchawszy dobrze i wyrozumiawszy rzecz dokładnie, rzekł w końcu Hamdi:

— Taka jak ją zowiecie bussola, jest niepotrzebna, bo aby wiedzieć *zkąd wiatr*, dość chustkę na kiju wywiesić.

Nie było rady z baszą, wszystko najlepiéj wiedział. Miał bo też i wysoką wziętość u swoich, którzy nas zapewniali, że pewno długo w Alepie nie zostaną, bo basza ich wkrótce na ministra do Stambułu powołanym będzie, i że to w każdym razie trzecia osoba w kraju. Kto nigdy w Turcyi niebył poczyta to za przesadę, ci zaś co ten kraj cokolwiek znają, zgodzą się pewnie ze

mną, że takich baszów jest więcéj niż oświeceńszych. O braku oświaty, braku moralności między wyższemi, nikt wyobrażenia niema: tem jednak jedynie tłumaczyć się daje polityczna bezsilność tego wielkiego i bogatego kraju.

Wśród rozmów o żegludze, wpłynęliśmy do ciasnego wysokiemi skałami otoczonego portu w Castel-rosso. Tu jednak lądować nam niedozwolono, dla cholery, która była w Smyrnie, a przed którą żeby się uchronić, basza rodyjski system kwarantanny za najzbawienniejszy uznał. Na to jednak niezważał basza Alepu, kazał czółno spuścić, i wraz z kilkunastu najwierniejszemi przybił do lądu. Tam zasiadłszy pod rozłożystem drzewem oliwnem, kupił barana, kazał go zarznąć, i zaraz się do przyprawienia zabierać; sam z widocznèm zajęciem śledząc wszystkie fazy zdejmowania skóry, patroszenia, obracania na rożnie i t. d. Gdy już pieczyste gotowem być miało, zasiedli wierni u nóg władzcy i wraz z nim rozrywając baraninę, poczęli sobie wynagradzać okropności przecierpianéj nocy. Niechcąc się w swych dalszych stacyach opóźniać, kapitan postanowił jeszcze przed zachodem opuścić wysepkę, posłał więc czółno po baszę, prosząc by już raczył powrócić, ale przyszłego ministra ani oderwać od barana. Niecierpliwi wyjazdu ciągle mieliśmy zwrócone na niego lornety śledząc co robi, czy już wstaje, do czółna czy schodzi? ale nic z tego; ogromna serweta gdyby kirys bieliła się ciągle na piersiach trzeciéj osoby w kraju; podano mu kawę, potem *czibuk*, prawdziwa rozpacz, o opuszczeniu siedziby ani mowy.

Już słońce dobrze zaszło za góry, kiedy nasz Hamdi przybył na pokład. Cóż było robić? Choć trochę ciemno, rzekł mściwy kapitan, przecież spróbuję przesunąć się między skałami *et si ce n'etait qu' à cause du pacha, pour lui faire regretter son gigot.*

Wicher już był ustał zupełnie, ale morze jeszcze ogromnie rozhukane było; po trzydziestu kilku godzinach mocnego kołysania stanęliśmy nad ranem przed Mersiną niby wsią niby miasteczkiem, gdzie się jednak liczne karawany schodzą; 500, wielbłądów obładowanych zbożem co dzień tam przybywa, i tyleż znów z wyrobami europejskiemi odchodzi. Mając dopiero o zmroku w dalszą puścić się drogę, korzystał każdy z czasu jak mógł najlepiéj. Basza kazawszy swéj świcie przywdziać złotolitą odzież, puścił się w paradzie na ląd odwiedzić tamecznego baszę. Płynący z nami anglik, namiętny turysta, pośpieszył co prędzéj do pobliskiego Tarsus, mówił on płynnie po arabsku, dużo krajów wschodnich zwiedził, i dzieła o nich wydawał, a lubo w spotkaniach z Arabami nie zawsze szczęśliwy, bo dwa razy zrabowany, a raz ciężko ranny, przecięż sobie jeszcze zakładał dużo dziczy zwiedzić i ziem poodkrywać. Ja zaś z francuzem, (który wielką wstęgę legii honorowéj Sułtanowi przywiózł, a teraz do Teheranu z ratyfikacyą traktatu francuzko-perskiego dążył), poszliśmy na polowanie.

Po zachodzie słońca znaleźliśmy się wszyscy znów na pokładzie; Hamdi spał już od dawna; anglik zadowolony z wycieczki, zapisywał daty do swego dzienniczka, my zmordowani, dyplomata ledwie żywy, przynieśliśmy kilka krzyków, słomek, bażanta i pardwę. Dużo przed świtem mieliśmy stanąć w Aleksandrecie (Iskenderun). Noc była piękna, kapitan znużony tylu niewczasami, spuścił się tą razą na pilota, a pilot mąż krępy, rumiany, wiele ufał grokowi. Tak tedy płynąc wśród jasnéj miesięcznéj nocy, jakoś golfu Iskendrunskiego niedopatrzywszy, o wschodzie słońca ujrzeliśmy się pod Latakią; nuż więc wracać.

W południe dopiero stanęliśmy w Aleksandrecie. Do wieczora baszę ze wszystkiemi akcessoryami na ląd wysadzić, i węgli jeszcze nabrać, nie było podobna, mu-

sieliśmy więc w Iskenderun do nazajutrz wieczora pozostać, a więc cały dzień stracony. Aleksandretta o połowę jeszcze od Mersiny gorsza, zaledwie sto chałup liczyć może, ale handel równie ożywiony, karawany z okrętami w nieprzerwanéj kommunikacyi. Skoro się wieść o przybyciu baszy Alepu rozeszła, wnet się zaczęła zbierać zbrojna eskorta, tudzież konie, muły, wielbłądy pod jego świtę, harem, bagaże i t. d. Nazajutrz zrana ruszyła cała ta liczna i nadzwyczaj malownicza kolumna. Najprzód przednia straż, potem harem i bagaże, nakoniec sam Hamdi na czele swego sztabu i mnogiéj w długie flinty i cztery razy dłuższe jeszcze dzidy uzbrojonéj eskorty. Cała ta kawalkada z przeszło pięciuset ludzi złożona, piękny przedstawiała widok; prawie wszyscy na dobrych rażnych koniach, w różnobarwnéj odzieży, beduiny w długich swych maszlakach, w biało czarne pręgi, mnóstwo różnéj a zawsze bardzo błyszczącej broni, między niemi bielejące zasłony kobiet, długie szyje objuczonych wielbłądów, wszystko razem i oryginalne i imponujące. Patrzeliśmy za wijącą się długim wężem kawalkadą, dopóki nam w załomach gór i wąwozach ostatnie dzidy nie znikły. Anglik nie mając ziem do zwiedzania, zasiadł do czytania podróżnéj swéj biblioteki, my zaś z francuzem znów na polowanie, ale się nam tą razą mniéj świetnie udało.

Wieczorem opuściliśmy port a raczéj zatokę, bo może na całym wschodzie portu właściwego nie ma. Tak jak przed tamtéj nocy, niechcący znaleźliśmy się pod Latakią, tak znów tym razem ani jéj znaleść. Jak i kędy wędrowaliśmy, nie wiem, ale rezultat ostateczny żeśmy tam dużo później przybyli jak zapowiedzianém było. Gdy nie było publiczności wiadomem za czyjem się to stało staraniem, przypisywaliśmy więc znów winę niefortunnemu pilotowi. Nakoniec 21 stycznia dużo przed

świtem runął z hałasem łańcuch kotwiczny i stanęliśmy w miejscu.

— *Nous voilà enfin à Beyrouth*, rzekłem do przebudzonego dyplomaty strzelca.

— *Si ce n' est encore une fois Latakie*, odrzekł nieufnie.

Ale nie, tym razem byliśmy rzeczywiście w Bejrucie. Wyszedłszy na pokład ukazało się choć zmrokiem pokryte miasto, i sterczący wspaniale, pyszny, śnieżny Liban. Trzeba było dnia czekać aby z kwarantanny przyszła *libera pratica* (wolność lądowania), ale nie schodziliśmy z pomostu by nie stracić najpiękniejszego wschodu słońca z za białych szczytów Libanu. Już nas mnóstwo czółen otaczało, kiedy koło ósméj przypłynęła barka z czerwoną turecką chorągwią i *liberą praticą*. Szturmem zaczęto z obu stron wskakiwać na nasz okręt; jedni by wyglądanych znajomych co prędzéj powitać, drudzy by passażerów rozchwytać. Oddałem się jakiemuś grekowi którego mi polecił nasz anglik znający cały Wschód jak swą własną kieszeń. Powiedziałem więc grekowi, że mam nieco kontrabandy z sobą, pytając czy nie wie jakie cło od tego, bo jeśli małe, to zadeklaruję, jeśli większe więc będę mieć przy sobie.—

— Ani pan płacić nie potrzebujesz, ani z tego powodu żadnéj nie będziesz miał subjekcyi, rzekł pan Dymitri.

— A to jakim sposobem?

— Najprostszym, że nie pojedziemy na komorę, lecz wprost do mego hotelu.

Tak się też stało. Kiedy wszystkie czółna kierowały się do komory; my popłynęliśmy w inną stronę; widziałem więc, że ci tylko udają się na komorę co nic do oclenia nie mają, innym wolno ją ominąć. Późniéj dostrzegłem jednak budki nad morzem dla strażników ale

zwykle w nich nikogo nie ma, a jeśli kto jest, to lada czem go się zbywa, zupełnie, jak w Stambule.

Instalowany w hotelu *de belle vue* tuż nad morzem, poszedłem do miasta, dokąd miałem kawał drogi nad skałami, pod któremi spoczywają szczątki brygu angielskiego. Rozbił się on tam przed tygodniem téj właśnie nocy, kiedy burza tak nami miotała, a może i w tę samą chwilę, kiedy nam Hamdi najmocniéj doświadczenia z kotwicą zalecał. Nikt może z ekwipażu nie byłby ocalał, gdyby nie kapitan austryjackiego okrętu, który dostrzegłszy że sąsiad jego z zerwanemi kotwicami prosto na skały pędzi, czem prędzéj nie był rzucił swego czółna na wodę, i tonącym w stanowczéj chwili nie przybył na pomoc. Miasto Bejrut zupełnie arabskie różni się od Stambułu, Smyrny, słowem od miast tureckich budową swych domów po wielkiéj części bez dachów, większą szerokością ulic, lepszym brukiem, i mniejszym może brudem. Owych pięknych lasków cyprysowych tam nie ma, co tak zdobią tureckie cmentarze, a tem samem i okolicę, ale natomiast palmowe drzewa, sykomory, banany i piękne ogrody w koło miasta bardzo powabną krajobrazowi nadają postać.

Po dziesięciu dniach pobytu w Bejrucie popłynąłem do Jaffy. Płynąc ciągle po nad brzegami zatrzymaliśmy się w Kaiffa pod górą Karmelu, ale za krótko by wysiąść można, co nam wszystkim a szczególnie pielgrzymom których kilku jechało z nami, bardzo nie na rękę było. W nocy stanęliśmy opodal Jaffy, do któréj dla mnogich skał zbliżyć się nie można nawet kiedy zupełna cisza. Jaffa fizyonomią zewnętrzną bardzo odmienna od Bejrutu, ciasne smutne miasto pokrywa dość wysoką górę, która wśród płaszczyzny nad morzem się wznosi. Od morza wydaje się to wcale dobrze, od lądu także nie źle, byle w samem miasteczku nie być. Mnóstwo ogrodów owocowych je otacza, tam szczególnie

najwyborniejszych pomarańcz do zbytku; ich zbiór właśnie się zaczynał; za franka kupowano na targu sześćdziesiąt pomarańcz wyborowych, a dwieście zakupując je hurtem na drzewach. Obiegłszy te ogrody, zastałem powróciwszy już dragomana beduina z niebotyczną lancą i trzy konie w pogotowiu, co tam zawsze na skinienie mieć można, i puściłem się jeszcze tego samego dnia do Jerozolimy.

Droga z Jaffy do Ramleh równa i przyjemna; długi czas prowadzi między ogrodami a raczéj cytrynowemi i pomarańczowemi sadami, poczem przejeżdża się zieleniące się łany dość duże, po których porozrzucane oliwne drzewa. Cugi wielbłądów ciągle się tam wymija, z podróżnemi i pielgrzymami częste spotkania, choć późniéj ku Wielkiéj nocy nierównie ruch na téj drodze większy. Przyjechawszy do Ramleh, miasteczka wesoło położonego na małém wzgórzu, stanęliśmy obozem pod klasztorem, gdzie zadzwoniwszy otworzono mi furtkę i wszedłem do zakonników samych Hiszpanów. Zwykłą stacyą podróżnych jest ów klasztor, nocuje się tam jeśli jednym dniem w Jerozolimie stanąć sobie kto nie życzy. Z gwardyanem o sławnéj Saragossie wszcząłem zaraz dyskurs skoro mi powiedział że jest rodem z Aragonii. Po wieczerzy i wygodnym noclegu o 3ciéj z rana w dalszą puściłem się drogę.

Szła ona jeszcze równiną czas niejaki, ale z pierwszem świtaniem wjechaliśmy w góry coraz ogromniejsze; z początku choć pokryte krzakami, w dolinach nawet drzewa tu i owdzie się wznoszą, lecz późniéj nic prócz nagich skał, po których się drapać trzeba, najokropniejszą jak tylko być może ścieszką. To na wysokie skaliste schody wspinać się przychodzi: to jechać po płytach jak stół gładkich, to znów dla odmiany natrafia się na bryły kamienia które się pod kopytami usuwając w co raz wyższych odskokach ku przepaści

lecą; a ciągle stromo pod górę i z góry. Po takiéj pracowitéj przejażdżce, o samém południu ujrzeliśmy wśród najsmutniejszéj krzemienistéj okolicy, wysokie popielate mury i czworograniaste baszty opasujące Jerozolimę. Oliwne drzewa z rzadka otaczające miasto są jedyną *niby* zielonością która się oku przedstawia. Było to w niedzielę w dzień bardzo pogodny, ciepły, więc przed bramą *Jaffejską* mnóstwo przechadzających się pieszo i konno. Między temi najprzyjemniéj mi było spotykać naszych żydków w tym samym ubiorze który w niczem nie zmienili. Przywitałem się też zaraz z dwoma, którzy uradowani odprowadzili mnie aż do miasta; ale po polsku już im trudno mówić przychodziło. Mój dragoman lingwista, utrzymujący że czte-ry języki europejskie i tyleż oryentalnych posiada, pytał mnie zdziwiony, jakim to ja językiem z żydami mówiłem.

W Jerozolimie staje się zwykle w klasztorze a raczéj w tak zwanéj *casa nova* jedynie dla podróżnych i pielgrzymów różnych stanów, zbudowanéj; tam się dobrze mieszka i nie źle z klasztoru stołuje; ja zaś stanąłem w hotelu angielskim, z którego także dość byłem zadowolony. Pierwsze jak należało kroki obróciłem do kościoła Grobu Świętego. Jest to gmach dziwnéj nie do opisania budowy zewnętrznéj, przypierający z wszech stron do rozmaitych większych i mniejszych budynków; wewnątrz dość duży, bardzo oryginalny i byłby nawet okazałym, gdyby choć cokolwiek lepiéj utrzymany; ale jest brudny a w czasie słoty pełen wody; bo kopuła o którą tyle było zwady, hałasu, not dyplomatycznych, stoi zawsze jak stała, nie chroni od deszczu i upadkiem grozi. Klasztory katolicki, syzmatycki i ormiański są opodal w mieście. Ze złem utrzymaniem kościoła, znalazłem zachowanie się w nim, w jak najściślejszéj harmonii; nigdzie mi się publiczność mniéj pobożną nie

wydała. Turyści rozpatrują się po nim i rozmawiają gdyby w jakiém muzeum, zwykle dla większej jeszcze wygody z fezem na głowie. W pierwszéj nawet części kościoła Turcy mają wygodne dywany, kawę piją, palą nargile, widuje się to wprawdzie po meczetach, w kościele jednak razi. Prócz tego mnóstwo żebraków snuje się po kościele naprzykrzając się ciągle o jałmużnę, którą przed kościołem każdy chętnie daje.

Obszedłszy miasto w koło, od góry Sijonu idąc po nad doliną Jozefata, potem górą Oliwną aż znów do bramy Jaffejskiéj i zwiedziwszy miejsca święte, postanowiłem udać się do Jordanu i morza Martwego. Téj wycieczce podług upodobania dwojaki można nadać charakter: wojenny i pokojowy, ostatni zwykle podróżnym więcéj dogadza, gdyż mało kto zbliżenie się do Jordanu ostrzem miecza lub utratą bagażów zdobywać pragnie. Weszła przeto w zwyczaj transakcya między podróżnikami z jednéj, a Szeikiem Beduinów z drugiéj strony. Ów Szeik posiada niejakie zwierzchnictwo nad plemionami niepokojącemi podróżnych, z nim więc trzeba wchodzić w układy. Za takie *li odporne* przymierze płaci się sto czterdzieści piastrów, czyli 30 franków; cena stała dość umiarkowana. Za to Szeik daje od siebie eskortę, na widok któréj pierzchają zastępy nieprzyjacielskie, zwykle od dwudziestu do czterdziestu Beduinów liczące. Konsul austryacki od którego wiele grzeczności doświadczyłem, posłał więc aby się ułożyć z Szeikiem, i do jego trzech arabów dodał jeszcze swego kawasa. Tak tedy w sześciu, bo miałem i murzyna z żywnością, puściliśmy się drogą a raczéj ścieszką ku Jerycho.

Jechaliśmy ciągle nagiemi górami, zupełnie jak po tamtéj stronie Jerozolimy; ani krzaku ani trawki nawet nie widząc; białe góry wśród dnia jasnego raziły nam oczy, a ścieszki coraz się bardziéj zwężały. Dopiero zje-

chawszy w dolinę Jordanu ujrzeliśmy drzewka i niby łąki; a pośród téj, doliny Jerycho, dziś wioskę arabską z kilku szałasów złożoną. Widzi się tam kawałek wodociągu i jakąś zapadłą basztę, ale i te ruiny nie zdają się datować od owego Jerycha, które na odgłos trąb runęło. Pod jednym z tych szałasów przenocowawszy, puściliśmy się na zajutrz przed świtem ku Jordanowi. Zbliżając się do rzeki, zaczęła moja eskorta rozmawiać z wołającemi na nas Beduinami pasącemi bydło, poczem nuże broń dobywać, oglądać, panewki podsypywać itd. Widząc to zaytałem o powód owych przygotowań marsowych.

— Ostrzegają nas, odpowiedzieli, że za Jordanem czatują na nas *źli ludzie*, i wskazali mi górę na któréj w istocie kilkunastu zbrojnych Beduinów dostrzegłem, ale czy *złych* tego niewiem.

— Cóż nam oni zrobią, rzekłem, kiedy Szeik mój dobry prrzyjaciel i potężny protektor.

— Ależ bo ci co za rzeką od naszego Szeika nie zależą, a nic im łatwiejszego jak wodę w bród przebyć. Po téj odpowiedzi zajrzałem i ja czy się mój rewolwer łatwo obraca, i czy pistony na wszystkich kominkach. Tak więc do małego flankierowania przygotowani, wjechaliśmy w wysokie zarośla w pośród których Jordan płynie. Ale tam tylko pasące się muły, bawoły, i wielbłądy zastawszy, stanęliśmy nakoniec przed samą wodą. Rzeczka ta bystra, błotnista, drzewami mocno ocieniona, płynie cicho w zupełnie odludném ustroniu. Beduini którzy wciąż mieli nas na oku, zeszli do pół góry, i usiłowali z naszemi rozmawiać, ale dla odległości nie można ich było zrozumieć. Po kwadransie wytchnienia wsiedliśmy znów na koń, ciągnąc w kierunku morza Martwego. Półtory godziny blisko jedzie się piaskami, stanąwszy u brzegu zabraliśmy się do mocno już upragnionego śniadania.

Morze Martwe jest jeziorem wązkiem ale dość długiem; wyjąwszy doliny Jordanu otoczone ogromnemi górami, które stromo nad niem sterczą; nic się tam nie widzi prócz wody i wysokich gołych skał, nawet ptaszka nigdzie nie zoczy. Woda przezroczysta jak morska, ale jéj smak słono siarczysty, nie do opisania przykry.

Posiliwszy się, ruszyliśmy w góry; słońce dobrze dogrzewało, co przy zupełnym braku wiatru dużo nam utrudniało drapanie się po kamienistych uboczach. Były tam miejsca które swą niedostępnością przechodziły jeszcze sławną drogę z Ramli do Jerozolimy; nie wiem istotnie jak się tam spotkawszy wymijają, ale szczęściem nie przyszło do téj próby, bo ani żywéj duszy nie widziałem w téj prawdziwie grobowéj okolicy. Koło 3éj po południu wyjechaliśmy nagle na jakiś kawałek gościńca z porządnym murem od strony przepaści, w krótce potém ukazała się nam jakaś niby cytadella; był to klasztor syzmatycki ś. Saby. Zadzwoniono do bramy, poczém jakiś głos z baszty do moich Arabów się odezwał, a po krótkiéj z niemi rozmowie, spuścił się koszyk, w który moje *listy wierzytelne* wrzuciłem. Po chwili dość długiéj otworzyła się jedna, potém druga brama, obie grubą żelazną blachą okute; pierwszą wprowadzono nasze konie, drugą wszedłem ja wraz z kawasem, a za nami zaraz, ciężkie bramy napowrót się zawarły.

W klasztorze ś. Saby stawają zwykle podróżni; tam nocują, odpoczywają i jadą daléj. Klasztor ów stoi zbudowany na stroméj uboczy olbrzymiego parowu, który z ogromu i wspaniałych warstw skalistych bardzo do rzymskich amfiteatrów podobny. Składa się on z kilku małych pomieszkań, te w koło kościoła, jak gniazda jaskułcze do skał poüczepiane, wszędzie schodami i mostkami połączone, a wszystko razem opasuje wysoki mur

i strzegą dwie baszty. Nic oryginalniejszego nie widziałem. Przyniesiono nam w krótce wieczerzę, i o koniach pamiętano; nazajutrz zaś otworzono mi kościół i kaplicę którą ś. Saba w skale wykuł i gdzie niezliczoną ilość trupich głów złożył, które po jaskiniach pustelniczych miał pozbierać. Widzi się je za kratą w przypierającéj grocie. Takich jaskiń w skałach obok i naprzeciw klasztoru mnóstwo, ale teraz wszystkie puste, gdyż Beduini pustelników rabowali, nawet im Biblii nie zostawiając. Przed rokiem 1840, za rządów Ibraima można było temi krajami wędrować tak bezpiecznie jak u nas; dziś bez broni i osobliwych układów z rabusiami nikt się tam ani pokazać może. Do zakonników nie kazałem się prowadzić, gdyż ci tylko po grecku, po arabsku a niektórzy i po serbsku mówią; poleciłem tylko Igumena pozdrowić i podziękować mu za gościnne przyjęcie, a zostawiwszy sługom klasztornym dobry bakszysz opuściłem klasztor, do którego właśnie dwóch Amerykanów wjeżdżało.

Po trzech godzinach z razu przykréj, a potém coraz lepszéj drogi, przyjechaliśmy do Betleem. Klasztor i miasteczko na wysokiéj górze, zkąd jednak nie ma widoku, bo tylko białe góry otaczają zewsząd. Obszedłszy miejsca święte, kościoły i klasztor katolicki, odwiedziwszy gwardyana, ruszyłem do Jerozolimy, dokąd się tylko dobrą godzinę jedzie.

Jerozolima i dla Turków jest miejscem świętém, ztamtąd bowiem Mahomet miał pójść do nieba; w meczecie Omara jest kamień, na którym ostatni odcisk jego stopy pokazują. Meczet ten stoi na murach dawnéj świątyni Salomona i jest dla *dżiaurów* niedostępnym; wszelako w nowszych czasach przełamywano te trudności dla znakomitszych podróżnych, a dziś nawet i mniéj dostojni goście tam bywają. Trzeba jednak zawsze jakiéjś protekcyi; tę miałem wprawdzie w konsulu, ale nie było

się do kogo udać, bo wówczas basza odjechał był do Napluzy, dla uśmierzenia jak mówili jakichś *wywołanych* buntów. Nie byłem więc w meczecie Omara, tylko w katakombach, które się pod nim i pod całym placem rozciągają. Tam miały być stajnie Salomona, żłoby kamienne widzi się tu i owdzie. Mówił mi późniéj Sulejman basza w Kairze, że tam za rządów Ibraima dwa pułki jazdy pomieścił.

Po dwóch dniach powtórnego mego pobytu opuściłem Jerozolimę i znanemi już ścieszkami zjechałem z gór w zieleniącą się dolinę ku Ramle, ta mi się teraz czarującą wydała przychodzącemu z kraju, gdzie tylko kamienie; nie ma prawie ani ziemi ani wody, a przeto i żadnéj zieloności. W Ramle zanocowałem u moich Hiszpanów, którym na gościach nigdy nie zbywa; żyją oni tylko z europejskich jałmużn a przecięż podejmują mnóstwo pielgrzymów goszczących u nich po dni kilka, i którym jeszcze nieraz na drogę udzielają wsparcia. Wnoszę, że nawzajem wszyscy majętniejsi podróżnicy, fundusze klasztoru zasilać muszą. We wtorki zatrzymuje się zawsze w Jaffie okręt płynący ze Stambułu do Egiptu, przybyłem więc we wtorek rano, choć z małą nadzieją odpłynienia w dniu tym, bo wiatr już od kilku dni panował zachodni, czasem nawet dość mocny. Przewidując więc że zanocować wypadnie, udałem się wprost do klasztoru gdzie rozpaczających ośmiu podróżnych zastałem; ci już od tamtego wtorku zamieszkali u OO. Franciszkanów Obserwantów, morze do syta obserwowali, *patrząc na wschód swym zwyczajem.* W téj niepewności co tu daléj począć, czy jaką szalupę nająć, czy się lądem puszczać, czy też jeszcze trochę zaczekać, mijał już dzień piąty, kiedy jakiś parowiec stanął przed naszemi oknami. Radość więc wielka, ale radość krótka, bo statek przybywał z Aleksandryi i płynął do Bejrutu; przyznał się nam kapitan, że przed kilku dniami *il avait*

brûlé Jaffa, to jest niezatrzymywał się przed Jaffą dla burzy. W tych dwóch przygodach niewiedzieć komu więcéj zazdrościć, czy tym co na brzegu siedząc daremnie okrętu wyglądają, czy tym co porwani wiatrem, w dalsze gdzieś strony mimowolnie wędrują, zwłaszcza jeśli ich fundusze nie stoją na wysokości rozhukanych żywiołów. Takie przygody morskie, zwłaszcza w zimie nie są wcale rzadkie. Po przykrém złudzeniu, gdyśmy na nowo naradzać się zaczęli, ktoś z pomiędzy nas zawołał:

— Oto go widzę, co ten, to niechybnie z Bejrutu przybywa!

Wszyscy do perspektyw; w istocie był to statek gdyby po nas przysłany; radość więc największa, w jednéj chwili byliśmy już gotowi, i statek jeszcze nie zarzucił kotwicy, kiedy my wszyscy już w łodziach się usadowiwszy niecierpliwie go czekali.

Te trzydzieści kilka godzin podróży miło zeszły; pogoda nam sprzyjała, towarzystwo dobre i bardzo znajome, bo w Jaffie mieliśmy czas poznać się najlepiéj. Dnia 18go lutego z rana ukazały się nizkie piaszczyste brzegi Afryki, a koło 10téj zawinęliśmy do portu.

Aleksandrya, dość duże miasto, ma nierównie więcéj europejskiéj niż wschodniéj cechy; ulice długie, szerokie i proste jak strzelił, w czém Odessę przypominają; położenie zaś smutne, widoków żadnych, cała okolica piaszczysto moczarowata. W równinie takiéj nawet jezioro Mareotis ozdobą być nie może, bo go prawie nie widać. Po ulicach krążą europejskie pojazdy, których już dawno nie widziałem, w tém reminiscencya, i mnóstwo się snuje kawaleryi na osłach, w tém znów dla nas nowość.

Po dwóch dniach odjechałem pociągiem kolei żelaznéj do Kairu. W pół drogi przeprawia się przez Nil statkami parowemi; na téj przeprawie dużo czasu schodzi,

bo zawsze się na coś czeka, zawsze się coś psuje, słowem nieprzewidzianych wypadków tam codzień mnóstwo. Na prawym już brzegu, zastaliśmy w porządnym lokalu dobrą restauracyę, gdzie jeszcze jednę godzinę strawiliśmy, zanim nasze bagaże przeprawiono i znów upakowano. Prawym brzegiem Nilu, jedzie się jeszcze ze trzy godziny do Kairu. Cała ta przestrzeń od Aleksandryi jest nieprzejrzaną równiną, miasteczka i wioski fellahów dość rzadkie; po wsiach widać wiele drzew palmowych, innych nie ma na całéj téj drodze; okolica więc monotonna, i gdyby nie nadzwyczajna żyzność pól i łąk, byłaby smutną, ale takich zbóż i takich koniczów nie ma nigdzie. Dobrze się już ściemniło, kiedyśmy do Kairu przybyli. Wychodząc z dworca kolei zastaliśmy czekające na nas omnibusy, pojazdy, co już dobrą opinię o szerokości ulic nam dało. O świetle księżyca do miasta wjeżdżając zdawało mi się że jestem w jakim parku; tyle drzew, ulic, szpalerów w téj stronie miasta.

Nazajutrz zacząłem z dragomanem objeżdżać miasto i okolicę we wszystkich kierunkach, zawsze na osłach stósownie do krajowego zwyczaju. Z pomiędzy znanych mi miast na Wschodzie, Kair zdawał mi się być najoryginalniejszém i z wielu miar najprzyjemniejszém. O piramidach, Sfinksie, barażu Nilu, ogrodach w Szubra, skamieniałéj górze, Heliopolis itd. wspominać nie będę, Kair i Egipt tyle już i tak dobrze opisywane, komuż znanemi nie są?

Odbywszy wszystkie te wycieczki chciałem jeszcze poznać niektóre matadory egipskie. Odwiedziłem więc ze znajomym oficerem najprzód Sulejmana baszę w starym Kairze. Człowiek już 77 letni, ale bardzo jeszcze czerstwy, rozmowny, francuz arabizowany w całém znaczeniu. Byliśmy potem u gubernatora miasta Etema baszy, i u syna jego, który jest ministrem oświecenia. Gubernator

człowiek jeszcze nie stary, poważny, grzeczny, rozmawiał z nami dość zrozumiale po francuzku; ale syn jego tak młody, a wszelako już od trzech lat minister, bardzo mi się pociesznym wydał. Mąż ten nowéj szkoły, w Paryżu wychowany, na jowialnego *petit maitre* dość mocno zakrawał. Niebył on bez dowcipu i pewnéj oryginalności, byłby mi się jako typ w swoim rodzaju może i podobał, gdybym tylko o jego posadzie niewiedział; ale ta wszystko psuła, bo mimowolnie zawsze coś mi powtarzało: oto minister oświecenia i wyznań religijnych!..... Życzyłem sobie także poznać Meneklego baszę. Po śmierci Selima, który zginął przy odpieraniu szturmu na szańce Eupatoryi, dzielny ten żołnierz dowodził jedną z dywizyj egipskich; dziś w niełasce, usunięty od służby przez Wice-króla. Rozmowa z nim szła dość trudno bo za pomocą tłumacza, zresztą zdawał się z wypadkami obecnemi dobrze być obeznanym, i zdrowo bez uprzedzenia o nich sądził. Obok tych cywilizowanych grandów, znajduje się nierównie większą liczbę dużo mniéj wykształconych; i tak np. jadąc kiedyś bazarem widziałem dwóch dostojnych baszów w sklepie jakiegoś szewca, swobodnie z nim rozmawiających. W półtory godziny wracając zastałem baszów ciągle jeszcze w najlepsze z szewcem bawiących się. Nie dziwiło mnie to wcale: ten sam stopień oświaty i jednakowe wychowanie dostatecznie to tłumaczą. Nie potrzeba demokracyi w tem szukać, pewno na Wschodzie jéj nie znajdzie. W istocie niepojmuje się często jak w drugiéj już połowie dziewiętnastego stulecia, mogą być jeszcze kraje w Europie, lub tak jak w Europie, gdzieby ciemnota, niemoralność, barbarzyństwo, do tego jeszcze stopnia, że tak powiem, kwitły. W Egipcie widzi się wprawdzie nierównie więcéj cywilizacyi jak w Turcyi, ale tylko w tem znaczeniu, że bogactwa krajowe nie leżą tam tak odłogiem; lecz co do cnót wymienionych,

jedno i to samo gdzie tylko półksiężyc dobroczynnie przyświeca.

Wojsko egipskie ile go widziałem, korzystne na mnie zrobiło wrażenie. Prócz tych niegodziwych fezów, praktycznie ubrane, lud piękny, konie dobre; przy tem arab w ogólności zręczny i śmiały.

Przybywając do Egiptu w zimie, niemożna się nacieszyć miłym klimatem, piękną zielonością pól, cieniem drzew; ale to tylko w zimie, wiedząc że się zostawiło za sobą mrozy i śnieżne zawieje; za to najmilszych naszych pór roku wiosny i jesieni, niemasz tam zupełnie; bywa tylko łagodne lato, i skwarne lato. Drzew tracących liście mało, ciągła więc jednostajność, świeżości żadnéj. Całą zmianę stanowi Hamsin, który już w marcu od piramid pociągać zaczyna, i coraz goretszym się staje. Od solstyciów letnich zwraca się wiatr od północy i powoli powietrze ochładza. W październiku zaczyna Nil wzbierać, a po opadnieniu wód jest jakaś chwila, którą by nazwać można wiosną. Ożywiających naszych deszczów w Egipcie niema, posucha prawie ciągła, zieloność drzew martwa, całą naturę nazwałbym obumarłą, gdyby nie zboża i łąki; ale te, jako hreczkosieja prawdziwie mnie zachwycały. Pszenice wszędzie takie jak u nas kawałkami czasem po dołach bywają, które ze dwa razy kosimy, a potem puste kłosy zbieramy. Wszelako takiego żyznego kraju tylko dwa szlaki po nad Nilem, gdzie piasków niema, i dokąd wylewy i wszędzie porobione irrygacye sięgają.

Nie bawiłem ani trzech tygodni w Kairze, i chętnie bym się tam dłużéj był zatrzymał, ale nam oznajmiono, że Anglicy już z Suez sygnalizowani za kilkanaście godzin do Kairu przybędą, trzeba się więc było mieć ku wyjazdowi, gdyż statek z Aleksandryi wprost do Tryestu dwa razy tylko na miesiąc płynący, zostaje w związ-

ku z pocztą indyjską. Niechcąc się zatem jeszcze parę tygodni zatrzymać, wyjechałem z Kairu wraz z Anglikami. Aleksandrya w tych epokach nadzwyczaj jest ożywiona mnóstwem podróżnych; jedni z Bombaju i Kalkuty, drudzy z Malty, Marsylii, Tryestu spotykają i krzyżują się z sobą. Ruch więc wielki, omnibusy, pojazdy krążą na wszystkie strony; osły kłusują na wyścigi; wszystko goni do kolumny, i Igły Kleopatry, na bursę lub też na kaczki ku jeziorowi Mareotis. Żniwo dla oberżystów najobfitsze; wszystkie hotele i lepsze i podrzędne przepełnione, na teatr biletu ani dostać. Taki zgiełk trwa parę dni, poczem wagony jednych, okręty drugich zabierają, i znów na dwa tygodnie cisza w Aleksandryi zupełna.

Dnia 9go marca czytaliśmy przybite w sali naszego hotelu uwiadomienie, że parowiec *Australia* o sile czterystu koni odchodzi jutro o 11téj p. p. do Tryestu. Przed oznaczoną więc chwilą znajdowałem się już na pokładzie.

Dla podróżnego który tylko zwiedzanie ma na celu, chwile przyjazdu i wyjazdu są zwykle najpożądańsze, szczególnie te ostatnie kiedy się powraca z kilkomiesięcznéj włóczęgi, po krajach wprawdzie bardzo zajmujących, ale też i w niewygody rozmaitego rodzaju bogatych. Co Kochanowski do zdrowia, Mickiewicz do Litwy powiedział, to pewno podróżujący nie raz do swego domu zastosuje. Kilku nas powracało w domowe progi, przyjemnie więc było wszystkim, gdy znany śpiew majtków przy wyciąganiu kotwicy dał się słyszeć; gdy ostatnie uderzenie dzwonka odprowadzających do czółen wyprosiło, i schodki zaciągnięto; gdy sternik stanął przy swem kole, a kapitan z tubą w ręku przechadzał się po wysokim swym mostku. W chwilę potem zaszumiały koła, naprzód pojedynczo i w krótkich przerwach, potem razem i silnie długie dwie smugi piany zostawiając

za sobą. Okręty, nadbrzeżne bateryе, nakoniec wieża z latarnią morską, przesuwały się nam wolno, potem co raz prędzéj, i wkrótce byliśmy zupełnie sami na wysokiem morzu. Przechadzając się po pokładzie poglądaliśmy jeszcze czas niejaki ku nizkim żółtawym afrykańskim brzegom, potem straciwszy z oczu i tę coraz węższą linijkę, każdy zszedł do swéj kabiny, by się na dłuższą podróż, jak można najlepiéj urządzić.

Artur Gołuchowski.

O NAJZNAKOMITSZYCH
TEGOCZESNYCH MOWCACH
RELIGIJNYCH.

Czy dla objaśnienia czytelnika w przedmiocie niniejszéj rozprawy potrzeba było wyrazić o jakich to mowcach religijnych mówić zamierzamy? Czy chociażbyśmy też niniejszy artykuł umieścili nie już w czasopiśmie katolickich zasad, ale nawet w jednym z owych bezbarwnych dzienników, których redaktorowie sami ostatecznie niewiedzą czego chcą, albo wiedzieć niechcą, coby i wiedzieć i chcieć należało,— czy nawet w takiém czasopiśmie wypadałoby dodać do powyższego tytułu wyraz: *katolickich?* Tak utrzymujących prosilibyśmy bardzo, aby nam raczyli wymienić *mowców religijnych niekatolickich.* Czy wie kto o mowcach religijnych machometańskich? Jeżeliby ktoś przytoczył Judaizm, to przynajmniéj nie pochrystusowy nie *tegoczesny,* a jeżeli przed Chrystusowy, to będzie toż samo co katolicki, bo wymowa katolicka, to żyjąca wymowa biblijna. Z drugiéj

strony spytalibyśmy, czy słyszał kto o mowcach religijnych schyzmatyckich? Grecya, ta kolebka wymowy świeckiéj, ojczyzna Demostenesa, Eschinesa, Izokratesa — Grecya, która pod wpływem katolicyzmu wydawała takich mowców jak ś. Jan Złotousty, ś. Bazyli, ś. Grzegórz Naziazeński i ś. Grzegórz Nysseński, któréj religijna wymowa przez usta ś. Ireneusza dotarła do najdalszych kończyn zachodu — ta Grecya od ośmiu wieków, to jest od chwili swéj olbrzymiéj apostazyi czy wydała choćby jednego religijnego mowcę? Czy niezamilkła jak milczą posągi albo cmentarze? Czy powię kto, że zamilkła pod pięścią tyranii? Ależ katolicyzm najpotężniej w katakombach mówił — a potem, jeżeli Grecya zamilkła struchlawszy na tyle wieków pod zabijającém wejrzeniem Islamu, dla czegóż dzisiaj tak grobowo milczy w świątyniach Aten? Tych Aten, w których niegdyś samo powietrze i kamienie zdawały się mówić — tych Aten tak dzisiaj krzykliwych — Aten konstytucyjnych? Czemu się nieodezwie w okrzyczane imie wolności wszech wyznań?

A protestantyzm czy lepszy, czy szczęśliwy? Kto kiedy czytał o znakomitych religijnych mowcach protestantyzmu? A jeżeli niema znakomitych, któżby mógł do nich odnosić wyrażenie „Najznakomitszych?" Anglia, po kilku wiekach głuchego milczenia lub czczego gadulstwa w swoich świątyniach zaczyna się odzywać z dziwną świeżością i siłą, ale to przez mężów jak Newman lub Faber, przez mężów, których oddała katolicyzmowi. Protestantyzm zaś tylko pisze i drukuje; pismo i druk to jego najczynniejsze apostoły, rozwoziciele biblij to jedyni jego missyonarze. Wszakże to apostolstwo wiemy jak jest zimne, nieme i martwe, bo tylko *słowo* żyje, mówi, wstrząsa, ożywia, porywa; bo tylko Słowo jest bezpośrednim darem Boga, wyrażeniem całego człowieka, kiedy tymczasem druk jest wynalazkiem człowieka

i wyrażeniem najzimniejszéj z potęg ducha. To też do jakichże to czynów tém kaznodziejstwem pisma i druku protestantyzm swoich wyznawców zapala? Katolicki nasz poeta cudnie odpowiada: „Smutno—pusto—nigdzie Boga— ani w sercach, ani w pieśni! Drobne czyny—nudne dzieje;—rozum gasi skra zapału, człowiek studzi się pomału, jako kruszce:— świat kupczeje! Dawne gniazda na skał zrębie, ale pierzchły już jastrzębie: więc o liche miasta, sklepy, czubią się ze ślepym ślepy!" Bogdan Zaleski— (Przygrywka do nowéj poezyi).

Protestantyzm zatem tak dobrze, jak Talmudyzm, Machometyzm i Schyzma milczy a rozpisawszy się straszenie w tém trzechwiekowém milczeniu, zdobył się wreszcie na wymowę śmierci i sam się zabił swém słowem. Protestantyzm już dla tego samego niemógł ani stworzyć wymowy religijnéj, ani utrzymać wziętéj z katolicyzmu, że jest protestantyzmem. Najwyższym przedmiotem wymowy religijnéj jest dogmat, dusza religii, oraz moralność z dogmatu wysnuta i od niego nieoddzielna jako religii objaw. Tymczasem protestantyzm z natury swéj jest negacyą wszelkiego dogmatu, a moralność protestancka od dogmatu oderwana i od opinii powszechnéj lub od usposobienia osobistego zależna, moralność ludzka, filozoficzna, wyrozumowana, może być przedmiotem rozpraw, odczytów, wykładów akademickich, nudnéj, abstracyjnéj etyki, ale nie przedmiotem wymowy religijnéj, bosko-ludzkiéj, wymowy uczącéj, przekonywającéj i nakazującéj, czyli jednem słowem, kaznodziejstwa. Prawdziwym kaznodzieją protestanckim jest rozum rozwiedziony z wiarą— każdy zaś pastor mówiący w kościele jest tylko tłumaczem tego rozumu — i to rozumu swojego własnego, lub co największa swéj szkoły nie zaś rozumu powszechnego; on mówi jako człowiek do ludzi i w każdym innym przedmiocie mógłby być wymownym tylko nie w przedmiocie religii, tylko nie w za-

kresie stosunków człowieka do Boga i Boga do człowieka gdzie rozum tak wygląda, jakby wyglądała wyobraźnia w zakresie nauk ściśle rozumowych.

Przeciwnie, w kościele katolickim mowca występuje, jako tłumacz nauki wyższéj nad wszelki stworzony rozum, nauki, która zstąpiła z nieba, ażeby ludzkość podniosła do nieba, nauki niewyrozumowanéj, ale objawionéj, nauki rozwięzującéj kwestye dotyczące razem w najwyższy i najpraktyczniejszy sposób stosunków stworzenia do Stwórcy, świata do nieba, czasu do wieczności, ziemskiego stanu człowieka do jego przeznaczeń, czyli jednem słowem nauki rozwięzującéj niedocieczoną i zawsze ciemną dla samego rozumu zagadkę naszego bytu i życia. Dla tego mowca religijny katolicki mówiąc w imieniu samego Boga, mniéj rozprawia, więcéj nakazuje, mocą wyższą zdobywa więcéj niż przekonanie bo wiarę, a chwytając swoich słuchaczów za wiarę, razem naucza i do praktycznéj reformy życia zniewala. Ztąd wymowa katolicka zwie się kaznodziejstwem a mowca kaznodzieją; on nierozumuje, lecz każe, a każąc, czyli nakazując, zniewalając w imieniu Boga-Człowieka działa na ludzi razem siłą boską i sposobami ludzkiemi. Wszakże formy retoryczne, to najsłabsze sprężyny wymowy kościelnéj, w któréj obok boskiéj treści najpotężniéj działa miłość, zapał wiary, poświęcenie i ta cudowna moc udzielania się innym, któréj żadna sztuka naśladować niezdoła, a z którą nauka katolicka cała drgająca życiem płynie jakby pełnem, wielkich rzek korytem w serce ludzkości, podczas, gdy bez niéj przenajpyszniejsze na oko filozoficzno religijne systemata są jak potoki gór wezbrane i huczące skutkiem chwilowéj burzy a wnet po burzy wyschłe i martwe.

Podobnie jak modlitwa— wymowa religijna jest boskiem użyciem danego człowiekowi słowa. Przez modlitwę człowiek mówi do Boga, przez kaznodziejstwo czło-

wiek jest narzędziem Boga mówiącego do ludzi. Przecież Bóg pierwszy mówi do człowieka — a słowo jego wpadłszy w głąb duszy przez słuch wydobywa świętą iskrę modlitwy, przez którą człowiek odpowiada Bogu. Im lępiéj człowiek słucha mówiącego doń Boga, tém doskonalszą, czystszą odpowiada mu modlitwą. W społeczności Żydowskiéj kaznodziejstwo wzniosło się do najwyższego stopnia potęgi — dla tego ofiary u Żydów mimo całéj posępności, mimo że były tylko figuralne, tak przecie majestatyczne — dla tego modlitwa zda się być podsłuchanym hymnem Serafinów. W społecznościach pogańskich, im się one bardziéj oddalały od źródła pierwotnych tradycyj, im zupełniejsze milczenie siadło na ustach skamieniałych bóstw — tém potworniejsze formy przybierały ofiary, tem się nędzniejszą stawała modlitwa. U Greków i Rzymian, gdzie Pnyx, Agora, Liceum, Portyk, Akademia i Forum trzęsły się wymową świecką, naukową, polityczną lub sądową, ale gdzie świątynie milczały głucho niby wielkie groby bóstw, ofiary były albo teatralném jakiemś przedstawieniem, albo zbrodniami na wielkie rozmiary a modlitwa raczéj bluźnierstwem niż rozmową z niebem.

Wszakże, ażeby kaznodziejstwo, ta boska wymowa wprowadzała człowieka w należny z niebem stosunek, ażeby z głębi jego duszy wydobywała odpowiedź ofiary i modlitwy, tego objawu życia wewnętrznego, na to potrzeba koniecznie, iżby człowiek poddał swą duszę pod działanie boskiego słowa. Jeżeli społeczność niesłucha, wówczas choćby też najpotężniéj brzmiało wśród niéj słowo religijne, nietylko, że się niewzniesie, ale owszem coraz smutniéj w ciemnie duchowego barbarzyństwa zsuwać się będzie— a zaniechawszy prawdziwego związku z Bogiem, prędzéj czy późniéj porozwięzuje wszystkie swe węzły i sama się w końcu rozwiąże. Cóż wymowniejszego jak kaznodziejstwo Proroków? A jednak

przez usta tych samych Proroków Pan Zastępów mówi, iż się brzydzi dusza jego ofiarami krwi i dymów a modlącym się nakazuje milczenie, aby ich niewysłuchało Jego miłosierdzie. Kiedy na puszczy grzmiał Przesłaniec Pański a lud Żydowski cisnąc się tłumnie około jego tajemniczéj postaci słuchał ku podziwieniu, ale niesłuchał ku poddaniu dusz swych Panu, wówczas dopełniało się tylko straszliwe rozwiązanie tego narodu już wprzód wewnętrznie rozwiązanego na mnóstwo stronnictw, wedle mnóstwa sprzecznie myślących i rozumujących głów. I wymowne wołanie przebrzmiało na głuchéj puszczy, ale słowo nieprzebrzmiało — bo słowo przyszło dla prawdziwéj społeczności mającéj objąć wszystkie ludy i wszystkie pokolenia, to jest dla Kościoła katolickiego, w którym jest— żyje — mówi i ożywia!

To słowo jest treścią wymowy religijnéj — to słowo, wyrzeczone przez usta Przedwiecznego Słowa, naraz dało się słyszeć w Jeruzalem, w Antyochii, w Koryncie, w Efezie, w Aleksandryi i w Rzymie, — a niczem niepowstrzymane w swém biegu, przeszło z jednéj strony Eufrat, z drugiéj Dunaj i pochwyciło twarde, dzikie serca barbarzyńców Galii, Germanii i Scytów. Areopag Grecki zdziwiony potęgą tego słowa spływającego jakby ogniem z ust Apostoła, i jak cudowne nasienie tworzącego nowych ludzi zapytuje: *Czegóż chce od nas ten słowosiejca?* A tem zapytaniem wyznaje jego wyższość nad słowa swych uczonych filozofów i retorów, którzy podniosłszy sztukę mówienia do wysokiego stopnia umieli korzystać z ludzkich namiętności, ale nieprzeczuwali nawet, aby słowo mogło być nasieniem cnoty i życia.

Rzym— dumny wymową swojego Forum, acz w owych czasach już bardzo spodloną, dowiaduje się z podziwieniem, obawą i wzgardą o nowym jakimś przybyszu. Dwaj nieznani, ubodzy ludzie przynoszą słowo, które

się wnet rozbrzmiewa po wielkiéj stolicy świata, i w obec którego blednieje potęga forum. Obydwóch w loch Mamertyński wtrącono — ale ztamtąd jeszcze głośniéj i wymowniéj do całego świata mówią— więc wywleczono obydwóch i obydwu krew przelano — ale krew niewinnie przelana, to słowo w najwyższéj potędze.— Żywi mówili, umarli krzyczeć poczęli. Cezar zawołał „męczeństwo!“ i chciał niém zdusić boską wymowę w piersiach apostolskich — a męczeństwo odpowiedziało najwymowniejszém apostolstwem, a męczeństwo zwyciężyło i Rzym i Cezara.

Tak rozpoczęła wymowa religijna. — A potem jakże bosko spełnia swoje posłannictwo przez usta tych świętych mowców których zowiemy Ojcami kościoła! Wolna od ciasnych a zimnych przepisów świeckiéj retoryki, daleka od tego pedantyzmu jakim tchną najpiękniejsze dzieła starożytnéj wymowy Grecyi lub Rzymu: mając zawsze na celu tylko interes Chrystyanizmu z Katakumb i z rusztowania przeszła do wspaniałych świątyń, zasiadła na tronach biskupich a w tym samym czasie była głosem wołającego do ludów wschodu i południa, do barbarzyńców zachodu i północy. Niemając nic wspólnego z pojęciami i formami pogaństwa przewyższyła je wspaniałością swoich pojęć, majestatem wysłowienia i potęgą przekonywania tak, jak ta boska religia któréj ona była wyrażeniem, przewyższała poganizm, tak jak sprawa wieczności przewyższała sprawy ziemskie — jak górowały niebiosa nad ziemią, jak Bóg nieskończonością swoją góruje nad skończonością. Tak wzniosłą, tak dzielną była w pierwszych sześciu wiekach u Greków na ustach Orygenesa, ś. Atanazego, ś. Cyrylla, ś. Epifaniusza, dwóch śś. Grzegorzów, ś. Jana Chryzostoma, a u Łacinników na ustach śś. Ambrożego, Augustyna, Maxyma, Fulgencyusza, Leona, Piotra Chryzologa i Grzegorza wielkiego, który sobie stworzył nietylko no-

wy styl, ale nawet język dziwnie świeży, jasny i silny w wykładzie najgłębszych tajemnic Chrystyanizmu i obowiązków religijnych. Wszakże nie zamilkła z Ojcami, ale i póżniéj brzmiała w kościele i wywierała swe ogromne wpływy przez usta takich mężów jak S. Ildefons, Beda, ś. Jan Damasceński, ś. Jan Damian, Ivo Carnotensis, ś. Bernard, Ryszard od ś. Wiktora, Innocenty III, Antoni Padewski oraz śś. Dominik, Tomasz z Akwinu, Bonawentura, Wincenty Fereriusz, Bernardyn Seneński, Eneasz Sylwiusz (póżniéj Pius II.) ś. Wawrzyniec Justynianin i wielu innych. Wszyscy ci mężowie równie wielcy głęboką nauką, jak żarliwością i poświęceniem, wytwarzali coraz nowsze formy mówienia, ale zawsze z świętą powagą Chrystyanizmu zgodne, zawsze szczęśliwie do czasu i ludzi zastósowane, zawsze dalekie od naśladowania klassyków starego Rzymu lub Grecyi, których zbyteczne zamiłowanie łatwą być mogło pokusą do poświęcenia ducha Chrystusowego na rzecz form pogańskich. Ale czego się oni właśnie obawiali. to prędko przyszło, kiedy szumne retory XVI wieku, ludzie na wzór Erazma, noszący w ostygłém i zepsutém sercu, chętki i zamiary pseudoreformacyi, poczęli mówić do ludu Chrystusowego językiem mowców pogańskich; kiedy naukę o Bogu, o Jezusie Chrystusie, o duszy, o obowiązkach chrześciańskiego życia zaczęli ubierać w formy zapożyczone u Cycerona lub Demostenesa; kiedy nareszcie zapomniawszy że najpiękniejszym wdziękiem wymowy religijnéj jest prostota i miłość boska w każdém słowie tchnąca, poczęli swe kazania oprawiać w ramki przepisów Arystotelesa lub Tuliusza, krajać zimno na części, przybierać w napuszyste figury a tym sposobem niweczyć cały wpływ boskiego słowa.

Tak zwana epoka Odrodzenia (*de la Renaissance*), a właściwie mówiąc epoka wsteczności, epoka zamykająca ducha w grobie form będących nędzném naśladowa-

niem sztuki pogańskiéj zrobiła wielką krzywdę wymowie kościelnéj. Nie brakłoć i podówczas na mowcach katolickich — ale w ogóle jak w każdéj gałęzi sztuk tak i w wymowie całą uwagę zwrócono na kształty a o głównym celu mało gdzie pamiętano. Polska w tym grzechu nie wzięła podówczas żadnego udziału, polski też kościół jaśniał wielkimi mowcami; Skarga przypominał w licznych swych kazaniach najwymowniejszych Ojców, a w samych nawet mowach sejmowych, gdzie się religia wiąże z polityką, wystąpił z całą potęgą starych proroków i z całą ewangeliczną prostotą. Obok Skargi widzimy takie postacie jak Wujka, w którego homiliach przeglądają się razem jak w czystém zwierciedle i bystrość ś. Augustyna i głębokość ś. Hieronima i ścisłość ś. Tomasza — a z Wujkiem wielkiego Hozyusza którego mądrość i wymowę podziwiali najznakomitsi mężowie kościoła, oraz Białobrzeskiego, Wereszczyńskiego i Birkowskiego. Ten ostatni przecież obok wielkiéj siły nosi już cechę swojego wieku i nieraz swą napuszystością razi. Duch pogaństwa wionął i na Polskę z otwartego sarkofagu, ale to o wiele póżniéj i daleko słabiéj niż gdziekolwiek indziéj, niedotknąwszy bowiem pojęć, to najwięcéj zepsuł, ku podniesieniu czego głównie był wyrachowany, to jest formy, które w naszych kaznodziejach z XVII stulecia nie tyle gorszą, ile rażą i śmieszą.

Formy klassyczne nie przystawały jednak do takiéj treści jak dogmat, a kiedy się jeszcze obrońcy katolicyzmu umordowali dogmatyczną polemiką w ciągłych zapasach z reformą, kaznodziejstwo zaczęło zchodzić na grunt saméj moralności. Wielu z poważnych nawet utrzymywało, iż kaznodzieja nie tyle winien zwracać uwagi na tajemnice wiary, które są raczéj przedmiotem katechetyki, ile na moralność i na jéj obowiązki nie dosyć znane a przeto i nie dosyć należycie wypełnione.

„Nie apologii nam trzeba, wołano, nie głębokich wy„kładów tego co mamy wierzyć, ale dokładnego przed„stawienia tego, co mamy czynić. Kaznodzieja nie tyle „ma działać na rozum i na wiarę, ile na namiętności ku „nadaniu im należytego kierunku, na serce, ku jego „uszlachetnieniu, na wolę ku poddaniu jéj pod przepisy „boskie. Wykazywać przez dowodzenie lub wnioskowa„nie, jako z dogmatu wypływa cała praktyka życia „chrześciańskiego, wszystkie obowiązki moralności, to „stara metoda raczéj bawiąca niż nauczająca, to raczéj „gimnastyka filozoficzno-teologiczna, niżeli nauka mają„ca wpływać na poprawę życia i nawrócenie świata". Tak mówili postępowi, zapominali jednak, że to, co przezywali *starą metodą*, było metodą ewangieliczną i apostolską; że sam Chrystus zawsze w swoich kazaniach jednoczył naukę moralności z nauką dogmatu; że gdy powstawał przeciw występkom, jednocześnie walczył przeciw błędom; że kiedy wskazywał drogę cnoty, tą drogą mienił sam siebie jako prawdę wszystkich prawd, ognisko wszystkiego objawienia; że nakoniec wszystkie swoje nakazy i rady podawał uczniom jakby w boskiém naczyniu świętych tajemnic swéj wiary. —

Zapominali daléj, że apostołowie w tenże sam sposób każąc nawrócili świat pogański; że ś. Paweł ten pierwszy tłumacz Ewangelii, pierwszy kaznodzieja chrześcijańskiego świata nigdy obowiązków nie oddzielał od wiary; że jego listy, te monumentalne i nieśmiertelne kazania, całą moralność oraz jéj siłę i wzniosłość czerpały z boskiéj teologii chrześciańskiego dogmatu. Zapominali jeszcze, że prawie wszyscy śś. Ojcowie w kazaniach swoich zawsze mieli na oku Jezusa Chrystusa jako źródło wszystkich tajemnic wiary i od niego zawsze słowo swoje zaczynali; że każda ich mowa, każda homilia, była wykładem jakiegoś artykułu wiary, z którego dopiero jako następstwa z zasady wywodzili

obowiązki moralności,'— a nadewszystko zapominali, że przenosząc kaznodziejstwo na grunt saméj moralności postępowali w duchu luteranizmu, który uznawszy jedynym dogmatem rozum, tem samem wszystkie artykuły wiary poddał w wątpliwość a samą ewangeliczną moralność uczynił treścią swojego wyznania, więc też i jedynie możebnym przedmiotem swego kaznodziejstwa. —

Ta jednak nowa metoda wylęgła z protestantyzmu chwytała się tylko głów słabszych i serc zimniejszych. Przeciwnie, wszyscy wyżéj myślący i żarliwie w sprawie katolicyzmu występujący, trzymali się drogi wskazanéj przez Mistrza a ubitéj przez swych poprzedników. Oni to czuli, że co u protestantów było logicznem następstwem, to u katolików byłoby i niedorzecznością i zgorszeniem; że człowiek sam przez się posiadający zbyt słabe pojęcia religijne a zawsze ze stanowiska namiętności wnioskujący o swych obowiązkach, potrzebuje być wzniesionym do wysokości swych pojęć nie swoją, ale boską siłą, to jest objawieniem; że aby człowiek moralnem życiem mógł w sobie wielbić Boga, na to potrzeba serce jego wynieść siłą wiary z nizin skażonéj natury do wysokości nadnaturalnéj według tego boskiego zdania Dawida: *Accedet homo ad cor altum, et exaltabitur Deus* [1]); że nakoniec usta kapłańskie nie ku czczym poświęcone mowom, jak się wyraża ś. Bernard „nie ku prawieniu ludzkich rzeczy ludzkiemi sposobami, „ale *ku strzeżeniu boskiéj umiejętności i ku wykładaniu* „*moralności zakonnéj*, *jako usta Anioła Pana Zastępów*" nie zaś jako usta świeckiego retora — więc w duchu tego posłannictwa mówiąc, nie tylko, że kaznodziejstwo od zepsucia przez wpływ poganizmu ratowali, ale je owszem w całéj świeżości i sile swym następcom prze-

---

[1]) Ps. LXIII, 8.

kazali. Tak pojmowali wymowę kościelną w wieku XVItym Piotr Caraffa (później Papież Paweł IV.), Ludwik z Grenady, ś. Jan od Krzyża, ś. Andrzéj z Awelinu, Salmeron, Kaniziusz, Bellarmin, że już nie powtórzę naszych, wyżéj wzmiankowanych, z których Skarga niezawodnie wszystkich spółczesnych przewyższył a z Bellarminem stanął na równi. Tak też pojmowali kaznodziejstwo i tak mówili w wieku XVII. ś. Franciszek Salezy, ś. Wincenty à Paulo, Pinamonti, Bartoli, Bossuet, Bourdalou, Massillon i Fenelon, z których czteréj ostatni tem właśnie do niesłychanéj wznieśli się potęgi, że się najdoskonaléj przejęli dogmatyczną stroną Chrześcianizmu i najwierniéj poszli drogą wskazaną przez Ojców.

Wiek XVIII pod względem wymowy kościelnéj może najsmutniejszy przedstawia nam widok. Zdaje się jakby epoka Bossuetowska była chwilą wielkiego przesilenia po któréj głuche nastało milczenie. W kościołach ledwie gdzie nie gdzie wykładano Ewangelią i to słabo a czasem gorzéj jak słabo. Czcze gadulstwo weszło w zwyczaj a niezgrabnym dowcipem chciano zapełnić straszliwy brak ducha. Bez myśli, bez celu wyrywano z Ewangelii pierwsze lepsze zdanie i kładziono na czele nędznych rozpraw, które z onym textem tyle miały związku, ile miały odniesienia i zastósowania do życia. W kazaniach była mowa o wszystkiem, tylko o tém najmniéj, coby miało być ich treścią. W samym Rzymie olbrzymia postać Benedykta XIV rysowała się na widnokręgu dziejowym jak wielka lecz samotna góra. We Francyi Ludwik XV niedołęztwem swojem przygotowywał straszną katastrofę i pieścił ludzi spiskujących przeciw Chrystusowi. Europa albo goniła resztkami wiary, usypiając snem zgrzybiałych; albo się karmiła ogryzkami protestantyzmu miotając się przeciw kościołowi z zuchwalstwem najgorszych dzieci, albo zsuwała się

w przepaść ostatecznych następstw reformy grożąc niebu z pychą lucyfera. Bóg chciał ukarać świat *rozmyślający przeciw niemu próżne rzeczy* i dopuścił straszne milczenie, aby się *do złośników odezwał w gniewie swoim; aby je potrwożył w zapalczywości swojéj a jako naczynie garncarskie pokruszył* [2]).

Grom wypadł, a zgraja ludzi żadnym węzłem bożym niespojona zachwiała się i potoczyła połową jako pijana a połową jako trup. Pijanych któż otrzeźwi? Trupy kto ożywi? Wielu rozmaicie próbowało i wszystko napróżno. Pan wyrzekł do Oblubienicy swéj: *Żądaj odemnie i dam ci pogany dziedzictwo twoje i osiadłość twą kraje ziemi* [3]). Kościół w odpowiedzi wzniósł ku niebu błagalne modły a na usta sług swoich położył tę samą moc, którą przed ośmnastu wiekami podniósł obumarłą ludzkość. Ta moc cudowna, to moc kaznodziejstwa. Jednocześnie na różnych punktach katolickiéj Europy słowo Pańskie zasiadłszy w dawnym majestacie na swych świętych tronach, każe na wszystkie strony świata, jak kazało przez usta Grzegorzów, Bernardów i Bossuetów. Katolickie świątynie we Francyi, Włoszech, Niemczech a nawet w Anglii już niezdołają objąć wzrastającego tłumu słuchaczy — więc budują nowe — kończą rozpoczęte przed kilku wiekami, a tymczasem w braku świątyń kaznodzieje missyjni grzmią pod gołém niebem! Kościół w uniesieniu świętéj radości odzywa się do swych dziatek, jak się już dawne nieodzywał wieki — ludzkość zmierza do jakiéjś szczęśliwéj epoki! Prowadź Boże! My tymczasem przypatrzmy się bliżéj czterem postaciom górującym z pośrodka mężów, których wymową i żarliwością w téj wielkiéj restauracyi posługuje się niebo, a których mieliśmy na myśli kładąc na czele niniejsze-

---

[2]) Ps. II, 1, 5.
[3]) Ps. II, 8.

go słowa tytuł: O najznakomitszych tegoczesnych mowcach religijnych.

Tymi czterema są: Lacordaire, Ravignan, Ventura i Newman.

I.

Jan Chrzciciel Henryk Lacordaire, urodzony w r. 1802, już w piątym roku swojego życia objawiał nadzwyczajną żywość umysłu i serca. Kochany i niemal ubóstwiany przez matkę obudzał w niéj dręczące obawy zawsze z powodu téj saméj żywości, która czasami przechodziła w rażącą gwałtowność. W tych obawach pocieszał ją przecie dziewiczą prawdziwie czułością serca, otwartością i skwapliwością w uznawaniu popełnionych błędów. Kiedy ją widział smutną, a tém bardziéj kiedy ją widział płaczącą, natychmiast żal swój z rozrzewniającą tkliwością objawiał — u nóg jéj przebaczenia błagał — i w całéj swojéj drobnéj postaci zdawał się być uosobioną skruchą.

Ale po skończonych sześciu latach naturalna ta żywość coraz widoczniéj poczęła się zmieniać i przybierała coraz szlachetniejsze formy, coraz lepszy kierunek. Młody Henryk im jaśniéj do koła siebie spoglądał, tém więcéj wchodził w głąb samego siebie — skupiał wewnątrz wszystkie siły i pierwsze z samym sobą walki nie jak młodzieniec, ale jako mąż dojrzały staczał. Wówczas największą jego namiętnością było czytanie. Zarzucony mnóstwem książek szedł posłusznie za wyborem matki niewiasty rozumnéj, pobożnéj i w miłości Bożéj pojmującéj świętość swego obowiązku. Pod tym kierunkiem przeczytał wiele wybornych dzieł, a przeczytał dobrze, gruntownie z wielkim owocem nie tylko pod względem rozwinięcia umysłowego, ale téż i pod względem uświęcenia duszy.

To pierwsze rozwinięcie umysłowe z latami postępo-

wało bez przerwy jakkolwiek w różnym kierunku i z rozmaitym wpływem — co zaś do uświęcenia młodzieńczéj duszy, to prędko się starło, musiało być jednak głęboko zakorzenione, kiedy ta dusza w chwilach najlepszego powodzenia w świecie i najpiękniejszych nadziei tak się znowu gwałtownie, szlachetnie, bezwarunkowo rzuciła w objęcia Zbawcy.

Takim jest zawsze wpływ chrześciańskiéj matki jako wpływ najświętszéj i najpotężniejszéj ze wszystkich ludzkich miłości.

Wczas oddany do szkół publicznych w Dijon, zmieniwszy bezpieczne dotąd życie i wychowanie domowe, na życie i wychowanie kollegialne, studenckie, niezadługo stał się podziwem i nauczycieli i współuczniów. W naukach robił niesłychane postępy — z genialnością jednoczył najzaciętszą pracę — po nad wszystkich górował umysłem, ale wśród tych postępów wyniesiona z domu pobożność stygła, wiara chwiejąca się z razu z czasem zupełnie zwietrzała. Czy to skutkiem obcowania z towarzyszami już zepsutymi? Zapewnie — ale najwięcéj skutkiem szatańskich dążności nauczycielstwa szkolnego, które w ścisłéj zależności od Uniwersytetu było bezbożne, pogańskie i materyalne.

W roku 1821 — a zatém w roku 19 swego życia już jako skończony prawnik przybył do Paryża i przedstawił się znakomitemu podówczas adwokatowi królewskiemu p. Guillemin. P. Riambourg, prezydent izby w Dijon polecał go z troskliwością ojca; wszakże pisząc o wielkich zaletach pod względem zdolności i serca, nie zapomniał dodać z pewnym przyciskiem, iż młody Lacordaire będąc nadzwyczaj żywéj i nieujętéj wyobraźni, potrzebuje troskliwego i wytrawnego kierunku.

Nie trzeba było zbyt długiego czasu, aby p. Guillemin mógł się był dostatecznie przekonać o ścisłéj rzeczywistości téj rekomendacyi, a ciesząc się wielkiemi zdolno-

ściami powierzonego sobie młodzieńca, ukochawszy zalecającego się surową moralnością i szlachetnym sposobem myślenia, nieraz spostrzegał i wyznawał, że gwałtowny prąd wyobraźni i extrawagancye genialności żadnym się kierunkiem schwytać ani ujarzmić nie dały.

W rok potém pan Guillemin mianowany został adwokatem sądu kassacyjnego, a Lacordaire przez ośmnaście miesięcy był jego niezmordowanym współpracownikiem. Stanowisko adwokata sądu kassacyjnego, jest jedno z najwyższych stanowisk w Paryżu. P. Guillemin wywięzywał się bardzo zaszczytnie — ale wyznawał często, że w najtrudniejszych czynnościach Lacordaire był jego prawą ręką. Kilka razy wystąpił sam jako adwokat w obec sądów zwyczajnych — blaskiem i potęgą słowa byłby zgniótł nawet takiego przeciwnika jak Tripier, gdyby opinia zazdrosnéj Rady nie głuszyła tego słowa. Jakiś czas nawet mówiono o zapozwaniu go przed tak zwaną *Chambre de discipline* jako mówiącego przeciw świeżym rozporządzeniom królewskim. Wiadomość ta nietylko, że niezasmuciła młodego adwokata, ale owszem rozpromieniła jego oblicze: „Jakażby to była dla mnie „piękna sposobność — rzekł do jednego z przyjaciół — „stanąć przed sądem Rady karnéj, dopierożbym mógł „wystąpić, jak jeszcze nie występowałem nigdy“.

Inną razą napisał w liście do kogoś z krewnych: „Dzisiąj rano broniłem sprawy, którą w głębi sumienia „żywo potępiałem. Nie bierz mi tego za złe, zrobiłem „prawdziwie *experimentum in anima vili*, chcąc doświad„czyć, czy będę miał dosyć odwagi i głos dosyć silny. „Po tém doświadczeniu mogę cię zapewnić, żebym się „nawet w obec samego rzymskiego Senatu nieuląkł“.

Powodzenie w saméj rzeczy było kompletne — najzawistniejsi uciekli — najpoważniejsi słuszność oddawali. Z bióra p. Guillemin przeszedł do gabinetu p. Mourre generalnego prokuratora sądu kassacyjnego, choć w do-

mu pierwszego jako syn pozostał. Taka znakomitość jak p. Berryer zaszczycał go swoją przychylnością, robił mu nadzieje pięknéj przyszłości — znakomitego w sądach stanowiska.

Wszakże w tych samych prawie czasach wewnętrzny jakiś i niewytłumaczony smutek począł go coraz to częściéj chwytać za serce. „Myśl moja, pisze w jednym „z swych listów, myśl moja już się postarzała. Oh sta„ra — starsza niżli wam się zdaje. Coraz mniéj czuję „przywiązania do tego rodzaju życia, wyznaję, że mnie „zużywa moja wyobraźnia. Najadłem się już wszystkiego, „alem nic dobrze nie zgłębił. O gdybyś wiedział jak „mi jest smutno! Ale mnie proszę nie żałuj, bo ja ko„cham smutek mój, bo smutkiem więcéj i lepiéj żyję, „niżlibym żył swobodą. Wszyscy mi mówią o sławie „autorskiéj, o wielkości do jakiéj dojść mogę w zawo„dzie publicznym. Ja sam wielką żądzą pragnąłem po„dobnéj sławy! Ale teraz lituję się nad tymi, którzy o „niéj marzą, którzy za tém widmem gonią. Dla siebie „jednéj tylko pragnąłbym rzeczy. Żyć sobie cichutko „wśród domowego ogniska bez żadnéj pretensyi!“

Takiéj walki było z pół roku.

Aż jednego razu, było to w Maju r. 1824, wchodzi do bióra p. Guillemin i gdy pomieszany, prawie ze łzami w oczach uściskawszy starego swego przyjaciela nie mógł znaleźć słowa, aby mu objawić zamiar swego serca — zacny adwokat tuląc go do swojéj piersi zapytał:

— Co ci jest! — co ci się stało?

— Mam o ważnéj rzeczy pomówić. Jedném słowem, zmuszony jestem rozłączyć się z tobą.

— Dla czegóż znowu? Alboż nam nie dobrze tak razem.

— Zapewnie, gdyby mi dobrze mogło być na świecie, dla nikogo nie opuściłbym pana — ale go opuszczam dla kogoś z innego świata.

— Nie rozumiem cię mój przyjacielu... Mów wyraźniéj — O cóż idzie?

— O to, żebym przestał być czém jestem i abym był czém być powinienem.

— Ależ jesteś właśnie czém być winieneś...

— Nie — bo ja muszę zostać księdzem.

— Księdzem? A to znowu co?

— To rzecz zdecydowana. Postanowiłem bezzwłocznie wejść do Seminaryum.

— Jednakże niedawno kiedym ci napomknął o potrzebie jakiejś dyrekcyi.....

— Odpowiedziałem, iż aby przyjąć dyrekcyą duchowną trzeba wierzyć i chcieć życia duchownego — a ja wtenczas anim wierzył — anim chciał...

— Wszakże to nie było tak dawno.... zaledwie temu sześć miesięcy.

— Oh właśnie te sześć miesięcy — to wielka epoka stanowiąca o całéj mojéj przyszłości... Przez ten krótki przeciąg czasu cierpiałem okropnie! Mogę powiedzieć, żem skosztował strasznych mąk wieczności. Bóg przecie zlitować się raczył i duszy mojéj błąkającéj się wśród ciemności a stojącéj na samym brzegu rozpaczy dał tak wielkie światło — że poznałem wszystko — bom uwierzył!..

— Mój przyjacielu — to dobrze — bardzo dobrze — ależ tu jeszcze nie widzę konieczności zerwania stosunków jakie cię wiążą z tym światem i wejścia w świat zupełnego poświęcenia.

— Tę konieczność czuję dzisiaj tak gwałtownie, że wszystkie moje nadzieje, całe moje szczęście widzę tylko w jéj rychłém spełnieniu. Wczoraj jeszcze, obok strasznych cierpień zwątpienia krążyły po mojéj głowie widma wielkości światowéj i nadzieje sławy — dzisiaj widma znikły już zupełnie a nadzieje podniosły mnie nad wszystkie widoki świata — dzisiaj nie pragnę już niczego

więcéj jak pracować w cichości i zapomnieniu. Nie wiem jak się to stało — ale czego moja dusza tak silnie zapragnęła, to mi się wszystko jak najżywiéj, jak najpiękniéj przedstawiło w stanie duchownym. Powiedziałem sobie natychmiast: Więc będę duchownym! I od téj chwili już jestem spokojny a nawet szczęśliwy choć tylko szczęściem nadziei.

P. Guillemin próbował wszelkich sposobów, aby przynajmniéj odwlec spełnienie tego zamiaru — radził na jakiś czas wyjechać z Paryża gdzieś na prowincyę — to znowu podróż do Ameryki — ale w końcu przekonał się że wszystko napróżno.

— Cóż sądzisz, mówił Lacordaire, mógłbym znaléźć w Ameryce? Jaka podróż mogłaby zagładzić to, co duch mój znalazł i pozyskał wzniosłszy się po nad wszystkie światy?

— A gdybyś wrócił na jakiś czas do Dijon — do Matki któréj tak dawno nie widziałeś, a która tak cię tkliwie kocha?

— Do Matki!.. Oh prawda — jéj serce zawsze toż samo — ale czyż dla tego to drogie serce godziłoby się rozdzierać? Moja Matka kocha mnie nad wszelkie wyrażenie — ona dla mnie wymarzyła szczęście i tém marzeniem żyje, tém marzeniem jest szczęśliwa! Ona niezdoła mnie pojąć — uwierzyć! Ona weźmie za skutek jakiegoś strasznego zawodu.. za owoc rozpaczy — to właśnie co jest we mnie skutkiem przejrzenia, owocem z nieba danéj mi nadziei! Z resztą moja Matka jest ubogą wdową — poświęciwszy resztę szczupłego swego majątku na dokończenie mego wychowania, będzie się dręczyć, że mi nie może dopomódz i to właśnie teraz, kiedy się miała cieszyć owocem swoich poświęceń. — Wiadomo Panu, że trzy lata pobytu w Seminaryum o własnym koszcie będą wymagać dość znacznéj kwoty. I po cóż tém wszystkiém miałbym dręczyć jéj serce?

Daleko będzie lepiéj uwiadomić ją wtenczas, gdy już przywdzieję sukienkę.

Stary — poczciwy — szlachetny przyjaciel nie widząc już żadnéj rady i mniéj więcéj przekonany, że postanowienie jakkolwiek prędkie i niespodziane, było już nie do zachwiania, uściskał ze łzami swego wychowanka i prosił, aby zechciał przyjąć jego usługi w celu przygotowania funduszu potrzebnego na wstęp i pobyt w Seminaryum.

W kilka dni potém, to jest 12 maja 1824 r. w dzień urodzin a w pierwszy dzień dwudziestego trzeciego roku życia, Henryk Lacordaire wszedł do Seminaryum *Saint Sulpice* jako audytor teologii — i niezadługo napisał ztamtąd do P. Guillemin:

„Stało się już czego zapragnęła tak gwałtownie dusza moja. O gdybyś mógł widzieć jak w mojém odosobnieniu czuję się coraz szczęśliwszym! Czy wiesz co tu porabiam? Modlę się i rozmyślam — czytam i znowu modląc się rozmyślam. Do moich dawnych najmilszych zajęć przybyła mi tylko modlitwa — ale gdyby nie to *tylko*, dusza moja zbrzydziłaby sobie i to, co się jéj najmilszém zdawało i zwiędłaby do reszty w pośród badań i i rozmyślań. To mnie najszczęśliwszym czyni, że się coraz więcéj przekonywuję, iż jak po za chrystyanizmem w rozumieniu katolickiego kościoła nie ma prawdy, tak znowu w chrystyanizmie ta prawda w boskiéj prawdziwie pełności istnieje. Wszystkie trudności w obec których filozofia wyznaje swą niemoc, chrystyanizm zwycięzko rozwięzuje... Teraz czytam Pascal'a... Myśl moja tém lepiéj mężnieje, dojrzewa, im mniéj mam potrzeby wywnętrzniać się i wyczerpywać, im więcéj mogę się skupiać i w tém skupieniu pracować. Duch mój jest teraz jakoby ziemia odpoczywająca i w tym spoczynku karmiąca się rosą niebios..... Często sobie przypominam, jak się dziwili wszyscy i niedowierzali memu gwałto-

wnemu przerzuceniu się na stanowisko religijne, jak znajdowali niedorzeczném i nie do pojęcia, abym rzeczywiście drogą idei politycznych mógł trafić do idei religijnych. Teraz niechciałbym rozprawiać o ile to jest rzeczą prostą, naturalną i słuszną. Twierdzę jednak z głębokiém przekonaniem, że do chrystyanizmu każda uczciwa droga doprowadza, bo chrystyanizm jest ogniskiem wszystkich prawd".

W innym liście dziwiąc się tym którzy postępowanie jego nazywali głupstwem i tym, którzy go opłakiwali jako straconego, tak się wyraża:

„Pewnego wieczora stanąwszy w oknie mej celki długo patrzałem w wypogodzone niebo. Księżyc świecił jasno — srebrne jego światło mieszając się z światłem zachodzącego słońca tworzyło uderzający effekt — wszakże źrenica wytężona czegoś słodszego, spokojniejszego szukała i znalazła wreszcie. Była to jedna, jedyna gwiazdka zaledwie poczynająca mrugać słabem światełkiem w niewysłowionej głębinie błękitu. Niewiem dla czego, przyszła] mi zaraz myśl porównywająca z ową małą gwiazdeczką to nasze ciche, głęboko-ciche schronienie, a maluczkość i ubóstwo naszéj ziemi z niezmierzonością tego sklepienia.... I czyż można nazwać głupstwem, że dusz kilka na tym zaledwie dojrzanym punkciku wielbi Boga, twórcę tych cudów — tych niepojętych ogromów? Czyż się godzi, aby ludzie uważali tego z swych braci straconym, umarłym, który się cały pragnie poświęcić dla uczczenia źródła życia!.... I nie mogłem łez moich powstrzymać i rzewnie płakałem nad tymi biednymi, którzy nieumieją choćby tylko nieco wyżéj, nieco głębiéj ponad niskość swoją spojrzyć — i patrząc przyjść do jakiéjś szlachetniejszéj myśli. W czas niejaki potem, jakby na dowód że się nie omylił w swojem powołaniu i że nowe to życie coraz mu lepiéj przypadało do serca tak o sobie pisze:

„Jednym z najmilszych wdzięków życia seminaryjskiego jest to, że mnie na nowo wprowadza w stan pierwszéj młodości. Jestem teraz jak byłem w owym wieku, kiedy dziecko staje się młodzieńcem a młodzieniec jest jeszcze jakby na pół dzieckiem, kiedy przeświadczenie wyższych sił moralnych jeszcze się miesza z upodobaniami dziecinnego wieku. W szkole jest się jeszcze zbyt dziecinnym i niezdolnym do oceniania i życia i ludzi; w szkole i w kollegium jeszcze się nie ma wyobrażenia rzeczywistych stosunków pomiędzy ludźmi a ludźmi, ani pojęcia prawdziwej przyjaźni mogącéj tylko istnieć pomiędzy duszą a duszą. Bo tam dusze zaledwie się czują, bo tam pojęcia zbyt jeszcze lotne—przechodnie. Następnie, kiedy z kollegium wejdzie się w świat, sposobność zawarcia związków i zacnych i stałych zamiast łatwiejszą z wielu powodów raczéj się utrudnia. Bo na świecie już ludzie jakkolwiek młodzi nie żyją w takiem zbliżeniu, w jakiem się żyje w kollegium; bo interes miłości własnéj łatwo się wślizga w najczystsze z pozoru stosunki, bo z resztą i serce nie jest tak wolne, swobodne wśród gwaru przerozmaitych stosunków społecznych. Ale tak jak tutaj — to zupełnie co innego. Bo proszę sobie wystawić stu czterdziestu młodych ludzi, którzy razem żyją w tym samym żywiole, wśród tych samych zajęć, których serca jedna wiąże myśl, jedna nadzieja, jedno pragnienie; którzy się stykają wszystkiemi stronami swych serc i są niby wybranemi i w ciche a święte ustronie przeniesionemi kwiatami! Tu nas jednoczy wszystko — tu nas wszystko przyjaciołmi czyni!“

Pomimo tego nie zbywało i na przeciwnościach — tylko, że te przeciwności nie wpływając bynajmniéj w sposób ujemny na serce, dzielnie wpłynęły na zmężnienie zasad i charakteru.

Pod względem pobożności był zawsze wzorowym i jak najlepiéj widzianym — pod względem sposobu zapatrywania się na żywotne kwestye religijne często obudzał pewne niepokoje. Była to ta sama żywość, która w chwilach dzieciństwa niepokoiła matkę — ale ta żywość w dwudziesto cztero-letnim alumnie rozwinęła się w genialność, w wyższość pojęć, w żar miłości. Nie pojmował jakby można być względem wiary i kościoła tylko umiarkowanie ciepłym, że już nie powiem letnim — więc się palił i tym samym ogniem przejmował serca więcéj ku sobie zbliżone. Mówiono o nim a potem nawet pisano, iż przerzuciwszy się z ostateczności w ostateczność, stał się nieugiętym, niezdolnym żadnéj tranzakcyi, *z fanatyka Ateizmu fanatykiem katolicyzmu.* Mówili tak i pisali ludzie na miarę redaktorów *Siècla* albo *Revue de deux mondes*, ludzie którzy jednako ceniąc *ostateczność błędu* i ostateczność, czyli nieugiętą *stanowczość prawdy*, chcieliby mieć świat ten eklektyzmem nieba i piekła. W czemże upatrywali ów fanatyzm dla katolicyzmu? W tem że Lacordaire nie lubiał żadnéj półprawdy i pogardzał półśrodkami. Kartezyanizm zbyt wiele przyznający rozumowi — wiodący do racyonalizmu niezgadzał się według niego z pojęciami chrześciańsko-filozoficznemi. W ustawach Gallikańskich, w artykułach organicznych widział tylko albo dzieło słabości albo pokryte dążności zbiegostwa i buntu, chętki tworzenia kościoła narodowego czyli po prostu schizmy. W tranzakcyach z uszczerbkiem prawdy widział tchórzostwo, zdradę, pewien targ z Bogiem — więc gorąca dusza zasmucała się tém wszystkiem, często nawet oburzała się — a oburzenie wyrażało się za silnie, za gorzko. Kanoniści à la Dupin, Teologowie à la Bailly coraz głośniéj objawiali swe nieukontentowanie. L' Abbé Roy, professor dogmatyki, człowiek nie wielkiéj nauki, ale wielki miłośnik *Statu quo*, rzucał się i gniewał a dręczył

czony subtelnemi objekcyami ucznia wytoczył nareszcie sprawę przed Radę. Na téj Radzie zawyrokowano, że Lacordaire obok lichéj wyobraźni żadnych prawie nie posiadał zdolności, a co gorsza że był zwolennikiem de la Mennais'go. Oskarżonemu kazano przyrzec, iż na przyszłość będzie przez pokorę *milczał*, co też przyrzekł i dotrzymał z prostotą i uległością dziecka, a l'Abbé Roy jak najdoskonaléj zbijał dawne jego zarzuty, jako *bystro i głęboko pomyślane*.

Pierwsze wystąpienie kaznodziejskie z powodu téjże saméj żywości wyobraźni nie miało wielkiego powodzenia. Ale bo też samo miejsce i auditorium nader było niekorzystne. Dość powiedzieć że tem miejscem był *refektarz* — a słuchaczami byli professorowie i Seminaryści *obiadujący*. Oto jak sam ocenia w jednym z swych listow trudność tego stanowiska: „Miałem kazanie; czy pojmu„jesz co to jest mieć kazanie w refektarzu do stu trzydziestu „zajadających słuchaczy? Głos mój mięszał się z dźwię„kiem talerzy, łyżek, widelców, szklanek i całego re„fektarskiego przyrządu. Zdaje mi się, że niema nic „przykrzejszego jak mówić do ludzi jedzących, i sam „Cycero wezwany na obiad senatorski choćby też z naj„większym zapałem rozpoczął swe katylinarie zamilknął„by niezawodnie, gdyby za pierwszym frazesem z rąk „słuchaczy nie wypadły prozaiczne grabki. Cóż dopiero „gdyby był zmuszony mówić o tajemnicy Wcielenia? „Wyznaję, że na widok téj obojętności panującéj wsród „słuchaczy, którzy się zdawali najmniejszéj uwagi nie „zwracać na to co mówiłem, ale całą tę uwagę skon„centrowali w talerzach, kilka razy przychodziła mi myśl „nadzwyczaj oburzająca i miałem nieraz chętkę cisnąć „im na głowy kwadratowy mój biret a samemu uciec „z katedry. Skończywszy odetchnąłem i zeszedłem z tem „przekonaniem, żem mówił jak najgorzéj. Po takiem

„wystąpieniu możesz sobie wyobrazić jak mi smakował „obiad.“

Krytyki i sądy były przenajrozmaitsze. Po większéj części ganiono, krzyczano, gorszono się i potępiano. Pewna część znowu nieumiała dość wyrazić swego uwielbienia. Chwalono i wynoszono pod niebiosa bez miary. Niektórzy winszując talentu objawiali pewne *ale* bądź co do saméj rzeczy, bądź co do formy. Professor wymowy jak tylko można dogodził przeciwnikom a wielbiącym zamknął usta, kiedy po przejrzeniu powiedzianego kazania wyrzekł publicznie: *połowa galamatias a połowa głupstwo.*

Czy professor miał słuszność? Nie wiem — ale to pewna, że uczeń miał wielką słuszność gdy w cichości i pokorze sąd tak dotkliwy przyjąwszy w tym samym czasie napisał: „Choćbym też powiedział jak najlepiéj „i był pochwalon jak najszumniéj nie byłbym pewnie „tyle skorzystał, ile skorzystałem zganiony i upokorzo„ny. Bossuet boską powiedział prawdę: *qu'il faut lais„ser venir la gloire après la vertu.* Teraz dusza moja „spokojna i szczęśliwa, bo żywiéj niż kiedykolwiek za„pragnęła cnoty a czcza nadzieja sławy już sercem nie „miota. Postanowiłem żyć i czynić jak najprostsze dziec„ko Boże a razem jako dziedzic Królestwa Niebieskie„go, jako zmierzający do posiadania nie więdnącéj ni„gdy chwały. Już nie chcę myśleć, co o mnie ludzie „powiedzą, ale zamieszkawszy miłością po za tym świa„tem, z wielką pociechą czuję to w sobie, że żadna wiel„kość doczesna, żadna sława już nie ma dla mnie u„roku. Czy to na zawsze? Czy to potrwa długo? Nie „wiem, ale mocno wierzę, że z siłą łaski wszystko mo„gę i że téj siły nie odmówi Bóg!“

Jak wspomnieliśmy wyżéj Lacordaire był obwiniany o Lameneizm. — Wszakże podówczas Lameneizmem zwano tylko pewien system teologiczny w stosunku do filo-

zofii i polityki i pewien rodzaj apologii chrystyanizmu zastósowany do czasu a z staremi formami nie kwadrujący. De La Mennais jaśniał jeszcze całym blaskiem religijnéj i filozoficznéj sławy a przytem niepokalanéj prawowierności i gorliwości dla sprawy kościoła. Lacordaire jak każdy młody, rzeczy nieco wyżéj i gorącéj biorący pragnął się z bliska przypatrzyć téj wielkiéj znakomitości rzucającéj blaskiem chwały na imiona ludzi z sobą ściśle sprzymierzonych. Pragnieniu temu uczynił zadosyć nim jeszcze wszedł do Seminarium. X. Gerbet, który i znakomitym rozumem i wielkiem sercem już się dał poznać w wyższym katolickim świecie i który najsilniéj wpłynął na nawrócenie młodego adwokata służył mu za pośrednika. Było to w roku 1823. La Mennais zrobił na nim ogromne wrażenie. W rok potem już się rzeczy o wiele zmieniły. Autor monumentalnego dzieła *Essai sur l'indéference* gotował się do zaszczytnych wprawdzie, ale zbyt gorzkich i gwałtownych zapasów z przestarzałemi pojęciami Episkopatu o wolności kościoła i i jego stosunkach z władzą doczesną oraz z tą władzą przywłaszczającą sobie coraz więcéj prawa i władzę kościoła. Zasady jego wyraźnie i stanowczo wypowiedziane silne wzbudzały obawy, niechęci i podejrzliwości objawiały się coraz mocniéj; w miarę niesłychanego powodzenia jakiego doznały wśród młodszego duchowieństwa nowe pojęcia, starsi coraz groźniéj przeciwko nim powstawali. Lacordaire, mimo całego zapału z jakim uwielbiał dążności do uwolnienia kościoła z więzów któremi go skrępował Napoleon, a których Restauracya przy najlepszych chęciach z powodu swéj niedołężności nie tylko rozwiązać, ale nawet zwolnić nie umiała, mimo tego, że się czuł oczarowanym genialnością wielkicgo człowieka, począł się wachać. Obawa postawienia się na fałszywém stanowisku, zaraz na wstępie w zawód kapłaństwa nie ostudziła wprawdzie gorących stosunków,

ale nakazała bolesną walkę z własnem uczuciem i przekonaniem. Ta walka była może najpiękniejszą protestacyą przeciw odzywającym się jeszcze zachceniom i nadziejami sławy: „Postanowiłem sobie, pisze on, nie „należyć do żadnéj koteryi, nie łączyć swego prze„konania z przekonaniem choćby najświetniejszego ge„niuszu; należę cały i chcę należyć tylko do kościoła „mój arcybiskup sam niechaj mną kieruje; odosobnienie, „cichość, modlitwa i rozmyślanie u stóp krzyża, będą „na zawsze moją szkołą.“

Wszakże jak powiedzieliśmy, była to tylko walka—walka z miłością własną, ale nie przeciw szlachetnéj i pełnéj młodzieńczego zapału miłości dla człowieka, w którym on widział najdzielniejszego obrońcę sprawy kościoła. Owszem, kiedy bystry jego umysł dostrzegł w zebranych ponad głową La Mennais'go chmurach więcéj zawistnych intryg i zastarzałéj niechęci niż obawy o skompromitowanie świętéj sprawy katolicyzmu, kiedy z drugiéj strony widział ciągle skupionych około wzniosłéj postaci Bretona co najgorliwszych i najwybrańszych mężów katolickich, kiedy nakoniec coraz dotykalniéj spostrzegał nie tylko martwą nieczynność, ale co większa przerażającą łatwość, z jaką ludzie starego rzeczy porządku służyli za narządzie w ręku zręcznych nieprzyjaciół chrześcijańskiéj cywilizacyi — wówczas ta walka jeszcze w nim silniéj utwierdziła owę miłość, jeszcze wyżéj podniosła dawne uwielbienie. Serce jego w tém uczuciu było zupełnie spokojne, bo uczucie było szczére, proste, bezinteresowne, szlachetne. W innych stosunkach, mógłby prędzéj szukać samego siebie i mógł się był znaleść jak najświetniéj, przecież ani się szukał, ani się znalazł. Książe de Rohan, arcybiskup de Besançon, okazywał mu szczególniejszą przychylność, z któréj pokorny Alumn, wcale nie korzystał. Arcybiskup Paryzki de Quèlen był dla niego z dobrocią prawdziwie ojcowską; biskup

de Nancy Forbin-Janson, o którym późniéj sam się wyraził w mowie pogrzebowéj, że największém jego nieszczęściem było, iż w czasach plebejuszowskich „nie umiał być plebejuszem" — ten Forbin-Janson, który położył fundament Stowarzyszenia S. Wincentego à Paulo i sprzymierzył ludzi wszelkiego stanu i wieku chrześcijańską, czynną miłością dla ubogich, który był twórcą Stowarzyszenia *de la Sainte Enfance* znanego dzisiaj w całym chrześcijańskim świecie — ten Forbin-Janson ukochał naszego mowcę jak przyjaciela i z radością upatrywał w nim rychłą pociechę kościoła, a mowca z tych tak pochlebnych dla siebie stosunków korzystając na rzecz rozwinięcia duchowego, na rzecz chwały ani umiał ani chciał korzystać.

Miałżeby tylko być innym w stosunku z takim człowiekiem jakim był de La Mennais? Tak utrzymują ludzie usiłujący przyćmić piękną sławę wielkiéj gwiazdy obecnéj wymowy kościelnéj. W stosunku tym mógł się był pomylić — mógł wiele skutkiem młodzieńczego entuzyazmu przeoczyć — bo i któż z prosto myślących a goręcéj kochających mógłby się nie mówię dopatrzyć, ale choćby przeczuć, że ta postać tak wielka miłością kościoła, tak strasznie zmaleje pychą? Ale żeby w tym stosunku miał być powodowany widokami własnego wyniesienia, o to ci tylko zdolni są wielkiego mowcę posądzać, którzy znając swe osobiste ubóstwo, pod krajuszkiem cudzéj sławy szukają swego unieśmiertelnienia. Lacordaire nadto żywo czuł w swojéj piersi wielkie skarby Boże — aby mógł być zdolnym takiéj maluczkości. On jako katolik i jako kapłan jednéj tylko pragnął chwały, o jedném tylko myślał wyniesieniu — Ideałem téj chwały było i jest dla niego odrodzenie Francyi przez katolicyzm — szczytem tego wyniesienia tryumf kościoła i panowanie Chrystusa!

W widokach téj sławy gotów był podjąć wielkie poświęcenie — w nadziei, tego tryumfu zrzekł się wypieszczonej myśli na urzeczywistnienie któréj zdobył pozwolenie i matki i arcybiskupa. Był prawie na wyjezdnem do Ameryki, gdzie go miłość Chrystusowa ciągła, kiedy nagle rozległ się grzmot nowych wypadków i taż sama miłość zatrzymała go w kraju. W kilka miesięcy po sprawie lipcowéj, kiedy w rezultacie wielkiego wstrząśnienia zwiększyły się tylko obawy o przyszłość kościoła we Francyi, kiedy rząd wyszły z łona rewolucyi niemogąc wystąpić jako otwarty nieprzyjaciel kościoła zaraz na wstępie położył fundament systematycznego ujarzmienia wszelkich instytucyj duchownych i całego duchowieństwa', kiedy pod pozorem utrzymania porządku publicznego deptano i prawa i świętości kościelne, wywoływano najgwałtowniejszą nienawiść przeciw reprezentantom katolicyzmu, z ziemią zrównano pałac Arcybiskupi za jakieś niby dwójznaczne wyrażenie w pasterskim liście Quellen'a; zniszczono kościół de Saint-Germain-l'Auxerrois, za to, że podczas nabożeństwa za duszę księcia Berry, któryś z młodych legitymistów z własnego natchnienia, z lekkomyślnością właściwą swemu wiekowi postawił na katafalku portret księcia Bordeaux; obalono krzyże missyjne dostrzegłszy w ich ozdobach coś podobnego do lilii Burbonów; kiedy co gorsza ministrom znanym z zasad antykatolickich, protestantom, Żydom, ateuszom powierzono wybór na biskupów i wybierano do téj świętéj godności ludzi już niemówię bez żarliwości o sprawę Pańską, ale co gorsza ludzi bez czci i wiary, kiedy duchowieństwu wydarto resztki wpływu na szkoły ludowe i mieszano się nawet do wewnętrznego zarządu Seminaryów i do Administracyi Sakramentów, zgoła, kiedy systematyczne prześladowanie Juliana odstępcy niemal, że się literalnie powtarzało a kościołowi daleko więcéj groziło, niż wszystkie okropności gi-

lotyny — wówczas kwintessencya duchowieństwa i gorliwszych świeckich katolików wziąwszy się za ręce w gorzkości duszy powiedziała sobie „milczenie i nieczynność dzisiaj byłyby już zbrodnią.“ X. de La Mennais wystąpił z urzeczywistnieniem swych zasad a dziennik *l'Avenir* otwarł pole do działania.

Czy zamiar sam w sobie był zły? wszyscy bliżsi téj sprawy i zdolni jéj ocenienia a przytem dobrzy katolicy odpowiadają, iż owszem był poczęty w jak najczystszych intencyach i miał na celu jedynie obronę uciśnionego kościoła. Czy zasady La Mennais' go mogły być w téj mierze skutecznie zastósowane? Odpowiadamy *nie*, gdyż jako na pół polityczne, niekwadrowały z majestatyczną świętością i spokojnością sprawy katolickiéj, a to *nie*, stało się głębokiem przekonaniem wszystkich katolików, skoro je wypowiedział bł. Papież Grzegórz XVI encykliką z dnia 15 sierpnia 1832 r. i listem kardynała Pacca pisanym nazajutrz po wydaniu encykliki.

Wszakże co w roku 1832 pokazało się niestósownèm, a nawet z wielu względów fałszywèm i złèm, to w roku 1830 w żaden sposób podobnie traktowanèm być niemogło. *L'Avenir* przyszedł do skutku z powszechną radością dobrych katolików. Jaśniały w nim pełnym blaskiem takie imiona jak Gerbet, Rohrbacher, Salinis, de Scorbiac, Montalembert, Daguerre, d' Ault-Duméni'l etc. Stojący na czele de La Mennais zgromadzając około siebie wszystko, co się odznaczało wyższością umysłową i gorliwością, wyciągnął też ręce ku młodemu kapłanowi pracującemu w kollegium Henryka IV i ukochanemu z zapałem przez młodzież, w któréj serce wpajał wiarę i miłość ewangeliczną. Tym kapłanem był Lacordaire.

Przystąpiwszy do redakcyi dziennika *L'Avenir* przez cały rok jego istnienia był najczynniejszym współpracownikiem. Liczne artykuły wyszłe z pod jego pióra

obok świeżości stylu tchnęły też i świeżością myśli i blaskiem zawsze poetycznéj wyobraźni i żarem zawsze młodzieńczego uczucia. Największém jego usiłowaniem było wrócenie religii jéj dawnéj popularności i zniweczenie głęboko zakorzenionych przesądów, jakoby wszystkie zamachy przeciwko prawéj wolności przez nią były początkowane i jakby zawsze szła rękę w rękę z nieprzyjaciołmi prawdziwéj cywilizacyi. Każda nowa niesprawiedliwość, każde pogwałcenie praw kościelnych, każdy akt prześladowania wymierzony przeciw biskupom wydzierał z piersi jego krzyk oburzenia i najwymowniejszą obronę. Walcząc razem z gallikanami, filozofami, ateuszami, hypokrytami, z ludźmi wszelakich barw, nieprzyjaznéj sprawie kościoła czeredy a nawet z katolikami, którzy swoją nieczynność, słabość i bojaźliwość kryli pod zasłoną roztropności, prędko oburzył przeciw sobie ludzi najsprzeczniejszych stronnictw. Ledwie że dziennik liczył miesiąc swego istnienia a już mu wytoczono proces o artykuł pod tytułem *Aux Evêques de France.* Artykuł ten jakby ewangelicznym ogniem napisany wyszedł z pod pióra Lacordair' a; w skutek zaskarżenia, autor wraz z ks. de La Mennais wezwany przed sąd przysięgłych sam bronił swéj sprawy i z powszechną radością wiernych, duchowieństwa i biskupów został zupełnie uniewinniony. Podobny proces niedługo potem dwa razy się powtórzył. W ostatnim, wytoczonym przez Uniwersytet o naruszenie monopolu nauczycielstwa czyli po prostu o to, że Lacordaire wraz z Karolem de Coux i hrabią Montalembert'em wystąpił silnie przeciw najniegodziwszym nadużyciom tego monopolu, obok dzielnéj obrony naszego mowcy zabrzmiał po raz pierwszy przepyszny głos dwudziestoletniego Para Francyi, któremu niedługo potem nietylko katolicka Francya ale też i cała katolicka przyklasnęła Europa.

Tym Parem był właśnie hr. Montalembert.

La Mennais z radością mistrza i ojca tulił obudwu do serca a kiedy imieniem Montalembert'a trząsł się zdziwiony Paryż, o Lacorderze z uśmiechem dumy katolicy powtarzali, iż jest najpiękniejszém dziełem ze wszystkich dzieł swego mistrza.

Burza jednak coraz się groźniéj wzmagała. Z łona samego duchowieństwa wzniosły się ciemne chmury skarg i podejrzeń lub co najmniéj, a co może najsłuszniéj wątpliwości i obawy. Kiedy jedni z uniesieniem radości czytali dziennik a w redaktorach witali przesłańców szczęśliwéj bo zwycięzkiéj epoki kościoła, kiedy drudzy spokojniéj o rzeczach sądząc smutne téj walki przewidywali następstwa, i doradzali zejść z nieszczęśliwie obranego stanowiska, inni urażeni do żywego zarzutem nieczynności, którego dziennik wcale nieszczędził, lub zadraśnięci w swoich wyobrażeniach, głośno występowali z skargami coraz namiętniéj popieranemi.

W skutek tych objaw i podejrzliwości a zwłaszcza w skutek usposobień całkiem nienawistnych pewnéj części duchowieństwa, dziennik *l'Avenir* nagle w kilku dyecezyach został zakazany; czytający go przedtem zwłaszcza młodzi bądź po seminaryach, bądź po zakonach z seminaryów i z zakonów wydalani, zasady dziennika surowo w wychodzących książkach albo broszurach ścigane. Samo podejrzenie o stosunki z jego redaktorami lub o podzielanie ich zasad było w kilku miejscach powodem, iż professorom poodbierano katedry, a proboszczom parafie. Niektóre dzienniki a zwłaszcza *l'Ami de la Religion*, nieprzestając na surowéj a często złośliwéj krytyce pewnych artykułów, frazesów lub myśli, oskarżeniami swojemi sięgały do samych intencyj. W Avignon wyszła książka, w któréj autor mówi o współpracownikach dziennika jako o nowatorach cuchnących Lutrem i utrzymuje, iż o ich myślach zasadach i chęciach nienależy wnioskować z samych wyrażeń a to

dla braku szczerości, co zresztą wychodziło na to samo jak gdyby powiedziano, że dziennika nienależy sądzić według tego co w nim napisano, ale według tego co w nim nienapisano. Legitymiści, czyli stronnicy Burbonów zarzucali, iż dziennik pokrywa tylko swoje zamiary albowiem broniąc religii niewystępuje z żadną obroną upadłéj dynastyi i śmie wykrywać błędy restauracyi — przeciwnie zwolennicy nowego rzeczy porządku pomawiali tenże dziennik o dążności wsteczne z powodu, iż każde energiczniejsze działanie względem kościoła ważył się jako gwałt przedstawiać i jako taki potępiał — Galikanie występowali najsilniéj i bili na punkt zasadniczy, w którego przeprowadzeniu upatrywali ostateczną swoją zgubę.

Wszakże pomijając wszystkie namiętne, niesprawiedliwe zarzuty i skargi, wszystkie osobistości, całą złośliwość niecnych napastników i oskarżycieli, sprawa dziennika coraz bardziéj stawała się zatrważającą. To prawda, iż żaden z biskupów niewystępował z potępieniem oskarżanych propozycyj, ale prawie wszyscy z niespokojnością spoglądali na te zapasy szlachetne wprawdzie i zawsze podejmowane w miłości kościoła lecz gwałtownością i barwą polityczną coraz niebezpieczniejszy biorące kierunek. Lacordaire przeczuwał to niebespieczeństwo i gorzkie następstwa walki, w którą się uwikłał skutkiem swego charakteru — wszakże opuszczać redakcyą w chwili, kiedy się przeciw niéj wzniosła najgwałtowniejsza burza, to w szlachetnem jego przekonaniu byłoby występkiem zdrady — że się jednak dogodnością stanowiska i nadziejami niełudził, że mu obok tego niezbywało na odwadze pokory dowodzą słowa, które wyrzekł na początku stycznia 1831 r. zatem na 11 miesięcy przed zawieszeniem dziennika: „Popełniłem wiele błędów i wiem, że mnie wielkie czekają gorycze.“

Śmierć Leona XII przyśpieszyła smutne rozwiązanie tego dramatu. W sam dzień wstąpienia na tron Grzegorza XVI redakcya zebrawszy w pewne punkta wyznawane przez się zasady i zaopatrzywszy ten akt podpisami wszystkich współpracowników, przesłała go do Rzymu z postanowieniem bezwarunkowego poddania swoich przekonań pod sąd głowy kościoła. P. Sebastiani minister spraw zagranicznych podjął się w téj mierze pośredniczyć u Stolicy ś. wszakże jak się pokazało późniéj nieprzesłał nawet powierzonego sobie aktu. Tymczasem stanowisko dziennika coraz stawało się niebezpieczniejszém. Mówiono głośno, iż Rzym zasady jego potępił— tysiące pogłosek jeżeli niezatrważało, to przynajmniéj w niepewności pogrążało całą redakcyą. Postanowiono udać się do Rzymu; u stóp namiestnika Chrystusowego błagać o położenie kresu téj dręczącéj niepewności. 15 listopada 1831 r. po trzynastu miesiącach walki *l'Avenir* następującą odezwą zawiesił a w rzeczywistości zakończył swoje istnienie: „O Ojcze święty z boleścią i nadzieją w sercu idziemy do twojéj wieczystéj stolicy! tam upadłszy do nóg twoich będziemy błagać, abyś raczył rzucić oczyma na najostateczniejsze z dziatek twoich i posłuchać nas oskarżonych o bunt przeciwko twojéj słodkiéj a nieomylnéj władzy. Jeźliby która z naszych opinij choćby najmniéj różniła się od twego zdania, zrzeczemy się jéj natychmiast i potępimy wraz z tobą, bo twoja nauka jest wskazówką naszych przekonań i innéj nigdy znać niechcemy.“

W saméj istocie, z końcem listopada tegoż roku La Mennais, Montalembert i Lacordaire wybrali się do Rzymu ogłosiwszy poprzednio swój sposób widzenia pod względem potrzeb kościoła we Francyi. Deklaracya ta napisana przez X. Gerbet pod kierunkiem La Mennais'go i podpisana przez wszystkich współpracowników, dotknęła kwestyj najdrażliwszych o stosunku władzy ko-

ścielnéj i władzy świeckiéj, o władzy papiezkiéj i powadze Soborów powszechnych, o potrzebie zupełnego rozdziału dwóch władz i t. p. Prócz tego Lacordaire w skutek uchwały całéj Agencyi wystosował z wielkim talentem i zręcznością podanie do Ojca świętego, w którém w 9 paragrafach przedstawił nie już zasady lub nauki Stowarzyszenia, ale same fakta oraz zamiary i chęci zapobieżenia nieszczęśliwemu stanowi i coraz większym niebezpieczeństwom kościoła we Francyi. Podanie to X. La Mennais zamieścił późniéj całkowicie w książce wyrachowanéj na usprawiedliwienie swego zerwania z kościołem, w książce p. t. *Affaires de Rome*, w któréj genialność wielkiego niegdyś obrońcy kościoła występuje straszliwie nacechowana pychą upadłego anioła. Wszakże dzieło Lacordair'a stanowiące niezawodnie najpiękniejszy rozdział téj książki, z jéj dążnością żadnego nie miało związku i będąc chlubą ucznia bynajmniéj nieusprawiedliwiało mistrza. Kardynał Pacca zobowiązał się podanie to przedstawić Ojcu świętemu, a w krótce po jego wręczeniu oznajmił trzem przybyszom, iż Papież działania Agencyi w żaden sposób pochwalać nie może, że jednak na bliższe zbadanie całéj sprawy zezwala a sąd jéj na późniéj odkłada. Po takiém oświadczeniu Lacordaire z boleścią w sercu, ale razem z pokorą Chrześcijanina i kapłana wrócił do Francyi, Montalembert udał się do Neapolu, sam La Mennais pozostał w Rzymie. W krótce potém bł. p. Grzegórz XVI w Encyklice wydanéj do wszystkich Patryarchów, Prymasów, Arcybiskupów i Biskupów objawił swe najwyższe zdanie, co do potrzeb kościoła i sposobów zaradzania tymże, a Kardynał Pacca przesłał jéj egzemplarz La Mennais'mu wraz z listem następującéj treści:

„Mości Księże!

„Według zrobionéj wam nadziei Ojciec święty posta-

„nowił sam bliżéj zbadać i osądzić zasady i opinie dziennika *l'Avenir*, a tym sposobem przychylić się do waszych usilnych żądań.

„Jego Świętobliwość tém się prędzéj przychyla do „próśb waszych przedłożonych sobie za mojém pośrednictwém, że w tym samym czasie ze wszech stron „odwołują się do jego nieomylnego sądu biskupi błagając o uroczystą decyzyę względem pewnych nauk „dziennika *l'Avenir*, które od samego początku istnienia „tego dziennika tyle narobiły hałasu i stały się powodem najsmutniejszych rozterk między duchowieństwem.

„W Encyklice, którą Ojciec święty wydał do Patryarchów, Arcybiskupów i Biskupów świata katolickiego „w celu oznajmienia im o swém wyniesieniu na tron „papiezki, a któréj egzemplarz dołączam tutaj z wyraźnego rozkazu Jego Świętobliwości, będziesz się mógł „dowiedzieć Mości Książe o zdaniu świętéj Stolicy co do „niektórych opinij, które Jego Świętobliwość jakó przeciwne nauce Kościoła potępia a razem dowiesz się, „czego się trzymać potrzeba, ażeby w tych punktach „nieodstępować od świętéj tradycyi i niezmiennych zasad Kościoła. Pomiędzy pierwszemi znajdziesz i takie, „jakie dziennik *l'Avenir* wyznawał i rozwijał.

„Ojciec święty dopełniając świętego obowiązku swego „Apostolskiego posłannictwa, niechciał przecież pominąć „względów, jakie mieć raczy co do twéj osoby już to „z powodu wielkich twych zdolności, już dla twych dawnych zasług względem religii. Będziesz się mógł o „tém przekonać Mości Książe, gdy w Encyklice ani „twego imienia, ani tytułu dzieł, z których czerpano „zasady przez stolicę ś. odrzucone, ani razu wzmiankowanych nie znajdziesz.

„Wszakże, gdy miłość prawdy zapewnie ożywia cię „zawsze i gdy ją pragniesz poznać, aby jéj drogą zawsze postępować, zatém przedstawię ci otwarcie w kilku

„słowach główne punkta, które po zbadaniu dziennika „*l'Avenir* najwięcéj się Jego Świętobliwości niepodobały.

„Najprzód tedy wielce to zasmuciło Ojca świętego, „iż Redaktorowie pozwolili sobie rozprawiać w obec ca„łéj publiczności a nawet wyrokować w przedmiotach „kwestyi najdrażliwszych bez żadnego względu na rząd „Kościoła i na jego Naczelnika, do których rzecz ta wy„łącznie należy. Nie możesz zaprzeczyć Mości Księże, „iż z tego powodu wynikły liczne zamieszki i rozterki „zwłaszcza między duchownymi, co zawsze na wiernych „wpływ nader szkodliwy wywiera.

„Również nagania i potępia Ojciec święty nauki do„tyczące kwestyi politycznych, które, niewątpię, że „przeciw twym własnym intencyom dążą z saméj swéj „natury do obudzania i rozszerzania ducha nieuległości „i nieładu. Wiadomo ci jednak Mości Księże, jak tego „rodzaju dążności wprost się sprzeciwiają zasadom Ewan„gelii.

„Nauki dziennika *l'Avènir*, co do wolności wyznań i „prassy, są traktowane z taką przesadą i tak daleko „posuwane przez pp. Redaktorów, iż równie zasługują „na naganę jako sprzeciwiające się nauce, zasadom i „praktyce Kościoła. Wielce téż one udręczyły Ojca świę„tego, boć jeżeli w pewnych okolicznościach roztropność „doradza tollerancyą mniejszego złego, nigdy przecież „złe to nie może być traktowane przez katolika jako „coś dobrego lub pożądanego.

„Oto jest Mości Księże, oświadczenie, które Jego „Świętobliwość poleciła ci uczynić w formie konfiden„cyonalnéj. Pamiętny na piękną i uroczystą obietnicę „z jaką się oświadczałeś wraz z swymi współpraco„wnikami i jaką ogłaszałeś publicznie, że *według na„kazu Zbawiciela będziecie posłusznymi jako dzieci jego „namiestnikowi*, Ojciec święty tém wspomnieniem pocie„sza strapione swe serce. Jestem pewien, że obietnica

„wasza nie pozostanie bez skutku, a ty Mości Księże „wraz z towarzyszami swymi nie będziesz się wachał „iść za przykładem wielkiego męża i prałata, który stał „się zaszczytem waszego narodu, a którego imie pozo- „stanie na zawsze drogiém i szacowném dla Kościoła. „Nie zapominaj Mości Księże, że ten mąż daleko stał „się większym przez swe szlachetne wyznanie, niżby „nim był przez swe dzieła. Niewątpię że pójdziesz za „tak godnym siebie wzorem.

„Naprzód ci tego winszuję i z przyjemnością chwy- „tając za sposobność wyrażenia ci mego szacunku oraz „że zostaję

twym najprzychylniejszym sługą.

Rzym, 16 sierpnia 1832 r.

Bartłomiéj Kardynał *Pacca*."

Wskutek tego najwyższego Sądu Świętéj Stolicy dziennik *l'Avenir* dotąd tylko zawieszony przestał zupełnie istnieć, a Stowarzyszenie ogłosiło się za rozwiązane. Lacordaire swém niewzruszoném postanowieniem przełamał jeszcze upór swego dawnego mistrza, który, jak się pokazuje z jego własnych wyznań [4]) wcale swém usposobieniem nie odpowiadał oczekiwaniom szlachetnego kardynała, a obrażony w swéj dumie już począł w sercu najnieszczęśliwszą nienawiść i dla Stolicy świętéj i dla całego Kościoła. Pomimo tego La Mennais oświadczenie Agencyi podpisał i takowe z uprzejmym jeszcze listem kardynałowi przesłał. Wszakże była to tylko uprzejmość; zimne wyrażenia zdradzały jeżli jeszcze nie nienawiść, to przynajmniéj straszliwą jakąś zlodowaciałość dla sprawy sercu jego niedawno jeszcze tak drogiéj. Milczący i z sercem pełném goryczy wrócił do ulubionego zacisza La Chesnaie — Lacordaire prze-

---

4) *Affaires de Rome* — str. 149.

czuwając na co się zanosi pospieszył tamże z księdzem Gerbet'em ratować nieszczęśliwego przyjaciela.

On czuł dobrze potrzebę oparcia się na ognisku jedności katolickiéj, on pojmował, że to oparcie się, winno być oparciem przekonania, oparciem serca, oparciem zupełném, bezwarunkowém; on wierzył, iż dla społeczeństwa w posiadaniu prawdy zagrożonego, schorzałego, rozdzierającego się w swych własnych żywiołach a nawet już rozdartego, jak nie mógł być ratunkiem ów mdły, nieoznaczony, sentymentalny, lamartynowski chrystyanizm niekatolicki, tak podobnie nie mógł nim być ów katolicyzm emancypowany z pod pełnéj władzy i ciągłego wpływu najwyższéj głowy Kościoła, ów katolicyzm tworzący kościoły narodowe, a w faryzajskich obawach hypercentralizacyi czyli *zbytniéj jedności* z Rzymem tworzący deklaracye, punktuacye i tym podobne krotofile schyzmy; jak gdyby *zbytnia jedność* tu zwłaszcza była możebną, jakby samo to wyrażenie pod względem jedności katolickiéj, żywotnéj, nie było sprzecznością i dowodem już zamyślanego buntu, — on to wszystko jasno pojmował i co poprzednio z całą żywością swéj wiary, z całą gorącością serca a razem z całą swą genialnością przelał w swe artykuły, co pragnął, aby było wiarą i przekonaniem całéj Francyi a szczególniéj duchowieństwa, to wyznawał czynem synowskiego poddania się Stolicy świętéj, czynem zrzeczenia się prędkiego i chętnego pewnych zasad, których Rzym nie potępiał nawet, ale ze względu na okoliczności tylko niepochwalał, nieapprobował. — On czuł nakoniec, że właśnie nadeszła chwila pokazania czynem, jaka to powinna być jedność z Rzymem i uległość jego wyrokom — a tak pojmując, tak czując, wierząc i chcąc, czynił co tylko mógł, ażeby w La Mennais'go podobną wiarę i podobne przekonanie wmówić. Jemu samemu nie trudno było zatrzymać się, uchylić głowę, uderzyć się w piersi skoro

tylko Grzegórz XVI dał do zrozumienia, że szli za daleko i że tak idąc mogliby sprawę królestwa Bożego skompromitować, ale pracując nad swym dawnym mistrzem drżał z obawy, ażeby serce jego zranione nie przerzuciło się w pewną gorzką obojętność względem Prawdy, tak po rycersku przedtém bronionéj, a może nawet w pewną milczącą nienawiść względem Kościoła, który napominając upokarzał, a upokarzając ratował. Usiłowania były długie, czasami nader przykre i bolesne — ale daremne, bo co przedtém było hartem katolickiego geniuszu, to się już zmieniło niestety, w zatwardziałość upadłego anioła. Lacordaire w bolesném rozczarowaniu opuścił la Chesnaie a w czas niejaki pisząc do jednego z swych znajomych wyznawał, iż bardzo długą i okropną przeszedł walkę, nim przyszło do stanowczego zerwania tak niegdyś miłych i silnych stosunków.

Po takiéj burzy i takiém rozbiciu potrzeba było odpocząć, skupić się, nabrać sił nowych do nowego wystąpienia w sprawie, która dla serca młodego kapłana nie straciła bynajmniéj uroku skutkiem doznanego zawodu, ale owszem jak gdyby nowym zajaśniała wdziękiem. Postanowił zatém czas niejaki przepędzić w zaciszu i odosobnieniu; w tém odosobnieniu nowym oddał się pracom. Czytał dzieła ś. Augustyna, ś. Tomasza z Akwinu, badał najgłębsze ich prace, przykuł się do nich z pewną namiętną miłością, przenosił w swego ducha najpiękniejsze ich pomysły, przyswajał je sobie, obracał w soki żywotne, a skutkiem tych prac rozjaśniał swój umysł niby dyamentami myśli dwóch najpotężniejszych doktorów Kościoła.

Wszakże zanadto już był znany, nadto ceniony, ażeby mógł dłużéj nieco pozostawać w tém ukryciu. Arcybiskup Quélen, który sam myśl swego ulubieńca po-

chwalił i zamiarowi dłuższéj pracy błogosławił, sam go niezadługo wyprowadził z błogiego zacisza. Na prośbę dyrektora kollegium Stanisława, wezwał on Lacordair'a do wystąpienia w zawodzie kaznodziejskim, i na ten cel przeznaczył mu kaplicę kollegialną. Było to w roku 1834; powodzenie było tak wielkie, że w krótkim czasie kaznodzieja zgromadził około siebie nietylko co najzdolniejszą młodzież, ale nawet ludzi wytrawnych i znakomitych, a co większa iż mnóstwo serc zjednał, Kościołowi. Kazania były improwizowane, przygotowywał się do nich czytaniem Ewangelii, Ojców świętych i modlitwą, a nie myśląc wiele o zewnętrznéj formie słowa, świeżością i potęgą wyrażenia niesłychany wpływ wywierał.

W tym samym czasie chcąc z jednéj strony dowieść, iż poddanie się jego Kościołowi nie było wymuszone jakiemiś względami ani téż pozorne, a z drugiéj strony pragnąc przykładem swoim choć z daleka zachęcać jeszcze nieszczęśliwego przyjaciela, otworzyć mu oczy i zniewolić go do stanowczego, bezwarunkowego pojednania się z Kościołem, ogłosił drukiem pierwsze swe dziełko szczupłéj prawda objętości, ale znakomicie napisane pod tytułem: *Considerations sur le système philosophique de M l'abbé de La Mennais*. Długo się wachał i wielu się radził zanim to pismo był wydał. Arcybiskup z początku odradzał stanowczo, obawiając się w miejsce dobrego wpływu tém większego rozjątrzenia i Lacordaire uznawszy słuszność czynionych sobie uwag, postanowił albo się wstrzymać, albo zupełnie wszelkiéj publikacyi w téj mierze zaniechać; wszakże gdy rzeczy przyszły prawie do ostateczności, gdy La Mennais wylał całą swą gorycz w małą książeczkę odsłaniającą cały ogrom jego pychy, gdy mimo próśb przyjaciół i rady jeszcze sobie przychylnych biskupów broszurkę tę ogłosił drukiem pod ty-

tułem *Paroles d'un Croyant* [5]), naówczas i Arcybiskup i Lacordaire zmienili zupełnie swe zdanie co do powyżéj wspomnianéj broszury — i publikacya jéj została wspólnie zadecydowaną.

Wszakże zanim to przyszło do skutku, Arcybiskup na prośbę Lacordair'a z ojcowską dobrocią i słodyczą napisał jeszcze list, w którym objawiwszy swe obawy wsparte na coraz głośniejszych pogłoskach, wzywa dawnego obrońcę Kościoła, aby sam oświadczeniem się swojém zawstydził potwarców rozgłaszających jego ostateczne zerwanie z Kościołem: „Napisz mi, tak kończy „swój list, napisz mi sam, że to jest kłamstwo, że to „jest potwarz, że książki podobnéj wcale ogłaszać nie „myślisz, twoja odpowiedź pokryje wstydem oskarży„cieli a mnie wielce pocieszy, mnie, który wszystkim „odpowiadam własnemi twojemi słowy, iż *postanowiłeś* „*zupełnie milczyć w przedmiocie religii*" [6]).

Ale odpowiedź nieugiętego Bretona była bolesna, okropna. Utrzymuje on, iż postanowiwszy w samej istocie przez miłość dla religii nie odzywać się więcéj w przedmiotach wprost jéj dotyczących, zamierzył pisać tylko w zakresie filozofii, umiejętności i polityki; że broszurka o którą Arcybiskup zapytuje należy właśnie do publikacyi filozoficzno-politycznych; że jest napisana w sposób dla ludu przystępny i przeznaczona wyłącznie dla ludu, że do ogłoszenia jéj i puszczenia w obieg zniewala go coraz straszliwszy stan Francyi i całéj Europy, że jéj

---

[5]) Książeczka ta zaraz została przetłumaczoną na nasz język p. t. *Słowa wieszcze* i w licznych egzemplarzach w obieg puszczona a przez ludzi młodych, namiętnych i Kościołowi nieprzychylnych z wielkim zapałem czytana. Wydawca starał się o ile tylko można wycofać ją z obiegu i resztę edycyi zniszczył. W duchu miłości Kościoła postąpi, kto się do jéj zniszczenia przyłoży.

[6]) *Lettre de M. l'archevêque de Paris à M. l'Abbé La Mennais (Affaires de Rome).*

celem jest dobro ludzkości a szczególniéj dobro uciśnionych cierpiących, gnębionych, że jednak zniewolony wspomnieć kilkokrotnie imie Jezusa Chrystusa, wystrzegał się wszelkiego zastósowania do Chrystyanizmu i ani razu z pod jego pióra nie wyszła nazwa Kościoła, a nakoniec, że podając tę książkę w ręce ludu czuje iż dopełnia ścisłego ze swéj strony obowiązku i nowego poświęcenia i według tego pragnie być sądzonym [7]).

Powiedzieliśmy, iż odpowiedź była okropną. W saméj istocie książka ta z szatańskiém prawdziwie wyrachowaniem przeciw najwyższéj głowie Kościoła i przeciw katolickim pojęciom o stosunkach rządzących do rządzonych wymierzona, jest okropnym, monumentalnym dowodem, jak dalece zaślepić może pycha najuczeńszych nawet obrońców religii, kiedy tylko zdoła wmówić w ich serce, iż są narzędziem ku spełnieniu wyższych widoków Opatrzności względnie Kościoła, że Kościołowi są potrzebni niezbędnie, że bez nich Prawda ostać się nie może itp. itp. Książka ta dowodzi, iż w innéj epoce La Mennais, byłby Ojcem nowéj herezyi, herezyi najniebezpieczniejszéj, gdyż zabijającéj nietylko wszelakie pojęcie hierarchii i negującéj tych lub owych dogmatów, ale sprowadzającéj wszystkie dogmata, wszystkie przykazania Chrystyanizmu do jednego dogmatu i przykazania *powszechnego braterstwa ludzkości;* wystawiającéj krzyż nie jako sztandar zgody człowieka z Bogiem i człowieka z człowiekiem, ale jako krwawą pochodnię zawiści i walki na śmierć z tém wszystkiém co stanowi porządek społeczny; zachęcającéj wreszcie ludzkość, aby wstępowała na szczyt Kalwaryi, nie jako na szczyt poświęcenia ale jako na wrzący ogniem krater strasznego wulkanu. Jeden z najprzychylniejszych i najzdolniejszych

---

[7]) *Affaires de Rome* p. 189. *Reponse de La Mennais à M. l'Archevêque de Paris.*

uczniów La Mennais'go, człowiek wielkiéj nauki i wielkiéj słodyczy, Gerbet, nie może powściągnąć swego oburzenia gdy mówi o téj broszurce: „Czuję się obowiązanym, mówi on, krzyczeć jak najgłośniéj i tym krzykiem zapobiegać nieszczęściom, jakie ta książka gotuje „wywracając wszelkie pojęcia społecznego ładu i wiodąc do niesłychanéj anarchii“ [8]).

I czyż podobna było, czy się godziło po tem wszystkiem milczeć? Czy się godziło milczeć tym zwłaszcza, którzy kilka lat przedtem z takim się skupili zapałem około tego człowieka, który w obronie Chrystyanizmu wystąpił z blaskiem i żarliwością pierwotnych obrońców kościoła? Czy mógł milczyć *Lacordaire*, którego powszechnie zwano uczniem, dzieckiem La Mennais'go? Czy to milczenie niebyłoby pewnego rodzaju approbacyą i to jeszcze w obec Encykliki Rzymu [9]) jak najwyraźniéj i jak najściśléj potępiającéj zasady La Mennais'go po raz pierwszy wyraźnie i stanowczo w owém piśmie wyrażone! w obec sądu Najwyższéj głowy kościoła i w obec tego oburzenia z jakiem ten sąd wyraża mówiąc: iż bez zgrozy niemożna czytać téj książki [10]) i że jéj wyrażenia jako kłamliwe, potwarcze, bezbożne, słowu boskiemu przeciwne i gorszące potępia i przez wszystkich katolików potępionemi mieć chce? Czy podobna było zapytujemy raz jeszcze w obec tego wszystkiego milczeć Lacordair'owi?

Tak utrzymywało wielu. Że tak utrzymywali nieprzyjaciele kościoła, to niedziwno, ale dziwno, że tak mieć

---

[8]) Du dernier écrit de M. de La Mennais, par M. l'abbé Ph. Gerbet... w czasopismie p. t. *L'Université Catholique.*

[9]) Encyklika ta wystosowana do całego świata katolickiego zaczyna się od słów: *Singulari nos affecerant.*

[10]) Horruimus sane Venerabiles Fratres vel ex primo occulorum obtutu auctorisque caecitatem miserati intelleximus, quonam scientia prorumpat.

chcieli nawet niektórzy z duchownych i wielu na pozór dobrych katolików. Lacordaire poszedł za radą arcybiskupa i swoje *Considerations* drukiem ogłosił. W książce téj zachował on wszelakie względy dla osób. Obok miłości kościoła pachną z niéj, że tak powiem, tkliwa miłość dla upadłego wraz z uczuciami szacunku, żalu i boleści. Z całą skromnością wyznaje w niéj niższość swoją pod względem umysłowym, niewacha się przecież obok tego z całą otwartością upominać dawnego przyjaciela o błądzenie, wyniosłość i niewdzięczność względem Oblubienicy Chrystusa; przedstawia mu niebezpieczeństwa wypłynąć mogące z jego zasad choćby też przy najlepszych intencyach. Co jest najznakomitsze w téj książce, to rozdział wstępny *o stanie Kościoła we Francyi*, w którym się zdaje, że autorowi każde słowo poddaje tkliwa, synowska miłość względem Ojca świętego, a w którym przepysznie tłumaczone ustępy z dzieł ś. Augustyna i ś. Tomasza dowodzą nadzwyczajnego przejęcia się ich pismami. Głównym celem tego dzieła jest wykazanie La Mennais'mu, iż największym błędem jego filozofii i źródłem wszystkich innych błędów *jest postawienie na równi powagi ludzkiego rodzaju obok powagi kościoła a nawet* przekładanie pierwszéj nad drugą.

Chęć odosobnienia się, pragnienie cichości znowu się żywo obudziły w sercu Lacordiar'a; wszakże coraz więcéj znajdując przeszkód w uskutecznieniu tych pragnień coraz też żywiéj tęsknić zaczynał do stanu, w którymby łatwiéj dogodzić żądzy zupełniejszego poświęcenia się Bogu. Z kollegium Stanisława arcybiskup powołał go na kaznodzieję katedralnego — ze strony arcybiskupa był to dowód wielkiéj przychylności tem bardziéj, że wielu z starszych duchownych piastujących wyższe dostojności objawiało już to obawy, już niechęci względem młodego kaznodziei, tem bardziéj, że i w opinii publicznéj wiele głosów było przeciw niemu. W r. 1835

wystąpił w czasie postu po raz pierwszy — powodzenie było nad spodziewanie. Młodzież tak zapełniła ogromny kościół *Notre Dame* jak już niebywało od niepamiętnych czasów. Oto jak się wyraża o tych pierwszych konferencyach sam nieprzychylny wielkiemu mowcy autor biografii duchowieństwa współecznego: „Wszystko co „tylko Paryż miał świetnego, uczonego, znakomitego, „wszystko to otaczało tłumnie ambonę w Notre Dame „skoro tylko mówił z niéj Lacordaire. Chateaubriand przy„chodził punktualnie wraz z p. Pozzo di Borgo; pp. de „la Martine i Arago byli zawsze jedni z najpierwéj „przychodzących; pana de Cormenin i Cahen uczonego „izraelitę mogłeś znaleźć za każdą razą między najuwa„żniéj i z największém zajęciem słuchającymi. Mnóstwo „z tych nawet którzy niedawno tak surowo sądzili i „potępiali mowcę *wolnéj* szkoły (de l'Ecole libre), w r. „1831 słuchali go i z uniesieniem podziwiali w roku „1834 [1])".

Co się dotyczy sprawy *mowcy wolnéj szkoły w r. 1831*, czytelnicy przypominają sobie, żeśmy o niéj napomknęli nieco powyżéj, tu więc o tyle tylko jeszcze o niéj wspomniemy, o ile to posłużyć może do przedstawienia i téj przytomności i téj nieustraszonéj śmiałości z jaką Lacordaire zawsze występował w obronie swych religijnych przekonań. Rzecz cała toczyła się o założenie szkoły bezpłatnéj na ulicy ś. Jakuba przez Lacordair'a Montalembert'a i de Coux, za co po rozpędzeniu szkoły wytoczono im proces i zapozwano przed kratki. P. Persil adwokat jeneralny stanął przeciwko nim i był prawie zgnieciony ognistą wymową naszego kaznodziei, który bez żadnego przygotowania wystąpił razem jako adwokat, trybun, subtelny i straszliwy dyalektyk, oraz jako broniący się i oskarżający własnego swego oskar-

---

[1]) **Biographie du Clergé Contemporain, par un Solitaire 8 Livraison Octobre 1841.**

życiela. „Dla czegóż Panowie, pytam was, dla czego „mam odpowiadać z miejsca oskarżonych, kiedy pro„kurator generalny zasiada miejsce wprawdzie dostojno„ści swojéj odpowiednie, ale nie odpowiednie swemu po„stępowaniu? Jakiem prawem adwokat jeneralny śmie „występować jako mój oskarżyciel, on który podobnie „jak ja zawinił i który winę swą popełnił tu właśnie, „w tem samem miejscu z którego mnie oskarża? Oto, „żem użył prawa nadanego kartą konstytucyjną, kiedy „ta karta nie była jeszcze urządzoną. Ależ on sam nie„dawno temu żądał głów czterech ministrów i żądał „w moc prawa na tejże saméj karcie konstutucyjnéj za„pisanego i także jeszcze nie urządzonego. On na mocy „karty żądał rozlania krwi, ja na mocy tejże karty „chciałem nauczać darmo dzieci biednego ludu. Obadwaj „działaliśmy na mocy tego samego artykułu. Więc je„żeli sam prokurator jeneralny przez to zawinił, jak „może mnie oskarżać sam nieoskarżony, a jeżeli nie za„winił, jak może przeciwko równie niewinnemu wystę„pować“ ([12])

Podobna obrona w obec podobnych sędziów nie mogła się naturalnie skończyć inaczéj tylko wyrokiem potępiającym. O saméj obronie a pomimo jéj wielkiéj zręczności i śmiałości nie można powiedzieć, aby się zalecała tą spokojną godnością i tą chrześciańską pokorą, z jakąby się winny odzywać usta katolickiego kapłana, dla tego nie chwaląc jéj bynajmniéj pod tym względem przypominamy jednak czytelnikowi, że to było jeszcze w chwili, kiedy Lacordaire zostawał pod wpływem La Mennais'go i kiedy sprawę kościoła, zbyt jeszcze namiętnie mieszał z sprawą polityczną; przytoczyliśmy zaś ten ustęp dla tego tylko, aby dać poznać jacy to nieprzyjaciele, jacy sędziowie słuchali go w r. 1835 *i po-*

---

[12]) **Biographie du Clergé Contemporain.**

dziwiali z uniesieniem, gdy już tylko jako mowca religijny, jako kaznodzieja z podobną zręcznością i nieustraszonością występował po raz pierwszy nie już przeciw prokuratorowi jeneralnemu, ale przeciw okropnéj potędze ducha czasu i przeciw wszechwładnéj opinii puplicznéj tak w ówczas groźnie i namiętnie miotającéj się na kościół. Pierwsze te albowiem konferencye były właśnie apologią kościoła.

Ażeby dać dotykalniejsze pojęcie czem był Lacordaire w téj apologii, stawmy go obok sławnego obrońcy Chrystyanizmu, biskupa Frayssinus, który naszego mowcę nie wielu laty w stolicy Francyi wyprzedził. Jeżlibyśmy ich chcieli porównać wedle natury talentu i według ducha czasu powiedzielibyśmy tylko, iż obadwaj doznawali powodzenia o jakiém od czasu wielkiéj epoki Ludwika XIV roczniki kościoła we Francyi nie wspominają. Chcąc rozsądzać pomiędzy nimi potrzebaby najprzód wiedzieć, który z nich więcéj zdobył dusz dla sprawy królestwa Bożego, co gdy wcale nie jest łatwem, lub prawie jest niepodobnem przeto poprzestać musimy na ich ocenieniu według tego, jak który mówił. Autor Obrony Chrześcianizmu zda się więcéj wykończonym, jego kazania ściśle wykonane według przepisów wymowy klassycznéj; tym czasem Lacordaire silniejszy, więcéj męzki, oryginalniejszy. Czytając dzisiaj kazania pierwszego widzimy w nich raczéj pięknie brzmiące i wygłaskane rozprawy niż kazania, ale téż razem dziwną przejżroczystość myśli i we wszystkiem cudny porządek, gdy tymczasem drugi nigdy swych kazań nie pisząc, zupełnie inny przedstawia obraz; nie zatrzymując się bowiem, pędem prawie bierzy do rzeczy, jest pełen życia i rozmaitości, zawsze natchniony, w dowodzeniach prostszy a w wywodzie następstw sciślejszy i prawdziwszy. Frayssinus jest retorem, Lacordaire jest oratorem, albo raczéj mniéj oratorem a więcéj tém, czem być

powinien. Frayssinus był człowiekiem dworu, kaznodzieją społeczności znudzonéj i umordowanéj, więc umysły wzburzone chciał, że tak powiem ukołysać, uspokoić harmonijnem dźwiękiem przepysznych frazesów. Przeciwnie Lacordaire żarliwy, palący się i usiłujący zapalić wszystko, z uśpienia, z obojętności gwałtem wydziera, z chwiejących i z namyślających się chciałby wykrzesać natychmiast iskrę czynu, którąby zaraz w pożar poświęcenia dla sprawy pańskiéj rozdmuchał; on bez uwagi, że prawda, mogłaby oburzyć, zirytować rzuca ją pod nogi swego audytorium nagą, szorstką, twardą, gromiącą i gniotącą przeciwnika; przedstawia rzeczy tak jak są, bez żadnej gry wyrazów, bez żadnych osłon, frazesów, bez troski o formy, o piękność zewnętrzną, owszem z pewném, że tak powiem lekceważeniem wszystkiego co nazywają *prawidłami wymowy*, z pewną wzgardą dla wszystkiego co wyszukane i sztuczne. Ktoś powiedział, że jak Frayssinus jest Izokratesem francuskim, tak Lacordaire ma coś z fizyonomii Eschinesa, ale to porównanie, jakby zapewnie miłem było pierwszemu, który obok miłości Ewangelii miał jeszcze wiele słabości dla klassycyzmu, tak jest ubliżającem drugiemu, który Eschinesa zna i lubi jak się zna i lubi piękny posąg z czasów pogańskiéj starożytności, ale który poznawszy Chrystusa umiłowawszy go i zapragnąwszy jego królestwa w duszach swych braci, wie dobrze, iż jak mądrość tego świata jest głupstwem u Boga, tak i piękność czysto świecka jest dzieciń有stwem, którem zaledwie mimochodem warto się zajmować.

Wszakże nie myślemy przeczyć aby fizyonomia nie miała także swoich korzyści i wpływu na serca słuchaczy, chcieliśmy tylko powiedzieć, że kaznodzieja taki, jak Lacordaire ani potrzebował, ani chciał zapewnie myśleć o tém, co bez myślenia i studiów, tylko z głębokiego przejęcia się rzeczą Boską i z wykształcenia

się na Ewangelii i na ojcach wypływa samo korzystnie, a o czem im się więcéj myśli, tem się bardziéj traci z oka to, coby właśnie całą duszę kaznodziei wypełniać powinno. Lacordaire najmniéj mógłby wpływać tém, czém jest zewnętrznie. Wzrost jego średni, twarz blada i nacechowana pewnym wyrazem cierpienia, głos jakby zardzewiały i słaby, to wszstko wcale nie jest zbyt przemawiające. Ale proszę nań uważać kiedy mówi. Głos z początku słaby i drżący, tak słaby że ledwie od najbliżéj stojących przy ambonie może być słyszanym, i że obudza w sercach przychylnych obawę, aby nie ustał w samym początku, aby się nie wyczerpał w połowie, w miarę jak w duszy jego wzmaga się zapał, coraz silniejszym, coraz czystszym, coraz dźwięczniejszym się staje. Życie rumieńcem wytryska na wybladłe lice, wielkie i czarne oczy zdają się płonąć, pryskać świętemi iskrami, ruchy coraz pełniejsze, coraz majestatyczniejsze, w całéj postaci cudowne jakieś dzieje się przemienienie i gdy niezliczony rój słuchaczy z wlepionymi weń oczyma z na pół otwartemi ustami już nie powiem słucha ale tonie w téj wzniosłéj i jakby z wyższego świata przybyłéj postaci, kiedy każdy sam oddech tłumi, aby nie stracić jakiegoś słowa i gdy najmniejszy szmer nie zdradza powszechnego entuzyazmu — on sam wzbiwszy się na skrzydłach miłości na podobieństwo ewangelicznego orła, szponami słowa zbłąkane owce na łono dobrego Pasterza unosi.

Po dwóch latach, w czasie których oprócz kazań miewanych z powodu rozmaitych okoliczności mówił przez cały post w Notre Dame, kończąc drugi oddział swych konferencyj, tak się odezwał do wzruszonego głęboko audytorium:

„Kto by mi to dał, abym was mógł natchnąć myślą „zwrócenia się do Boga w modlitwie i odnowienia z nim „świętych związków nie tylko przez umysł, ale i przez

„silne pragnienie serca! Tego pożąda dusza moja w téj „chwili, kiedy was opuszczam, a nadzieję, że się tak „stanie unoszę wraz z sobą. Mówiąc z tego miejsca do „was z woli mojego Pasterza i z waszego wyboru, w rę- „ce tegoż Pasterza składam posłannictwo moje. Tą po- „dwójną aureolą jaśniało przez chwilę me czoło; teraz, „pozwólcie abym się na czas niejaki oddalił, i zaprza- „wszy się samego siebie, abym się sam znalazł w obec „méj nędzy i w obec Boga!“

Skończył — a tłum słuchaczy jakby przykuty tém słowém pożegnalném i jakby jeszcze czegoś oczekujący, w milczeniu ścigał swém wzrokiem rozpromienioną twarz mówcy. Rzekłbyś, iż kiedy dźwięk słowa umilknął, słuchano jeszcze, jak się to słowo bez dźwięku samym wyrazem oblicza wypowiadało; tymczasem milczenie to przerwał głos poważny i zwrócił na siebie powszechną uwagę — był to głos Arcybiskupa, który z miłością Ojca i z tonem tkliwego żalu rzekł do swych owieczek:

„W krótce opuści nas miły nasz kaznodzieja *pomimo „żywych i kilkakrotnie z naszéj strony ponawianych prze- „kładań.* Idzie on do miasta wiecznego, by aż na „grobie świętych apostołów złożyć świadectwo swéj sil- „néj wiary i swojéj miłości. Miejmy nadzieję, że po- „wróci do nas jeszcze, że powróci jeszcze ku większéj „serc naszych pociesze....“

Wielu z przeciwników a szczególniéj najnieprzychylniejszy Madrolle, utrzymują, iż Arcybiskup wcale nie był zadowolniony z tych konferencyj, że wiele znajdowało się w nich takich rzeczy, które wprost były przeciwne jego przekonaniu i zasadom; że niektóre wyraźnie potępiał, — wszakże możemy twierdzić na śmiało, że to wszystko są tylko inwencye tych dusz miernych, które nie mając nic na pocieszenie się w swych zazdrościach i w uczuciu swéj niższości, nie cofają się przed

żadnym środkiem, któryby im mógł posłużyć do zniżenia lub przyćmienia wysokości i blasku geniuszu. W tém przekonaniu utwierdzają nas fakta, bo pominąwszy, iż powyższe wyrażenie Arcybiskupa w obec wyboru owieczek, w świątyni Pańskiéj wyrzeczone, jak najchlubniejsze mowcy oddaje świadectwo, przytoczyć możemy najprzód to, że po zakończeniu konferencyj postnych mianował go kanonikiem paryzkim, a co większa, że w obec kilkotysięcznego audytorium nazwał go: *prorokiem nowego rzeczy porządku (un prophète d'un ordre nouveau).* Wyrażenie to dające nader wiele do myślenia, wyrzeczone z głębokiém wzruszeniem, zrozumiane było literalnie i jak pragnących pewnego zbawiennego ruchu, któryby z Rzymem zjednoczył ściśléj duchowieństwo i któryby przez Kościół mógł z Bogiem pogodzić ludzi wielce pocieszało, tak ludzi lękliwych, ludzi małéj wiary i ociężałych nader zraniło boleśnie. Z samych kanoników niektórzy wynurzali z tego powodu swe oburzenie i dręczące obawy. Jeden z wielkich wikaryuszów arcybiskupich tak głęboko tém wyrażeniem został zasmucony, iż się nie mógł od łez powstrzymać.

Jeżliby się kto zapytał po co wyjeżdżał do Rzymu, odpowiedzielibyśmy z całém przekonaniem o dostateczności tego powodu, iż wyjechał dla tego, że kochał Rzym; że w tém ognisku królestwa Chrystusowego na ziemi pragnął zagrzać swe serce nowym zapasem miłości Kościoła, ażeby w jego sprawie tém żarliwiéj, mężniéj i skuteczniéj mógł sobie poczynać. Z resztą jeżeli to komu nie wystarcza i chciałby widzieć powód, jak to mówią realniejszy, wówczas jakkolwiek wiemy i wierzymy oparci na powadze boskiego słowa iż w obec Boga jedynie realną rzeczą jest *Miłość*, moglibyśmy przecie i inne powody przytoczyć, jak naprzykład, że się pragnął bliżéj przysłuchać, jak téż kaznodzieje rzymscy mówią

a zwłaszcza słynący podówczas Wentura, że chciał w samém źródle umiejętności religijnéj zgłębić doskonaléj teologią, co wszystko zdaje nam się daleko więcéj zasługuje na uwzględnienie jak owe szlachetne wprawdzie, ale na rzeczywistéj potrzebie nie bardzo oparte pobudki do wysyłania młodych artystów do Włoch, aby się mogli na mistrzowskich doskonalić wzorach. To ostatnie może świadczyć o dobrym smaku społeczności i z téj strony niezaprzeczenie pochwały jest godne, ale wysyłanie kapłanów do stolicy Chrześcijaństwa w celu doskonalenia ich na dobrych teologów, mowców i pasterzy, świadczyłoby o głębokiém przejęciu się potrzebami Kościoła i sądząc o rzeczach w duchu Kościoła, zdaje nam się, iż byłoby bardzo do życzenia, a urzeczywistniane, bardzo byłoby godne uwielbienia. Wszakże Lacordaire miał jeszcze jeden nader ważny powód — on bowiem w głębi serca nosił pragnienie doskonalszego poświęcenia się Bogu, myśl wstąpienia do zakonu, a gdy wiedział czém są zakony w Rzymie, te zakony, które gdzieindziéj duch obojętności lub nienawiści przeciw Kościołowi zepsuł, albo zupełnie zniweczył; gdy z drugiéj strony czuł potrzebę odnowienia na swéj ziemi téj Chrystusowéj armii, bez któréj usiłowania pojedyncze choćby téż najszlachetniejsze niewystarczają, cóż słuszniejszego jak, że środków urzeczywistnienia téj myśli i tych pragnień poszedł szukać w Rzymie?

A przecież w saméj istocie wielu na tę wyprawę krzyczało jako na rzecz wcale niepotrzebną i tylko młodzieńczą egzaltacyą spowodowaną. Bądź cobądź Arcybiskup powody uznał za słuszne a kapłanowi wybierającemu się w drogę w towarzystwie księdza Boutod i młodego człowieka świeżo z niedorzeczności Saintsymonizmu uleczonego, udzielił swe pasterskie błogosławieństwo. W dwa lata potém Lacordaire wraz z owym młodym człowie-

kiem nazwiskiem Hipolit Requeda weszli do klasztoru OO. Dominikanów pod nazwą Minerwa, będącego podówczas główną rezydencyą jenerała tegoż zakonu i tam przez czas niejaki sposobili się do Nowicyatu. Grzegórz XVIty dał im szczególne posłuchanie i przyjął ich z wielką dobrocią, a kiedy mu jenerał przedstawił, iż mają zamiar przywdziać sukienkę ś. Dominika i pracować w Kościele jako Bracia kaznodzieje, Ojciec święty odpowiedział z uśmiechem zadowolnienia: „Niechże więc idą „naprzód, błogosławimy szlachetnemu ich zamiarowi“— jakoż w saméj rzeczy w kilka tygodni potém Lacordaire i Requeda przywdziawszy białe sukienki udali się zaraz do Quercia w pobliżu Viterbo i tam wraz z siedmiu dawniejszymi pracowali nad rozwinięciem i ustaleniem w sobie ducha zakonnego. Nie możemy przemilczéć, iż w liczbie owych siedmiu znajdował się także młody kapłan polski oraz znakomity malarz francuzki Besson, obecnie przeor klasztoru przy kościele ś. Sabiny, gdzie się już wychowuje nowa generacya Braci zreformowanych według pierwotnéj reguły ś. Dominika. Requeda w kilka miesięcy umarł na febrę, co do Lacordair'a, reguła zakonna tak mu przypadła do serca, tak mu się zawsze zdawała łatwą i naturalną, jak gdyby była dla niego samego napisaną. „Tam na wszystko znalazłem dość „czasu, pisze sam o sobie, tam mi dzień boży wystar„czał i na modlitwę i na nauki i na swobodną rozmo„wę z braćmi i na błogą a tak mi zawsze miłą samo„tność; było to prawdziwie niebo na téj ziemi. Ale nie „wiem jak to będzie późniéj, kiedy wypadnie opuścić „to święte zacisze!... Bóg da że będzie dobrze, bo zre„sztą cóż może być lepszego jak w takiém oderwaniu „się od świata pracować dla zbawienia świata!“ Że czasu nie brakowało, a przynajmniéj, że chwil pozostałych od modlitwy i ćwiczeń duchownych używał dobrze, dowodem tego dwie śliczne książki w tych czasach na-

pisane chociaż o wiele późniéj ogłoszone drukiem, z których pierwsza była odwołaniem się do sprawiedliwości narodu francuzkiego w celu przywrócenia we Francyi zakonów a zwłaszcza Zakonu Braci Kaznodziejów [13]), a druga mistrzowskim obrazem życia ś. Dominika, o któréj sam Chateaubriand był wyrzekł, iż zawiera w sobie ustępy, które na zawsze zostaną chlubą literatury współczesnéj [14]).

Jako Dominikan wrócił do Francyi w r. 1841 — a tegoż samego roku 14 lutego ukazał się znowu na ambonie Notre Dame. Mówił o podwójnéj Ojczyźnie, ziemskiéj i niebieskiéj; przedstawiał najprzód chwałę, jaką Bóg w widokach swego królestwa przyodział naród francuzki. — Ogromna świątynia napełniona słuchaczami trzęsła się prawie uniesieniem, którego wybuchu już nic nie mogło powstrzymać — nagle mowca ustał a milczeniem swojém nakazał wszystkim milczenie i było znowu cicho, że się zdawało jak gdyby wszyscy przestali nawet oddychać a w téj majestatycznéj cichości zabrzmiał na nowo silny i dźwięczny głos zakonnika: „Zanadto mó„wiłem długo, rzekł wreszcie, ależ to nie moja wina „tylko wina mojego narodu, wasza wina, bom ja wasze „opowiadał dzieje, przebaczcie mi żem was zniewolił do „spełnienia kielicha chwały aż do dna“.

A potém zmieniwszy ton, głosem smętnym a raczéj ponurym tak mówił: „Francya jednak zdradziła własne „swoje dzieje! Francya zdradziła swoje wielkie posłan„nictwo. Aż po wiek XVIII jeżeli ktoś w narodzie na„szym powstał przeciwko religii, powstawał jako prze„ciw ogromnéj potędze. Wiek XVIII rozpoczął z nią „walkę mieczem śmiechu i szyderstwa. Śmiech i szy-

---

[13]) Mémoire pour le rétablissement en France de l'ordre des frères prêcheurs. 1841.

[14]) Vie de Saint Dominique (zaraz po wyjściu na język polski przetłumaczone).

„derstwo zstąpiło z wyżyn filozoficznych między dworaków, „śmiech przeszedł do szkół, salonów i między lud prosty. „Śmiech i szyderstwo dotarły aż do stopni tronu; śmiech „i szyderstwo widziano nawet na ustach kapłana; śmiech „bezecny, zabijający wśliznął się w ognisko rodzinnego „życia, zjawił się pomiędzy matką i dziećmi! Wielki „Boże! i z kogo, z kogo się śmiano? Francya trzęsła się „śmiechem z Jezusa Chrystusa i z Ewangelii!

„Gdyby się Bóg był radził swéj sprawiedliwości, czy „wiecie co by był z nami uczynił? Byłby nas zabił, „byłby nas zgruchotał jako naczynie garncarskie i „w gniewie swoim byłby się naśmiał z naszego zuchwal„stwa. Wszakże nieuczynił tego, postanowił nas zbawić „ale przez expiacyą tak wzniosłą jak straszliwą była „zbrodnia Francyi!“

Po tém kazaniu na długo znowu zamilkł dla Paryża wyjechał bowiem na prowincyą i kazał przez całą zimę r. 1842 w Bordeaux a w roku następnym w Nancy po czem schronił się do klasztoru w Bosco niedaleko od Aleksandryi, gdzie czas niejaki uczył nowicyuszów aż wreszcie na wezwanie arcybiskupa wrócił na pomownicę Notre Dame i w siedmiu konferencyach poprowadził siedmią laty przerwaną Apologią katolicyzmu.

Konferencye te mimo niewykończonéj a często nawet zaniedbanéj formy, mimo wad stylu, szorstkości i zbytniéj popularności wyrażeń, mimo częstych i rażących wycieczek w zakres historyi, filozofii, polityki i umiejętności ścisłych mimo krwawéj jaskrawości obrazów i śmiałości w porównaniach— zgoła pomimo wszystkiego, co im zarzucają bądź to pod względem formy, bądź pod względem treści są jednak, według sądu ludzi głębokich i z wysoka na rzeczy patrzących, są i zostaną jednym z najpiękniejszych kwiatów wymowy religijnéj. Że też do nie były bez ogromnego wpływu najlepszym tego dowodem jest owa chciwość i zapalczywość, z jaką do

samego ostatka napełniano katedrę Notre Dame, wiele kroć razy Lacordaire miał się odezwać; z jaką obok ludzi wszelkiego stanu a nawet rozmaitych wyznań cisnęło się tłumnie duchowieństwo świeckie i zakonne; z jaką sami biskupi przybywali do stolicy, ażeby obok tronu arcybiskupiego umieścić się naprzeciw ambony, z któréj pokorny i ubogi zakonnik potęgą bożego Słowa elektryzował umysły i serca i z niezrównanym wdziękiem majestat owego Słowa przedstawiał. Ostatnie z tych konferencyj miewane w r. 1851 o *Rządach Opatrzności* słuchane były z zapałem prawie niepodobnym do opisania. Za każdym przestankiem trzeba się było obawiać, aby słuchacze już z samego usposobienia narodowego tak skorzy do objawienia swych uczuć niewybuchnęli jak to bywało w pierwszych latach głośnym i powszechnym oklaskiem, od czego mowca kilkakrotnie powtarzanemi prożbami a nawet i surowem upomnieniem zaledwie ich zdołał odzwyczaić. Zapewnie, że tego rodzaju demonstracye niedowodzą jeszcze zbawiennego działania słowa, ale kiedy po skończonych konferencyach konfessyonały zaczynają być w coraz większem oblężeniu, kiedy liczba kommunij Wielkanocnych rok rocznie już niepowiem podwaja się, ale się mnoży, potęguje, kiedy zamiast dwóch tysięcy przystępujących w tym czasie, jak to niestety bywało przed dwudziestu laty, przystępuje sto tysięcy, kiedy się tłumnie nawracają żydzi, protestanci, ateusze, racyonaliści, rozpustnicy niemal po każdoroczniem wystąpieniu mowcy, naówczas trudno byłoby chcieć zaprzeczyć ogromnego a rzeczywistego wpływu jaki ów mowca na słuchających wywiera. Być zresztą może iż do stóp Ołtarza niewielu doprowadził, jak niektórzy utrzymują, aleć jeżeli, czego nikt zaprzeczyć niemoże, jeżeli on nieujęte przedtem tłumy potęgą słowa do kościoła sprowadził, on też ma wielką zasługę w doprowadzeniu tych tłumów do osta-

tecznych następstw nawrócenia; bo jakiż byłby sposób na zniewolenie do praktyk kościelnych tych wszystkich, którzy niedawno jeszcze ani wiedzieli, ani chcieli o kościele wiedzieć? Powiedzieliśmy, że konferencye te są i *zostaną* jednym z najpiękniejszych kwiatów wymowy religijnéj. Proszę zaś zważyć, iż dla mowcy jak Lacordaire, który nigdy swych kazań niepisze, ale który owszem, jak sam wyznaje w tenczas z największą łatwością mówi, kiedy najmniéj porządkuje, to co Bóg w czasie modlitwy i pobożnego rozmyślania poda, że dla takiego mowcy wcale niełatwo przejść silnym wpływem do potomności. Zwykle kazania tego rodzaju schwytane i wydrukowane, kiedy się już niesłuchają ale tylko czytają niemają wiele pociągu, owszem rażą i nudzą swoją długością swemi zboczeniami, brakiem barwy, ognia, życia, brakiem akcyi, zgoła brakiem wszystkiego, czem mówiący może wpływ słowa niezmiernie podnieść i czem na słuchaczów działa. Kazania nawet wypracowane i głęboko pomyślane, kiedy się tylko czytają w książce a nie zaś słuchają tracą na mocy i są po prostu czytaniem, które może działać na umysł, ale nadzwyczaj rzadko działa na zdobycie przekonania; cóż dopiéro kazania mówione bez przygotowania i w większéj części pomyślane dopiéro wówczas, kiedy mowca już stoi w obec swych słuchaczy? takie improwizacye schwytane przez stenografów i wydrukowane mogą wprawdzie dać jakieś pojęcie rzeczy — ale będzie to coś podobnego do pojęcia, jakie daje wierny szkic o pięknym obrazie; będzie to może kwiat, ale kwiat zasuszony bez pełności kształtów, bez barwy i bez zapachu.

To prawie powszechna reguła; wszakże Lacordaire stanowi w téj mierze ogromny wyjątek. Jego konferencye czytają się jak się czytają kazania Bossuet'a, jak się czyta wykład na Ewanielią ś. Augustyna. Wielki

improwizator zda się być wielkim pisarzem; jeżeliś słyszał którą z jego konferencyj czytasz ją potem nie z równem prawdzie, ale z podobnem wzruszeniem i zajęciem; czujesz w nich wyraźnie pełność i siłę, która się tylko przez modlitwę, przez pracę ducha i przez badanie dzieł świętéj mądrości z wyższego zaczerpuje świata.

Pomimo tego, zarzutów niebrakowało, a świeckie i duchowne krytyki nieraz z całą zajadłością ścigały wielkiego mowcę. Wielu z poważnych nawet duchownych, niemogą mu przebaczyć, że sobie stworzył formę całkiem inną od téj, w jakiéj mówili Bourdalou, Bossuet i Massillon, zapominają jednak, że on mówił do całkiem innéj społeczności; że nie mówił dla ludzi mierzących rzeczy łokciem akademickiéj piękności ale, że mówił do dusz umęczonych niewiarą a łaknących światła i pociechy; że mówił o rzeczach boskich w takiéj formie i takim językiem, jakich właśnie potrzeba było, aby się dobrać do serca, jakich wymagało obecne stanowisko słuchających, a nie zaś w owych, jakie przypadać mogły do epoki wielkiego wprawdzie zepsucia pod względem moralności, ale jeszcze dosyć silnéj wiary. Lacordaire niemógł wystąpić jak występował Bossuet lub Massillon, bo on to czuł dobrze, właśnie jako wielki mowca, że się trzeba było odezwać nie do jakiejś cząstki ludzi, nie do téj lub owéj koteryi, ale do wszystkich a szczególniéj do młodzieży i do ludu niepojmujących wcale ani podobających sobie w doskonałościach form, ale potrzebujących słowa prawdy, słowa życia, słowa zastósowanego do ich potrzeb i pojęć, słowa że tak powiem przyjacielskiego, któreby mniéj rozkazywało, więcéj goiło, słowa litującego się, współczującego, na podobieństwo słowa Chrystusowego mówiącego z góry do tłumów łaknących chleba wiary i spragnionych wina duchownéj pociechy. Inni znowu mają mu za złe, iż

więcéj ściągał słuchaczy siłą erudycyi, poezyą, blaskiem niezwykłych form, niżeli istotą rzeczy; niemogąc ścierpieć téj nowéj potęgi tak wzruszającéj i porywającéj i niemogąc zaprzeczyć oczywistego powodzenia, to mu zarzucali, co właśnie było najpiękniejszą jego chwałą, co mu dawało wyższość nad innych, to jest, że niemówił, jak mówili inni i często nad zasługi jego przekładali zasługi proboszczów i wikaryuszów parafij pracujących bez rozgłosu, jakby naprzykład można zarzucać naszemu Skardze, że o nim współcześni i potomni więcéj mówili, niż o pracujących podówczas w mieście lub na wsi proboszczach.

Tego rodzaju krytyki lub ubolewania zwykle się powtarzają przez ludzi, którzy religią i wszystko co się do niéj odnosi pojmują ze stanowiska zwykłych spraw doczesnych a to tylko za dobre uznają, co się w pewne rubryki da ująć; ludzie którzy bądź to w skutek zobojętnienia religijnego, bądź téż w skutek pokrytości, czy téż zresztą w skutek swéj mierności i niechęci dla wszystkiego co się tylko nad jéj poziom wzniesie, wiecznie objawiają swe podejrzenia i obawy, skoro się tylko dowiedzą o energiczniejszém i do istotnych potrzeb religijnych zastósowanem wystąpieniu, wiecznie lamentują ze strachu, żeby przypadkiem sprawa religii nie postąpiła *za nadto*. Według nich, wszystko, co tylko wychodzi po za obręb *status quo* nic nie jest warte, i tylko śmiechu albo potępienia godne. Bez żadnego względu, czy ów *status quo* dobry lub zły, czy zgodny z duchem Kościoła, czy temu duchowi przeciwny, czy prowadzi do jakiegoś rezultatu czy pomaga tylko do zmartwiałości, czy jest wypływem wiary lub niewiary, dzieckiem szczerze katolickiéj lub całkiem bezbożnéj epoki, bez żadnego na to względu, zawsze ów stan w ich argumentowaniu jest punktem wyjścia i stanowi tak zwaną w języku scholastycznym *propositio major*, zawsze ich *ergo*

jest wystrzałem przeciw wszystkiemu, co z ową propozycyą nie kwadruje. Podobnie jak w hierarchii kościelnéj gotowi zawsze lekceważyć Papieża i władzę jego określać na rzecz biskupów dla tego, że Papież daleko a biskupi blisko, dla tego że zgnilizna febronianizmu przesiąkła w społeczeństwo do którego należą, — podobnie jak gdy tego potrzeba, poniewierają powagę biskupów i nad ich działanie stawiają działanie proboszczy, dla tego może, że owa powaga zadrasnęła w czemś miłość ich własną — podobnie wreszcie jak nad działanie kapłana pasującego się z niewiarą i zepsuciem klass miejskich oceniają nieskończenie wyżéj działanie wiejskiego proboszcza, dla tego że sami nic nie robią, albo też to tylko robią, co się robi zwykle, aby się przecie jako tako to życie płużyło — tak podobnie zdawało się onym sędziom wielkiego mowcy, o którym mówimy, iż go całkiem z wysokości na któréj stanął strącili i zgnietli, — owszem, że coś nader słusznego i stanowczego orzekli, kiedy poczęli krzyczeć, że pierwszy lepszy wiejski wikaryusz sto razy więcéj się poświęca i więcéj z działania swego może mieć zasługi niż kaznodzieja Lacordaire.

Z drugiéj strony racyonaliści w żaden sposób nie mogli tego strawić, że mnich jeden z taką odwagą i z taką siłą odważył się powstawać przeciwko systematom przez nich podejmowanym, tworzonym, wznawianym lub od Niemców zapożyczanym i wyznawanym z pewnego rodzaju zaciekłym fanatyzmem. Ci więc zarzucali znów mowcy, że w obec wiary ludzki rozum upokarza i że naturalnéj ludzkiéj nie dość uznaje godności. Chcieliby byli, ażeby Lacordaire tak, jak oni widział tylko w nauce Jezusa Chrystusa pewną wielką epokę w rozwoju ludzkiego ducha, pewne tylko ogniwo w postępie cywilizacyi do któréj ludzkość w moc swoich naturalnych potęg zmierza, tymczasem mowca przekonywał

i mnóstwo przekonał, że okrom imienia Jezusa Chrystusa, nie było, nie ma i nie będzie żadnego imienia, któremuby rodzaj ludzki miał zawdzięczać swe zbawienie, że po za Ewangelią nie ma nic innego okrom ciemności, że po za moralnością Ewangeliczną jest tylko nędza i zbrodnia, że po za katolicyzmem jest tylko wieczne i doczesne piekło. Przecież tak będąc przekonany i tak nauczając bynajmniéj niezaprzeczał rozumowi jego praw w właściwym zakresie, owszem nazywał go nawet w zakresie religii *siostrą wiary*, uwielbiał jego działalność, pieścił się przedstawiając jak bogato Bóg obdarzył człowieka, gdy go obdarzył rozumem.

To co do krytyki, teraz abyśmy mogli ocenić rzeczywistą wartość mowcy, na to potrzebaby go koniecznie słyszeć a przynajmniéj trzebaby konferencye jego porządnie przeczytać. Konferencye te ogłaszane drukiem w miarę jak były mówione stanowią trzy wielkie tomy, z których każdy zawiera w sobie trzy lata. Tom czwarty ma dopiero jeden poszyt i byłby już zapewnie skończony, gdyby mowca nie był zmuszony zamilknąć na lat blisko cztery, wszakże spodziewamy się że ukończony będzie niezadługo, gdyż znowu roku zeszłego odezwał się w jednem z wielkich miast Francyi, a peryodyczne pismo *Le Correspondent*, którego Lacordaire jest współpracownikiem, przyobiecuje wkrótce ogłosić ośm konferencyj mających stanowić drugi poszyt tomu czwartego.

Mamyż szczegółowo dotknąć téj znakomitéj pracy, przedstawić treść każdéj konferencyi a przynajmniéj każdego poszytu? Byłaby to rzecz i zbyteczna i nadzwyczaj trudna. Zbyteczna, albowiem w artykule niniejszym nie zamierzyliśmy mówić o kaznodziejskich dziełach Lacordair'a, ale o Lacorderze jako o najznakomitszym z tegoczesnych kaznodziei; a nadzwyczaj trudna, gdyż chcieć przedstawiać treść kazań improwizowanych, w któ-

rych każdy niemal okres ma swe osobne skarby i które nie ulegają żadnéj tożsamości formy, byłaby to praca więcéj może wymagająca mozołu i czasu niż gdybyśmy chcieli przedstawić je w całkowitym przekładzie.

Wszakże aby czytelnikowi dać jakieśkolwiek pojęcie owéj potęgi i świeżości, jaką ten mowca jaśnieje na widnokręgu wymowy religijnéj, sądzimy że nie od rzeczy będzie zakończyć tę pierwszą część naszéj pracy przytoczeniem chociaż kilku ustępów szczególniéj nacechowanych ową świeżością i siłą. W pierwszych ośmiu konferencyach mianych w roku 1835 — mowca zaczął od apologii Kościoła. Mówi najprzód o potrzebie Kościoła nauczającego i o jego wyłącznym charakterze, następnie przedstawia hierarchiczny układ Kościoła, jego moralną władzę i nieomylność, ognisko téj władzy i nieomylności w Namiestniku Chrystusa a gdy przychodzi do stosunków Kościoła z władzą świecką i wykazuje że Kościół moc swoją i swe posłannictwo wziął prosto od Boga, na zarzuty nieprzychylnych Kościołowi a nawet nienawistnych, których podówczas wcale nie brakowało we Francyi, tak odpowiada:

„Jeżliby się ktoś zapytywał, jakiem prawem Kościół „moc tę odebrał władzcom ziemskim, jakiem prawem „władzę swoją obok władzy Cezarów postawił, to za„pytanie wychodziłoby zupełnie na jedno i toż samo „jak gdyby zapytywał jakiem prawem Chrystyanizm „śmiał się ustalić wśród ludzi? Ależ Chrystyanizm ró„wnie stary jak ten świat; Kościół nikomu niewydarł „wewnętrznéj, boskiéj siły łaski, bo téj siły krom Ko„ścioła nikt nieposiadał na ziemi, a co do wolności „ogłaszania Ewangelii, téj także z niczyich innych rąk „niewziął, tylko z rąk boskiego swego ustawodawcy. Tak „jest, żadna z potęg tego świata ani téj mocy nieposiadała, ani téj wolności zaprzeczać Kościołowi niemo„że. Kościół ją z prawa boskiego posiada. Kościół nau-

„cza, bo mu to Jezus Chrystus nakazał mówiąc: *Idźcie „i nauczajcie wszystkie narody.* Kościół odpuszcza grze„chy, bo Jezus Chrystus doń wyrzekł: *Odpuszczajcie „grzechy, co rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w nie„bie.* Kościół działa, uświęca i zbawia, bo Jezus Chry„stus dał mu w tym celu razem moc i wolność mó„wiąc: *Bierzcie Ducha świętego;* a tak i jedno i drugie „wziąwszy od Boga posiadamy jedno i drugie właśnie „dla tego, żeśmy je wzięli od Boga. Potęgi tego świata „mogą sobie podać ręce, ażeby walczyć przeciw tym „przywilejom Kościoła, mogą te prawa znieważać hań„biącemi nazwy, mogą je przedstawiać jako zgubne „społeczeństwu, ale Kościół nieprzestanie dla tego opo„wiadać prawdy, odpuszczać grzechów, walczyć przeciw „występkom i uświęcać Duchem Bożym. I jeżliby nas „za to skazano na wygnanie, my na wygnaniu toż samo „czynić będziemy, i jeżliby nas wtrącono do więzienia „my i w więzieniu zrobimy toż samo; i jeżliby nas ob„ciążono kajdanami i jak złoczyńców do kopalni lub „na galery wysłano, mybyśmy to samo w kopalniach „lub na galerach czynili. Z jednego miejsca wygnani „spieszylibyśmy na drugie, bo nam powiedziano, że do „skończenia świata nie braknie nam miejsca na ziemi „ku opowiadaniu królestwa Bożego. A gdyby nas ze„wsząd wygnano, gdyby potęga Antychrysta wzniosła swe „berło nad światem, naówczas my ucieczemy do grobów, „my jak pierwotni męczennicy schronimy się do kata„kumb. Gdyby zaś i tam nas ścigano, i gdyby nas „z grobów wywleczono na rusztowanie, naówczas w ser„cu każdego szlachetnego człowieka my znajdziemy „jeszcze schronienie, tak jest, bo my nigdy nie zwąt„pimy o prawdzie i o sprawiedliwości ([15])!“

---

[15]) Sixième Conference. Des Rapports de l'Eglise avec l'ordre temporel. T. I.

Po tym ogólnym wykładzie nauk o Kościele, w roku następnym (1836) mowca przystąpił do szczegółowego przedstawienia ustawy, posłannictwa i władzy Kościoła pod światłem Pisma ś., Tradycyi, Rozumu i Wiary, a traktując z osobna te wielkie próbierze Prawdy katolickiéj, w ostatniéj konferencyi o sposobach nabycia wiary mówi o modlitwie jako właśnie o najpotężniejszym środku zyskania wiary, a mówi z taką siłą i słodyczą, z tak głębokiém przejęciem się tym najdroższym podarunkiem, jakim Bóg obdarzył człowieka a razem z tak ścisłém zastósowaniem się do osłabionéj niewiarą a zdruzgotanéj nieszczęściami generacyi, przyszłéj na świat w pośród bluźnierstwa i okropnych wstrząśnień, że sam ten ustęp wystarczałby za dowód nie powiem już wyższości kaznodziejskiego talentu, ale wyższości posłannictwa do odradzającéj się społeczności XIXgo stulecia. Oto są jego słowa:

„Bóg sam się raczył uczynić dłużnikiem wielkiéj na-„széj nędzy. Bóg w serca nasze wlał cudowną moc, któ-„rąbyśmy mogli rozbroić jego gniew, przychylać sobie „jego łaski, złagodzić straszną nierówność pomiędzy „człowiekiem-grzesznikiem a Bogiem — niewysławioną „świętością. Bóg to uczynił, gdy nam dał modlitwę. „Modlitwa jest królową świata. W pokorne przybrana „szaty, z pochyloném czołem, z wyciągniętemi rękoma „ona świat ten osłania i ratuje swym błagalnym maje-„statem. Ona ustawicznie z serca nędzarza płynie do „serca Ojca i Pana wszechrzeczy, a im niżéj to serce „z którego ona na skrzydłach jęków wybiega, tém wy-„żéj biegnie, tém pewniejsza wygrana. Gdyby robak „mógł się modlić, gdyby nas zdołał błagać w chwili „kiedy go zdeptać myślimy, czyliżby w sercu naszém „nie obudził wielkiego politowania? Dla czego? bo ten „robaczek daleko niżéj od nas, a kiedy bez porównania, „my nieskończenie niżéj względem Boga, więc też ża-

„dna prośba nie mogłaby tak być potężną, zwycięzką „jak ta, która z serc naszych biegnie aż do jego tronu! „Ona też wciąż odnawia nasze związki z Bogiem; ona „go nam zniewala, ale tak cudownie zniewala, że w ni„czém wolności jego nie nadweręża; ona też jest w nas „matką wiary. I dla tego wyrzekł był Chrystus: *Proście „a będzie wam dano, szukajcie a najdziecie, kołaczcie a „będzie wam otworzono. Albowiem wszelki, który prosi „bierze, a kto szuka najduje, a kołaczącemu bywa otwo„rzono*“ [16]).

W roku 1843, kiedy po siedmioletniém milczeniu ukazał się znowu w kościele Notre Dame i już nie jako kapłan świecki ale jako Dominikan miał poprowadzić dalej swe dzieło, wielu się obawiało, czy te lata przepędzone w zupełném oderwaniu się od świata, wśród ćwiczeń zakonnych i głębokich badań teologicznych nie odjęły mowcy téj młodzieńczéj energii i świeżości, téj pełności życia, jaką przedtém drgało każde jego słowo — ale obawy za pierwszém wystąpieniem przeszły w uniesienie bez granic, kiedy się pokazało, że mowca nic nie straciwszy z dawnego, zyskał owszem bardzo wiele, że nie zestarzał, ale tylko zmężniał i pod względem myśli i pod względem wyrażenia. W tym roku mówiąc o wpływach nauki katolickiéj na ducha ludzkiego i przedstawiając między skutkami tego wpływu najprzód pewność rozumową a potém pewność mystyczną, jakiemi katolicyzm obdarza człowieka, dowodzi pod względem pierwszéj, iż ona nie jest owocem badań filozoficznych, naukowych, ale skutkiem bezpośredniego działania Boga; że w przeciwnym razie pewność ta rozumowa będąc potrzebną każdemu człowiekowi, jako istocie myślącéj, byłaby tylko możebną pewnéj części ludzi mających i czas i zdolności do badań ściśle naukowych. „Powiecie

---

[16]) S. Mat. r. VII, w. 7 i 9.

„może, mówi on, iż dla reszty zgotował Bóg *pewność* „*rozumową pośrednią*, że ich postawił w zetknięciu z tymi, „którzy posiadają umiejętność, z arystokracyą wiedzy i „pewności rozumowéj? — Ależ nie zapominajcie, że na „téj ziemi są dwie powagi nauczające, jedna, która „twierdzi a tą jest Kościół katolicki; druga, która prze„czy a tą jest racyonalizm! Nie zapominajcie, że na téj „ziemi istnieje ogromne sprzysiężenie umysłów, do tego „stopnia, że kiedy lud chce (co się tylko przypuszcza), „że kiedy, mówię, lud chce się odnieść do powagi, mię„sza się natychmiast i sam nie wie co sobie ma począć. „Bo lud widzi z jednéj strony ten zadziwiający Kościół, „to zgromadzenie ludzi, którzy porwani jedną myślą, „jedną siłą—wierzą, twierdzą, chrzczą, poświęcają się „praktykami swéj wiary; ma przed oczyma ten ogro„mny widok nauczycielstwa katolickiego, wyrażający się „w modlitwie przez świątynie, w słowie przez kazania „i katechizmy, w życiu przez miłość, w poświęceniu „przez rozlanéj krwi świadectwo...... ale ten sam lud „widzi z drugiéj strony ludzi, którzy nauczają wprost „przeciwnie, którzy bluźnią lub szydzą z rzeczy wiary, „znieważają świątynie, stawiają filantropią naprzeciw „miłości, księgi przeciw księgom, uczonych przeciw pa„sterzom, prozelityzm niewiary przeciw żarliwości w na„wracaniu do wiary!... I czyliż łatwo temu ludowi, „niememu świadkowi tak okropnéj walki, czy jemu tak „łatwo zdać sobie sprawę ściśle umiejętnie, rozróżnić „filozoficznie w tym podwójnym głosie uderzającym bez„ustannie jego słuch zdziwiony, który z nich jest krzy„kiem fałszu a który echem żywéj, boskiéj prawdy?!..

. . . .

„Czyż w saméj istocie sądzicie, że Wielki Bóg zrobił „zależném zbawienie swojego ludu od tych wszystkich „kłótni i logogryfów, któremi się szamota mądrość ludz„ka od sześciu tysięcy lat? Żywie Bóg tak nie jest i

„tak nie będzie! Prawda nie jest jak ów bajeczny a „potworny Sfinx dający ciągłe zagadki, a tych, którzy „ich nie umieją rozplątać, pożerający bez miłosierdzia! „Przypuśćmy, że się lud odniesie do powagi czysto „ludzkiéj, czy wiecie, coby ztąd wypłynęło? Oto ludz„kość rozpadłaby się na dwie kasty. Byliby braminy „i Parias. Jedniby stali w bezpośredniém zetknięciu „z nauką, drudzy by ją brali przez trzecie ręce; jedni „widzieliby prawdę, mówiliby z Bogiem, drudzy mówi„liby tylko z człowiekiem i nie widząc nic okrom czło„wieka, z rąk człowieka na ślepo odbieraliby prawdę, „którą tylko mędrcy mogliby zgłębiać na mocy wyłą„cznego przywileju; taka zaś pewność jest-li czémś in„ném jak wiarą? Wierzonoby wówczas w naukę kato„licką, jak się wierzy, że był kiedyś Cezar, ponieważ „ludzie świadczą, że był. Bóg i Cezar mieliby za sobą „jednę i tęż samą pewność“ [17]).

Kończąc tę konferencyę po przedstawieniu téj głębokiéj wiary, która lud prosty, niewiastę i dziecię tak silnie jednoczy z Kościołem, zapytuje:

„Jest-li to powątpiewanie, lub jest-li to pewność ja„sna światłością wyższą nadnaturalną? Boć jeżeli to jest „pewność jasna światłem tylko naturalném, mogliby wam „przecie coś odpowiedzieć gdy im dowodzicie że nauka, „którą wyznają jest błędem i kłamstwem, tymczasem „nie odpowiadają nic. Wy im dowodzicie metafizycznie, „historycznie — wy mówicie do jednego z nich: ale mój „bracie, ty jesteś władzą a Kościół ciebie zrobił niewol„nikiem; tobie przeznaczone bogactwa a Kościół zrobił „cię nędzarzem; twój głód, to Kościół; to że pragniesz, „to Kościół; to żeś nędznie przyodziany, to Kościół; „śpisz na barłogu, to Kościół — wszystkich twoich cier-

[17]) Année 1843, Quatorzième Conférence. De la certitude rationnelle produite dans l'esprit par la doctrine Catholique.

„pień Kościół jest przyczyną a ty tego nie widzisz! — „Tak jest, wy tak przekonywujecie, ale powiadam wam „z góry, że ten nędzarz nic wam na to nie odpowie. „Gdybyście przynajmniéj pomówili ze mną, moje słowo „mogłoby się zmierzyć z waszém, ale ten lud prosty, „cóż wy chcecie, żeby ten lud odpowiadał, kiedy on „nie ma ani waszego rozumu ani waszéj nauki? — Na „szczęście lud ten ma światło boskie, w obec którego „wasze rozumy są niczém. Wasze téż słowo tyle na nim „sprawia, ileby sprawił widok ślepego zaprzeczającego „bytu słońca. My widzimy to słońce przedwiecznéj pra„wdy — wasze słowa nam przeczą. Cóż ztąd? My was „nawet nie słyszymy. Wasz głos obok głosu mówiącéj „w nas pewności niknie jak brzęczenie natrętnéj muchy „wśród grzmotu wzburzonych żywiołów!“

W innéj konferencyi mówiąc o pewności mistycznéj jako o drugim skutku nauki katolickiéj ze względu na ducha ludzkiego i twierdząc, że ta pewność jest możebną i rzeczywiście istniejącą tak się wyraża:

„Czyż rozumiecie w saméj rzeczy, że Bóg tak na rze„czy patrzy i tak je widzi jak my je widzimy? Czy „rozumiecie, że On, który jest światłością istotową, w so„bie istniejącą, postępuje tak jak my, w sposób czysto „rozumowy, to jest kładzie zasady, z zasad wyprowadza „wnioski a z wniosków znowu powraca do zasad; zgoła, „że jak my, w poznawaniu rzeczy przechodzić musi ca„ły ów proces, który zowiemy rozumowym, logicznym, „naturalnym, filozoficznym (mniejsza o nazwę)? Nie. „Bóg jedném prostém spojrzeniem ogarnia wszystko, „widzi wszystko, zna wszystko, siebie samego i wszy„stko, cokolwiek jest możebném, cokolwiek z woli jego „może istnieć, jednym, niezmiennym aktem wszechwie„dzy widzi wszystko, co było, jest i będzie po miria„dach wieków — całe następstwo i zmienność rzeczy stwo„rzonych. Proszę was teraz, dla czegóżbyśmy w pewnym

„stopniu nie mogli mieć udziału w tém nadprzyrodzoném, „nadumysłowém świetle? Dla czegóż Bóg, który człowiekowi dał możność poznawania przez zasady i wnioski, nie mógłby nam udzielić dla pewnych przedmiotów, w wielkich celach coś z własnéj swojéj światłości? „Dla czegóżby człowiek, który posiada zdolność wnioskowania i odnoszenia się do zasad, nie mógł posiadać siły czystego poglądu — intuicyi? Czyż nieposiadacie téj władzy, w zakresie nawet tylu niższych rzeczy będących przedmiotem waszego badania? Czy nie „posiadacie téj intuicyi, tego wewnętrznego poglądu na „rzeczy, tego doraźnego chwytania razem i zasad i wniosków?

. . . .

„W wielkich bataliach czemże jest geniusz wojenny? „Kiedy wódz mając dwakroćstotysięcy po za sobą i „dwakroćstotysięcy przed sobą, stoi wśród gęstych dymów, wśród ścierających i krzyżujących się mass i „kiedy każde doniesienie przerywa w połowie jęk śmierci „donoszącego, nagle (jak mówi Bossuet nad zwłokami „Kondeusza) porywa go i ogarnia jakieś światło niespodziane, duch jedném spojrzeniem obejmuje wszystko — wydaje ostatni rozkaz i już spokojny bo pewien, „że wszystko skończone.

„Jakto nazwiecie, jeżeli zaprzeczacie pewności mistycznéj?“

. . . .

„Czy powiecie, że to zjawisko niebędąc rozumowem, „niemoże też być przedmiotem duskussyi?..... To zwykła taktyka niewiary. Wiecie-li na czem cała jéj zręczność polega? Oto na rozdzielaniu w tajemnicy wiary „od siły mistycznéj. Rozdzielają, aby tem łatwiéj pokonać, bo każda z osobna wzięta nierozwięzuje trudności. „Jeżeli im stawiamy *siłę rozumową* nauki katolickiéj, „wówczas mówią: „Ależ zwróćcie uwagę na dzieci, na

„kobiety, na lud prosty,— jest-li dla nich ta nauka ro-
„zumną?“ I wnoszą ztąd, że ogromna większość nie-
„może osiągnąć pewności rozumowéj. Jeżeli teraz prze-
„ciwnie przedstawimy *im siłę mistyczną*, wnet odpowia-
„dają: „Ależ to siła wcale nierozumowa, to może coś zna-
„czyć w przekonaniu dziecka, kobiety lub prostego lu-
„du.“ Więc znowu wnoszą, że siła owa niczem niejest
„w odniesieniu do uczonych. Ale czegóż to dowodzi?
„To dowodzi, że nienależy rozdzielać czego rozdzielać
„niemożna. Siła rozumowa i siła mistyczna to dwa fi-
„lary, na których w nas sklepienie prawdy oparte. Siła
„rozumowa, to ciało; siła mistyczna to dusza. Ciało bez
„siły mistycznéj jest trupem, siła mistyczna bez ciała
„jest niepochwyconą fantazyą!“

. . . .

„Kościół w moc siły rozumowéj i siły mistycznéj
„zbudował w tym świecie gmach, którego zewnętrzność
„i wnętrze utrzymują się wzajemnie i odpowiadają
„wszystkim potrzebom ludzkości. Widział to Jan święty
„na wyspie Patmos, gdzie był wygnany za wiarę. Za-
„chwycony usłyszał wielki jakiś szum, a odwróciwszy
„się ujrzał Syna człowieczego, z którego ust dwa ostre
„wychodziły miecze. Dwa te ostre miecze są żywym
„obrazem dwoistéj siły Kościoła. Miecz Kościoła jest
„podwójny— jednym walczy przeciw mędrcom dumnym
„siłą rozumową; drugim podcina umysły ciemne dumne
„siłą mistyczną. Uczujcie! ach uczujcie uderzenie tego
„miecza, którego jedyna rękojeść w prawicy Boga— a
„podwójne ostrze— wszędzie; [8])!“

Na dowód jak fałszywemi są zarzuty racyonalistów, iż Lacordaire na rzecz wiary zaprzecza rozumowi jego

---

[18]) Dix-huitième Conférence. Des Causes de la certitude suprarationnelle ou Mystique produite dans l'esprit par la doctrine catholique.

praw, a z drugiéj strony jak fałszywemi są krzyki z obozu wprost przeciwnego, iż rozumowi przyznaje zbyt wiele— na dowód jak pod tym względem głęboko wchodzi w myśl katolicyzmu, który stawiając tamę zuchwałym szamotaniom się rozumu; jednak prawa jego nawet w badaniu prawd religijnych uznaje, byleby wzajemnie rozum uznawał swoje granice, przytaczamy jeszcze z téj części następujący ustęp.

„Katolicy wierząc, posiadają też pewne świadome i „niezmienne przekonanie tego co wierzą, acz w roz„maitym stopniu..... Kościół nigdy niepozwalał nato, „aby przekonanie religijne odzierano z powodów rozu„mowych i zawsze stawiał opór tym, którzy go chcieli „ogołocić z jego przedniéj straży logicznéj, z jego pod„staw w porządku obecnym, widzialnym. *Kościół ocalił „rozum, tak jak ocalił wiarę.* Zajęty bezustannie utrwale„niem panowania wiary i jéj potężnych, boskich wpły„wów na dusze, oraz utrwaleniem panowania łaski, czu„wa także nad zachowaniem praw rozumu, tego rozumu, „który się zbroi, walczy w sprawie wiary i sprawia, że „ta wiara będąc aktem nadnaturalnym, jest także przed„miotem jak najgłębszych badań naukowych. Któżby „śmiał zaprzeczyć tego sojuszu wiary z rozumem w ś. „Augustynie, w ś. Tomaszu, w Bossuecie, Fenelonie „i tylu innych, których niewymieniam z obawy, aby „im nie było ciaśniéj w moich ustach, jak waszym gło„wom w téj wielkiéj świątyni? Któżby śmiał twierdzić, „że te olbrzymy nie byli razem ludźmi wiary i ludźmi „rozumu, że dłoń ich wprawna niewalczyla z równą „doskonałością mieczem loiki jak mieczem łaski? Kto „nam, katolikom śmiałby zaprzeczyć rozumu? Jesteśmyż „nierozumnymi dla tego, że *rozum schylamy pokornie „pod stopy wiary, że twierdzimy, iż światło skończone „niższe jest i słabsze od światła nieskończonego?* Jakto? „Czyż dla tego, że twierdzę, iż słońce niejest Bogiem

„zaprzeczam słońcu, że świeci i świat ten oświeca?
„Posiadamy więc świadome przekonanie Chrystyanizmu,
„jesteśmy jako dzieci w obec Boga Stwórcy naszego,
„ale jako dzieci spoglądające na ojca, rozmawiające
„z nim razem językiem czasu i mową wieczności!....“

Konferencye o pokorze, czystości i miłości téj potrójnéj koronie katolicyzmu, któréj mu żadne usiłowania i walki fałszywych religij, żadne zamachy fałszywych filozofij wydrzeć nie zdołały, a która najwymowniéj świadczy, że nauka katolicka zstąpiła z nieba, aby nam rozjaśniła i ułatwiła drogę do nieba — Konferencye te są według najsurowszych krytyków arcydziełem kaznodziejstwa. W nich mowca zdaje się czytać w sercu Zbawiciela, zdaje się mieć przed oczyma te trzy królowe chrześcijańskich cnót, te trzy arcy-cnoty, w których Bóg-człowiek przedewszystkiem naśladować się każe. On je przedstawia nie z téj wybladłéj strony, z jakiéj się na nie zapatrują ci wszyscy, którzy o pokorze, czystości i miłości prawią, jak się prawi o skromności, przyzwojtości lub uprzejmości, ale widząc w nich dar Boga-człowieka, mówi o nich z jak najżywotniejszem odniesieniem się do zasadniczego dogmatu Chrześcianizmu, to jest do Łaski; wykazując bowiem, iż człowiek w zepsutéj swojéj naturze raczéj do pychy, nieczystości i samolubstwa skłonny, oczyszczony przez katolicyzm, bierze z rąk jego potrójny kapitał tych cnót, aby go w końcu z procentem własnych czynów i zasług powrócił Boskiemu dawcy. Dowiódłszy tym sposobem, że sam tylko katolicyzm przez owe cnoty umoralnia człowieka przechodzi następnie do wykazania, iż kiedy ani racyonalizm, ani despotyzm, ani kacerstwa nie posiadają organizacyjnéj siły społeczeństwa, ale owszem społeczeństwo albo do śmiertelnych wstrząśnień albo do zgnilizny materyalizmu wiodą, katolicyzm tymczasem podnosi, skupia, ożywia i buduje. Trudno opisać, z jaką znajomością ludzkiego

serca i stosunków tak rodzinnych jak społecznych przedstawia wpływ katolicyzmu na społeczeństwo co do prawa, własności, rodziny i władzy.

Tak odsłoniwszy wszystkie cudowne wpływy nauki katolickiéj przedstawiwszy jéj nieocenione zasługi pod względem umysłowym, moralnym i społecznym, przystępuje nareszcie do boskiego Twórcy téj nauki, do osoby Jezusa Chrystusa i przedstawia Go z kolei w życiu wewnętrzném i cudowném, w jego działaniu zewnętrzném, w ustanowieniu, rozszerzaniu się i uwiecznieniu jego królestwa. Mówiąc o potrójném królestwie Chrystusowém i wystawiwszy w straszliwych barwach czém był świat w chwili gdy Chrystus wśród niego królestwo swoje rozpoczął — jakie bóstwa stały na ołtarzach gdy je przyszedł mocą swego słowa zepchnąć, aby sam był czczony na wszystkich świata ółtarzach — nakoniec jaką była potęga pogańskiego Rzymu w chwili, kiedy go przyszedł przez swych apostołów zmienić na stolicę swego królestwa na ziemi, tak kończy:

„Rozkaz jego brzmiał na cały świat a woli jego stało się zadosyć. Na opustoszałe ołtarze cóż w miejsce „dawnych bóstw wzniesiono? Człowieka poniżonego, „skazanego na haniebną śmierć, człowieka przybyłego „z krainy, nad którą Rzym władnął śmiechem, wzgardą i uciskiem! Na ołtarzu postawiono Nazareńczyka, „Żyda ukrzyżowanego! Poniżenie w miejsce wielkości! „Pokuta i umartwienie w miejsce rozpusty! Pokuta i umartwienie — jakież to słowa! Dziś, po dziewiętnastu „wiekach istnienia królestwa Chrystusowego zaledwie „śmiem je wymówić, czując niestety, jak ponuro brzmią „jeszcze w uszach waszych wciąż karmionych językiem „Ewangelii — a tu — to samo słowo trzeba było wypowiedzieć z całym przyciskiem, wypieszczonym, rozpustnym, urzędowo-religijnie rozpustnym Rzymianom!

„..... Trzeba im było powiedzieć: Oto przychodzimy „z rózgą w ręku, aby was nauczyć, że z ciałem macie „postępować jako z niewolnikiem i że inaczéj nie wy„zwolicie swéj duszy tylko podbijając to ciało w kaźń „niewolnictwa. Trzeba się było tak odezwać do ludu „nadętego siedmiowiekową wielkością, sławą i potę„gą! Trzeba było zniweczyć Bogi usprawiedliwiające „wystawne tego ludu sromoty!

„Rozkazał — a królestwo bałwanów runęło w obec „królestwa krzyża ([19])!“

W latach następnych mówiąc o stosunku człowieka z Bogiem, zdumiewał już nie tylko samą wymową ale też i głęboką znajomością teologii, któréj brak często mu przedtem nieprzyjazne krytyki zarzucały. Mówiąc o łasce a zwłaszcza przedstawiając jéj stosunek z naturą już to w pierwotnym, już w upadłym człowieku, rzucał ogromnemi światłemi wziętemi wprawdzie z dzieł ś. Tomasza, tego Anioła szkoły, ale obejmującemi w ustach kaznodziei wszystkie najpraktyczniejsze stosunki życia. Przepyszny jest kiedy maluje, czém jest człowiek bez łaski, czem jest świat bez Boga, czém jest społeczeństwo i wszystkie stosunki społeczne po rozerwaniu świętych węzłów łaski. Trudno się wstrzymać od przytoczenia, choćby tylko jeszcze następującego ustępu:

„Dziś świat nie wierzy w to zjednoczenie, nie wierzy „w rzeczywistą obecność Boga w człowieku, ale czy „uważacie, jak tém samém nisko spadła wartość i za„cność człowieka? Czem jest dzisiaj człowiek w obli„czu człowieka? Gdzie jest powaga? gdzie uznanie go„dności, gdzie uszanowanie? Starożytni, jakkolwiek „bardzo oświeceni szczątkami zepsutéj tradycyi, zacho„wali ideę téj obecności Boga w świecie, a samo bał-

[19]) Conf. Trente-Neuvième. De l'etablissement du Regne de Jesus Christ. 1846.

„wochwalstwo jest tylko ogromném, choć fałszywém zastó-„sowaniem téj prawdy. To ślad dawnéj wielkości widny „i dotykalny nawet wśród ruin moralnych rodzaju ludz-„kiego. Pojmowano nędzę człowieka, więc by nie u-„padł w ostateczne znikczemnienie uznano w nim obe-„cność pewnego rodzaju bogów. Aby wszystkiego nie „okryć pogardą — poświęcano wszystko. Bogowie zna-„potykają się w kolebce i we krwi narodów, bogowie „strzegą granic ojczystych, bogowie pod murami miast, „bogowie na czele praw. Naczelnik lub konsul jakkol-„wiek wybrany wolą narodu lub powołany w moc dzie-„dzicznego następstwa, brał przecież koronę, lub odbie-„rał władzę wśród uroczystych obrzędów. Pojmowano, „że prosty akt wyboru lub następstwa nie wystarczał, „by człowieka owego przemienić w oczach ludzi, by „przed jego majestatem schylić wszystko i poddać mu „wolę wszystkich. Tak było nawet wśrod ruin ludzkości.

. . . .

„Dzisiejszy świat w miejsce naczyń z świętemi ole-„jami posiada zdolności, naukę, geniusz, siłę, chwałę, „wspaniałe wybory. Ale lud obrzuciwszy wzgardą dzie-„ło swojéj woli, rzeknie do zdolności: ty jesteś oszu-„stem, a do wielkiéj nauki: ty jesteś śmieszną pychą; „i do gieniuszu: tyś jest głupcem; i do cnoty: tyś jest „kłamstwem; . . . . tak wszystko ginie w osławionym „naszym wieku, bo wszystko jest tylko ludzkie! Sama „tylko Łaska zstępuje z wyżyn wieczności, a porywając to „wszystko, co jéj nie stawia oporu, i co z nią współ-„działa, zkąd była wyszła — tam wraca [20])!“

Z kilku tych ustępów z różnych miejsc powyciąga-

[20]) Soixantième Conference. Du Concours de la Nature et de la Grace dans l'homme. T. III. 1860.

nych nikt zapewnie nie będzie chciał oceniać mowcy, o którym mówiliśmy dotąd. Oryginalność myśli, obszerna nauka, siła dowodzenia, świeżość formy, patetyczność, wszystko to piękne rzeczy, wszystko to w mowcy nader pożądane, ale przecież możnaby to wszystko posiadać, a nie być jeszcze mowcą religijnym — kaznodzieją. To, cośmy przytoczyli z konferencyi nie wystarczałoby (nawet przy całkowitym przekładzie) do ocenienia, choćby tylko tych zewnętrznych przymiotów, na to bowiem trzebaby widzieć i słyszeć mówiącego a nie zaś czytać. Wszakże nie o to nam idzie, iżby przed oczy czytelników stawić w wykończonym obrazie postać najznakomitszego z tegoczesnych kaznodziei, ale o to jedynie, aby ich obznajmić z duchem mówiącego, z kierunkiem jaki w dzisiejszych czasach przybiera wymowa kościelna, z jéj dążnościami i wpływem. Pod tym względem widzimy Lacordair'a występującego razem w całéj sile i w całéj prostocie ewangelicznego posłannictwa. Nie jestto ani retor, ani orator, ale jestto apostoł, który opowiada królestwo Boże — i który nic innego zda się nie mieć na sercu, oprócz świętéj żądzy rozszerzenia i utrwalenia tego królestwa. Wziąwszy w swe serce sprawę swego narodu zmierzającego do przepaści ostatecznych konsekwencyj niewiary i sprawę Kościoła deptaną przez otwartych nieprzyjaciół, podkopywaną przez systematycznych prześladowców, zdradzoną przez obłudnych protektorów, zaniedbaną lub całkiem znieważoną przez znaczną część duchowieństwa jeszcze grubo gallikańskiego — sprawę tę podwójną, wielką miłością stopił w jednę sprawę a jéj obronie całe swe życie i wszystkie ducha zasoby poświęcił. Ażeby słowo Boże mógł opowiadać, jak je opowiadali pierwotni obrońcy chrześcijanizmu, ażeby mocą tego słowa mógł skutecznie roztrząsać ludzkie serca, nawracać, porywać, zapalać, podobnie jak to czynili pierwsi wysłańcy Chrystusa, jak to

czynili święci Ojcowie, jak to czyniły wielkie potęgi średniowieczne, podobnie też jak oni wyższe ewangeliczne rady uczynił, swojem prawem, swoim zakonem a na szczytach ewangelicznéj doskonałości rozwinął majestat katolicyzmu, odsłonił jego najpiękniejsze strony, pokazał niezliczone źródła pociech, jakich właśnie umęczona ludzkość tak strasznie była spragniona. Wielu z tych, którzy z nim współcześnie tę wielką pracę podjęli jak na przykład Salinis i Gerbet już na stolicach biskupich zasiedli i z duchowieństwem swojém przedstawiają wzniosły, pocieszający widok, nie już gallikańskiego, ale jak najsilniéj Rzymsko-katolickiego Kościoła tak pod względem wiary, jak i pod względem karności, obrzędów, zwyczajów, zgoła pod każdym względem — On zaś, znalazłszy nawet jako ubogi zakonnik sposób doskonalszego poświęcenia się Bogu przez udział w wielkiéj reformie swego zakonu i w postawieniu go na pierwotnéj wysokości, z téj wysokości świeci blaskiem kaznodziejstwa i dokonywa swego posłannictwa z chwałą swojego narodu, z chlubą i pociechą Kościoła!

X. Zygmunt Golian.

WIERSZ

improwizowany przez autora „Błogosławionéj"

pod rysunkiem zdjętym

z Kamey przedstawiającéj oblicze Chrystusa *)

Na początku było Słowo,
A Słowo idące z Boga
W czystość ciała liliową
Przyjęła Panna uboga,
Przez świętego Ducha wiew.
A nad schyloną w pokorze
Wzniosły wszystkie chóry boże
Najwdzięczniejszy Panu śpiéw.

---

*) Znajduje się Kamea, na któréj podług tradycyi, Cesarz Tyberiusz kazał wyrobić wizerunek Zbawiciela; przypuścić można, że jest najpodobniejszy; bo rzeźbiarz mógł znać osobę Syna Bożego. Pod Kameą znajduje się następujący napis objaśniający jéj pochodzenie: *Vera Salvatoris nostri effigies ad imitationem Imaginis Smaragdo incisa jussu Tiberii Caesaris uno Smaragdo postea ex thesauro Constantinopolitano Turcarum Imperator Innocentium VIII Pont. Max. Rom. Donavit Pro Redimendo fratre Christianis Captivo.*

Z niedostępnych krain oku
Wiecznéj pieśni rozdźwięk brzmiał,
I z powietrza, gdzie w obłoku
Anioł zwiastun jeszcze lśniał.

Przestwór niebios, ziemia cała
W jedną z niebem pieśń się zlała,
Drżeniem twory przebiegł cud;
Przez to jedno boże tchnienie
Rozjaśniło się stworzenie
Na wschodzącéj prawdy wschód.

I co dla świata było tajemnicą,
Aniołom pieśnią, a szatanom trwogą,
Tobie się stało pod strzechą ubogą
O przenajświętsza Dziewico!

Tobie, klęczącéj w obliczu obłoka,
Przepowiedzianéj proroctwem proroka
Poczętéj w Bogu, gdy poczynał świat.
Któréj oblicze ukazał w jutrzence,
Na ziemi rozwiał twe kształty panięce
W srebrzystéj lilii kwiat.

Tobie się stało o wzorze pokory!
Która niebieskie przebija zapory
I w łonie bożem owoc bierze swój.
Bowiem niebyło w Tobie żadnéj plamy,
Tylko On wieczny i wiecznie ten samy
I oto Bóg Twój, Syn Twój!

O Maryo! Maryo! po wiek wieków zbożna,
Przez Twe poczęcie, przez Niepokalane,
Nieracz spoglądać na ziemię, jak zdrożna
Ach! racz spojrzéć na ranę

Jakże głęboka, otwarta széroko
Jak z niéj ostatnie włókna krwi się wloką,
Ostatni z piersi dobywa się dech.

A ludzie — lody, a wielcy — kamienie,
Pamięć stracona, zatyłe sumienie,
Niemiłosierdzie i śmiech.

O Maryo! Maryo! jakoś łaski pełna,
Spójrz, jak baranka potargana wełna,
Żałośne beki i rzeź.

W obliczu Boga zagniewanéj twarzy,
Nad skrawą łuną, nad ziemią cmentarzy,
Oczy błagalne wznieś.

Spraw byśmy Panno! jako w wieków dali
Na poświęconéj blask nosili stali
Przed nadchodzącą nieszczęść nawałnicą.

I niechaj Kościół, gdy świat się zachwieje
Z bark wciąż skrzydlatéj wiary promienieje,
Boga Rodzico! —

WITA STOSA

PAMIĘCI

Estetycznych zarysów siedm

przez

CYPRIANA NORWIDA.

WSTĘP.

Te rzeczy mędrzec niechaj w lesie czyta: (*)
Indianin pisał na pewnych tablicach —
— A święty Bernard mówi: że jest skryta
Treść — któréj w puszczach więcéj, niż w książnicach;
Wszakże już nieraz, i w ludnych ulicach
Napotkasz puszczy, *jeźli chcesz* do syta!...

. . . .

(*) Niektóre *Vedas* miały to ostrzeżenie na początku, iż jedynie przez żyjących w lasach czytane być mogą z korzyścią.

I.

Piękno.

...Bóg, widzi wszystko —

„Jakże to być może
„By tyle brzydot zniosło oko Boże...?“
— Chcesz poznać jak to? w drobnem przybliżeniu,
Spojrzyj artysty okiem na ruinę,
Na pajęczyny, przy słońca promieniu,
Na mierzw na polach, na gancarską glinę —
— Wszystko nam dał On, nawet ślad jak widzi
Sam, nie zazdrości nic, nic się nie wstydzi!
— Jest wszakże pycha, co złoci się słońcem
Dufając że jéj słońce nie przenika;
Ta, kontemplacyi i wzroku jéj końcem
Ta, zatrzymaniem Boskiego promyka
By zgasłą jasność i noc, czuł u powiek
Najniewdzięczniejszy twór na świecie: człowiek.
— W *każdéj z sztuk* niechże *wszystkie* lśnią — *prócz onéj*
Przez którą utwór będzie wyrażony.

II.

Ewangelista.

Gdy Pan zmatwychwstał i jak w dni czterdzieści
Dotykał swoich pod różnemi miary
Stósownie do ich powołań i wiary
W osobie, w duchu, w znaku, albo w wieści,
Tym macać ran swych, tym głos dając słyszeć
I zrozumiewać pismo jak się czyta:
Albo się w głębi sumienia uciszyć —

Do Apostołów przystał neofita
Łukasz (co znaczy *światły*) [1]) Syrianin,
Że z Antiochii rodem, wpierw poganin.
— Ten, uczniem Pawła, Barnaby i Sili
Pisarz koronny, w niczem się nie myli.
Acz często kornie dodać się ośmiela
Co słyszał z mowy Matki Zbawiciela, [2])
I akta pisząc których każda głoska
Jest, jako winnéj-maci latoroska,
Pierwszy, jął pędzel by na desce stołu
Skreślić, *Najświętszéj Panny wizerunek*:
— Czemuż przyrównam *sztukę* i rysunek?
Pismu, literze.... *pracę* zaś ich? Wołu
Co wpierw pogańskim długo był bałwanem [3])
Nim w Betlejemie zgiąwszy się przed Panem
Nozdrzy swych parą członki grzał dziecięce
A *Ów* mu siana podawał na ręce....

III.

Męczennik.

Konstantynopol, jako kameleon
Mienił się w łuny wszech-rządz i wszech-błędów;
W koronę cięty Imperator *Leon*
Spada przez całą drabinę urzędów
Które potworzył.... i przepadł.... i gdzie on?...

---

[1]) *Łukasz* wykłada się *światły* — pod inwokacią tego Ewangelisty formowały się stowarzyszenia artystyczne w Rzymie, Florencyi i t. d. pokąd nie było tych formuł, które dziś akademiami sztuk zowią uczeni.

[2]) Tak utrzymują pisarze kościoła na zasadzie szczegółów jedynie przez Łukasza Ś. cytowanych.

[3]) Alfabet jest fenickim rezultatem Symboliki pogańskiéj sztuki i wiedzy.

— Ten to płaszcz nosząc Najświętszéj Dziewicy [4])
I sam się czyniąc chodzącym bałwanem;
Obrazy wyklął, bez cieniu chciał świecy
Bez tęczy arki nad wód oceanem.
— Kto dotknął pędzla lub dłuta, wygnany —
Teofil również pojmował pogany:
I *Michał trzeci*, Nerona kopijsta,
Co chóry nagich satyrów wyprawiał,
Kiedy processia szła gdzie uroczysta!
Albo w kucharską sztukę rad się wprawiał,
Mąż popularny! z woźnicami śwista.....
I Michał owy, tym samym sposobem
Oczyszczał sztukę wygnaniem lub grobem.
Był więc Mnich *Łazarz* któremu Pan za się
Dał dar (treść wieczną wyobrażać w czasie
Przez sposób pędzla) tego, jąwszy *rota*
Chrześcian; powlekła za klasztoru wrota
I w czarnej kuźni, ręce mnicha obie
Upalonemi w czerwoność obcęgi
Po łokcie skwarzy i szarpie jak wstęgi,
I pośmiewając w twarz pyta „co tobie?“
„Co mnie? Nowy wam powie kontemplator
„I lilij polnéj wdzięk co ku mnie spływa
„I Łukasz święty co owdzie przyzywa.....“
Tu, dym go okrył i znikł—— *sta viator!*

IV.

Chrzciciel.

Bulgarski naród bez prawdy żywiącéj
Powietrzem także przewiany morowem

---

[4]) Imperator Leon sztukę wszelką na usługi kościoła oddaną za bałwochwalstwo uważając, sam odziewał się w płaszcz taki, jaki ówczesne obrazy dawały Matce Boskiéj.

Jest jako Łazarz, czy w grób się kładący
Czy powstający?.... nie zgadniesz przed *słowem*....
Pogański książe smutki te rozprasza
Stanowiąc nowe osady i miasta
A k'temu Mnicha do siebie zaprasza;
By gmach, co świeżym ukazem wyrasta
I puścił kolumn szpalery z korzenia;
Ubrał w malowne tęcze a złocenia.
Mnich był *Metodus* (posłan może cudem
Pisarz, a przytem „pingendi non rudem)"
Ten w świeże gmachu zaszedłszy obszary
Kolory swoje rozcierał tęczowe,
A płakał ludu bez Boga i wiary;
I tak malował to rękę, to głowę —
Gdy słońce gasło, zamykając sienie
Że nikt niewiedział, jak będzie sklepienie.
— Aż raz go książe zawoła i pyta:
„— Kiedy rzecz będzie na światło odkryta?..."
„Książe!..." odrzecze mu święty Metody
„Dano mi *Sądu* zrobić przedstawienie
„Zacnych i niecnych — niebo i płomienie —
„Gdy więc odkryję rzecz, każ przynieść wody...
— Jakoż w dzień wtóry rzecz była odkryta
I książe przyszedł z całą służbą swoją
I rzesza wielka stanęła jak wryta,
Patrząc na wrytych co przed panem stoją.
Płacz wielki wzmógł się, gdy mnich chwycił słowo
Opowiadając ile to jest *cieniem*
Rzeczy, dziejących się nad naszą głową;
Skrytych a widnych jeno Objawieniem —
Tak, iż rybackich płócien złożył sidło
Na bok, i pędzel zamienił w kropidło
I żegnał *cienie*.... a *światłem* darował
I chrzcił — i całą Bulgarię uchował!

V.

Krytyk ex professo.

1.

... Wiem ja że Miłość, gdy prawo obrania
W czas, widząc co się scierpieć już niegodzi,
Obowiązuje, współczyni i rodzi —
Lecz nie wiem co jest krytyk z powołania
Który wyłącznie to rzemiosło czyni;
Jak niewiem co jest odźwierny w pustyni!...

2.

— Chcesz znać, o ile *ważną* twoja praca?
Zważ, jak z niéj prędko myśl do *Boga* wraca...

VI.

Manieryzm.

— Ku rusztowaniu skoczył akrobata
Patrz, jak mu w stawach kość się z kością strzyże
Aż brzękły.... zadrżał.... stanął.... i nie zlata!
— Cierpiał, co któryś z ciągniętych na krzyże
Lecz, dla *zdziwienia* nie *zbawienia* świata!...

VII.

Profan.

1.

Po jednéj stronie Rzymskiego obszaru
Scipion, w namiocie nad gruzem *Kartagi*

Stanął młodzieńczyk a pełen powagi
I patrzył zimno na dymy towaru,
Przemysłu dumę w popiół ścierające
— Po drugiéj stronie Rzymskiego obszaru
Filary, w liście się rozścielające
Jak marmurowy las z pni swych padały;
Piorunem cięte — te, *Korynt* się zwały.

2.

— Mummius, opodal rozbiwszy namioty
Wedle ukazów z Kapitolu wziętych,
Pakować kazał wazy i klejnoty,
I Bógów dobrze słomą obwiniętych;
A rocie która przy bigach ([5]) ładownych
Stała — w tych prawi wyrazach wymownych:
„Baczcie! by żaden Apollin, ni który
„Jowisz, i Venus gdzie była popsutą;
„Co, gdyby zaszło?! téj saméj natury
„Rzeczy, zrobicie... marmur dam i dłuto...“

. . . .

EPILOG OBJAŚNIAJĄCY.

1. Że te zarysów siedm *całość jednéj gammy* mające, w sposób zarówno lakoniczny jak na ściśle historycznych faktach oparty, wyobrażenie dają o głównych pojęciach

---

[5]) Dwu-koleśny wóz Rzymski *biga*.

wznawiającéj się a sumienniejszéj nad obecną estetyki; uważam je za całość i jako taką publiczności przedstawiam — do czytelnika należy odgadnąć powody dla których. przenoszę dziś taką rapsodyczną inicjacię nad doktrynę okrągłą, systematyczną, abstrakcyjną. Prawdy te i obrazy różnemi czasami zbierane są, zwiedzając Wszech-Expozycię *Amerykańską*, *Angielską* i *Francuzką* a nie przeto odnosząc się do przyszłych tegoż przedsięwzięcia możebnych odrodzeń i pojawów.

2. Symboliczne tłomaczenie powołania Łukasza śgo i szczegóły żywota, wzięte są z dzieła pod dozorem Arcybiskupa *Mellon Jolly* wydanego.

3. Męczeństwo *śgo Łazarza Mnicha* malarza za wolą Teofila Imperatora dokonane, przez wszystkich dziejopisów, na kartach Ikonoklastów dotyczących, zapisane jest.

4. Nawrócenie Bulgarów i chrzest tychże opowiada Cedrenus edit: reg. pag. 540. Lebeau. Hist. de Bas-Emp. Tom XV pag. 39. i inni — wzmiankując to o Metodusie iż był pisarzem uczonym „*pingendi non rudem.*“

5. „*Mummius* tam rudis fuit ut capta Corintho cum „ maximorum artificum perfectas manibus tabulas ac sta„ tues in Italiam portandas locaret—juberet prædici con„ ducentibus: si eas perdidissent novas eos reddituros“.

— *Vellejus Paterculus lib. I. cap. 13.*

— W nieuniknionym dotknięciu obrazów które dosyć jest wiernie przedstawić, aby karykaturą były, uważam za słuszne, do najmonumentalniejszego jakiego prawdziwego i historycznego, odnieść się — tym sposobem unika się płaskości, lubo się nie unika prawdy.

POWIEŚĆ KRAKOWSKA.

III.

Po odejściu Stanisława Onufry spojrzał na zegarek wiszący nad łóżkiem. Był to zegarek srebrny ze sznurkiem z włosów plecionym, a pod nim atłasowa podkładka w formie serca wykrojona — dzieło przezornéj Marysi. Onufry przeraził się wielce dostrzegłszy że już dziewiąta minęła. On co był tak punktualnym zanim się dostał na etat, miałżeby teraz okazać, że ta jego dotychczasowa pilność nie była skutkiem przejęcia się obowiązkami, nie płynęła z zamiłowania do stanu, ale raczéj z rachuby, aby urząd złowić? Cóż pomyślą przełożeni, jakiż przykład dla niższych, dla bezpłatnych aplikantów? Urzędu on swego nie poczytywał wszakże za sinekurę, ani nawet za sposób utrzymania się, lecz za coś wyższego, niemal za misyę.

Wielkiém było zaś dla niego szczęściem ów zwrot ku obowiązkom. Nie dało mu to zastanowić się wolniéj nad

---

Patrz zeszyt marcowy.

słowami brata, a któż wie, czy ścisły i spokojny rozbiór ich nie byłby rozwalił całéj budowy przyszłego jego szczęścia stawianéj na fundamencie 90ciu złotych miesięcznie i na przywiązaniu do osób z któremi tyle lat przeżył. Żyć z niemi wspólnie stało się dla niego potrzebą; nawet hałasy izby krawieckiéj, zrzędziarstwo pani Ignacowéj, podchmielenie majstra, plecenie trzy po trzy dziadka stały się dlań niezbędném wypełnieniem téj lub owéj godzinki jaka mu od zatrudnienia niekiedy wolną została. Z Marysią prawie nigdy nie rozmawiał, wyjąwszy kiedy mu to koniecznie wypadło. Może ta konieczność była częstokroć umyślnie sprowadzana ale nie przechodziła nigdy w poufną dwojga kochanków rozmowę. Grywał z nią w zielone, ale nigdy nie przegrał, pilnując się tak jakby to było biórowym obowiązkiem. Za to Marysia często przegrywała, a owa podkładka, sznurek włosienny do zegarka, woreczek paciorkowy z cyfrą i wieńcem róż i mnóstwo innych drobiazgów i porządeczków w jakie się zwolna Onufry zaopatrzył, były okupnem tych przegranych. Bacznego oka pani Kozińskiéj nie uszły te niby skrytości stosunków Marysi i Onufrego, nie ośmielała obojga, lubo pragnęła aby się te związki zamieniły na trwałe, wszelako nie przeszkadzała niewinnym igraszkom.

Lecz kto wie, czy gdyby owa skazówka zegarka co przekroczyła już pięć punkcików po za stanowczą godzinę, była się zatrzymała o tyleż przed, kto wie, czy słowa Stanisława które zaledwie pamięć zdołała pochwycić, wzięte pod zimny rozbiór, ważone kolejno na szali uczucia i rozsądku, rozgatunkowane na rzeczywistość i przywidzenie, nie byłyby sprawiły wielkiéj zmiany w losie i Onufrego i Marysi i większéj jeszcze liczby osób. Lecz fatalna skazówka ani na chwilę nie zatrzymała się w ruchu, a Onufry szedł za nią w pogoń i myślą i ciałem. Ubierał się z niesłychaną szybkością,

i w niespełna dwie minut dognał już czas stracony. Nie wiele więcéj trzeba było aby dopaść w przyśpieszonym pochodzie do bióra, ale myśl jego już była rozsiadła się za stolikiem i z zarękawkiem płóciennym na łokciu a piórem za uchem, przebiegała numera ternionu i zaległych exhibitów. Ale jeszcze dwoje rzeczy pozostawało mu zrobić: schować pugilares zostawiony przez Stanisława i założyć na siebie zegarek. Biorąc pugilares w rękę, wzdrygnął się. Za te cyfry i gzygzaki na pargaminie można było kupić sobie tyle uciech życia, nieznanych, niemarzonych, a przecięż przeczuwanych! Onufry wetknął pugilares do kieszeni z tém szarpnięciem, jakie towarzyszy często zwycięstwu po długiéj walce i jest jakby przymuszeniem ręki do posłuszeństwa woli. Była to niebezpieczna dla Marysi chwila — Anioł-Stróż jéj ocalił ją — Onufry sięgnął ręką po zegarek.

Zakładając machinalnie włosienny jego sznurek, jakoś mu się lżéj naraz zrobiło. Tak jak godzina dziewiąta przypominała mu obowiązki jego biórowe, tak podobnież ten sznurek z włosów Marysi przypomniał mu obowiązki względem niéj zaciągnięte. W téj plecionce włosiennéj nie było owéj tajemniczéj siły, która sympatycznym węzłem łączy dwoje serc wylanych dla siebie, bo ani Onufrym gwałtowne miotały uczucia, które w każdéj by najmniejszéj pamiątce kochanki uosobiają jéj postać, ani téż ciche przywiązanie Marysi podniecone było prawdziwemi lub wymarzonemi cierpieniami do owego stanu drażliwości nerwowéj, która sama jedna na świecie, a częściéj jeszcze w książce, rości sobie wyłączne prawo do nazwy prawdziwego uczucia. Młodzież płci obojéj wsteczném dopiero naśladowaniem bohaterów powieści i romansów kopiuje odmalowane w nich niby ideały kochanków i staje się zwykle mdłem odbiciem potwornych wzorów, w których namiętność przechodzi bądź w szaleństwo, bądź w ckliwość, miłość wygląda jak

dziecko zaszlochane, a serce wznosząc się w piersiach choruje na spazmy.

W plecionce téj z włosów Marysi nie mogło także być nic zmysłowego. Nie pukiel to ucięty, co wonią swą, miękkością i połyskiem pieści zmysły i wyobraźnię przenosi na owe alabastrowe ramiona, które spływający zwój włosów całuje nieustannie, a choć potém ucięty, nosi jeszcze na sobie ciepło tego pocałunku i drży jeszcze oddechem, który już dawno rozwiał się w powietrzu. Zwój ten wszakże skręcony w sznurek zesztywniał i zrudział, przestał być pamiątką, a zamienił się w rzecz użytku, i świadczył tylko o cierpliwéj pracowitości, która poświęca godziny czuwania przy łojowéj świeczce, i o téj opiece, która skrzydłami swemi ogarnia wszystko co tylko ukochaną osobę otacza. To też wszystko to co zapełniało skromne mieszkanie Onufrego, nosiło na sobie cechę téj skrzętnéj a troskliwéj pieczołowitości, która na najdrobniejszym przedmiocie zostawia ślad nie pamiątki ale pamięci, która nie potrzebuje uroku tajemniczości ani podniety wyobraźni aby się drogą stawała, ale jako istotny dowód przywiązania objawia się w tém wszystkiém, co nosi na sobie cechę rzeczywistości, co uprzyjemnia utylitarną stronę każdego przedmiotu.

W umyśle atoli Onufrego właśnie ta forma była odpowiednią pojęciom jego o miłości. Werterowskie cierpienia, a tém mniéj balzakowa anatomia serca nie były jeszcze wówczas wykształciły u nas tego pokolenia, które w samobójczych zapasach ducha z ciałem wycieńczyło się do takiego stopnia, iż ani myśli ani czynu spłodzić już niezdolne.

Onufry wetknął pugilares z listami zastawnemi do kieszeni mając zamiar oddania go bratu przy pierwszém z nim widzeniu się i pośpieszył do bióra. Spóźnienie się jego dało powód towarzyszom pióra do złośliwych drwinek, bo już wieść o jego małżeństwie doszła ich była

różnemi drogami. Pociski te obijały się jak groch o ścianę o twardy umysł Onufrego i one same byłyby zdolne bez innych nawet pobudek utwierdzić go w raz obraném postanowieniu na przekor wszystkiemu i wszystkim.

Nadszedł nareszcie dzień wesela. Wymieciono izbę krawiecką, wyrzucono stoły, ławki i tapczany, wyrównano podłogę, wybielono ściany i zrobiła się z tego dostatnia sala, zdolna pomieścić kilkadziesiąt osób z pozostawieniem w środku miejsca dla taneczników. Ale kiedy nadszedł ów upragniony wieczór, zebrało się tyle gości, że się nie było gdzie obrócić. Pani Kozińska, która od dnia wyjścia pierwszéj zapowiedzi nie mogła znaleźć dla siebie miejsca, lecz biegała to do żydowskiego miasta za sprawunkami znajdując zawsze że czegoś niedostaje, to do kawiarni żeby naradzić się z kumoszkami nad zastawieniem stołu, nie tylko że nie pominęła żadnéj przyjaciołki by jéj nie zaprosić na wesele, ale nadto w tych kilkunastu dniach pozawięzywała nowe związki przyjaźni i coraz bardziéj rozszerzała koło sproszonych na wesele gości. Pan Koziński zaniedbał roboty, bo tę co miał, rozdał między czeladź za domem pracującą, a nowéj nie podejmował się wcale. Miał on sobie powierzony wydział piwniczny, a niechcąc zrobić zawodu, zwiedzał od tygodnia wszystkie winiarnie, żeby sobie smak wyrobić i jako prawdziwy znawca, porównywając gatunki, lata i ceny. Wypadało mu przeto często powrócić raz i drugi do zakosztowanego dniem przedtém gąsiorka, a nawet w chwilach wątpliwych zasięgnąć zdania przyjaciela, którego się zdybać nadarzyło. Nie szło to ani łatwo ani prędko, bo handlów winnych było wtedy w Krakowie bez liku, a co drugi dom to piwnica zastawiona beczkami, antałkami, gąsiorkami i butelkami. Zamożniejsi mieszczanie wkładali kapitały swoje w wino, jeśli bowiem towar dopisał, to wartość jego niesły-

chanie z każdym dniem rosła, a taka lokacya kapitałów była i przyjemną i korzystną.

Onufry ze swéj strony kilku tylko najbliższych sprosił kolegów, ale co go mocno ubodło, iż brat nie czekając wesela odjechał. Owe nawet listy zastawne zostały przy nim, a to tym przypadkiem, iż Stanisław jak mu powiadał, nie chciał ich trzymać w domu zajezdnym a przed wyjazdem miał odebrać. Nigdy Onufry nie mógł przypuszczać, aby brat nie był na jego weselu, a nadto aby bez pożegnania miał odjechać. Tymczasem tak się stało.

Wesele odbyło się bardzo hucznie. Maciek który w tym dniu w jakąś opiętą wlazł kurtkę i w buty Onufrego, był pierwszym cześnikiem, a pragnąc zarobić sobie na łaskę całego cechu, nieszczędził wina, napełniając bez przerwy próżne kieliszki i szklanki. Koledzy Onufrego z których nie jeden porównywał w téj chwili stan swój ubogi z dostatkami wesela krawieckiego, prowadzili rej w kole tańczących, a chociaż łokciami szturchano się i deptano, chociaż nie zawsze wytrzymywano figury tańca i muzykanci zagrzani trunkiem i rozmarzeni gorącem nie pilnowali taktu, wszelako bawiono się wybornie. Po kolacyi suto zastawionéj, starsze osoby co nie miały kogo pilnować, zaczęły się wysuwać cichaczem lubo nie bez trudności ze strony gospodarzy, a kiedy się trochę więcéj miejsca zrobiło, dopiero tańce na dobre: i krakowiaki z dowcipnemi a dwuznacznemi zwrotkami swemi i obertasy i drabanty z butelką w ręku, z któréj panny zręcznie wśród pląsów nalewać musiały, a niebezpiecznie rozlać bo zła wróżba. Mury trzęsły się od hołupców, szyby drżały od okrzyków, sam tylko Onufry przechadzał się milczący i poważny, albo wysuwał się do sieni i tam zatapiał się samotnie w myślach. Nikt na niego nie zważał, każdy sobą zajęty, czasem tylko badające oko Marysi spoczęło na nim, a w ten

czas Onufry starał się łagodném wejrzeniem i uśmiechem rozbroić ciekawość żony. Nienauczona czytać w głębi serca, poprzestawała na tém co jéj po wierzchu pokazywano, i o tém tylko myślała, że ją nic już z Onufrym nie rozdzieli.

W jednéj z takich chwil niedostrzeżonych Onufry wysunął się cichaczem do sieni i po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać nad przyszłością. Te krzyki i śpiewy, przeraźliwy głoś klarynetu, tupania i hałasy nie mile go raziły; zaczął się cieszyć zaprawdę, że Stanisław wyjechał, boby się był musiał przed nim rumienić. Żonie swojéj miał znów za złe, że dała się uwieść spokojnemu wyrazowi twarzy, jaką jéj okazywał. Wtém Maciek wypadłszy za czemś do sieni, dostrzegł go przy świetle dogorywającego kaganka jak z zwieszoną głową stał wsparty na poręczy schodów, więc myśląc że mu słabo się zrobiło, zbiegł szybko na dół i powrócił z dzbankiem wody, myśląc sobie po drodze:

— Szczególna rzecz, gdzie on mógł tyle wina wypić, kiedy go odemnie nigdy nie chciał; zapewne dorwał się go już wprzódy gdzie w kącie.

— Niech się pan napije panie Onufry — rzekł Maciek — to pana orzeźwi.

— Masz słuszność mój chłopcze — odpowiedział Koniecki i przychylił do ust dzbanek wody, który mu Maciek podtrzymywał, a potem usiadł na pierwszym stopniu schodów.

Maćkowi ani przez głowę nie przeszło, aby marzenia Onufrego nie były skutkiem zbytniego użycia wina, a że widział nieraz iż najskuteczniéj w takim przypadku zlać głowę wodą, więc zręcznie go ochlusnął. Niespodziewana ta kąpiel zgniewala Onufrego tak dalece, iż zerwawszy się z siedzenia rzucił się za chłopcem, a ten widząc że strach, wpadł do izby i przytrzymywał drzwi wzywając ratunku obecnych przeciw pijanemu panu

młodemu. Rzuciło się ku drzwiom kilkanaście osób, z czego Maciek korzystając wlazł w kąt poza muzykantów i ukrył się za ogromnemi basami. Kilku starszych wyszło do sieni mitygować Onufrego, a ten bynajmniéj nie mógł im wytłumaczyć, że prócz niezbędnych parę kieliszków wiwatowych przy kolacyi, nic więcéj nie pił.

— Zwyczajnie, słabą ma głowę, niewprawny — zamruczało kilku, niewątpiąc wszakże, że operacya z dzbankiem wody przyniosla pożądany skutek i otrzeźwiła pana młodego. Nie miano za złe Onufremu, iż sobie podpił, lecz że głowę ma słabą, a jaki taki pomyślał: zaprawi się, zaprawi!

Po oczepinach, które zwykłą odbyły się formą, to jest, iż pannę młodą i dwie druchny starsze okryto zasłonami, a potem kazano panu młodemu wybierać, która z nich jego jest żoną, przyczem nieobyło się bez pomyłek i śmiechu, po wypiciu zdrowia państwa młodych i wytańczeniu panny młodéj na pożegnanie stanu panieńskiego przez wszystką młodzież, po zagraniu tak zwanego „chmielu“ odprowadzono nowo zamężnych do mieszkania pana młodego, to jest do dawnéj kawalerskiéj izdebki Onufrego po drugiéj stronie sieni, wypito jeszcze kilka garncy wina we drzwiach, potem podedrzwiami i na schodach, a kiedy goście wytoczyli się na ulicę, już dobrze dniało chociaż było to na krótkim dniu i zaczęły się już otwierać sklepy korzenne a przekupki rozkładały swoje stragany.

Ile zjedzono i wypito na tem weselu, tego z pewnością nigdy dojść nie było można; wszelako mało co chybiło od tego, co starożytnemi przepisami królewskiemi wydanemi dla miast pod prawem magdeburskiem zostających, zastrzeżono jako maximum przy takich okolicznościach.

Tegoż samego wieczora w tylnéj izbie przytykającéj do szynku „pod beczką“ odprawiało się wesele Kasine z Grucą. Zapomoga jaką Szczepanowa dostała od Stanisława Konieckiego, a przytem zręczna pomoc Chłapczyńskiego doprowadziły swaty do skutku. Chłapczyński był to pisarz pokątny jakich w Krakowie bywało pełno, ale jego liczono do rzędu pierwszych w mieście tego rodzaju prawników. Doskonała znajomość prawa, nabyta praktyką i wrodzonym darem do matactwa, zuchwalstwo i bezczelność, a przytem powolność sądów, zjednały mu liczną klientellę między chłopami wsi pobliskich, po przedmieściach i nawet między łatwowiernemi w mieście. Chłapczyński pisywał podania dla każdego i o co chcieć było, każdą kłótnię i spór wprowadzał na drogę procesu cywilnego lub policyjnego a nawet często kryminalnego; stawał zawsze w imieniu stron w sądach pokoju, gdzie zaś nie mógł być obrońcą, tam przynajmniéj był za świadka, a w trybunale wyręczał się adwokatem, który kładł tylko podpis i odczytywał przed kratkami obrony wypracowane przez Chłapczyńskiego. Zdarzało się niekiedy, że adwokat czytając nagle się zatrzymał, albo niemogąc kulasów kładzionych przez Chłapczyńskiego wydukać, albo natrafiwszy na jaki ustęp obrony, który wziąść na siebie wahał się. Chłapczyński nie wzdrygał się przed kłamstwem, oszczerstwem, nieprzyzwoitością, byle otumanić sąd lub potępić stronę przeciwną, a jemu i jemu podobnym zawdzięczano to mnóstwo spraw tak zwanych „parszywych“ które nie były zaszczytnemi dla adwokatów i ubliżały powadze trybunału. Chłapczyński podkopywał powagę sądów już i przez to, że wybierał od stron daninę pod pozorem łapówek dla sędziów.

Opieka wszakże jego nietylko rozciągała się do samych spraw sądowych. Nabywszy imienia wielkiego znawcy interessów i biegłego spraw kierownika, używany

bywał w różnych okolicznościach przez przyjaciół, którym za małą nagrodę pomocy swéj udzielał. Czy to więc kupno domu w mieście lub gruntu na wsi, czy pożyczka pieniężna, czy swaty lub rady familijne, nic się nie obeszło bez jego pośrednictwa. A nie tylko liczył on klientów w klasie niższéj, któréj imponował terminami technicznemi, ale uciekali się nieraz do niego i ludzie wyższych pozycyj socyalnych, tam gdzie im samym święcić się niewypadało. Mimo tego wszystkiego Chłapczyński nie zrobił majątku. To co w dzień zapracował, w nocy przepił i przegrał, a że miał do czynienia z ludźmi różnego stanu, więc prócz w sądach można go było zawsze spotkać o pewnych godzinach na winie, o innych na miodzie, a w dni targowe w szynkach wódczanych, gdzie z chłopami się zdybywał.

Szynk „pod beczką“ był więc jedną z głównych jego stacyj. Tam wysłuchawszy żalów Szczepanowéj nad niestałością Grucy, a potem dowiedziawszy się o poprawie losu szynkarki, i jak ta w najświetniejszych kolorach przedstawiała mu przyszłość córki o któréj wielki pan pamięta, Chłapczyński przyrzekł zająć się bezzwłocznie wyswataniem Kasi, dodając, że jeżeli nie Gruczyński, to inny w jego miejsce się znajdzie.

Jakoż tego jeszcze dnia po obiedzie przechodząc ulicą spotkał się z Grucą.

— Jak się pan masz, panie Gruczyński?

— Ot tak jak pan widzisz panie adwokacie (bo zwano go przez grzeczność adwokatem). Zdrów do usług.

— A czy to dziś poniedziałek że nie w robocie?

— E gdzie tam! ale chciałem sobie trochę wypocząć, a potem namyślę się, może gdzie w świat pójdę, już mi się tu w Krakowie przykrzy. Pokłóciłem się z Kozińskim, który mi gwałtem chciał na kark zwalić córkę.

— No i czemuż było nieprzyjąć? — zapytał Chłapczyński niby o niczem nie wiedząc — dziewczyna niczego i starzy muszą mieć grosz w skrzyni.

— Djabła go tam mają! mieliby żeby nie karmili darmozjadów i z chłopakami zbytków nierobili. Ale to i ojciec w domu i guwerner licho wie do kogo, i księdzu synowi często co poślą, i terminatorów na tym samym trzymają stole co i czeladź.

— A prawda, prawda, że to zbytki. Mnie też to dziwi, że tyle lat już majstrem a nawet starszym, i nie kupił sobie przecież kamienicy. Żeby miał na długach, tobym ja to wiedział, znam całą hipotekę od końca do końca, wyciągałem najmniéj sto ekstraktów tabularnych, Kozińskiego nigdzie niema. Ha, widać hołysze. Dobrześ to pan zmiarkował panie Pawle, widać człek z ciebie roztropny i niewierzący na słowo. A musieli złote góry obiecywać?

— Oho! niezłapie mię tak łatwo.

— Zapewne, zapewne. Jabym też panu Pawłowi nasunął lepszą partyę, żebym nie wiedział, że takiego jak ty byle czem niesprowadzi.

— Co to za poczciwa dusza ten Chłapczyński!

I uściskali się obaj.

— Ale ale, czy pan wiesz panie Pawle jakie szczęście spotkało Szczepanową?

— No, czy wygrała na loteryi?

— Uchowaj Boże, jeszcze coś lepszego, bo ani stawka nie kosztowała.

— I cóż takiego?

— Ej, opowiem kiedy indziéj, ale to prawdziwe szczęście!

— Panie Chłapczyński, może na kieliszek?

— O dziękuję, dziękuję, ja nic nie pijam.

— Ależ przecie....

— Panie Pawle nie zmuszaj mię....

— No no, dla przyjaciela nieodmówisz.

— I cóż mam z tobą robić, kiedy tak natrętnie prosisz.

— Więc Szczepanowa jak pan powiadasz ma pieniądze?

— Powiedziałem że ma pieniądze?—jeżelim to powiedział, tom się niechcący wygadał. Prosiła mię żeby nic nie mówić, boby się do niéj zbiegano pożyczać. Ale to nie jéj pieniądze, tylko dla panny Katarzyny, a nawet i nie dla panny Katarzyny ale dla Zosi.

— Ej, to wszystko jedno.

— Jaki to z was filut panie Pawle! Otóż jak powiedziałem, ten pan ze wsi, co to..... no to był tu umyślnie żeby się przekonać jak Szczepanowéj idzie, zostawił pieniądze, kazał wydać córkę za mąż i przyrzekł posyłać co rok na edukacyą dziecka— ale otóż i „beczka“ ha to wreszcie wstąpmy i tutaj, kiedy nam po drodze.

Tym sposobem odnowioną znajomość szybko uwieńczył skutek. Wprawdzie wzbraniała się Kasia iść za Grucę, bo dziewczynie we dworze chowanéj nie przypadał do smaku czeladnik nieokrzesany, któremu ani dowcip lokajski, ani rozrzutność panicza nie towarzyszyły. Gruca więcéj rozmawiał ze Szczepanową niż z Kasią, rozwijał przed pierwszą rozległe plany swoje, które się niezatrzymywały aż na propinacyi Przegorzał albo i Rakowic. Szmulowa potakiwała wszystkiemu, rozpowiadała o bogatym panu, który popłacił długi i dał zapomogę, a lubo wszystko troje, Szczepanowa, Chłapczyński i żydówka nie namawiali się wcale, zeszli się jednak w jednem kłamstwie: że ten pan corocznie obiecał przysyłać pieniądze, a Chłapczyński nawet dodał, że gdyby chybił, to go nie tylko zmusić można do tego prawem, ale jeszcze na nim zyskać, nastraszywszy go, że mu się wstydu narobi.

Nazajutrz po ślubie, Gruczyński który nie miał swojéj roboty, zajął się krzątaniem około domu, zajrzał do piwnicy, przemierzył okowitę, obliczył wszystko co w domu było, potem ze Szmulową zaczął szepty, a w kilka dni czuć było już nowego pana. Skrzętny, zabiegliwy, ściągnął do szynku mnóstwo nowych gości, a szczególnie czeladź rzemieślniczą, a zwolna dostawszy w rękę cały obrót pieniężny, stał się dla Szmulowéj przykrym, dla Szczepanowéj grubijaninem, a dla żony tyranem. Chłapczyński tylko sam jeden umiał utrzymać ścisłą z nim przyjaźń i on zajął ten stołek, który niegdyś wyłącznie Szmulowéj był siedzeniem.

Takim trybem szły rzeczy rok cały z okładem. Szczepanowa z zuchwałéj kobiety zmieniła się na trusię i we własnym szynku nie zajmowała już roli pani ale służebnéj szynkarki. Donośny jéj głos jakoś złagodniał, często łzy ocierała zapaską lub pieściła małą Zosię, żeby jéj wynagrodzić za szturchańce jakie ją czasem od Pawła spotykały, kiedy mu się w drodze nawinęła. Córce nie śmiała spojrzeć w oczy, żeby w nich nie wyczytać wyrzutu. Pawłowa znosiła w milczeniu los jaki przeczuwać się zdawała idąc za Grucę, lecz pokrywała jak mogła, żeby matki nie trapić. Zajęta kuchnią i domowem gospodarstwem, kiedy tymczasem Szczepanowa cały dzień i wieczór do późna w noc w szynku zatrudniona: obie kobiety niemiały prawie nigdy sposobności pogadania ze sobą swobodnie i bez świadków.

Wszelako nadeszła pewnego razu od dawna od nich upragniona chwila, gdzie mogły być znowu razem i same. Gruca, któremu wszystko szło jak z płatka, wydobywszy się z pod opieki Szmulowéj, wyjechał sam do Prus za okowitą, zapowiedziawszy, żeby w nieobecności jego największy panował porządek. Chłapczyński miał sprawę w sądzie pokoju; Szmulowa która w sieni czatowała na jego odejście, wsunęła głowę we drzwi

nieśmiało, a widząc pustki w szynku, weszła i kiwając głową zaczęła wyrzekać. Pawłowa trzymała Zosię na kolanach, a matka ocierała zapłakane oczy. I te trzy kobiety wzruszający przedstawiały widok. Nie zawodziły one żalów długiemi i wymownemi okresami krasomowskiemi, a słowa ich przerywane to łkaniem to wybuchami gniewu lub rozpaczy, to przekleństwami nawet, niemniej jasno malowały stan ich uczuć, jak sentencyami i bogactwem wyrażeń ozdobiony dyalog. Były to wprawdzie słowa urywane, ale dla nich zrozumiałe. Oddać je trudno, bo siła ich i znaczenie nie tyle tkwiły w nich samych ile raczéj w głosie i tonie ich. Żydówka rzadko przemówiła, lecz tylko kiwała głową nad płaczącemi.

W tem uchyliły się drzwi boczne nieśmiało, i dwoje oczu badawczo przejrzały całą izbę, a potem wszedł jakiś mężczyzna. Kobiety zerwały się z siedzenia, otarły oczy, wypogodziły twarz jak można, a Szczepanowa wysunęła się za kasę szynkową. Zjawisko takie nie bywało obcem, że w godzinie w któréj zwyczajni goście nie zalegają ław szynkowych, zjawi się jakiś niezwykły przybysz, co *incognito* łyknie, położy pieniądz i cichaczem się wysunie; jeśli zaś znajdzie jakiego świadka niepohamowanego pragnienia swego, to albo się cofnie przepraszając że się omylił, lub zapyta o osobę która w tym domu nie mieszka, albo jeżli odważniejszy, to skrzywi się boleśnie i zażąda wódki gorzkiéj na wzmocnienie żołądka. Nowo przybyły zamiast wszakże przystąpić do stołu szynkownego, na którym w wanience wodą napełnionéj ustawione były w przegródkach czworogranne flaszki, posunął się w stronę przeciwną i z wielkiem zadziwieniem obecnych kobiet wziął pod brodę Zosię, pogłaskał i rzekł:

— Wszak to Zosia?

Pani Pawłowa jakkolwiek od płaczu zaczerwieniona, jeszcze silniejszym pokryła się rumieńcem, spojrzawszy na przybyłego mężczyznę, a słowa zamarły jéj na ustach.

— Czy to Zosia? zapytał powtórnie mężczyzna — to musi być ona, taka podobna.

— A cóż to pan sobie życzysz? — przemówiła Szczepanowa wymowniejsza i śmielsza od córki.

— Chciałem się widzieć z matką Zosi, z panią...

— Gruczyńską? — dodała matka.

— Nie byłem pewny, czy poszła za mąż. A tak, z panią Gruczyńską.

— Cóż to za dziwne podobieństwo! — szepnęła Pawłowa do ucha matki, która wśród téj indagujacéj rozmowy wróciła z za szynkfasu na dawne miejsce.

— To ja jestem — rzekła nieśmiało Pawłowa.

— Więc mam tu oddać pani 950 złotych, lecz mię proszę pokwitować. Pieniądze te przeznaczone są na wychowanie Zosi, a sądzę, że co rok będziesz je pani mogła odbierać. Jestto procent od dziewietnastu tysięcy, które zapewne, jeśli inaczéj zarządzonem nie będzie, staną się posagiem Zosi. Wymawiam sobie tylko, aby procent ten był wyłącznie obracany na korzyść dziecka, gdyż w przeciwnym razie, gdyby Zosia nie odbierała przyzwoitéj edukacyi, mam prawo wstrzymać dalsze wypłaty. Bo lubo nie są to moje pieniądze, wszelako nie potrzebuję zdawać z nich nikomu rachunku, i użyć ich mogę na inne cele, choć nie na własną potrzebę.

Cała ta przemowa zimnym i suchym tonem wyrzeczona inne na każdéj z kobiet sprawiła wrażenie. Żydówka która kiwała wprzód głową na znak ubolewania, zaczęła nią kręcić dziwiąc się wielce téj tajemnéj wspaniałomyślności. Szczepanowa, w któréj na widok pięciozłotówek rozkładanych na stole z obojętnością kasye-

ra cudze liczącego pieniądze, obudziła się dawna żyłka chciwości, z jakiéj ją Gruca tak szczęśliwie wyleczył, wstrzymywała z trudnością ręce, aby przed czasem nie zgarnąć srebra w zapaskę, którą już była na ten cel podniosła; Pawłowa zaś krzątała się szukając pióra, papieru i atramentu, bo takowe niekiedy Chłapczyński w szufladzie stolika zostawiał. Tym razem jednak nic nie znalazła.

— Nie macie czem i na czem napisać kwitu, a może i pisać nie umiecie? — zapytał obcy. — Spodziewam się, że Zosia będzie umieć pisać.

— Pisać umiem — odrzekła Zosina matka — nauczyła mię pani u któréj byłam we dworze. . . .

— Oto jest papier, atrament i pióro — rzekł nieznajomy, dobywając rekwizyta piśmienne z kieszeni. Wyjął potem scyzoryk, przyciął pióro któremu nos się zakrzywił, umaczał je i posuwistym zamachem napisał „Próba pióra“, a potem szastnąwszy w lewo i w prawo piórem po rękawie, podsunął Pawłowéj nowy arkusz papieru i podyktował jéj kwit z odbioru pieniędzy bez wymienienia osoby pokwitowanéj.

Jeszcze kwit nie był gotów, kiedy Szmulowa cichaczem wysunęła się za drzwi i zawoławszy jakiegoś przechodzącego żydka, zaczęła mu coś szwargotać. Żydek trop w trop posuwał się potem za nieznajomym, kiedy ten ze szynku był wyszedł. Wszelako wrócił nie wiele się dowiedziawszy, bo rzeczony jegomość znikł mu przed nosem w gmachu rządowym, wszedłszy do jakiegoś bióra. Szmulowa nie chciała dać żydowi trojaka po którego rękę wyciągał, lecz kazała mu obiecawszy podwójną nagrodę, wrócić na powrót i starać się o wywiedzenie, coby to był za jegomość.

Nazajutrz Szczepanowa zajęła się sprawunkami dla Zosi i w parę dni dziecko było wystrojone jak pańskie a wiele jeszcze innych rzeczy dla niego obstalowano.

— To pewnie od pana Stanisława — mówiła Pawłowa do matki. — Mój Boże, gdyby mię mamunia nie była zmuszała.....

— Bój się Boga Kasiu — przerwała jéj Szczepanowa — ja nigdy w życiu nie przebaczę sobie, żem się tak zwieść dała temu łajdakowi. Wszakże to ze szynku i z pomocą jeszcze tych pieniędzy można było nam żyć wygodnie. Ale to widzisz moje dziecko, mój — Panie odpuść mu! — był wielki ladaco, więc ja chciałam dać cię za rzemieślnika, a Gruca mi się wydawał porządnym, gospodarnym i przezornym człowiekiem, a potem, nie chciałam żeby cię wytykano palcem jak słomianą wdowę.

Te i tym podobne rozmowy prowadzono przez czas nieobecności Pawła. Żydziak wysłany na zwiady niczego się nie dowiedział, bo go wypchnięto za dzwi z kancelaryi; przed Chłapczyńskim tajono się, a nie przyszło na myśl kobietom, co zrobić z pieniędzmi, żeby je ukryć przed Grucą i jak mu znów wytłumaczyć sprawunki porobione dla Zosi. Zajęte przez wszystkie wolne chwile rozmową o posłanniku, przenosiły się niekiedy marzeniami w szczęśliwe czasy: Szczepanowa kiedy panowała udzielnie na karczmie, a Kasia kiedy posługiwała we dworze rannemu paniczowi. Człowiek na każdym szczeblu hierarchii społecznéj ma jedne i też same przymioty i słabości, tylko pojawy ich, tylko forma jest różna. Radość i smutek, roskosz i boleść jednakowo są uczuwane, jeśli ta radość i smutek, roskosz i boleść odpowiadają stopniem swéj mocy zdolności ich przyjmowania. Zdolność ta nie zawisła tyle od stosunków zewnętrznych, ile od siły uczucia bądź wrodzonéj bądź wychowaniem rozwiniętéj.

Gruca wróciwszy do domu zdziwił się mocno ujrzawszy łóżeczko z porządną pościelą dla Zosi i ją samą ubraną w sukienki schludne a nawet ozdobne. Dziecko

jakby przeczuwając co je czeka, na widok wchodzącego Grucy rzuciło się skryć za matkę. Indagacya rozpoczęła się surowa, a trwała niedługo. Obie niewiasty wyspowiadały się z każdego kroku i słówka, a mimo tego Gruca nie był zaspokojony. Do rachunku jego brakowało mu 50 złotych; bo naprzód, że mu gadano przed weselem, iż obcy pan dał tysiąc złotych, więc mniemał, że i teraz takiż sam tysiąc przypaść powinien, powtóre, że mu ta nieokrągła summa wielce zdawała się być podejrzaną. Któż ofiarując tyle, nie zaokrągli tysiąca pięćdziesięciu złotemi?

— Co mi tam pleciecie obie za bzdurstwa! Spiknęłyście się na mnie, a jakem żyw nie daruję 50 złotych. Słyszysz Kaśka, gadaj gdzieś je podziała. Może je ta stara czarownica schowała?

Szczepanowa nie mogła się od złości powstrzymać, i lubo wiele znosiła dotąd, byleby córki nie porzucać, wszelako przebrała się jéj miara cierpliwości, i przypominając sobie dawne czasy, wyrzuciła taki potok słów obelżywych, iżby jéj pozazdrościł Homer opisujący kłótnie bohatyrów swych przed walką, albo Börne, że ich nie użył w swoim „słowniku wymyślań“ któremi chciał raz na zawsze odpowiedzieć na obelgi przeciw sobie miotane.

— Precz z mojego domu! — wrzasnęła w końcu Szczepanowa. — To mój szynk i mój konsens.

— Ha ha ha! — roześmiał się Gruca, który nigdy się nie unosił, jeśli gniew nie wchodził w rachubę jego planów. — Co ty babo mówisz, że to twój szynk i konsens? a czy mnie to tu nie było? Słyszysz Chłapczyński — rzecze do wchodzącego właśnie z pliką papierów pokątnego adwokata — ona mi nie chce wierzyć że konsens na imię moje przepisany i okowita opłacona także na moje imię w konsumpcyi.

Szczepanowa wskoczyła na stołek, ze stołka na szynkfas i sięgnęła ręką po konsens na niebieskim papierze za szkłem wiszący na ścianie obok obrazu Matki Boskiéj, przed którym paliła się każdego piątku lampa nie z pobożności lecz przez wzgląd na chłopów, którzy na to bardzo zważali. Lubo Szczepanowa czytać nie umiała, poznała jednak, że w konsensie musiała jakaś zajść zmiana, bo papier świeższy nie zbladł był jeszcze od wilgoci. O mało nie zleciała ze stołu poznawszy zmianę. Podała w milczeniu konsens córce, która przytłumionym rzekła głosem:

— Konsens na imię Grucy napisany.

— Grucy mówisz? — zawołał mąż i wyciął jéj policzek.

Katarzyna upuściła z rąk konsens, i szkło za którém był oprawny rozsypało się po podłodze.

— *Alias* Gruczyński: stoi wyraźnie napisane — dodał Chłapczyński patrzący z obojętnością na tę scenę pożycia małżeńskiego.

Szczepanowa jak rozjuszona tygrysica przyskoczyła z pazurami do zięcia, lecz ten z zimną krwią zastawiwszy się stołkiem, zawołał:

— Wara odemnie, bo was obie ztąd wyżenę.

— Uspokójcie się Szczepanowa — rzekł Chłapczyński — a jutro pozwać i wytoczyć proces o pobicie, a jeżeli znaki jakie będą, to kazać zrobić *visum et repertum*. Dajcie mi na stęple, ja zaraz się tem zajmę. Pokażcie mi konsens, może on téż sfałszowany.

Mówiąc to Chłapczyński łypnął oczami na Grucę, żeby mu niby okazać, że to na drwiny.

Epizod ten domowego pożycia zakończył się szczęśliwie przybyciem zgrai pijaków. Katarzyna wyszła płakać do sieni, a Szczepanowa popchnięta samą mocą nawyknienia, stanęła za szynkfasem i rozstawiać poczęła kieliszki przed przybyłemi.

Nazajutrz Gruca zapowiedział żonie i matce że lubo nie ma do nich żalu, radzi im przecież nigdy go drugi raz tak nie drażnić. One nie miały odwagi powiedzieć mu że mają żal do niego. I rzeczywiście, nie był to już żal, ale nienawiść u matki, a u córki odraza. Zapowiedział im także że bez jego wiedzy i woli nie mogą nic sprawiać w domu, jeszcze raz natrącił o 50 złotych, których brakowało, a postanowiwszy w duchu pilne zwrócić oko na kroki matki, któréj nie ufał, był co do reszty spokojny. Dla Zosi jakoś stał się nie żeby przyjaźniejszym, lecz nie tak gwałtownym i dbał o jéj zdrowie, bo ona mu przedstawiała wartość renty 950 złotych, mniéj kosztem jadła którego nie warto było wtedy nawet obliczać na takie dziecko. Nie dowiedziawszy się od żony ktoby to był ten pan co owe pieniądze przyniósł, postanowił zwolna ją wybadać, bo nie przypuszczał aby to nie miało jéj być wiadome. Szło mu zaś o to nie przez prostą ciekawość, ale iż pragnął wiedzieć kto i z jakiéj odległości dom jego ma na oku.

Nie długo potem Szczepanowa stojąc w progu szynku ujrzała tegoż samego mężczyznę, który im pieniądze był przyniósł i zawoławszy Kasi pokazała go palcem.

— Czego się tam tak gapicie? — krzyknął pan domu — Kaśka nie wystawać przed sklepem bo tego nie lubię, do kuchni zaraz!

Chłapczyński, który ze swojego stołka rzucił okiem przez drzwi otwarte w kierunku wzniesionego przez Szczepanową palca, rzekł do Grucy:

— Wiesz Pawle, oto pokazały tego, co ci z przed nosa Marysię porwał.

— Konieckiego? zapytał Paweł.

— Aha! — zawołały jednogłośnie obie kobiety spojrzawszy na siebie znacząco.

— Cóż was tak dziwi? ja mu tam nie zazdroszczę, chociażbym w jego miejscu stał daleko lepiéj. A tam

z nim dość chudo — i starym Kozińskim źle idzie. Dobrze im tak, tyrali téż mną, tyrali.

— Żebym ja był na miejscu tego Konieckiego, jakiebym ja interesa robił! — zawołał pisarz pokątny — ale on na to za głupi.

IV.

Rzeczywiście był to Onufry co pieniądze Pawłowéj przyniósł. Pisywał on do brata list za listem, pytając co ma zrobić z owemi dziewiętnastu tysiącami zostawionemi z pugilaresem, wszelako ani razu nie wymówił mu że go odjechał bez pożegnania i nie czekając wesela. Po pewnym dopiero przeciągu czasu nadeszła odpowiedź od Stanisława, a właściwie nie odpowiedź, lecz list jakby świeżo zawięzujący korespondencyę. W nim była mowa o tém i o owém, w ogóle o rzeczach obojętnych, a sam tylko dopisek odnosił się do przedmiotu, który tyle Onufrego niepokoił. Przypisek zaś ten był taki:

„*P. S.* Co do pieniędzy którem zostawił, „rób z niemi co ci się podoba. Przeznaczam je „dla familii i sądzę, że tym sposobem wywięzuję się z obowiązków, jakie względem niéj „zaciągnąłem“.

Słowa te wielki sprawiły ból sercu Onufrego. Nie był on zdolny pojmować tego rodzaju miłości braterskiéj wypłacającéj się monetą brzęczącą lub listami zastawnemi. Jeżeli te pieniądze mają być dla familii, to jedyne do nich prawo ma córka Kasi. Tak rozumował Onufry i niechcąc ich trzymać u siebie jakby w obawie by go kiedy nie napadła żądza przywłaszczenia ich sobie, ulokował je na hipotece, a pierwszy procent jaki przynio-

sły złożył wedle przeznaczenia swego na ręce matki Zosinéj.

Kto inny byłby może pod imię téj familii o któréj list Stanisława wzmiankował, podciągnął przedewszystkiém siebie i swoją siostrę. Anusia o któréj prawie słychać nie było, prowadziła wciąż gospodarstwo opiekunowi swemu co ją zaraz po śmierci matki wziął był na wychowanie. Musiała ona zapewne być szczęśliwą, bo ledwie co parę lat pisywała do brata, a w listach jéj było więcéj o krowach, przychowku i drobiu niżeli o sobie saméj. Onufry ubolewał początkowo nad niedostatkiem jéj edukacyi, co można było poznać że i pismo niekaligraficzne i pisownia dowolna i w układzie okresów zupełny panował nieład; z czasem jednak oswoił się z jéj kulasami, w jéj opisach znajdował jakąś swobodę niemal sielankową i zaczynał pojmować, że bez pisowni i kaligrafii można być szczęśliwym.

Spokojny więc o los siostry, a uznając że nie ma prawa do pieniędzy przez brata zostawionych, nie podciągnął i jéj pod toż prawo. Surowy dla siebie, był téż surowym i dla drugich. Życie jego zresztą nie płynęło mlekiem i miodem i nie kołysało się na wonném z róż posłaniu. Odebrawszy pierwszą miesięczną płacę swoją, mniemał że za 90 złotych utrzymać zdoła lubo skromnie lecz przyzwoicie siebie i żonę. Obliczywszy się wszakże lepiéj, przekonał się, że zanim dostał się na etat, miał przecięż większe dochody, lubo go te nie tak regularnie lecz kapaniną dochodziły. Nie mogło się mu jednak nigdy w głowie pomieścić, jak koledzy jego liczną nieraz obarczeni familią wystarczą na wszystko, i dom utrzymują i pozwalają sobie jeszcze na małe zbyteczki, palą tytoń, piją piwo, grywają w billard i do teatru chodzą. Chłapczyński wszakże lepiéj to rozumiał, kiedy zawołał, że chciałby być na miejscu Onufrego.

Pierwszy rok pożycia małżeńskiego zszedł jako tako

Konieckim. Mieszkając prawie jakby u rodziców, bo przez sień tylko od nich odłączeni, mieścili się w owéj kawalerskiéj izdebce Onufrego, jadali u rodziców, nie trzymali sługi i żadnych nadzwyczajnych nie ponosili wydatków. Najmłodszy terminator krawiecki w szeregu licznych zatrudnień swoich obowiązany był jeszcze posługiwać „młodszym państwu“.

Po upływie wszakże roku zmieniły się rzeczy. Rodzina Konieckich powiększyła się nowo narodzonym, wydatki jedne za drugiemi rosły, trzeba było i sługę przyjąć i mieszkanie nająć obszerniejsze, a wreszcie nie wypadało dłużéj objadać starych, którzy pracując dość długo na dzieci, powinni byli nareszcie pomyśleć o zapewnieniu sobie spokojnéj starości.

Zwyczaj ten żywienia u siebie dzieci w pierwszym roku ich zamęścia, dość bywał dawniéj po miastach powszechny; dziś lubo nader rzadki, zdarza się jeszcze gdzieniegdzie, najczęściéj jednak u żydów. Ma on i dobrą swoją stronę, iż nie przerzuca nagle córki z domu rodzicielskiego w obcy dla niéj świat mężowski. Dziś zwyczaj ten mniéj już potrzebny: córka łatwo od matki odwyka będąc oddana dzieckiem na pensyę, albo téż chowana pod wyłącznèm okiem guwernantki; nie potrzebuje ona wtedy odtęsknić za domem rodzicielskim i za matczynèm sercem.

Wyprowadzenie się Konieckich już i dla tego samego było niezbędnèm, że starym coraz gorzéj powodzić się zaczynało. Pan Ignacy jeszcze przed ślubem córki przez cały tydzień próbując i skupując wina poodmawiał zamówione u siebie roboty, a nowych nie przyjmował wcale, przez co odstręczył sobie kilka domów. Początek upadku najgorszy; potém idzie jak po równi pochyłéj z chyżością przyśpieszoną w miarę tego jak się wysoko było. Koledzy Onufrego, z których niejeden oporządzał się dawniéj u jego teścia, przenieśli się gdzieindziéj,

bądź niechcąc zdradzać tajemnic swojéj garderoby przed teściem swego kolegi, bądź téż nie śmiąc targować się z nim o zapłatę dla tejże saméj przyczyny. Ci co byli na weselu usunęli się także, bo na przypadek niezadowolenia z roboty, jak tu ją przyrzucić temu u którego się gościem było? Inni usprawiedliwiając złośliwie ten swój krok mawiali między sobą:

— Musiał on przecięż dobrze nas zdzierać, skoro go było stać na takie wesele.

Drobne te niechęci razem wzięte niemały przyniosły uszczerbek w zarobku. Do tego, Koziński stracił był jakoś smak do miodu a za to częściéj zaglądał do handlów winnych, co niemogło wypaść na korzyść kieszeni, dla wielu zaś było oznaką wynoszenia się. Gruca szkodził mu także podburzając czeladź wśród najpilniejszéj roboty, a nawet częstując ją u siebie, przez co nie tylko zemście swojéj dogadzał, ale obowiązywał i jednał sobie stałych gości. Nadszedł wreszcie czas nowych wyborów na starszego, a Koziński który raz po raz na téj godności korporacyjnéj był potwierdzany, nie mógł przypuszczać, aby go tym razem przegłosowano. Wszelako tak się stało, a było to dla niego wielkiém jakoby upokorzeniem i lubo złożył rachunki cechowe jak należy, wszelako nieznający rzeczy lub złośliwi brali ztąd powód do obmawiania go, a nawet w skutku tego kredyt jego na Kazimierzu mocno się nadwerężył. Zaczął więc opuszczać ręce, roboty nie pilnował, a wiadomo, że pańskie oko konia tuczy.

Nadeszła téż pora zupełnego przeobrażenia mód tak w strojach jako i we wszystkich rzeczach smaku. Kapryśna i nieodpowiednia formom ciała odzież męzka ustępować poczęła miejsca większéj naturalności i prostocie, a rewolucya ta wstrząsła całym systemem kroju i miary. Na ruinach reputacyi dawnych firm krawieckich wzniosły się młodsze, ruchliwsze, przyjmujące

każdą zmianę bez przesądnego przy dawném obstawania, i dla tego ich była przyszłość. Upaść więc musiał Koziński, i po kilku latach bieda na dobre zaglądać do jego domu zaczęła. Onufry jak mógł dopomagał rodzicom żony, lecz choćby sobie był ręce pourabiał, jak to mówią, po łokcie, wszystko było za mało. Przychodziła też na Kozińskiego taka czasem chwila, że żałował iż córki za Grucę nie wydał. Porównywał on los dawnego swego czeladnika, człowieka prostego i niepiśmiennego z losem zięcia, który ukończywszy nauki i lat tyle w biórze pracując pozostał ubogim, kiedy tamtemu drzwiami i oknem szły pieniądze.

Rzeczywiście Grucy powodziło się szalenie. Trzymał on już kilka szynków w mieście pod cudzemi nazwiskami, a drugie tyle cudzych zaopatrywał w wódkę. Na Zwierzyńcu za rogatką miał swoje składy okowity, a lubo przy tak rozrzuconém gospodarstwie rzadko już teraz w domu siadywał, wszelako wszystko tam szło jak z płatka. Matka, żona i sługi przyuczone do ślepego wykonywania jego rozkazów, tak się już były wdrożyły, że im ani przez myśl nie przeszło uchybić im w czémkolwiek. Początkowe wybuchy niepodległości karcił Gruca jakby zuchwalstwo i krnąbrność naprzeciw panu, z resztą nie tyranizował bezmyślnie, ale od czasu do czasu dawał uczuwać że jest samowładnym. Nie było wszakże już wtedy potrzeby uciekania się do gwałtownych środków, bo jedno słowo, jedno jego skinienie wystarczało do wprowadzenia wszystkiego w karby posłuszeństwa.

Pieniądze składane na wychowanie Zosi wpływały także do kieszeni Grucy, wprawdzie w pierwszych parę latach z protestacyą jéj matki i babki, późniéj zaś w milczeniu oddawane, jakby danina słusznie się należąca. Rokrocznie o jednym dniu i niemal o jednéj godzinie przynosił Onufry pieniądze, groził że wypłatę wstrzyma

na rok następny, lecz następnego roku przychodził i wypłacał. Gruca nigdy nie zapytał kto pieniądze przynosi, lecz jakby wiedział kiedy to nastąpi, tego dnia w domu się nie pokazywał, a i Chłapczyńskiego zawsze gdzieś pod jakim pozorem ze sobą wyciągnął.

Trwało to tak lat kilka. Onufry nie miał nigdy odwagi aby wstrzymać wypłatę, a to już głównie dla tego, iż nie wiedział co w takim razie począć z pieniędzmi. Właśnie odebrał był przypadający procent i obładowawszy nim kieszenie wchodził po godzinie kancelaryjnéj do sieni domu gdzie był szynk „pod beczką“, kiedy mu drogę zaszła Szmulowa.

— Może wielmożny pan ma co wekslować?

— Nie mam nic.

— Może wielmożny pan ma ruble obrączkowe? ja wymienię na inne i dam agio. Ja potrzebuję rubli obrączkowych, a wielmożnemu panu to wszystko jedno byle pieniądz. Co wielmożnemu panu to szkodzi? wielmożny pan często rublami płaci.

— A wy zkąd wiecie że ja mam ruble?

— Ny, a cóżby my żydzi niewiedzieli? Ja wiem nawet wiele jegomość pieniędzów tam niesie do szynku. A czy to warto temu Grucy tak zapychać worek? a za co on ma brać pieniądzów? to łotr, to oszust! A kto to widział tyle płacić za takie dziecko! to za dziesięć groszy nie zje przez dzień, a chodzi boso; to jak jegomość da dwieście złotych, to oni i tak przystać muszą. A czy to jegomość nie ma dzieci swoich?

Onufry stanął jak wryty. Słowa te silne na nim uczyniły wrażenie, a lubo nie myślał wcale aby obrócić pieniądze na swoją korzyść, wszelako nie miał siły odepchnąć pokusy żydowskiéj. Pochwyciła tę chwilę Szmulowa i rzekła:

— Niech wielmożny pan robi jak się mu podoba, a

mnie co do tego? ja tylko jegomości chciałam wymienić ruble.

Wymienić mogę zawsze — pomyślał Onufry — co zyskam z wymiany to przyłączę do procentu.

Żydówka i w tym razie jakby odgadła myśl Onufrego, przynajmniéj pierwszą jéj część, więc rzekła:

— Proszę jegomości do drugiéj kamienicy. Mnie tu ztąd wygonił Gruca. A na co jemu wekslarki, kiedy on sam większy spekulant niż wszyscy żydkowie.

Poszedł Onufry za Szmulową, a w rulonach rubli znalazło się więcéj niż połowa obrączkowych, które żydówka wymieniła na karbowańce zapłaciwszy po trzy grosze na sztuce. Ruble takie potrzebne są dla handlarzy wołów jadących do Rosyi. Onufry odliczywszy na nowo pieniądze zaczął je składać w kupki, lecz mu żydówka znowu wzięła perswadować i perswadować. Nie odrzekł ani słowa, tylko chcąc się zbyć czemprędzéj, zgarnął pieniądze do obu kieszeń i wyleciał z bramy jakby uciekając przed złém. Zimna krew go odeszła i w roztargnieniu pobiegł daléj w ulicę; wreszcie przypomniawszy sobie że miał iść „pod beczkę“ wrócił się i uspokojony nieco wszedł do mieszkania Pawłowéj. Zaczęło się już zmierzchać. W izbie za szynkownią stał stół zastawiony różném mięsiwem a na jedną osobę nakryty. Spodziewano się co chwila przybycia pana domu. Onufry powitał zimno Pawłowę i kazał sobie Zosię przyprowadzić.

Dziewczyna pamiętała, że epoka przybycia obcego pana była zawsze naznaczona sprawieniem nowéj sukienki i jakim łakociem, na które Gruca w wspaniałomyślności swojéj odrzucał parę złotych. Zbiegła więc po drabince ze stryszku, który odkrawając od izby najwyższą wypukłość sklepienia, zwykle w starych domach bardzo wysokiego, tworzył nad izbą powałę. Był to pokój sypialny Zosi i garderoba całéj familii.

— Cóż ty umiesz Zosiu? — zapytał Onufry głaszcząc dziecko pod brodę.

Dziewczyna spojrzała mu w oczy z figlarnym uśmiechem, nie pojmując zupełnie tego pytania.

W tém ozwał się naraz w sklepie piorunujący głos pana domu:

— Hej świecy! czemu to się nie świeci dotąd?

Zerwali się wszyscy. Szczepanowa wpadła ze szynku szukać ognia, Pawłowa pobiegła do śpiżarki niosąc z niéj resztę zastawy stołowéj, a Zosia wbiegła z szybkością wiewiórki po drabince na strych, wyścibiając tylko głowę otworem i wołając na Onufrego:

— Cyt! jegomość idzie!

Obraz ten był dostatecznym dla Onufrego, aby pojął stosunek jaki zachodzi między członkami téj rodziny. Nie czekając dłużéj wyszedł, a Pawłowa która się cichaczem wysunęła za nim do sieni, rzekła doń błagalnym lecz przytłumionym głosem:

— Przyjdź pan jutro wcześnie, *on* będzie w składzie.

O kilka kroków za domem szła Szmulowa wracając na Kazimierz z tłomoczkiem, owocem całodziennéj pracy swojéj, a ujrzawszy Onufrego rzekła do niego:

— Z przeproszeniem, ale wielmożny pan głupstwo zrobił, że dał Grucy tyle pieniędzy.

I jakieś tajemnicze przekleństwo żydowskie z ust jéj wyszło.

Już dobrze się ściemniło kiedy Onufry wszedł do swego mieszkania miotany gwałtownemi uczuciami. Zrzucił płaszcz ze siebie, cisnął na stół plikę papierów i zamiast powitać żonę jak zwykle, zaczął się przechadzać wielkiemi krokami. Żona w milczeniu spoglądała na niego nie wiedząc czemu przypisać ten stan niezwykły, a kiedy potém usiadł i podparł czoło, zbliżyła się do niego, położyła mu rękę na głowie i zapytała łagodnie:

— Onufry! co tobie?

— Nic — odrzekł westchnąwszy — to przejdzie, lekki zawrót głowy.

— Ciebie praca i niewywczas zabiją, a ja nieszczęśliwa nie mogę przyłożyć się w niczém aby ci ulżyć. Tę bieliznę com przez pół roku szyła dla téj pani ze wsi, to mi za nią nie zapłacono jeszcze. Powiedziano, że to dla kogo innego, a ten inny ma dopiero przysłać pieniądze. Byłam dziś w hotelu, i powiedzieli, że ta pani już odjechała. Pewnie przepadnie. Czy ty nie wiesz Onufry zkąd ona?

Onufry słyszał wprawdzie głos żony, ale nie rozumiał wyrazów, bo wyrazy Szmulowéj brzmiały mu ciągle jeszcze w uszach, a darmo im się oganiał, one jak natrętnie brzęcząca mucha wracały wciąż, niecierpliwiąc go. Marysia przypisując stan mężowski przyczynom fizycznym, przemyśliwała nad środkami.

— Ty potrzebujesz wzmocnienia — rzekła mu — kieliszek wina dobrego, możeby ci pomógł.

Zapaliła świecę, pobiegła do komody, lecz z kluczykiem w ręku zatrzymała się w pół przechylona i rzekła opuszczając ręce:

— Zapomniałam że to dziś pierwszy, to jeszcze pensyi nie odebrałeś.

W tém weszła służąca i postawiła na stole dymiące jeszcze parą ziemniaki.

— Siadaj Onufry do stołu — rzekła spoglądając niespokojnie na męża.

— Cóż więcéj jest do jedzenia?

— Co więcéj? albo my to jadamy kiedy wieczór co innego? odpowiedziała pani Koniecka przymuszając się do uśmiechu.

— Alem ja strasznie dziś głodny. Zdaje mi się, mówiłaś Marysiu, że po wino posyłasz. Mam zaprawdę jakiś szczególny do wina dziś apetyt. I zjadłbym coś dobrego.

Marysi zakręciły się łzy w oczach.

— Nie mam nic w domu więcéj, nie mam nawet.... na jutro do miasta.

— Gdybyś była poszła za Grucę, niebyłabyś potrzebowała kłopotać się, co dać mężowi na stół. Co to za szczęśliwy ten Gruca! jada za trzech, pije za pięciu, a nie braknie mu nigdy na pierwszego. Szkoda, szkoda.

— Onufry, tyś tego nigdy nie powiedział.

— Ale bom nigdy nie widział tak jak dziś tego człowieka w jego domowem życiu. Słuchaj no Marysiu, twój stary użala się że ja nie taki bogaty jak Gruca. Powiedz mu więc, że matka żony jest u niego za dziewkę. Koziński jeżliby u niego niesypiał w sieni, żeby pijaków ze szynkowni przez bramę wypuszczać, to możeby miał posłanie na strychu jak Zosia i uciekałby po drabinie jakby usłyszał, że zięć nadchodzi.... Tyś sobie niewyobrażała, że będziesz jadać za mężem jałowe ziemniaki na kolacyę; lecz gdyby twój mąż był szynkarzem a nie urzędnikiem, tobyś mogła nieraz ogryźć po nim kości lub niosąc z kuchni na stół, czasem jaki kąsek smaczny ukradkiem pochwycić....

— Bój się Boga Onufry co tobie!

— Mnie? nic! oto każ mi kupić wina i poślij do traktyerni po co dobrego.

To mówiąc Onufry zaczął brząkać pieniędzmi w obu kieszeniach. Marysia spojrzała na niego z podziwieniem i uśmiechnęła się, mniemając, że mąż dostawszy pieniędzy żartuje sobie i trapi ją na przekorę.

— A widzisz jak się zaraz rozradowałaś usłyszawszy brzęk srebra. Słuchaj co to za dźwięk czysty.

To mówiąc dobył z kieszeni rubla i zaczął nim ciskać po stole.

— Jagusiu, choć no tu! — zawołał Onufry na służącą — przynieś mi tu zaraz dwie porcye kapłona i co tam takiego, bo niemam szpajscetlu więc niewiem co oni

dziś dobrego gotują. A potem wina butelkę, tylko niewiem jakiego — no spytaj które najlepsze. Rubla to mało, masz dwa — i rzucił pieniądze, że się aż na ziemię potoczyły.

— Ej nieszkoda to Onufry? takie zbytki! do wina to ja sama cię namawiam, a nawet sobie poślij po co do zjedzenia, ale ja nic jeść nie będę — oto i ziemniaki wystygły.

— Pal je licho! ale się nie bój Marysiu, mam ja więcéj w kieszeni takich rubelków, niż sobie wyobrażasz.

To mówiąc zaczął wykładać obu rękami pieniądze na stół.

— Zkąd przyszedłeś do tego wszystkiego mój mężu? — zapytała daléj pani Koniecka.

— Zkąd? ot tak, jak się to dzieje, przypadkiem. Mam bogatego brata, zrobiłem interes z jedną żydówką..... Słuchajno Marysiu; ojciec twój który mię tyle lat zadarmo żywił, mógłby sobie teraz porachować za to wszystko. Skwitujemy się, bo ja mu co rok przez tyleż lat zwracać będę strawne. Ale niech mi się stary nie waży gadać, żem ja hołysz, a Gruca pan. Ja postanowiłem sobie Grucę prześcignąć. Dziś już pierwszy krok zrobiłem. Wiesz co Marysiu, że i w biórze będąc można zarobić różnemi sposobami, tylko trzeba się umieć brać do rzeczy. Ty płaczesz? powiedz mi co ci jest?

— Onufry! Onufry! przebacz mojemu ojcu jeżli cię w czem obraził. Widzisz on zbiedniał, to czasem i sarka, ale on cię kocha jak syna.

— Czyż ja mu mam za złe, że mu żal iż cię za Grucę niewydał? on tylko Grucę zna z pieniędzy. Jak się dowie że i mnie się dobrze powodzi, to nie będzie zazdrościł że moim teściem.

Służąca wniosła jedzenie i postawiła butelkę wina na stole. Onufry nalał sobie szklankę, wychylił ją dusz-

kiem, a nie przywykły pić, przytem w stanie umysłu w jakim się znajdował rychło się rozmarzył i na pół senny a na pół pijany, zaledwie się dał skłonić, że się układł do łóżka. Pani Koniecka uklękła i dłużéj niż zwykle tego wieczora się modliła.

Dobrze jeszcze było ciemno, kiedy się Onufry przebudził. Wszystko co wczoraj przeżył, wydawało mu się snem, a lubo zwolna wracała mu pamięć zdarzeń i myśli minionego wieczora, to wszelako nie mógł zdać sobie dokładnie sprawy, co w tem wszystkiem było rzeczywistością, a co marzeniem. W miarę jak umysł jego trzeźwiał ze snu, niknęły z przed oczu dziwne widziadła, które go były téj gorączkowéj nocy trapiły, a miejsce ich zastępowała dotykalna prawda, stokroć więcéj bolesna niż wszystkie okropności sennych przywidzeń. Pierwszy brzask dzienny rozwidnił izbę. Na stole leżały jeszcze pieniądze, stała napoczęta butelka wina, nietknięte jadło, świadki tego co się wczoraj tu działo. Na teatrze wielkiego świata, gdzie życie szerszemi posuwa się krokami, gdzie rozleglejszy i bogatszy w szczegóły widnokrąg, gdzie więcéj wypadków przemyka codziennie przed oczami, wrażenia jedne z łatwością zacierają drugie i musiałyby nadzwyczaj jaskrawe mieć farby, aby z pod innych świeższych przebijać mogły. W życiu wszakże tak jednostajnem a cichem jak Onufrego, w kółku tak ciasnem w jakiem się obracały zdarzenia składające się na historyę rodziny Konieckich, najmniejszy wypadek wychodzący po za obręb codziennéj kolei, każde mocne wstrząśnienie, musiało się stać źródłem niepokoju i nie pozostać bez długotrwałego wpływu.

Onufry zaczął zastanawiać się co mu teraz czynić wypadało. Jedna chwila wahania, jeden podszept chciwości wprowadziły go w bój z obowiązkami swemi, rozigrały żądze w czystem sercu, zostawiły zmazę na

nieposzlakowanym dotąd charakterze i postawiły go względem żony w przykréj alternatywie, wycofania się kłamstwem lub przyznania się z pokorą do winy. Obrał to drugie, nie tylko z wrodzonéj do kłamstwa odrazy, ale że chciał żonę swoją we własnych jéj podnieść oczach. Marysia lubo przekonaną była dotąd o niezmiennéj miłości męża, lubo była pewną iż żadne inne pobudki nie skłoniły go do starania się o jej rękę, przecież uważała się zawsze za niższą od niego, oznaki uczuć z jego strony przyjmowała z wdzięcznością jakby na nie zasłużyć sobie nie była zdolną, a nawet stan ich ubogi przypisywała sobie, iż nietylko nic nie wniosła do domu mężowskiego, ale jeszcze ciężarem mu się stawała przez swoich rodziców. Czuła ona że zamknęła świat Onufremu, że inna żona przez związki swoje familijne z rodzinami w mieście wielowładnemi, byłaby posłużyła mężowi za szczebel do wspinania się na wyższe posady, więc nie tylko z pokorą znosiła wszystkie przeciwności losu, ale w każdem jéj słowie i spojrzeniu była jakby prośba wznoszona do męża o przebaczenie za to ubóstwo i usunięcie się od świata.

Onufry umiał czytać w duszy żony swojéj, a jeżeli w ciągu nieprzerwanych zatrudnień nie miał czasu bliżéj zastanowić się nad tem jéj względem niego położeniem i zbadać je aż do głębi téj tajemnicy psychologicznéj, jeżeli z lekka tylko ją odgadywał; to dziś usposobiony będąc do ścisłego rozbioru samego siebie, uderzony nagle został ogromem tego odkrycia i w niem znalazł główny rys cechujący żonę, w niem dopatrzył jedyny powód téj nieśmiałości Marysi, a większą tamę jéj szczęścia niż walka z potrzebami codziennego życia. Ażeby dojść do téj wiedzy, należało Onufremu wejść w wielkie zapasy z namiętnościami, należało upaść choć raz i mocować się z sobą, żeby się z tego upadku podźwignąć. Myśl ta uczyniła go niemal szczęśliwym, a

naprawdę podniosła go i nagle przeobraziła z machinalnego przepisywacza, który całą swoją działalność skoncentrował w stawianiu martwych liter na papierze, na człowieka głębszych myśli i rozległych pojęć. Uczuł że mu przybyło energii i że mu jéj wystarczy na przełamanie przeciwności. Wstał z łóżka i ubrawszy się szybko, począł po cichu zbierać pieniądze ze stołu, lecz niemógł tego uczynić żeby nieobudzić Marysi. Widząc go zdrowym, wyciągnęła ku niemu rękę, a kiedy się zbliżył i podał jéj swoją, pochwyciła ją i zaczęła pocałunkami okrywać. Onufry zaczął przepraszać żonę, iż ją wczoraj tyle zmartwienia nabawił, a potem zwolna i stopniowo wziął się opowiadać wszystkie przyczyny wczorajszego stanu swego, wychodząc z zasady, iż pieniądze zostawione przez brata mają i muszą mieć to jedyne przeznaczenie, aby służyły na wychowanie Zosi. Opisał jéj stosunki swoje familijne po raz pierwszy po tem kilkoletniém pożyciu z całą dokładnością i przyznał się że wymiana rubli u Szmulowéj obudziła w nim pierwszy niepokój żądzy przywłaszczenia sobie cudzych pieniędzy, widok zaś zastawionego u Grucy stołu i jego pożycie domowe dokonały reszty. Marysia słuchała go z uwagą, nie starała się osłabić w umyśle męża przeświadczenia o świętości obowiązku wypłaty, lubo ten obowiązek przyjęty był dobrowolnie, bez zastrzeżenia, nie zawarowany notaryalnie, a Onufry zdziwił się wielce znalazłszy w żonie swojéj tyle zdrowego rozumu, tyle delikatności uczuć, tyle zasobów umysłowych, których brak jedynie sposobności nie rozwinął należycie.

Zaufanie Onufrego wielką sprawiło pociechę dla serca Marysi. Wtedy dopiero pojęła, że jest jego żoną, że ma prawo podzielać z nim jego radość i smutek, zasięgać jego rady i swoją otwarcie udzielać. Przy téj zaraz sposobności wystawiła mężowi, iż postępowanie jego co do Zosi mija się z celem jaki sobie zamierzył, że przy-

zwoite wychowanie dziecka w szynkowni jest niepodobném, że dziś trudniejsza będzie sprawa z Grucą skoro już od lat kilku pieniądze zabierał, ale rzecz tę trzeba raz przełamać, Zosię z domu matczynego odebrać i umieścić na pensyi, a przy edukacyi i kilkunastu tysiącach posagu znajdzie się dla niéj stósowna partya, jeżeli zaś kiedy w sercu Stanisława obudzą się uczucia ojcowskie, nie oziębi ich moralne zaniedbanie córki.

Proste lecz wymowne słowa Marysi skutkowały zupełnie. Szło tylko o wykonanie zamiarów. Konferencya małżonków odłożoną została do wieczora, a Onufry idąc do bióra wstąpił do Pawłowéj i z wielkiém jéj zadziwieniem oświadczył, iż grosza jednego nie powierzy odtąd do rąk jéj, że jeżeli zechce, niechaj córkę z domu usunie, a wtedy o jéj potrzebach będzie się mieć najtroskliwsze staranie.

Pawłowa z trwogą wysłuchała to co jéj Onufry mówił, a lubo przyznała mu we wszystkiem słuszność i nawet wdzięczność mu swoją okazała, lubo chętnie przystała na rozstanie się z dzieckiem, byle mu piękniejszą zapewnić przyszłość, to przecież wspomnienie męża i obawa przed nim zagłuszały niekiedy głos miłości macierzyńskiéj. Zosia cieszyła się kiedy jéj powiedziano, że będzie chodziła w ładnych sukieneczkach jak te panienki za któremi służące książki noszą ze szkoły, że oprócz wielu pięknych rzeczy będzie się uczyć śpiewać i tańczyć; Szczepanowa tylko była temu przeciwną, bo straciwszy Zosię, nie wiedziała czy byłby jakiś przedmiot coby ją jeszcze zajmował. Na myśl tę uczuła taką próżnię, taką czczość życia, że to jéj przywiązanie uszlachetniło tę surową i nieokrzesaną postać dawnéj karczmarki.

— Ba ba! radbym to widzieć! — zawołał Gruca, kiedy mu żona po długich ceregielach i przygotowawczych omówieniach wyłożyła zamiary Konieckiego.

— Niechno przyjdzie Chłapczyński to my się tu naradzimy co zrobić. Nie dam sobie z przed nosa porwać takiego kąska. A cóż to? czy to źle dziewczynie? djabli jéj tam po książkach i naukach! Książki chleba nie dadzą, bo gdyby go dały, toby pierwszy Onufry nie lizał łapy z głodu. Niech sobie tam gada co chce, a ja powiadam, że pan Stanisław uczynił zapis i basta! Co mi to takie pleść baje, że to z Onufrego łaski pieniądze? Czyż ja to taki głupi żebym temu na ślepo wierzył,: i on czy taki głupi, żeby ich dla siebie nie brał, gdyby tylko mógł. Ho ho! zaczyna kręcić. Hej Zośka!

Dziewczyna która przez ciąg tego monologu siedziała na swoim stryszku i nadstawiała ucha ze drżeniem, zaczęła krzyczeć przeraźliwie, jakby w przeczuciu zresztą nieraz już usprawiedliwionem, że interpelacya o nią Grucy jest pierwszym przygotowawczym krokiem do chłosty. Nie śmiąc jednak niepokazać się, bo zawsze na tem gorzéj wychodziła kiedy ją Gruca sam poszedł szukać na strychu, gdzie nie było matki i babki po za którémi kryjąc się uniknęła niejednego ciosu, który obrońcom jéj się dostawał, wyścibiła głowę i zaczęła wołać

— Już nigdy nie będę!

Gdyby ją kto zapytał, czego nie będzie? toby mu nie umiała wytłumaczyć tego wykrzyknika skruchy i dalszéj poprawy, lecz jest on wspólny dzieciom chowanym pod batogiem.

— Słuchaj Zośka! — rzekł Gruca — jeśli słowo piśniesz przed kim, że ci tu źle i że chcesz odejść od matki, to cię tak oćwiczę, że się sama ztąd nie ruszysz, chyba cię wyniosą.

Obie kobiety płakały, a Gruca do nich obróciwszy się pogroził tylko i trzasnąwszy drzwiami wyszedł szukać Chłapczyńskiego, który o téj godzinie zawsze był w sądach, bo jeżeli sam nie miał jakiéj sprawy, to przez otwarte drzwi sali posłuchalnéj słuchał obrony adwo-

katów, ćwicząc się tym sposobem w sztuce dyalektyki sądowniczéj i z biegiem spraw w mieście obznajmiając się.

Chłapczyński nie traktował lekko téj sprawy, lecz naprzód z akt hipotecznych przekonawszy się że wierzytelność zapisana na imię Onufrego Konieckiego, poznał, że tylko drogą zgodną traktować można, gdyż między braćmi inna co do tego zachodzić musi umowa. Onufry odrzucał wszelkie przedstawienia Chłapczyńskiego, a kiedy go ten w domu nachodzić począł i żonę jego nawet męczyć, zagroził mu, że go za drzwi wyrzuci, co wreszcie po przygotowawczym geście przy otwarciu drzwi, skutkowało jak najzupełniéj.

Pośrednictwo starego Kozińskiego, do którego Gruca trafić umiał przez słabą jego stronę, także nie skutkowało. Nie jedną buteleczkę wysuszył krawiec z dawnym swoim czeladnikiem i nieodstępnym jego doradzcą, zanim zbadał należycie w toku rozmowy, stan całéj sprawy; mniemał bowiem początkowo, że Onufry obowiązany jest piśmiennie ponosić koszta utrzymania Zosi. Dowiedziawszy się jak rzeczy stoją, usunął się od Grucy, a począł nachodzić zięcia i natrętnie własną mu biedę przesadzał, a w domu u siebie narzekał na jego chytrość i sknerstwo. Maciek który jako czeladnik i jedyna dawnego warsztatu podpora utrzymywał dom pracą swoją, ośmielał się stawać w obronie męża swojéj niegdyś panienki, ale Koziński nawykły traktować go wciąż jeszcze jako terminatora a przynajmniéj wyzwoleńca, zjeździł go i o mało się na niego nie porwał. Stary ojciec milczał nie chcąc ognia bardziéj podniecać, ale mruczał pod nosem z niechęcią.

Maciek któremu się już przejadło na jedném miejscu i od dawna wyśmiewany przez inną czeladź, jakoby dotąd jeszcze terminował, wziął to sobie za pochop do wypowiedzenia roboty. W kilka tygodni potem, dom Kozińskich na nich tylko obojgu się ograniczył, bo sta-

ry jéj ojciec przeniósł się na chléb dobroczynny, przywdziawszy szarą kapotę z czerwonemi z sukna wyszytemi głoskami T. D.

Przykry to był niezmiernie dla Onufrego widok kiedy dziadka swojéj żony spotkał na mieście z puszką żebraczą, a powitawszy go uprzejmie namawiał, żeby już raczéj do niego się przeniósł.

— Nie chcę i nie mogę mój panie Onufry. Ty masz familię i obowiązki, zresztą wspierasz Basię i jéj męża, a do tego, nie myśl, żeby nowa moja służba była mi przykszejszą od dawnéj. Znalazłem tam moich starych znajomych, gawędzimy razem, a wolę że mi czasem prowizor trzeszczy nad uszami niż własny zięć. Od obcych to człowiek prędzéj przyjmie i łatwiej zniesie. Za moich czasów to było inaczéj. Podupadły rękodzielnik znalazł pomoc i wsparcie w cechu, a na starość w szpitalu, lecz nie tak jak dzisiaj, co cię nacechują; tylko że szpital, to był jakby dla emerytów schronienie. A nawet dostać się na dziadka do kościoła Maryackiego było chlubnie, bo się resztę sił poświęcało służbie Bożéj bez przerwy, a w kruchcie zasiadali z taką powagą dawni mieszczanie krakowscy, i tak ich starość tam szanowano, jak kiedy za młodsza będąc ławnikami, w izbie rajeckiéj w ratuszu o dobru miasta radzili. A czyżto nie wyższa rzecz około służby Bożéj porządek czynić i kościoła pilnować, niż dozierać czystości w mieście? czyż nie godniejsza, z dzwonkiem po kościele zbierać kwestę na światło do ółtarza, niż wybierać miejskie opłaty? Ale ja się tu rozgaduję, a mnie czas, bo ilem tu wystał, tyle mi groszy uciekło z puszki.

To mówiąc brzęknął puszką Onufremu, a kiedy ten wpuścił w nią trojaka, starzec pociągnął daléj z kosturem w ręku, obchodząc wszystkie sklepy koleją.

Onufry mocno wzruszony tém spotkaniem wrócił do domu i zastał tam już Maćka z tłomoczkiem na plecach,

który przyszedł na pożegnanie, na wędrówkę się wybierając. Rozpłakał się poczciwy chłopak, a lubo mu Onufry dla rozweselenia go przypominał kąpiel, jaką mu tenże na weselu sprawił, to przecież nie mógł sam bez rozczulenia rozstać się z tym, który okazywał zawsze niekłamane do niego i jego żony przywiązanie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Aleksander Szukiewicz.

PRZEGLĄD PISMIENNICTWA.

Po różnych dziennikach polskich ukazały się już liczne artykuły spowodowane zgonem Kajetana Koźmiana, starca przeszło 80-letniego, który od dawna usunąwszy się od urzędów publicznych, piastowanych przez ciąg życia zaszczytnie, osiadł w zaciszu wiejskiém w swoich Piotrkowicach pod Lublinem. Tam oddając się ulubionym Muzom, nie tracił do saméj śmierci ani bystrości umysłu, ani poetycznego ognia, ani popadał w to zobojętnienie dla spraw świata i ludzi, w jakie najczęściéj popadają ci, co wyskoczywszy nagle w roli posłanników ludzkości, z trąbą zapowiadającą nową erę zbawienia, spędzeni są rzeczywistością rozwijającą się w innych warunkach. Wydymione te wulkany stoją zazwyczaj bezużytecznie; fundusz ich wewnętrzny starczył ledwo na jeden wybuch; a na żużlach i popiołach trawa nawet nie rośnie.

Kto, jak ś. p. Kajetan Koźmian umiał do ośmdziesiąt piątego roku życia zachować umysł w takiéj czerstwości, że się prawie z latami odświéżał, jak tego dowód mamy

w niektórych utworach lirycznych na krótko przed zgonem pisanych, ten widocznie innego był hartu, niż dzisiejsze pokolenie, ten musiał mieć wielki fundusz ducha którym rozrządzał rozumnie, nie marnując go na czcze rojenia, ani rozpraszając w drobiazgi. Jest to bowiem jednym z ujemnych przymiotów naszego wieku, wkładać całe bogactwo umysłowości w najdrobniejszą cząstkę jakiéj rzeczy i dochodzić jéj składu, podobnie jak fiziologowie, co przez szkło mikroskopu rozbiérają atomy i najdelikatniejsze włókna i tkanki. Tego rodzaju praca analityczna nietylko niepozwala ogarniać ogromu całości, ale, co więcéj, wyobrażenie téj całości w duszach zaciéra. W literaturze nowszéj można tę dążność często spotykać w tych zaściankowych prowincyonalizmach, w tém rozczłonkowywaniu dziejów i spółeczeństwa, zgoła w téj rozkładowéj robocie, z któréj ciągle nam wróżą wielkie rezultaty; zupełnie jakby kto chciał robaków roznoszących ciało schorowanéj osoby, nazwać przyszłymi konserwatorami jéj zdrowia.

Kajetan Koźmian, umysł przedewszystkiém zachowawczy, nosił w sobie zapewne wyobrażenia i uczucia tych czasów, które młodością widział, do których w męzkich latach należał—; nie dziw że mu się przeciwném zdawało wszystko, co malało, rozdrabiało się, zapominało tradycyi, co mu wreszcie psuło ten ideał całości, będący, że tak się wyrażę, najpierwszą jego muzą, źródłem wysokiego tonu, na który nastrajał swoją lutnię. Wykształcony na starych wzorach łacińskich, wżyty w tę wielkość instytucyj Rzeczpospolitéj, co choć gasnące, olśniły go całym blaskiem, nawykły patrzeć na ludzi budzących poszanowanie dla swych cnót prawie rzymskich, dla swéj biegłości w sprawach publicznych, wychowany nareszcie w karności i prostocie obyczajów staroświeckich, nie mógł się tak łatwo oswoić z wyobrażeniami nowego czasu, z odmienną fizionomią spółeczeństwa, i

z tém wszystkiém co się w około niego działo. — Człowiek więcéj niż dwóch pokoleń, świadek tylu zmian i przeobrażeń, zachowanyż został przez Opatrzność, jak ten dąb co go zostawują w wyrąbanym lesie, aby do jego wysokości pięły się młode latorośle zapustu? —

Pospolicie, lecz w innych zupełnie stosunkach, takiego człowieka nazywają zabytkiem przedpotopowym, człowiekiem który się przeżył — my, w naszém położeniu powinniśmy go nazywać: żyjącą tradycyą. Podług mnie, nieznam wspanialszéj postaci w społeczeństwie, jak starca, który młodemu pokoleniu przedstawia w sobie żywą przeszłość. — Kajetan Koźmian przedstawiał ją w swoim żywocie ziemiańskim: dobry gospodarz, nie pan, lecz opiekun i przyjaciel poddanych, światły doradzca, gościnny sąsiadom, poważny ojciec rodziny, a nadto jeszcze pamiątka chodząca, serce podnioślejsze, około którego można się było ogrzać — wszystko to składało męża niezwykłych zalet w życiu domowém; a tacy ludzie nigdy się przeżyć nie mogą, przynajmniéj niewiém ktoby ich przeżycia się pragnął. — Jak ulubiony jego poeta, Jan Kochanowski, najszczęśliwszym się uczuł kiedy z większéj sceny świata zeszedł w wiejskie zacisze —; chociaż obowiązki i powinności obywatela powołały go do wysokich urzędów które piastował, jednakowoż dusza jego zawsze tęskniła za cichą niepodległością i miernością, jak to wyśpiewał, w jednym z najdawniejszych swoich wierszy do fortuny *):

Szafuj innym twoje względy,
Sławę, bogactwa, urzędy
Ja się przed twoim ołtarzem nie przestaję modlić
By mię nad ludzi twoja nie wzniosła opieka

*) **Prośba wieśniaka do fortuny.**

Zostaw mi czucie człowieka,
Ja się sam niedam upodlić.

Taki duch godności osobistéj i obywatelskiéj przebija w każdym wierszu Koźmiana. Gdybym tylko pytał pięknych sentencyj, moralnych, publicznych, domowych, których pełno w jego rymach, odgadłbym już charakter i sposób myślenia podniosły i szlachetny autora; lecz daleko snadniéj mi to przychodzi gdy zwracam uwagę choćby na te dwadzieścia kilka lat ostatnich które wieszcz-starzec spędził w zaciszu wiejskiem, otoczony jak patryarcha obowiązkami rodziny i obywatelstwa, a przytem wydobywający z lutni swéj ton tak rozgłośny, że wszędy dochodził, i tak przenikliwy, że każdą szlachetną duszę poruszał. Kto żył w takiem poszanowaniu i powadze u ludzi, tego wewnętrzna istota musiała się szczerze odźwierciedlać w utworach natchnienia; niemogły to więc być piękne słowa, skombinowane sztuką, a w dysharmonii z człowiekiem, który je pisał, a o którym nieośmielonoby się wyrzec to, co on sam o Horacym powiedział:

I wieszcz, filozof, dworak, choć wieśniak pozorem,
Coś zalecał w twych pieśniach, zaprzeczałeś wzorem.

Z resztą język prawdy i przekonania ma swoją właściwą cechę, niedającą się sztuką zastąpić. To jednak pewna, że nasi pisarze z tak zwanéj szkoły klassyczno-konwencyonalnéj, bardzo mało indywidualności swojéj wkładając we własne utwory, słabo się tylko w nich odrysowują. Zbyt może zajęci wzorem jakiego klassyka będącego w ich pojęciu takiem (Ἀκμή) doskonałości, wszystko, i co widzieli zewnątrz i co wewnątrz czuli, odnosili do niego, jego przemawiali językiem, jego tworzyli natchnieniem. Głos ich duszy z tru-

dnością się przez te formy przedzierał. Przeciwnie, romantycy obierając inną drogę kreacyi, usiłowali więcéj snuć z siebie, we własną głąb zazierać, a choć i tu nie brakło na konwencyonaliźmie i naśladowaniu, z tém wszystkiem indywidualności silniéj się rysowały w tém, co z ich piór płynęło. Ztąd poszło że nowa szkoła zainteresowała nietylko pewną odrębnością swoich płodów, ale nawet pisarze należący do niéj, intrygowali publiczność, odgadującą w nich wyjątkowe jakieś istoty arcyduchowe i płomienne, cierpiące i tajemnicze, które porównane z klassykami zazwyczaj ludźmi pewnéj pozycyi w towarzystwie, form zimnych, prozaicznych, a zasad konserwatywnych, musiały tych ostatnich zdyskredytować. Łatwo teraz pojąć, gdy się te czasy odsunęły już od nas i sąd nastał spokojniejszy, jaką krzywdę wyrządzano wyznawcom klassycyzmu, odmawiając im wszelkich możebnych zalet, nawet gniazdowych, dla tego tylko, że nieposzli za duchem romantycznym. Wyrok ciężący na całym tym rodzaju, dotykał i Koźmiana; a jak zazwyczaj stronna gorliwość za daleko się unosi, więc w klassyku potępiono i człowieka i zastósowano do niego ten wiersz:

„Napisał tysiąc wierszy o sadzeniu grochu"

wtenczas, kiedy dokoła odgrywała się ciemna trajedya, mogąca czem więcéj natchnąć jak dydaktycznym *wieńcem Wirgilego chwały*. Salon literacki Warszawski *w Dziadach* wiele miał rysów zdjętych z natury, tego trudno zaprzeczyć; lecz zatem nie szło, aby koryfej szkoły klassycznéj, był obojętnym na to co żywo obchodziło każde uczciwe serce. Co więcéj, on, tak twardo stojący na wyłomie swojego obozu, odpowiadający na zaczepki i szały przeciwników dowcipnym sarkazmem lub biczem satyry, sam w końcu ogrzał się tem ciepłem młodej literatury, i w późnéj starości zaczął żywiéj i duchowiéj czucia swoje tłumaczyć. To pokazuje, że w piszącym

zawsze odbić się musi duch epoki, choćby jak się jemu opierał i protestował.

My dziś wolniejsi od uprzedzeń naszych poprzedników, winniśmy to co z właściwego wyrugowano miejsca, co potępiono bezwzględnie, odnieść do należnego porządku i usprawiedliwić.

Kajetan Koźmian, jak tylu innych, których zastała późniéj reforma romantyków, należał do epoki pisarzy Księstwa Warszawskiego. Komu wiadomo o jak zwątlonych siłach powstało Księstwo, i jakie wpływy przeważnie działały na umysły pod każdym względem, ten sobie łatwo wytłumaczy, że działanie wyobrażeń francuzkich w epoce Stanisławowskiéj zatrzymane upadkiem politycznego bytu, a więc i upadkiem literatury, musiało silniejsze jeszcze parcie wywierać, kiedy zwycięztwa Napoleona dały téj części kraju byt i organizacyę. Jeżeli tedy literatura wielkiego Cesarstwa była jakby echem buletynów, deklamacyjna i zimna, jednostronna i formułkowa, nic dziwnego że się to i u nas odbiło. Zkąd przyszedł kodex cywilny, ztamtąd szło i poetyczne natchnienie i forma. O samodzielności trudno było myśleć, bo ta wymagała jeniuszu, lub głębokich studiów na innéj drodze; a tymczasem jeniusze i talenta absorbowała wojna, a na studia czasu niebyło. Ludzie bowiem naukowi i piśmienni wszyscy poszli w służbę publiczną, i tam ich zasług szukać należy, a nie na polu sztuki. Jeżeli więc ukazywały się twory wyobraźni, to jedynie jako owoc chwili wykradzionéj obowiązkom publicznym.

Odnosząc do tych czasów ody i pieśni Koźmiana, widzimy w nich niepospolitą siłę, pęd liryczny, ton podniosły, a niekiedy miejsca tak szczęśliwe, że je za wzór poetycznéj szczytności podaćby można. Oprócz tych zalet jest jeszcze forma i język, wysoko udoskonalone, co już niepoślednią miało zaletę wówczesnym stanie na-

szego języka którego nieuczono. Niesłusznie tedy zwolennicy przeciwnéj szkoły, wyrzucali klasykom poprawność i ubieganie się o wdzięczne formy; bo porównywając ich sposób pisania z dawniejszym z epok penegiryków zawsze pokaże się ogromny postęp. Każde przeto zaniedbanie i lekceważenie tego co już raz było osiągniętém i zrobioném, prowadzi do upadku, jak to się sprawdziło na wielu pisarzach romantycznych co naśladując jenialność gardzącą formą nanieśli dziwacznych i dzikich wyrażeń, a nadewszystko rozbratali się z loiczną a rozumną jasnością będącą jedną z cech słowiańskiego ducha.

Wirgiliusz i Horacy, jakkolwiek umknięto im znaczenia, przezto że ślepo trzymali się wzorów Greckich, niemniéj jednak mają swój odrębny charakter będący odbiciem się wielkości ówczesnéj Romy, pani świata — jest w nich tyle humanizmu, taki wyraz wytwornéj cywilizacyi, taka znajomość życia, że nowożytne ludy przechodząc z opieki Kościoła, na pole świeckości, wzięły sobie tych swoich przewodników za kodex, podług którego usiłowali kształcić się na obywateli. *Civis Romanus* był to ideał zmodyfikowany pojęciami chrześciaństwa; cóż dziwnego że i dwaj poeci rzymscy co ten ideał przekazali, stali się owym wzorem najdoskonalszym, po za którym nic już niewidziano. Przypomnijmy sobie wreszcie, że umysły uchylając się z pod jedynéj powagi Kościoła rozciągajęcéj wpływ na wszelkie stosunki społeczeńskie, poddały się innéj — powadze starożytnych. Długo byłoby rozprawiać o znaczeniu i ważności powagi, któréj dziś wszędzie wypowiedziano posłuszeństwo, zwyczajnie jak w chwili przechodnéj; chociaż to pewna, że kiedy analiza się sprzykrzy i zużyje, musi nastąpić panowanie syntezy, a z nią powagi *z różnicą* że ją przeniosą na takiego Danta, Szekspira i t. p. Koźmian należał do tych jeszcze, dla których wzory Rzym-

skie były nienaruszoną powagą w rzeczach literatury; była to tradycya idąca nieprzerwanym ciągiem przez całe nasze piśmiennictwo. Niesłusznie mu przeto wyrzucano naśladownictwo Wirgilego i Horacyusza, kiedy on człowiek innéj epoki niemógł nawet dopuścić żeby coś wyrównywało tym wzorom doskonałości; wreszcie jak każdy nosi w duszy swój ideał, swoje uczucie piękna tak i on nosił — a trudnoż układać estetyczny kodex dla stosunków formy z treścią, gdyż piękność zachwycająca nas w obrazie i słowie zawsze będzie tajemnicą świata; jest to właśnie ten czar, wdzięk, gracya, horacyuszowe *dulcia sunto*, którą więcéj czuciem można pojmować, niż wyuczać się z prawideł.

Toż i nasi klasycy mieli inne pojęcie piękności, i w czém inném jéj szukali.

Nieujmuje to nic utworom Koźmiana, ani go robi niewolniczym naśladowcą kiedy w swoich lirykach co chwila powołuje się na Horacego, a w dydaktyce opisowéj na Wirgila — tak jak nie ujmuje nic kaznodziei kiedy przytacza texty pisma Ś. i na nich się opiera — bo i mowca kościelny i klassyczny poeta dumni są z powag idących im w pomoc.

Z tego punktu uważając jego liryki i inne utwory tak dydaktyczne jak epickie, niemożna im odmówić niezmiernie wykończonéj formy i tego natchnienia idącego z głowy, co jeżeli nie sprawi uroku i wrażenia głębokiéj poezyi, ma zawsze urok rozumu; a przyznam się, ostatni ten przymiot mógł robić śpiewaka Ziemiaństwa dumnym, kiedy swoje rymy porównywał ze wszystkiemi gminnościami co weszły przebojem w naszą literaturę. Czuł w tem swoją wyższość, i wiedział czém to zagraża; z wielkim też dowcipem zgromił tę swawolę w jednym niedrukowanym wierszu do Jenerała Morawskiego, który może dać miarę o jego talencie w rodzaju satyry:

Gdy równie słynny pieniem jak marsowym szykiem
Morawski mi powiada: nie chcę być klassykiem!
I woła na nieśmiałe Feba towarzysze:
„Nie ucz się, lecz pisz jak chcesz! — a sam tak nie pisze —
Przypomnić wiersz klassyka nadaje mi prawo:
„Nie rwijcie chłopcy kwiatków, bo wąż jest pod trawą.
Rady sprzeczne z wzorami wprowadzą was w sidła!
Lecz komu uciążliwe rozsądku prawidła,
Niech spali dzieła, takiéj uległe przyganie,
A choć zginie Horacy, Baka pozostanie.
Więc na przekór pierwszemu stargawszy przepisy,
Łączcie węże z ptakami z jagnięty tygrysy,
Do końskiéj szyje ludzkie przyprawiajmy głowy,
Rybę z piękną kobietą spójmy od połowy,
I, nad temi cudami napełnioną kartą
Niechaj się gmin zadziwi z gębą wpółrozwartą.
U gminu są godniejsze dla wieszczów pamiątki,
Zasiądźmy z lutnią w ręku między wiejskie prządki,
I, własnym ich językiem nowe tworząc wzory
Spiewajmy wilkołaki, widma i upiory.
Wszak już uczeń Krzemieńca w Ukraińskim smaku
Nuci dyndającego wisielca na haku,
Drugi za nim podobnież budzi podziw w gminie,
Spiewając nam balladę szczytną o Pierzynie.
Z tak szczęśliwych początków, wróżyć mi jest trudno,
Że nam zaśpiewa kazkę, a choć ta jest brudną,
Przedmiot gminny dostarczy wątku do osnowy —
Cóż ztąd że nieco trąci — ale narodowy!
A tylko gminny obraz godny wieszcza śpiewu,
Niech więc nasze pasterki pasą trzodę z chlewu,
Niech im pijany Maciek przygrywa na dudzie,
Po co smakiem salonów, psuć czysty smak w ludzie?
Zgrzeszył Brodziński, zgwałcił nowych wieszczów prawa,

Gdy krakowskiego Maćka przekształcił w Wiesława!
Precz więc Grecy z Parnasu, precz Rzymian prawidła,
Nasz Helikon za piecem, a Muzy u bydła!
Chceszli nam obraz szczytny wystawić a szczery,
Idź do jaskini zbójców, tam twe bohatery;
Maluj wielkie ludzkości poetycznéj dzieje:
Wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje;
A gdy owoc twych płodów rozmnoży się wszędzie
Za mistrzem wielkim głosem wołaj: Co to będzie?!

Antagonizm obrońcy konwencyonalnego klassycyzmu uderzył tu na żywioł gminny wprowadzany do literatury często bardzo nieszczęśliwie i nieumiejętnie, ale zawsze odświeżający ją tchnieniem rodzinnem; co mimo wstrętu do gminności nie uszło jego uwagi, gdy Brodzińskiemu oddał słuszność za uszlachetnienie ludowych postaci; zawsze jednak list do Pizonów musiał być na stole; wierny téj powadze nie odstąpił jéj do śmierci. Daleko jednakże trafniejsze było poczucie Koźmiana kiedy w ostatnich latach zabrano się do przerabiania ustalonych pojęć narodu co do zasług i wartości niektórych ukochanych pisarzy, i Autor Prawodawstw zaczął, tymże duchem pędzony, dowodzić wyższości Klonowicza nad Kochanowskim — była to prawdziwa obelga zadana czci otaczającéj pamięć słowika Czarnolasu, tego pobożnego ziemianina-wieszcza, co pierwszy miał łzy natchnione, co pierwszy umiał zanucić hymn godny Boga ojców naszych. — Nowy ten estetyk nie mogąc znieść wyższości uświęconéj, chciał ją zastąpić zgryźliwym, żółciowym Klonowiczem, dla tego że miał koloryt mieszczański — Kilka wierszy satyry Koźmiana zrobiło doraźną sprawiedliwość:-

Jakież to obłąkały rozsądek mamidła?
Czyliż gad, że ma żądło, już ma przeto skrzydła?

Wprawdzie mól tak szczególną odebrał naturę,
Iż z zbutwiałych szpargałów czasem wzleci w górę;
Wiem, że robak, co toczy podwaliny skrycie
Kiedy szczyt na dół runie, czołga się po szczycie;
Wiem, że złowrogie ptastwo, wśród zamierzchłéj doby
Porze skrzydłem powietrze, nim padnie na groby;
Lecz czy ztąd wniosek idzie i wiary nabierze,
Że gdzie nie sięgną orły, sięgną nietoperze?
Pedanci! tworom wieszczów czyniący wyrzuty,
Pomnijcie, że sąd szewca nie sięga za bóty. —

Jak nadmieniłem najwięcéj ognia i trafności postrzeżeń znajdziesz w jego satyrycznych wierszach, mających przytém dużo powagi niezniżającéj się nigdy do szarpania osobistości; karci on tylko grzechy swojego czasu, i staje się wymownym, nad podziw.

Cenzor, przed Rzymem skarży ten sam Rzym wyrodny.

To jego własny wiersz najlepiéj malujący ducha jego satyry, — która nie ograniczała się li na samych biczach kręconych na romantyków, ale nieraz chłosnęła i nadużycia publiczne. Do tego ostatniego rodzaju należy *Mowa Katona Cenzora o Obyczajach Rzymskich*, którą napisał podobno w roku 1811. Nawykły jak zawsze odnosić wszystkie pojęcia i uczucia do wzorów i dziejów rzymskich, tak i w tym wierszu włożył w usta Katona to, co sam chciał powiedzieć na pewne swawole w wyższych sferach szczególniéj na całe otoczenie ówczesnego naczelnego wodza Xięcia Józefa. — Są to niezmiernie silne i wymowne wyrzuty; każdy wiersz jak grot wpruwał się w odsłonione słabe strony i pewnie ocucił nie jedno przygłuchłe sumienie:

Gdzież są owe cnót wielkich i odwagi wzory,

Niezazdrośni Wodzowie, dzielne Dyktatory?
Już są w grobie....

Albo:

Kto z was teraz Rzym pozna po tak wielkich stratach!
Czyli pewnie po mowie? czy pewnie po szatach?
Czy go pozna po prawach, zwyczajach, przymiotach?
Poznałby go po męztwie, lecz nigdy po cnotach....

Najsilniejsze jednak wrażenie—bo strzał był zbyt bliski i celny— zrobiły te wiersze:

Wstyd wspomnieć na co idą składki i zabory,
Które ze łzami ludu odnoszą Pretory.
Spojrzcie na przepych pułków i na wodzów zbytki,
Kannejskie po ulicach żebrzą niedobitki *)
A srebro złotem błyszczy w pośród nowych szyków,
I gmachy się pod tłumem walą biesiadników.—

Kto tak się odzywał, niemożna mu odmówić obywatelskiéj odwagi.—

Pieśni i Ody ulubionego mu Horacyusza umiał Koźmian przepolszczać z niezwykłym talentem; jest to najlepszy z naszych tłumaczy; wszakże i tu nie poprzestał na roli prostego tłumacza, gdyż zwykle wybiérał takie ody coby się dały do okoliczności bieżących stósować; brał więc myśl horacyuszową i wlewał w nią swoją, odpowiedną chwili. Tak on wybornie zastósował wypadki roku 1809 do sławnéj ody: *Justum et tenacem propositi virum*, gdzie między innemi przestrogi i tę dorzuca:

---

*) Aluzya do kalek i starców z Konfederacyi Barskiéj, żebrzących, kiedy młódź tonęła w zbytkach, i świeciła złocistemi szlify.

Nędzne są kraju takiego losy,
Gdzie rządzców sławę i czyny
Płochość bez zasług wznosi w niebiosy,
Zazdrość potępia bez winy.

W odach na cześć Napoleona pisanych w różnych czasach, widać entuzyazm bez deklamacyi; czujesz że to nie oficialne hymny, lecz szczere uniesienie wdzięczności posunięte aż do postawienia bohatyra na równi z Niebiany, za co potém sam siebie strofuje w innéj Odzie, należącéj już do innéj okoliczności, bo opiewającéj Upadek dumnego:

Bóg! to Bóg! głos mój powtarzał,
Bóg z wieczną władzą i chwałą!
Ach! bo kto narody stwarzał
Jakież mu imie przystało?
Chociaż godne przebaczenia,
O bluźniercze uniesienia!
Zagińcież z bezbożnym wiekiem!
Mógłżem tak Stwórcę poniżyć
By ku niemu tego zbliżyć,
Co się nie znał być człowiekiem!

W ostatnim wierszu znowu za daleko poszedł w potępieniu — ale w okolicznościowych rymach trudna miara, zawsze w czemsić przebierą, co potem ze zmianą dekoracyi odwoływać trzeba — wierszem. W gorączkowych momentach trudno znaléźć punkt ogarniający całość czy zdarzenia, czy człowieka — Byron i Lamartine dopiéro późniéj mogli nad Upadkiem Bohatyra podumać. — Nie wypada mi, ponieważ nieprzytoczyłem dotąd żadnego przykładu wielkiéj lirycznéj piękności, pominąć kilku wierszy z téj ody, w których olbrzymim pędzla pocią-

giem oddał zniszczenie armii Napoleońskiéj w śniegach Rossyi:

Porzucaj godowe stoły,
Uchodź zguby w cofnych krokach,
Słyszysz ryczące żywioły
Poznaj boską dłoń w obłokach.
Lecz cię trwoga niezwycięża,
Jeszcze się rwiesz do oręża.
A tu z twych groźnych zastępów
Marzących boje i łupy,
Wmarzłe w ziemię stoją trupy,
Pastwa dla kruków i sępów.

U dwóch sprzecznych ziemi kresów,
Gdzie tchną mrozy, gdzie wrą żary,
Na dwóch świata Kambizesów,
Stoi równy pomnik kary.
Świat się pyta z trwogi zbladły,
Jak te góry z niebios spadły
I zgniotły tłumy szeregów?
Pan, by w pychę proch obrócił,
Ze wszechmocnéj dłoni rzucił,
Tam garść piasków, tu, garść śniegów.—

To prawdziwy głos poezyi — to piękność wyższego rzędu, nieprzemijająca, jakiekolwiek nastaną szkoły.

Poemat większego rozmiaru, *Ziemiaństwo*, zaczął Koźmian pisać w r. 1810 i przez wiele lat pisał, dodawał, poprawiał, gładził. Szydzono sobie że utwor ten trzymał w tece dłużéj niż dwakroć, jak Horacy przepisał. Wszakże, wpatrzywszy się w jego zasadę, zbliżenia się o ile śmiertelne siły starczą, do nieśmiertelnego wzoru jaki sobie obrał, wypada ją uszanować, jako sumienności przykład. Kiedy do większéj części dzisiejszych pism mało kto drugi raz zagląda, Ziemiaństwo zawsze

będzie czytane, nie jak się czytają romanse, ale przez wszystkich chcących się ztamtąd nauczyć siły, jasności i zwięzłego pisania. Każdy utwór w który pisarz włożył wiele rozmysłu, wiele staranności, już tém samém ma większą żywotność niż wszelkie prace *alla prima* robione.—Poemat ten na Wirgiliuszowéj kanwie osnuty, opiewa bogactwa ziemne naszego kraju i zachęca do uprawy roli, pokazując i korzyści i rozkosze wiejskiego żywota. Nieradbym uważać tego utworu za proste ćwiczenie się w opisach znanych dobrze przedmiotów gospodarczych, ale za coś więcéj istotnego. Urok wojennéj sławy za Napoleona unosił wszystką młódź na pola bitew, gdy tymczasem żywot cichy rolniczy mniéj nęcił; społeczeństwo wyrzucone z wielowiekowéj kolei biegło szukać zaspokojenia swych żądz w różnych zawodach, a nadewszystko w przepychach wielkiéj stolicy cesarstwa, ztąd przywiązanie do obyczaju ojców i do domowéj strzechy a roli, stygło i zacierało się. W takiéj chwili obudzić miłość do ziemiańskiego żywota tego niewyczerpanego źródła zamożności, i cnót patryarchalnych, było zadaniem godném poety. Poczuł to śpiewak Ziemiaństwa, jak poczuł wzór jego, śpiewak Georgik za czasów Augusta Rzymskiego.

Będę usiłował wyjaśnić lepiéj ten stosunek.

W dydaktyce potrzeba uważać dwa różne od siebie momenta; jeden, gdzie dydaktyka jest naturalną potrzebą; drugi, gdzie jest sztuczną kombinacyą. W epoce takiéj jak Hezyodowa, kiedy czas dla nauk specyalnych i rzemiosł jeszcze nie był przyszedł, gdzie każdy sobie był wszystkiém i wszystko musiał umieć, gdzie zjawiska natury jeszcze powlekała tajemnica, gdzie ciekawość nauczenia się gorąca, a do zaspokojenia trudna— tam poezyja wystarczyć mogła, jak wystarczały heziodowe *Prace i Dnie.*— W bardziéj rozwiniętych zaś cywilizacyach, gdzie się już umiejętności ściśle ustaliły, dy-

daktyki właściwéj niema, bo jéj nie potrzeba; jednakowoż poeci wśród wykwintów miejskich eleganckiego świata odbiegającego od natury, starają się sztucznemi sposoby, przenieść się w niepodobne położenie pierwotnéj prostoty i szukać natchnień jakie mogły się zrodzić w kolebce społeczeństw. Ostatnia ta epoka jest epoką Wirgila. Z témwszystkiém Georgiki daleko są wyższe od tak zwanych poematów *opisowych*, będących zazwyczaj skalą upadku, bo pisarz nie mając co wysnuć z siebie, szuka tego w przedmiotach zewnętrznych, czego we własnéj duszy znaléźć nie może. Wirgilowe opisy ożywia interes patryotyczny, społeczny. Rolnictwo z którego wyszły silne cnoty Rzymu i sława, niebyło już w stanie wyżywić odrodnych potomków. Przyczyn tego upadku wiele; to użycie do pracy niewolników w miejscu ludzi wolnych, to zakładanie ogromnych willi i parków bezużytecznych, to spustoszenia wojny domowéj, to zastąpienie dawnych posesyonatów weteranami Sylli, Cezara, Oktawiana nie mających wyobrażenia o uprawie. Złe do tego doszło, że nikt się pracy rolnéj nie imał z zamiłowaniem — rolnictwo uciekło z Italii. Wirgili chce mu cześć przywrócić, ożywić, znowu miłość pługa zaszczepić, a z nim i staroświecki obyczaj, i dawne ojców cnoty. Tego rodzaju dydaktyka była na dobie. —

Nasz śpiewak *Ziemiaństwa* poczuł tę analogią, i postanowił patronować sprawę zaniedbanego pługa;

Opiekuj się więc pługiem, z którego szczodroty
Płyną twoje dostatki, a krzewią się cnoty!
Pługiem, za którym jeszcze niech się wspomnieć godzi
Dawna wiara i skromność przodków twoich chodzi,
I szczerość nieobłudna, praca i wstyd prawy,
Lepszy stróż społeczeństwa, niż mędrców ustawy. —

Pod opieką ulubionego mistrza, podobnie jak Dant,

który Wirgila wziął za przewodnika w podziemne kraje i on się puszcza po ziemi Lechickiéj z tą jednak różnicą, że Dant patrzał własnemi, Koźmian Wirgila oczyma.—

Główna przyczyna dla czego ten poemat nie zrobił wrażenia, jest ta, że w nim studiów odpowiednich zbyt mało; malarz natury polskiéj przestał na dostarczonych mu patronach; niepodsłuchał tajemniczych głosów téj ziemi, a wszystko co widział i co mógł czuć, gwałtem przymierzał do czegoś znanego, obcego. Wszakże z drugiéj strony Ziemiaństwo uważane w tym kierunku jakiego się trzymała klassyczna szkoła, jest najwykończeńszą pracą, w któréj można spotykać miejsca prawdziwie z ogniem natchnienia pisane, szczególniéj niektóre apostrofy i ustępy o rasie koni i wołach — rysunek byka po mistrzowsku skreślony:

Na ich czele poważnie idzie wódz wspaniały,
Tocząc się jak ogromny obłom siwéj skały,
Gruby kędzior pochmurne czoło mu zakrywa,
W grubych marszczkach podgarle do goleni spływa;
Bądź rogiem się zastawia, bądź krzywy zyz toczy
Pasterz zbrojny kosturem nie śmie zajść mu w oczy;
Przygłuszonym pomrukiem liczne wiedzie stada,
I, jak szeroka przestrzeń, tak szeroko włada.

Tu czujesz że śpiewak obraz ten wysnuł z siebie, że własnemi oczyma widział *ten ogromny obłom siwéj skały;* ale Koźmian niewierzy nawet żeby mógł co sam przez się czuć i widzieć bez Wirgila, kiedy powiada:

Są cuda, których samo bóstwo niepowtarza,
Raz stworzyło naturę i raz jéj malarza.

Ostatnich lat kilkanaście życia poświęcił Koźmian napisaniu wielkiego historycznego poematu; *Stefan Czarniecki*, który liczy do 15 tysięcy wierszy. Ponieważ utwór

ten nieogłoszony drukiem, powiem o nim pokrótce. Zamierzając dać narodowi epopeję, trafił na bohatyra którego otaczała cudowność, i ta wiara, że był umyśl nie przez Boga wybranym na wybawienie króla i ziemi swéj, od najazdu pięciu groźnych nieprzyjaciół wpadających pod przewództwem Karola Gustawa, a zesłanych na ukaranie grzesznych słabości Jana Kazimierza i swawoli szlachty znęcającéj się nad włościanami.... Cud obrony Częstochowy przez Kordeckiego dał hasło do pokrzepienia się w ufność i na siłach; w skutek czego zawiązała się konfederacya Tyszowiecka stawająca przy królu. Tu występuje Czarniecki, którego poeta przeprowadza przez tysiączne koleje bitew i tryumfów, aż do zawarcia pokoju w Oliwie kończącego wojnę Szwedzką.

Przedmiot niezmiernie bogaty w sytuacye i charaktery; ale jak w innych utworach Koźmiana tak i w tym, działanie zastąpione bywa opisem, zawsze na jeden ton wygłoszonym, bez zastósowania dykcyi do przedmiotu. Koturnowy Wirgili znowu mu przewodniczył — czemuż nie Homer, który po ziemi stąpał, bosą nogą, prosty, z miejsca na miejsce przenoszący się gęślarz?—

Zbytnie przywiązanie się do jednego wzoru i form jego, zepsuło wszystkie te dary i zasoby wyobraźni i ducha jakiemi mógł sędziwy śpiewak Czarnieckiego rozrządzać; tak dalece, że nie wiem czyli sam prosty przekład homerycznych poematów nie odpowiedziałby więcéj potrzebie naszéj wewnętrznéj patrzenia na rzeczywistość i prawdę, podniesioną do wielkich rozmiarów i niedojrzanych wysokości, duchem boskiego piewcy, — niż ten narodowy poemat, w którym poeta prawdę i rzeczywistość podciągnął pod formy zbyt znane, a wysłowił po akademicku, bez téj prostoty i naturalności, bez jakiéj trudno wiarę i serce czytelnika pozyskać.

Są inne jeszcze względy, które czynią epos tak trudnem w nowożytnym świecie zadaniem, a te są: tradycye bardzo żywe, i wiara niezaprzeczona, podzielana przez wszystkich. W wieku gdzie historye piszą, gdzie analiza panuje, opinie się różnią, bohaterowie dzienni cześć odbierają — może być ledwo poemat historyczny. Czy Stefan Czarniecki Koźmiana, odpowiada temu zupełnie? — powie świat czytający i sądzący.

Poprzestańmy teraz na jednym wyjątku, będącym niejako węzłem całego utworu: świętobliwy pustelnik, w klasztorze bielańskim obwieszcza Janowi Kazimierzowi przyszłość odnoszącą się do jego panowania, i objawia przyjście męża mającego Rzeczpospolitę z ostatniéj toni wybawić: —

Za okopami Wazów stółecznego grodu,
Jest gaj, wieczne mieszkanie ciszy, cienia, chłodu.
Osłaniają go liściem dęby wiekuiste
Wisła wilży, z gór źródła przerzynają czyste,
Gaj ten, gdy lato kłosy szumiące zapłoni
Zda się zielonym wieńcem na rolniczéj skroni
Tu klasztor Romualda z Kameldul czcicieli,
W swych murach pustelniczych wznosi się i bieli.
Dziwna sprzeczność z stolicą. Tam zgiełk, hałas, wrzawa,
Zbytek, przepych, uciechy — zgoła tam Warszawa
Nurza się w żądzach życia, tonie w ich potopie
Tu zakonnik ogródek i grób sobie kopie.
Tam zalotność zabawy tam biesiady tłumne
Tu pobożny wstręt od nich wzrok ma wryty w trumnę.
Niestety! ledwie słowik wiosnę zapowiada,
Co rok tę ustroń grzmiąca Warszawa napada.
Spienionemi rumaki lśkniącemi rydwany
Wiezie sprosną rozpustę, wiezie jéj kapłany,
Znieważa gwarem biesiad świątki uroczyste
Samotność pustelniczą — wzrok i serca czyste,

A na przekor pobożnéj skrusze i pokucie
Poi z czary rozkoszy rozpasane chucie. —
Nie ta była téj świętéj uchrony postawa
Gdy pierwszy kładła kamień ręka Władysława
Las ponury natrętną odpychał stolicę
Zwierz przebiegał, gdzie dzisiaj gmachy i ulice.
W te bory raz Władysław zapędzon na łowy
Kiedy ściga jelenie przez knieje, parowy,
Zatrzymał się u brzegu cienistéj pieczary
Siedział przed nią pustelnik poważny i stary,
Długa broda sędziwe wydawała lata
Krzyż szkarłatny na piersiach, śnieżna jak włos szata,
Wśród modłów, których tylko puszcza słucha czarna,
Po wieńcu kokosowym, święte spuszczał ziarna. —
Spostrzegłszy króla wstrząsnął w drzącéj dłoni czarą
„Wspomóż“ rzekł „zakon Pawła nieskąpą ofiarą“
Król zdjęty z szyi wsunął w czarę łańcuch złoty
A pustelnik rzekł: „Królu za dar Twéj szczodroty
Bóg Cię ubłogosławi — ukrzepi prawicę
Przerazisz gromem zwycięztw północną stolicę.
Czernichów, Siewierz włączysz do świetnych zdobyczy
Od dzikich ludów Ugra Polskę odgraniczy;
Na odgłos Twoich zwycięztw zadrży Osman z trwogi,
I przez posły uniży księżycowe rogi,
Ojciec kościoła, swemi uwieńczy Cię dary
I ogłosi obrońcą Chrystusowéj wiary.“
Rzekł król: jeźli się Ojcze sprawdzą wróżby Twoje
I zwycięztwem ukończę twarde z dziczą boje,
Nad tem źródłem w téj puszczy i nad tą jaskinią,
Wzniosę na podzięk Bogu Klasztór i świątynią,
Zakon wasz pustelniczy po kraju rozmnożę
I Ciebie nad mistrzami pokory przełożę.
Spełniły się świętego pustelnika słowa
I król dotrzymał ślubu. — Wzniosła się budowa.

Władysław jeden domek zachował dla siebie
Tam w każdéj rodu swego i kraju potrzebie
Gdy go chrapliwe trąby na bój krwawy wiodły
W lubém sobie ustroniu składał Bogu modły.
Ten to bór mija Kaźmierz gdy mu w myśli stawa
Pustelnik, wróżby jego, zwyczaj Władysława.
Więc od obozowego zwrócił konia toru,
Wraz z giermkiem po bezdrożach dąży do klasztoru,
Wiedzie ich blady księżyc, wiedzie ich noc cicha
Król nad sobą a giermek nad swym Królem wzdycha.
Wtem staną przed murami. Zsunęli się z koni
Tknięta ręką wisząca spiż nad furtą dzwoni.
Słychać z pod głuchych sklepień stopy zakonnika,
Z brzękiem kluczy skrzypł wrzeciądz, brama się odmyka,
Brat słowy: „Pomnij na śmierć“ Króla swego wita,
Ten o świętego Ojca troskliwie go pyta.
Odpowiada „Duch jego jeszcze mieszka z nami
Lecz ciało wynędzniałe pokutą i łzami,
Ziemskich pokarmów więcéj już z braćmi nie dzieli,
Tem żyje co mu z Nieba przynoszą Anieli.“ —
Idąc, do ciasnéj celi zbliżyli się progu
Widzą zatopionego śmiertelnika w Bogu.
Leży krzyżem na ziemi kapłan Pawła święty
Przed nim Zbawiciel świata na krzyżu rozpięty.
Wstał zakonnik a jasność błysnęła mu z skroni
Przychodniów oblał potok nieznanéj im woni
Król rzecze: „Uciśniony bolesną żałobą
Ojcze! igrzysko wszystkich nieszczęść masz przed sobą!
Upadam pod gromami, objaw mi kres ciosów
Ubłagaj śmierć lub ulgę u groźnych Niebiosów“ —
Milczał starzec, stał długo jak posąg ze spiżu
Padł krzyżem i wzrok utkwił w Zbawiciela krzyżu —
O! w jakże uroczystéj spoczywa on ciszy
Ziemskiego władzcy tronu ni widzi ni słyszy

A ten jak tajemniczą odepchnięty trwogą
Korną od męża niebios, odsuwa się nogą.—
Rozmów z Niebem grzesznemu słuchać się niegodzi
Tak rzecze i do celi poblizkiéj odchodzi.
Tam wizerunek brata uderza mu oko;
Utopił w nim wzrok tkliwy i westchnął głęboko
Dla strapionego serca odpoczynku wzywa
Do zwilżonych łzą źrenic sen mu nieprzybywa.
Ta cisza, ta spokojność za klasztornym progiem
To święte towarzystwo z' Modlitwą i Bogiem
Przeszłego stanu pamięć przywodzi do myśli
I z obecną wielkością porównanie kreśli.
Wini niestałość ludzkiéj wrodzoną naturze
Że od portu pokuty puścił się na burze
O szczęśliwy! rzekł, kogo od marności świata
Ta klasztorna na wieki oddzieliła krata.
Raz wyłączon od błędnych téj ziemi tułaczy
Nie wystąpił na padoł nędzy i rozpaczy.
Próżność nad próżnościami i wszystko próżnością
Wróciłem do świetności, płaczę nad świetnością.
Ach! kto za tronem świata z téj ustroni wzdycha,
Niech skosztuje goryczy z mojego kielicha.
I w nadmiarze boleści nim świt błysnął z rana
Z czarną w duszy rozpaczą wraca do kapłana.
Wstał zakonnik nie czekał na króla pytanie
Przeniknął je, wyczytał i odrzeka na nie:
„Są chwile gdzie duch ludzki do ziemi przykuty
Z ciała wycieńczonego chłostami pokuty
Wzbija się w wrzących modłach zachwyceniem płonie
I w rozwartych przed sobą głębiach Niebios tonie
Takiéj łaski niegodny płaz ziemi doznałem
Lecz że nie jest nędznego śmiertelnika działem
Objąć górnych światłości morza niezmierzone,
Bóg mi tylko z ich części odchylił zasłonę

I widziałem jak w niebie blaskiem gwiazd promienny
Stał jak posąg tryumfu krzyż wzniosły płomienny,
Z słońca się nań wieczności zlewał potok chwały,
W około całe ludy męczenników stały.
Stroiła mężne czoło korona zasługi;
A te z ran ich wylane męczeńskiéj krwi strugi;
Ten nurt święty co niegdyś ziemskie zbraczał katy
Tu wonnemi Krzyż Pański opływał szkarłaty.
U stóp jego stojący lśknił się kielich wiary
Cnotliwych on boleści przyjmuje ofiary,
Z każdą łzą co weń wpada tysiąc świętych głosów
Z brzmiącą prożbą do wyższych wzbija się niebiosów.
Tam zkąd w zdrojach miłości ciągła litość spływa,
Lecz i grom potępienia głąb piekieł przeszywa.
W téj to chwili o Królu! z serca wyciśniętą
Ujrzałem tam łzę Twoją, spadła w czarę świętą
I łącząc się ze łzami tylu naszych króli
Przepełniła nareszcie ten kielich niedoli
Wzniosły się grzmiącym chórem hymny męczenników
I aż w głębi najświętszych zasięgły tajników
Wszystko drżało nadzieją— a gdy groźne Bóstwo
Ważyło nasze cnoty, większe przestępstw mnóstwo
Zdało się jakby w górze głos święty niewieści
Sercem matki dziecięce przedstawiał boleści
A najwyższéj o litość błagając istoty
Takim prawie brzmiał jękiem, jakby w dniu Golgoty;
I w krótce się mym smutkiem, żalem, rozrzewniony
Anioł pociech z naszemi przybliżył patrony
I wskazał mi na złotym kreślone obłoku
Te wyrazy w niecofnym gorzące wyroku:
Jam jest Bóg, karzę zbrodnie a cnoty nagradzam,
Narody gdy chcę wznoszę, kiedy chcę zagładzam—
Chłostać ich będę długo i chłostać dopóty
Aż doczekam poprawy skruchy i pokuty.—i t. d.

Gdzie tylko przedmiot jest natury więcéj liryczněj, tam Koźmian nic nie pozostawia do życzenia, jak w wyż przytoczonym ustępie — lecz gdzie dramat życia zachodzi, gdzie potrzeba obrazów plastycznych, i postaci narysowanych i postawionych tak, aby się mogły utrzymać na nogach, aby się nierozpływały w mgle sentencyi — tam mniéj go podziwiać mogę; choć zawsze niedostatki te pokrywa szata ślicznie utkana, udrapowana rozumnie, a olśniewająca oczy jak syryjska purpura na którym z Cezarów. —

O innych pracach ś. p. Koźmiana nie mówię, z powodu, że mi szło głównie o scharakteryzowanie jego pism rymotworczych, stawiających go w czelnym szeregu naszych pisarzy; — jednakże wyczytawszy w *Kronice* Warszawskiéj w pięknym artykule, ręką jego syna skreślonym, wiadomość o mającym wyjść kompletnym zbiorze dzieł Kajetana Koźmiana, czuję potrzebę powtórzyć takową. Zbiór ten pomieści się w czterech tomach. W pierwszym: oryginalne wiersze, Siedm ód, w części nieznanych, pieśni i hymny, listy wierszem, poezyje do różnych osób — Cztéry bajki — epigramaty, napisy — a nakoniec Ziemiaństwo. — W drugim: Stefan Czarniecki. — W trzecim: Przekłady z Horacego, Wirgiliusza, Tybulla itd. — W czwartym Pisma prozą: Mowy pogrzebowe — obrona podoficera Grotkowskiego — Żywot Kasztelana Jana Tarnowskiego, Jenerała Dąbrowskiego — Kilka rozpraw krytycznych, kilka nekrologów, a nakoniec niektóre rozdziały z jego wspomnień; na same bowiem Pamiętniki, nie pora. — Mały to poczet ksiąg — ale dla tego jest w nich i treść i poczciwe ziarno.

Szlachetnie i godnie spełnione posłannictwo pisarza! kiedy współcześni a tém mniéj po nas idące pokolenia nie ośmielą się mu wyrzucać, że ich serca zatruł jadem, pomięszał rozumy, wyrzucił z karbów świętych powinności, nabawił niesmakiem życia, lub rozpalił nigdy nie

nasyconą żądzą.... Przeciwnie, błogosławić będą że w pięknéj, treściwéj mowie przechował im tyle szczytnych prawd życia, tyle myśli podniosłych, tyle do cnoty zapału, a do rodzinnéj strzechy — miłości.

Niepodobna mi lepiéj zamknąć tego literackiego przeglądu jak parą strofkami, które ś. p. Koźmian napisał o sobie, w wierszu do Księdza Baranowskiego proboszcza w Bychawce. Miał wtenczas 77 lat wieku:

Już się przybliża kres mego żywota:
Niezbędna starca oczekuje droga
Pójdę w nią śmiało, bo otworzą wrota
Gdy ty zapukasz i westchniesz do Boga —
Nieszczędź pociechy mojemu plemieniu
Wzorem, nauką, zachowaj od skazy,
Nad memi zwłoki wyryj na kamieniu
Jeślim zasłużył, te krótkie wyrazy:
„Tu leży starzec, Bóg mu lat przyczynił
Czcił Boga, kraj swój kochał, ludziom niezawinił".

Są to wyrazy prawdy, którym potomność zapewne kłamu niezada. —

Lucyan Siemieński.

PODPISANIE POKOJU.

W téj saméj właśnie chwili kiedy ostatni zeszyt tego pisma opuszczał prassę, to jest 30go marca, pełnomocnicy siedmiu mocarstw europejskich, Austryi, Francyi, Anglii, Prus, Rossyi, Sardynii i Turcyi, zebrani na konferencyi w Paryżu od dnia 25go lutego, po ośmnastu posiedzeniach podpisywali pokój, i aktem tym kończyli spór rossyjsko-turecki od trzech lat trwający.

Lecz spór ten nie pozostał był jak wiadomo na téj stopie na jakiéj go missya księcia Menszykowa w roku 1853 postawiła. Przybrał on niesłychane rozmiary, a co większa zmienił się nawet w swéj istocie. Nie tylko wywołał wojnę, ale w następstwach swych kwestyę tak zwaną Wschodnią przemienił w kwestyę europejską, w kwestyę równowagi; podzielił Europę na trzy obozy: mocarstw wojujących, sprzymierzonych i neutralnych; stał się powodem do różnych traktatów, nadwerężył dawniejsze stanowiska państw pierwszego rzędu względem

siebie i innych, stworzył niektóre przewagi, odkrył niektóre słabości, wyprowadził na jaw wiele interesów trzymających się dotąd w ukryciu, wywołał wiele kwestyj uważanych za załatwione, — słowem, zachwiał istniejącym stanem politycznym Europy do tego stopnia, że zjazd pełnomocników w celu zakończenia sporu, poczytano powszechnie za kongres europejski przeznaczony aby urządzić stanowczo najważniejsze sprawy, rozstrzygnąć nieodwołalnie wszystkie zawikłania i trudności, spisać nowe prawo publiczne na nowym oparte systemacie — a przynajmniéj zjazd ten poczytano za przygotowawczy do takiego kongresu.

Do takiego sposobu zapatrywania się na konferencye paryzkie spowodował opinią publiczną nie tylko skład samychże konferencyj, zawezwanie do nich Prus, mocarstwa w spór bieżący bezpośrednio nie wmięszanego, nie tylko ogłoszenie podstaw na jakich obrady polegać miały, nie tylko zdania wyrażone o konferencyach przez osoby udział w nich biorące, które zapowiadały, iż obrady te w razie niezerwania ich, staną się dziełem wielkiém, nowym dla Europy kongresem, — ale owe uznanie ważności konferencyj, a przynajmniéj oczekiwanie stanowczego z obrad wypadku, usprawiedliwiała sama natura rzeczy, sytuacya polityczna, jaka się w skutek lat ostatnich wywiązała, a głównie ów stan niepewności, rozdrażnienia, wahania się, w jakim społeczność europejska przez cały ciąg bieżącéj sprawy zostawała. Położyć koniec choćby na czas niejaki owemu anormalnemu stanowi w Europie, zdawało się być koniecznem zadaniem konferencyj. To też nieufność i powątpiewanie, które towarzyszyły działaniom wojennym i usiłowaniom pokojowym zawieszone zostały podczas obrad, a nadspodziewane przyjęcie *ultimatum* austryackiego przez Rossyę, naprowadzające na domysł, iż ta bądź z konieczności, bądź z innych powodów, zwró-

ciła się na drogę pokoju, pozwalało wnioskować o skuteczności otwartych układów.

Jakoż konferencye nie napotkały nieprzełamanych trudności, nie zostały zerwane i pokój podpisano; osnowa jego atoli pokryta dotąd tajemnicą, uchwalono bowiem, że traktat dopiero po ratyfikowaniu ma być ogłoszony.

Dla dokładnego ocenienia jakie wrażenie fakt tak ważny wywarł na społeczność europejską, niechaj wolno będzie odwołać się do kilku słów na tém samém miejscu w styczniu skreślonych. Artykuł ów pod tytułem „Pokój i Wojna“ pisany w obec stanowczéj chwili przyjęcia *ultimatum* przez Rossyę, miał zamiar nacechować stan polityczny i społeczny Europy w téj właśnie chwili, i jako taki służyć był winien za punkt wyjścia w ocenianiu dalszego biegu wypadków i zmian które przewidywać kazał niespodziewany obrót, ustąpieniem Rossyi sprawie bieżącéj nadany.

Powiedzianem tam było, i jakkolwiek w krótkich wyrazach dostatecznie z powodu bijącéj oczywistości dowiedzionem, — że stan anormalny Europy zależał na tem, iż pokój którego większa część społeczności używała, zawierał w sobie żywioły towarzyszące wojnie, i nosił znamiona które téj ostatniéj są właściwe. Skoro więc fakt podpisania pokoju doszedł do wiadomości publicznéj, społeczność europejska nie była tyle uderzoną samem zawarciem pokoju, na co była zresztą przygotowaną, jak raczéj z całą żądzą wyjścia z nader przykrego położenia, zwróciła uwagę ku jego istocie. Pokój był jéj prawie obojętnym, bo wiedziała z doświadczenia i to długiego, że można wśród pokoju nie używać spokoju i cierpieć wszystkie prawie dolegliwości wojny, ale pytanie, „jaki pokój“ poruszało aż do głębi wszystkie oczekiwania, nadzieje i interesa. Dowodów na to było bardzo wiele, i każdy bezstronnie patrzący

mógł się jak najłatwiéj o tem usposobieniu przekonać. Dla tego to opinia publiczna nie wiele się troszczyła jakim sposobem pokój zawartym został, albo które z mocarstw najwięcéj się do tego przyczyniło, nie wiele ją także obchodziło jakie, i jak wielkie ustąpienia poczyniła Rossya, jak wytkniętą zostanie granica w Bessarabii, ale pytała tylko o to: czy kwestye konferencyom poddane, stanowczo rozstrzygniętemi zostały, bo to pozwalało jéj wnosić czy kwestya Wschodnia rozwiązana lub tylko zawieszona. Radaby była dowiedzieć się czy przymierze Francyi z Anglią zostało nadwerężone czy wzmocnione, bo to posłużyć jéj mogło za miarę trwałości nowo ułożonego systematu równowagi europejskiéj; czy swobody zapewnione tureckim rajasom otrzymały dostateczne w podpisanym pokoju rękojmie, bo z tego rokować mogła o sile podstawy przyszłéj równowagi. Nakoniec opinia publiczna radaby była dowiedzieć się czyli jakie kwestye europejskie nie tyczące się bezpośrednio sprawy wschodniéj, zawsze jednak przez nią wywołane, zajmowały konferencye i co w téj mierze uchwalonem zostało; bo w tem upatrywać mogła skazówkę, w jakim stosunku owe konferencye podniesione przez nią do wysokości kongresu, zostają z kongresem wiedeńskim, jak dalece ustanowienie nowego prawa publicznego mogło być zadaniem zjazdu pełnomocników w Paryżu....

Na wszystkie te pytania i wiele innych, nie mógł dać odpowiedzi huk dział, który się rozlegał nad brzegami Sekwany i obwieszczał podpisanie pokoju, ani też powtarzające go echo z londyńskiego Toweru i z carogrodzkiéj Pery. Nie zaspokoił ich również i *Monitor* znanem swem oświadczeniem, że wojna się skończyła. Wiadomość ta szybkością błyskawicy po całéj rozniesiona Europie nie podniosła nigdzie giełdy, tego barometru i spokojnych dążności i pokojowych oczekiwań w dzi-

siejszéj społeczności. Pozostał on na tym stopniu, na jaki poskoczył na wiadomość, że Rossya propozycye austryackie podpisała bo odtąd już o skończeniu wojny niewątpił. Lecz opinia publiczna widziała w niem tylko przedłużenie zawieszenia broni w téj chwili, i tak też było w istocie. Ale czy dla tego że wojna się skończyła nastąpił rzeczywiście pokój? Wojna materyalna ograniczała się w małem kółku, ale prawdziwego pokoju nie było nigdzie; wojna trapiła małą część ludzkości, ale brak spokojności czuć się dawał we wszystkich społeczeństwa sferach najwyższych i najniższych. Czyliż koniec wojny zwiastował rzeczywisty pokój? Podpisany pokój byłże takim, aby mocarstwom wolno było zmniejszyć armie na stopę pokoju? aby ulżył ciężarów społeczeństwu? Zgoda między mocarzami przywrócona byłaż taką jakiéj sobie życzył Napoleon III, gdy na obiedzie danym dla zebranych w Paryżu pełnomocników we wzniesionym toaście wyrzekł: „Oby zgoda ta była trwałą, a będzie nią, jeżeli się zawsze opierać będzie na prawie, na sprawiedliwości, na prawdziwych i słusznych interesach ludów!“...

Nie tyle wszakże chodziło tu o wiecznotrwałość podpisanego pokoju, bo na tę rachować nie można, a z resztą trwałość to kwestya przyszłości, a dla opinii publicznéj więcéj rzeczą przeczucia niż przekonania. Ale szło głównie o bezpośrednie pokoju następstwa: to jest czy z podpisaniem pokoju zmieni się uciążliwy stan rzeczy, czy z końcem wojny skończy się niepewność i życie z dnia na dzień jakie każdy mniéj więcéj od pewnego czasu prowadził. Na to zawsze potrzeba było przynajmniéj ustalenia równowagi w Europie do tyla, żeby jéj lada kwestya, lada zmiana, lub wypadek zepsuć nie mogły. Rękojmij w téj mierze nie dawał ani *Monitor*, jakkolwiek zapowiadał że pokój zapewnia spokojność Europie na trwałych i stałych podstawach, ani lord Pal-

merston, oświadczając w Parlamencie że cel wojny został dopięty. Wkrótce bowiem, a raczéj nawet równocześnie z ogłoszeniem że pokój podpisany, wystąpiły w dziennikach wszystkie kwestye składające sprawę Wschodnią, jako dowód że takowa nie rozwiązana jeszcze, konferencye prowadziły obrady, komissye do urządzenia właśnie tych podstaw trwałych miały być dopiero wysadzone — zgoła, każdy chcąc niechcąc dojść musiał do przekonania, że oprócz podpisania pokoju to jest ukończenia wojny, nic więcéj dokonanem nie było. Opinia publiczna skoro wiatr rozwiał tumany dymu z wystrzałów pokojowych, została w tem samem położeniu w jakiém była po pierwszych wojennych wystrzałach; wróciła też aż do pewnego stopnia do dawnego usposobienia. Jak dawniéj niechciała uwierzyć w wojnę, tak dziś niedowierzała pokojowi. Niewątpiła ona aby mu ratyfikacyj odmówić miano, tu dostateczną znajdowała rękojmię w przedłużeniu zawieszenia broni, w rozszerzeniu go do wojny morskiéj, w zniesieniu blokady i wolności jakiéj używają rossyjskie pawilony w żegludze po wszystkich morzach, niewątpiła że wojna się skończyła, ale nie miała przekonania aby już dla tego używać można było korzyści pokoju, owéj właśnie spokojności, którą jéj zapewniał dziennik urzędowy francuzki. Słowem obawiała się aby jak przed podpisaniem pokoju stan moralny społeczności europejskiéj dawał się określić przez wyrazy: „pokój i wojna;“ tak znów aby po podpisaniu nie przyszło go oznaczyć równie krótko: „ani pokój ani wojna.“ Obawa ta przebijała nietylko w większéj części organów opinii publicznéj, nie tylko w całem zachowaniu się społeczności w obec wypadku 30 marca, ale nawet w czynach będących najloiczniejszemi następstwami położenia politycznego tak Turcyi jak innych mocarstw, w utrzymaniu wojsk w pewnych prowincyach, w dalszem przeciągnięciu konferencyj, w nie-

pewności Europy co do tego kiedy i jakim sposobem konferencye się skończą.

Usposobienie to o jakiem mowa, odpowiadało całkiem usposobieniu spółeczności europejskiéj przed trzema laty. Nikt zapewne jeszcze nie zapomniał jak przyjmowano wiadomości o sporze rossyjsko-tureckim w chwili jego wywiązania się, jak odpychano wszelkie rozumowania prowadzące do tego wypadku, że spór ten wojną zakończyć się musi i to wojną na wielkie rozmiary; z jakiem wreszcie niedowierzaniem przyjęto samą już wieść o wydaniu wojny. Nie przypuszczano aby pokój mógł być zerwany, wtedy jeszcze gdy już posłowie mocarstw poróżnionych opuszczali wzajem stolice, nieuwierzono wojnie dosłownie, aż dopiero po bitwie nad Almą. Wnioskowano ztąd i powtarzano ciągle: Europa niechce wojny. Szukano w różnych powodach źródła téj nieprzezwyciężonéj niechęci; odkryto bezwątpienia wiele słusznych i prawdziwych, ale pominięto jednę przyczynę nader prostą i jeżeli tak wyrazić się wolno leżącą jak na dłoni. Pominięto ją może właśnie dla tego; a zresztą nie było na to rady, bo tak być musiało w dzisiejszym składzie społeczności europejskiéj. Europa niechciała wojny, a raczéj uwierzyć jéj niechciała, dla tego że niewiedziała o co ją prowadzić ma i będzie.

Minęły już bowiem dawno te czasy, kiedy wiedziano o co wojna poszła, jaki jéj cel, jakie powody. Wówczas wojnę prowadziły narody, i nikomu nie mogło być tajno o co się biją i dla czego się godzą. Wiadomą była przyczyna wojny, wiadome warunki pokoju. Lecz wiedza pod tym względem opinii publicznéj przestała być tak jasną od czasu jak w systemacie politycznym Europy miejsce narodów zajęły państwa. I nie mogło być inaczéj jak skoro wojnę prowadzą państwa, o powodach do niéj sądzą gabinety bez udziału w czemkolwiek narodu, przemawiają o niéj właściwym sobie ję-

zykiem to jest dyplomatycznym, i kończą ją wreszcie stósownie do uznania rządów czy ją skończyć lub wieść daléj wypada. Im wybitniéj występowała idea państwa, im bardziéj według swéj istoty kształtowała społeczeństwo, im silniéj sprowadzała w harmonię swéj jedności wszystkie żywioły składające dawniéj sztukę rządzenia, tém więcéj polityka przybierała formy dyplomatyczne, tém więcéj ukrywały się przed ogółem narodu rzeczywiste przyczyny wojny, a zastępowały je pozorne.

Prawda ta którąby łatwo było wykazać historycznie przez ciąg wojen od traktatu Westfalskiego, nigdy jeszcze tak namacalną nie była jak w ostatnich latach. Opinia publiczna nie mogła dopatrzeć powodu wojny w sporze turecko-rossyjskim, przeto wojny nie przypuszczała. Wszystkie noty dyplomatyczne ogłaszane drukiem, wszystkie usiłowania łożone na załatwienie sporu potwierdzały ją w tém mniemaniu. Według aktów dyplomatycznych nie było w całym sporze ani jednéj polityki marzącéj o zaborach lub zdobyczy, nikt i w niczém niechciał nadwerężać niepodległości i nietykalności państwa Ottomańskiego, wszystkie państwa pragnęły swobód rajasów wspólnie z Rossyą a nawet z Turcyą, Księstwa Naddunajskie obudzały sympatyę wszystkich rządów, nikt wolności żeglugi na Dunaju niezaprzeczał, nikt również nie odmawiał Turkom prawa zamykania Dardanellów — wszędzie zatém była pozorna zgoda — wszyscy chcieli pokoju. Czemuż więc wojna wybuchnąć miała? Niektóre różnice zdań, więcéj w wyrażeniach niż w istocie rzeczy na pozór leżące, dla których nota wiedeńska z 9go sierpnia 1853 w pierwszych konferencyach między Austryą, Francyą, Anglią i Prusami ułożona, z pewnemi tylko modyfikacyami w Stambule przyjętą być mogła, nie były tak ważne, aby pokój nadwerężyć były w stanie. Nikt również nie wątpił, aby Rossya nie miała ustąpić z Księstw gdyby inne mocar-

stwa postawiły jéj w téj mierze wyraźne żądanie w formie *ultimatum* — jakoż sama Austrya dokazała tego w roku następnym. Wypowiedziana więc wojna we wrześniu r. 1853 przez Turcyą, była już niespodzianką, a przystąpienie do niéj Francyi i Anglii w r. 1854, pomimo licznych i ciągłych dowodów „że Europa nie chce wojny", utwierdzić musiało mniemanie, że nie jest wiadomem o co rzeczywiście chodzi, jaki był powód wojny. Z niedowierzaniem téż przypatrywała się raczéj opinia publiczna aniżeli brała udział w téj sprawie gdzie wciąż wszystkie życzenia skierowane były ku pokojowi, gdy tymczasem wojna przynajmniéj co do liczby państw wojujących coraz większe przybierała rozmiary. Czuła bardzo dobrze, że stan w jakim znajdowała się społeczność nosił oba te znamiona, ale niewiedząc dokąd wojna dąży, jakie jéj cele, nie mogła sobie zdać sprawy na czém się skończy, i jakie wypadki mogą położyć kres téj anormalnéj sytuacyi.

Nie mogła ona sobie wytłómaczyć wojny pomimo nawet całéj jawności z jaką na dyplomatyczném polu toczyła się przed nią sprawa. Mówiono wprawdzie i powtarzano, że polityka zdobywcza Rossyi i przewaga tego państwa zagrażała równowadze europejskiéj — że to więc był powód wojny. Ale Rossya nie przyznawała się do téj polityki, pomimo ogłoszonych poufnych aktów, a opinia publiczna biorąc rzeczy po prostu, szukała w biegu wypadków i w kolei jaką wojna postępowała, ażali rzeczywiście ten był jéj powód. Nie widziała jednak aby przedsiębrane środki zmniejszyć miały tę przewagę i przywrócić równowagę. Środki najprostsze zdawały jéj się być najlepszemi. Tymczasem ciągłe wahania, ograniczania wojny do tego lub owego wojennego teatru, długa nieczynność wojsk sprzymierzonych, wolny odwrót z Księstw dozwolony wojskom rossyjskim, nakoniec wyprawa do Krymu — nie pozwalały wnosić aby

15

szło tylko o poskromienie siły, a przeto o ukrócenie przewagi i powrót do równowagi, ale chyba o jakieś inne cele nieznane. Nieufność tę a oraz nieświadomość bardziéj jeszcze powiększał aniżeli zmniejszał język dyplomatyczny używany przy ciągłych układach. Opinia publiczna pojąć nie była w stanie, aby przewagę można tam złamać, gdzie jak to przy konferencyach wiedeńskich z 1855 r. głoszono „nie ma ani zwycięzców ani zwyciężonych“, aby „bezinteresowność i abnegacya“ mogły być podstawą polityki mocarstw wojujących, a nowém i wielce dla dyplomacyi chlubném byłoby odkryciem, osiągnienie celu przez wojnę w którejby niebyło ani zwycięzców ani zwyciężonych. Historya nie przedstawia podobnego przykładu.

Podobnież przypuszczać ona nie mogła aby powodem do wojny miała być kwestya religijna. Była to tylko jedna strona sprawy i będzie nią zawsze ilekroć wystąpi kwestya Wschodnia, bo to leży w naturze rzeczy, bo tam islamizm styka się z chrystyanizmem a katolicyzm ze schizmą. Lecz jakkolwiek Rossya utrzymywała że wojnę prowadzi z religijnych pobudek, jakkolwiek powtarzała to do końca a nawet przy podpisaniu pokoju, w ostatnim manifeście religijny a nie inny powód i cel prowadzonéj wojnie zakreśla; to wszakże oczywistém było od samego początku dla opinii, że powodu istotnego wojny gdzie indziéj szukać wypada. Usunięcie spieszne kwestyi o Miejsca Ŝte jeszcze podczas missyi księcia Menszykowa, ustąpienie nawet Francyi w tym przedmiocie i w téj chwili, zdradzało bardzo wyraźnie obawę, aby ta sprawa religijną cechę mająca nie weszła w istotę sporu, aby spór ten nie przeniósł się na owo pole. Wszelkie téż na niém stawiane przez Rossyą żądania, oceniane bywały przez Mocarstwa zachodnie z politycznego wyłącznie stanowiska. Protektorat religijny do jakiego rościła pretensye Rossya, uważany

był przez Francyę i Anglię za uroszczenia do politycznego protektoratu, za naruszenie praw zwierzchniczych Sułtana, który przecież nie ma religijnéj władzy nad Chrześcianami. Sprawa rajasów lubo gorliwie przez Zachód podjęta, załatwioną być miała na zasadzie wolności wyznań a nawet równości religijnéj. Zresztą sam fakt przymierza zaczepnego i odpornego mocarstw chrześciańskich z mocarstwem mahometańskiém przeciw mocarstwu chrześciańskiemu, i jego następstwo, przyjęcie mahometańskiego państwa w skład polityczny państw chrześciańskiéj Europy, sam ten fakt, pominąwszy wiele innych, był dostatecznym aby przekonać opinię publiczną, że nie kwestya religijna była powodem wojny.

Więcéj jeszcze obałamucono ją przedstawieniami i rozumowaniami jakoby wojna toczyła się w sprawie cywilizacyi. Na téj drodze, a raczéj na tém bezdrożu, opinia publiczna już w zupełnéj zostawać musiała nieświadomości tak co do powodu jako i celu wojny; tu już największa czekała ją niepewność jakie koleje przebiegać będzie i gdzie się zatrzyma, bo cóż jest cywilizacya i jaka jéj sprawa? Cywilizacya jestże ogładą obyczajów, jak to dawniéj mówiono? Rzecz wtedy bardzo prosta, sprawa cywilizacyi jest sprawą mającą na celu „ogładzać obyczaje“ nieoświeconych narodów. Ale wtedy wojna toczona w téj sprawie, byłaby powrotem do barbarzyńskich czasów, gdzie oświecone narody z bronią w ręku nakładały cywilizacyą mniéj oświeconym. Któż zresztą zasługiwał na takowe ze strony Zachodu w sprawie cywilizacyi wystąpienie? Rossya należała do składu mocarstw cywilizowanych, Turcya życzy sobie przyjąć tak zwane dobrodziejstwa cywilizacyi, nakładać ich więc nie ma potrzeby, a w końcu nie przeciw niéj ale z nią razem prowadzono wojnę. Trudno i to przypuszczać aby zniesienie niewoli i poligamii na Wschodzie tak dalece obchodzić miało Francyą i Anglią, żeby dla tego

poświęcać chciały miliony i wojsko. Jakże o cywilizacyi wyraża się sam mistrz teoryi w tym przedmiocie p. Guizot: „Myśl postępu i rozwoju, mówi on w swéj *Historyi Cywilizacyi*, jest myślą zasadniczą zawartą w nazwie cywilizacyi. Obejmuje ona dwa fakta: rozwój działalności spółecznéj i działalności osobistéj, postęp spółeczeństwa i postęp ludzkości.“ Cywilizacya w tém znaczeniu jest nieco ciemno pojmowaną, i niewiedzieć zaprawdę, jakimby sposobem, i na jakiéj podstawie wystąpić można zbrojno w jéj sprawie. Ile słów bowiem w tém ocenieniu, tyle prawie przedstawia się pytań równie zawiłych. O jakimże tu postępie mowa? Składająż go żywioły religijne, moralne, należąż do cywilizacyi miłość kraju, uczucie sprawiedliwości? Nie zdaje się, albowiem właśnie w wiekach najbardziéj cywilizowanych, a zatém gdzie według p. Guizota postęp był największy, cnoty te były najsłabsze, albowiem wieleż to właśnie niesprawiedliwości i występków niespełniono pod płaszczykiem cywilizacyjnych dążności. Na to dość wspomnieć, aby nie sięgać starożytnéj historyi na wiek XVIII i znaczenie jakie w ustach filozofów i rewolucyonistów przybierał wyraz cywilizacya. Nie łatwo także domyśleć się co znaczy „rozwój działalności społecznéj“, co to jest nawet „działalność społeczna“. Czyliż wszystkie spółeczności nie są czynnemi, już przez to samo że żyją, czyż nie działają? Idzie więc tylko o to, jak działają, i w jakiéj formie ich działanie ujęte. W tém tylko widzieć można postęp i rozwój. Wyrazy te są tak elastyczne że się do najsprzeczniejszych zasad dadzą zastósować. Jedni i słusznie, widzą cywilizacyą w postępie moralności i rozwoju uczucia sprawiedliwości na tle niezmiennéj podstawy Chrystyanizmu, i dla tych jedna tylko być może cywilizacya prawdziwa to jest chrześciańska; dla drugich zaś, i niestety dla większéj nierównie liczby, postęp jest twierdzeniem ciągłego i powszechnego ruchu,

zaprzeczeniem wszelkiéj niezmiennéj podstawy, wszelkiéj odwiecznéj niewzruszonéj zasady. Dla pierwszych uznanie prawa i obowiązków jest postępem, a rozwojem staranie około ich wykonania, bo to koniecznie ludzkość udoskonalać czyli naprzód posuwać musi; dla drugich każdy ruch jest postępem a każda zmiana rozwojem. Ci chcą uszanowania dla praw tradycyjnych, historycznych, tamci w prawach takich widzą tylko przywileje; dla pierwszych istnieją społeczność, naród, rodzina, dla drugich niema nic prócz indywiduów i ludzkości; u tych postęp cywilizacyi ma swoje granice, bo jest coś nad nią wyższego, dla tamtych postęp jest nieskończony, bo nic nad cywilizacyę... Jakże do tych sprzecznych dążności zastósować sprawę o którą wojnę toczono? Jeżeli powód do niéj miał być sprawą cywilizacyi, to któreż z tych dążności miała zaspokoić, czy pierwsze czy drugie? i jakim sposobem?.... Co większa, czyliż miano cywilizacyi nie jest tak ogólne, czyliż wyrazy postęp i rozwój ludzkości, nie są tak chwiejne, że się nagiąć dają do wszelkiéj sprawy, wszelkiego interesu nawet do wszelkiego największego i najmniejszego wynalazku? Nie używałyż go i nie nadużywały wszystkie stronnictwa?.... Każda sprawa chce być na drodze cywilizacyi; wszystko co jéj sprzyja wydaje jéj się być na drodze postępu, wszystko co jéj bieg hamuje, sprzeciwia się rozwojowi społeczeństwa. Możnaż więc tak niedokładnie określone dążności popierać środkiem tak praktycznym jakim jest wojna, i powód do niéj upatrywać w sprawie cywilizacyi? Tu jedna tylko odpowiedź może być stanowcza. Jeżeli przez cywilizacyą rozumie się ten postęp jaki ludzkości w niedoścignionych swych wyrokach Opatrzność wytknęła, to wtedy każda sprawa może być zwaną sprawą cywilizacyi, bo w końcu znajdzie ona zawsze swe właściwe miejsce w historyi świata, stanie się ogniwem w szeregu wypadków z ja-

kich się składa życie ludzkości. Jeżeli zaś mowa o cywilizacyi na jaką się składają ludzkie usiłowania, to wtedy ta tylko sprawa mogłaby się stać powodem do wojny, któraby postęp społeczności zwracała na drogę najwięcéj odpowiednią idei państwa, i systematowi politycznemu istniejącemu w Europie. Dziś taką tylko sprawę uznałyby państwa za sprawę cywilizacyjną. To jak się zdaje dowodzenia nie potrzebuje. Sprawa więc cywilizacyjna podana jako powód wojny wschodniéj naprowadzała tylko na domysły.

Wszakże opinii publicznéj nie szło o domysły lecz o pewność. Takowéj pewności chciano także dopatrzeć się w interesach materyalnych, których pomyślność coraz większa jest zresztą dla wielu ściśle ze sprawą cywilizacyi związana. I tu wszakże poszukiwania nie łatwe. Interesa materyalne grają bezwątpienia wielką rolę w polityce dzisiejszéj, ale do ocenienia nader trudną. Idea państwa, na któréj systemat polityczny Europy się opiera, już przez to samo że przedstawia jedyną siłę i najwyższe prawo, nie może zostawiać obok siebie niezespolonych z sobą żywiołów i dąży też do sprowadzenia wszystkich czynników społecznych w jedność odpowiednią jéj koniecznym następstwom i wymaganiom. Jedne całkiem usuwa jako niepotrzebne, inne przerabia na swoją modłę, a przerobionych używa. Przykładów w téj mierze nie brakuje: dość spojrzeć na Francyą, na ową demokracyę która się stała godłem cesarskiem. Podobnież dzieje się i z owym czynnikiem społecznym, objętym pod ogólnem mianem interesów materyalnych. W systemacie państw interesa materyalne nie są tem samem, czem były dawniéj; interesami tyczącemi się po prostu agronomii, przemysłu lub handlu. Są one interesami państwa i jako takie jeżeli nie całkiem przeobrazić się musiały w swéj istocie, to przynajmniéj co do formy swojéj. Zmiana ta polega na zmianie praw na

jakich się opierały. I nie mogło być inaczéj: bo jeżeli prawo i potęga idei państwa polega na zastąpieniu jedną myślą państwa wszystkich praw indywidualnych i wszelkich sił interesów w skład jego wchodzących, to naturalnie w takiéj centralizacyi wszystkie prawa nawet najważniejsze, jakiem jest np. prawo własności, to jest moc zarządzania i rozrządzania nią dowolnie, musiały uledz pewnym odmianom i ograniczeniom. To też państwa niepotrzebują właścicieli ziemskich w dawnem znaczeniu tego wyrazu, ale tylko producentów; niepotrzebują korporacyj przemysłowych i ogłaszają wolność przemysłową; instytucye handlowe także całkiem są inne, ruchem kapitałów kierują państwa, a nawet kredyt, ów najtrudniejszy do pochwycenia żywioł, ujęty został ideą państwa w pewne karby i częstokroć widzieć go można jak ulega dążnościom z góry wskazanym. Jakkolwiek więc żadnéj nie można było mieć wątpliwości, że strona interesów materyalnych w sprawie Wschodniéj jest znaczną, to stosunku jéj do polityki ogólnéj oznaczyć się nie dało. Opinia publiczna zresztą, nie uwłaczając bynajmniéj ważności interesów różnych państw wiążących się z wpływem na Wschodzie, z wolnością żeglugi na Dunaju, i neutralizacyą morza Czarnego, mogła się wahać, czyliby korzyści otrzymane ztąd dla handlu i przemysłu były tak wielkie, aby w nich z pewnością upatrywać można rzeczywisty powód do wojny, czyli mówiąc językiem spekulacyjnym, aby warto było w tym interesie ryzykować tyle kapitałów. Jakoż noty dyplomatyczne zaręczały że mocarstwa nie mają w wojnie żadnego wyłącznego interesu, żadnéj korzyści na celu, że stają w obronie zagrożonéj równowagi.

Z pobieżnego przeglądu błędnego koła w jakiem zostawała od zawiązania się wschodniego sporu aż do skończenia wojny opinia publiczna w Europie, wypada podobno dość jasno że powód rzeczywisty wojny nie

był jéj dokładnie wiadomy. Usprawiedliwia to zdanie bardzo dobitnie ostatnia broszura hr. Ficquelmonta wydana w Wenecyi w styczniu r. b. pod tytułem: „O przyszłym pokoju,“ lubo napisana w innym celu i do innych dążąca konkluzyj. Co spowodowało Rossyę, pyta autor, do wdania się w wojnę obecną, czy interes czy sumienie? Ani jedno ani drugie, śmiało odpowiada. Sumienia nie było nigdzie: nieco fałszu a wiele dwuznaczności wszędzie. Rossya wdała się w wojnę z powodu kwestyi o pierwszeństwo (*préséance*) dyplomatyczne, z powodu kwestyi, którą potem pokryła płaszczykiem religijnym; Anglia wdała się w wojnę z powodu kwestyi o interesa materyalne, którą ukrywa pod nazwą walki barbarzyństwa z cywilizacyą; Francya rzuciła się w wojnę z różnych powodów, i nieprzyznała się podobnież do prawdziwego bodźca według jakiego działała. Z talentem sobie właściwym dowodzi publicysta tego założenia, i w dowodzeniu przebiega dwie pozorne przyczyny wojny: religijną i cywilizacyjną. Pierwsza według niego była tylko pozorną już dla tego samego, że Rossya która jéj używała, równocześnie z wyrażoną koniecznością oswobodzenia kościoła greckiego w Stambule, niweczyła swoje religijne na Wschodzie stanowisko i osłabiała tamże swój wpływ oświadczeniem, że nieprzystanie nigdy na przywrócenie cesarstwa greckiego. Po tym kroku strona religijna w tym sporze musiała być tylko uważaną za narzędzie, a kwestya cała za wyłącznie polityczną nawet dla Rossyi. Zachód zaś użył wyrażenia „wojna w sprawie cywilizacyjnéj“ raczéj za przeciwstawienie wyrażeniu „wojna religijna“ używanemu przez Rossyą, za blichtr naprzeciw blichtrowi, za manifest na manifest, niżby miał upatrywać jakąkolwiek korzyść dla cywilizacyi w wojnie z Rossyą. Cywilizacya więc zdaniem tego dyplomaty nie była wcale powodem do wojny, w któréj widziano trzy wiel-

kie mocarstwa walczące razem z przyczyn, zdawałoby się istniejących tylko w wyobraźni. Rossya walczyła w obronie wiary, któréj nikt nie zagrażał; dwa mocarstwa Zachodnie i ich sprzymierzeni w sprawie cywilizacyi, któréj Rossya nie stała bynajmniéj na zawadzie. A przecież musiał być jakiś powód wojny? Hrabia Ficquelmont widzi ten powód w żądzy osiągnienia przewagi politycznéj.

Dotkniętą tu została tylko jedna i to mała bardzo strona broszury hr. Ficquelmonta, która się wiele trudni moralną stroną kwestyi wojny i pokoju, i nosi nawet na tytule napis: „Rzecz sumienia“ *(cas de conscience)* Politykę państw sądzić ze stanowiska sumienia osobistego, jest rzeczą niepodobną, bo jakże sumienie państwa oznaczyć i kto jego sędzią? Lecz słusznie ma znakomity pisarz, gdy z politycznego stanowiska rzeczy biorąc, w żądzy osiągnięcia przewagi widzi rzeczywisty powód wojny. Sprawa była polityczną, a wojna innego powodu nawet mieć nie mogła. W systemacie równowagi niemasz innego powodu do wojny, przewaga jednéj siły może tylko zepsuć systemat na równoważeniu sił oparty. Wszelkie inne powody, dałyby się usunąć na dyplomatycznéj drodze, zwłaszcza z prawem publicznem jak obecne, które wszystkie ważniejsze sprawy odsyła przed trybunał wielkich mocarstw. Pozostaje tylko jedno pytanie, bo nic doskonałem na świecie być nie może, czy systemat równowagi, może się obejść bez przewagi jednego z mocarstw? czy nawet przewaga takowa nie jest potrzebną do zachowania systematu? czy nie miało zawsze przewagi jedno państwo w chwili nawet gdy układano w traktatach równowagę?....

Lecz niezapuszczając się w tę kwestyą, któraby za daleko prowadziła, bo na pole historyczne, lub pole domysłów, łatwo pojąć, że opinia publiczna szukając materyalnego, jeżeli tak wyrazić się wolno powodu do

wojny, nie natrafiała tylko na pozorne, a nie widząc powodu czemu wojnę prowadzono, nie była zupełnie zaspokojoną faktem podpisania pokoju; że czekała z niecierpliwością ogłoszenia traktatu pomimo, a może właśnie dla tego iż jéj oświadczono, „że traktat zaszczytny dla wszystkich“. Nie zupełnie może jasno jéj się przedstawia jak to być może; wyrazy że „cel dopięty“ nieobjaśniały ją w tem względzie zwłaszcza że je wyrzekli równocześnie Cesarz Wszech Rossyi w manifeście i minister angielski w Parlamencie co wyraźnie dowodzi że istotnie jak mówiono w konferencyach wiedeńskich niebyło zwycięzców ani zwyciężonych.

Nie zadowolni jéj także i sam traktat który już ratyfikacye wszystkich dworów uzyskał, jeżeli w nim koniecznie czegoś więcéj szukać zechce, jak końca wojny, to jest ukończenia starcia się chwilowego na polu kwestyi Wschodniéj. Niewypada tu przesądzać co się w nim znajduje, tem mniéj gdy piszący te słowa, dziwnym zbiegiem okoliczności w tem samem co w miesiącu marcu znajduje się położeniu. Jak wówczas pisał o konferencyach nie wiedząc o ich wypadku, który za dni kilka miał być wiadomy, tak też i tym razem traktat prawdopodobnie będzie ogłoszony zanim niniejszy artykuł dojdzie rąk publiczności.

Wszelako zważając że kwestye tyczące się równowagi politycznéj, a o tę idzie przedewszystkiem, nie są tak namacalne aby wszystkim były dostępne, że one więcéj są rzeczą gabinetów, przygotować się winna opinia publiczna że w traktacie kwestye te nie będą może wyraźnie rozwiązane. O przymierzu angielsko-francuzkiem, to jest o jego sile i przyszłym wpływie w obec pokoju, więcéj nierównie wnioskować będzie można z obiecanych protokołów konferencyi, aniżeli z samego aktu. O innych kwestyach, nie tyczących się bezpośrednio sprawy Wschodniéj żadnéj zapewnie w traktacie nie bę-

dzie wzmianki; domyślać się jednak będzie można, czy konferencye paryzkie już stanowczo zakończyły dzieło pokoju, czy dopiero były przejściem do późniejszego kongresu. Jeden tylko fakt wybitnie w nim ukazywać się będzie, skoro „cel ma być dopięty,“ to jest zamiar położenia kresu przewadze Rossyi, objawionéj głównie zbyt szczerem niegdyś wypowiedzeniem niespokojności o przyszłość Turcyi, jak niemniéj widoków w razie gdyby Państwo Ottomańskie rozpaść się miało. Czy jednak neutralizacya morza Czarnego, jedyny fakt dokonany przez wojnę, usunie na zawsze niebezpieczeństwo od Turcyi? Czy w dalszém rozwinięciu kwestyi Wschodniéj, księstwa Mołdawii i Wołoszczyzny i wolność żeglugi na Dunaju staną się dostateczną zasłoną W. Porty od strony lądu, uwzględniając zwłaszcza położenie terytoryalne i wpływ religijno cywilizacyjny jaki wywierać na Wschodzie zdaje się być przeznaczeniem Rossyi? Czy przewaga Rossyi rzeczywiście złamaną, a całość Turcyi istotnie zabezpieczoną została, i na jak długo?... Zdaje się że pytań tych traktat stanowczo nie rozwiązał.

Odpowiedź na nie należy do przyszłości, tak jak do historyi należy już sąd o zakończonym przez podpisanie pokoju sporze. Ona to kiedyś wypowie jasno całą w téj mierze prawdę, odsłoni i powody do wojny i cel jéj ostateczny; bo jak pięknie powiedział z téj okazyi w wspomnionéj wyżéj broszurze publicysta austryacki: „można przez czas niejaki obrzucić historyę zasłoną ale wspólniczką fałszu uczynić jéj nie można.“

Maurycy Mann.

KRONIKA.

Kraków w kwietniu.

Wszystko się jakoś psuje na tym bożym swiecie. Wiosna nawet z dnia na dzień się ociąga, kwiecień się kończy, a drzew kwiecie nie ubieliło jeszcze, trawka nawet złudzona przyjaznem na chwilę spojrzeniem słońca, zaledwie wyścibi zieloną szypułkę listka, kurczy się zaraz owiana mroźnym wiatrem górskim. Wiosna, czcze słowo! gdzież twoja zieloność, śpiew ptasząt, łagodny powiew wietrzyka, zapach łąk, roje motyli i roje nadziei? Daleko jeszcze, daleko, a my co tak tęsknie wśród długiéj zimy przybycia twego oczekiwali, zawołać musimy: jeszcze nie czas! i karmić się samemi o tobie wspomnieniami, jak to uczynił poeta kreśląc obraz twój:

„O wiosno kto cię widział jak byłaś kwitnącą....“

Co mi to za pora, kwiecień w Krakowie! Chociaż kalendarz Czechowski właściwym sobie językiem terminowym powiada, że „pogodą przysłużyć się stara“, ale cóż to za pogoda, kiedy ni mróz ni gorąco, ni zima ni lato, a jeśli sucho, to jedynie ztąd iż wiatr każdą kro-

plę dżdżu w locie wysuszy. „Stronami godzi“ powiada daléj ten sam kalendarz, cóż z tego kiedy nas omija, jakby się wahał ożywczemi kroplami rozzielenić trawniki plantacyj naszych. Szczęśliwy czytelniku, który te wyrazy dopiero w maju czytać będziesz, obojętnie wzruszysz ramionami na te kwietniowe żale, nie znajdzie u ciebie współczucia biedny kronikarz, który myślą przebiega całą kwietniową przeszłość, aby ci uszczknąć (mówiąc obrazowo) kilka suchych listków wspomnienia nie tylko z tego oto upłynionego miesiąca, ale nawet z ostatnich dni marca. Zajrzyj bowiem do marcowego zeszytu, wyraźnie tam stoi, smutnéj pamięci obietnica zdania sprawy z odbytych Świąt Wielkanocnych. Gdyby nie to, że złożona na piśmie, anibym się do niéj przyznawał, nie będąc z rzędu tych smakoszów, co w miesiąc, ba i późniéj oblizywać się jeszcze umieją na wspomnienie smacznego kąska.

Pamiętam że zajęty byłem w ówczas gorliwie obowiązkami konsumenta, ażeby tym sposobem wpłynąć na podniesienie produkcyi krajowéj; starałem się raczéj o pośpiech niż o wybór, w przekonaniu, że szybki i o ile można rozległy popyt wpływa korzystnie na podniesienie wartości i obudza nieograniczone współzawodnictwo, które jest głównym bodźcem postępu na drodze materyalnéj. Usiłowania moje i moich towarzyszy już dla tego samego musiały być podniesione, iż wielka liczba drobnych producentów albo wcale tego roku ze święconem nie wystąpiła, albo też w tak szczupłych rozmiarach, iż należało się obawiać znacznego niedoboru w produkcyi wielkanocnéj. Rzeźnicy, piekarze, cukiernicy i różni handlarze artykułów konsumowych widocznie to dostrzegali.

W saméj rzeczy od roku do roku święcone traci jakoś ze swojéj starodawnej cechy. Z jednéj strony maleje, z drugiéj zaś zmienia pierwotną swoją formę i przechodzi na rodzaj śniadania *à la fourchette*, gdzie szynka, kiełbasa i placek nikną wśród licznego szeregu potraw, przypraw i zapraw, na które sztuka kucharska wysila się. Proszę pytać, gdzie znajdzie dziś wielkanocnego baranka z wyszczerzonem w zębach jajkiem, w którego łonie mieściły się przeróżnego rodzaju siekanki i potrawki, czyli jak je dziś przechrzczono: frykasy

i pasztety. Tam gdzie wpływ cudzoziemski już przeważył, goście przesuwają się na święconem jakby to była sala biufetowa; każdy rad sobie tylko i o sobie pamięta, a do służby tylko należy pilnować, żeby gościowi nie zbywało na tem czego zażąda. Skoro półmiski opróżnione, każdy wysuwa się cichaczem, goniąc z kolei na drugie święcone, gdzie toż samo się powtarza; całą zaś różnicę tych święconych między sobą stanowi doskonałość kucharza i wartość piwnicy — gospodarz i gospodyni są rzeczą całkiem obojętną; połowy gości nie widzą w tłumie, a niektórych znają zaledwie z widzenia. Gdy wszakże dom się otwarty prowadzi, nikomu wstępu zabronić nie można kto przyzwoicie ubrany, chybaby mówiły przeciw niemu tak ciężkie zarzuty, iżby mu lokaj mógł na własną odpowiedzialność zamknąć drzwi przed nosem. Święcone gromadzi wszystkie te razem osoby, które kiedykolwiek w ciągu całego roku złożyły wizytę gospodarstwu, nie pomijając i tych, których pobyt w salonie nie ma innego celu, jak żeby kiedy niekiedy powiedzieć: „Cara widziałem i przed jenerałem nisko kłaniałem i z paziem gadałem“.

W klassach średnich zdarza się jeszcze niekiedy owa niby gościnność staropolska, której tak dalece nie pojmują w naszym wieku, iż sądzą że się na tem zasadza, aby gościa utuczyć i spoić. Tam bezprzestannie gospodarz dolewa, a gospodyni zachęca i namawia a przeprasza że nie smakuje. Wydobyć się ztamtąd niełatwo i takiego święconego byle czem nie zbędzie. Święcone trwa tam do drugiéj niedzieli, a niekiedy resztki onego przechowują do Zielonych Świątek, a raczéj nie są to resztki, lecz nowe, pomnożone wydanie. Rzadko już teraz o takie domy, bo nawyknięto żyć z krédką, a rozliczne mnóstwo nieznanych dawniéj potrzeb i wygódek, pochłania tę część dochodów, którą dawniéj głównie na stół obracano.

W drugie święto idzie się lub jedzie na „Emaus“ pod klasztór Zwierzyniecki, niby na *Long-champs* krakowskie, w trzecie zaś na Krzemionki, gdzie z kopca Krakusa rzuca się jaja gotowane, jabłka, orzechy, bułki i pierniki, uganiającéj się za tym posilnym gradem gawiedzi, a zowie się to „Rękawką“. Początek i znaczenie jéj nie są dotąd należycie zbadane. Nazwa i miejsce obrzędu na mogile usypanéj rękami,

kazałyby się domyślać, że to pamiątka jéj założenia; czas zaś obchodu na wiosnę, zgadza się z obrzędem Słowiańszczyzny przedchrześciańskiéj, kiedy oddawano cześć pamięci zmarłych. Rękawka jest zapewne takim obrzędem czci wielkiego naczelnika, który przed wiekami władał w téj okolicy, a po którym nic nie zostało prócz nazwiska, tego kopca i obchodzonéj na nim w trzeci dzień Wielkiéjnocy Rękawki.

W tym roku i na Emausie i na Rękawce było pusto i głucho. Szczyt góry zajmowało tylko mnóstwo straganów z wódką i rój przekupek, a jedyne głosy jakie się dały słyszeć, były to śpiewy dziadów i kalek włóczących się po odpustach. Pomiędzy temi pieśniami usłyszeć niekiedy można jakąś zwrotkę, treścią swoją i budową wiersza zdradzającą starożytne swe pochodzenie, a zbieracze pieśni ludu nie powinniby omijać takiéj sposobności; bogatsze by tam odkryło się dla nich źródło, niż w nieustających a ciągle przeinaczanych krakowiakach, gdzie i forma i obrazy aż do przesytu powtarzane.

Takich wyśpiewujących żebraków nie spotka wcale w Krakowie. Ród ich wyginął tu bardzo już dawno, dzięki instytucyom dobroczynnym w jakie miasto nasze obfituje. Chcąc ich szukać, trzeba za nimi chodzić po odpustach w Galicyi, wszakże do Podgórza nie jeden jeszcze zabłąka. Ubóstwo, które po krakowskich zakładach miłosiernych się mieści, należy już do pokolenia co straciło tradycyę cechu dziadowskiego. Są to podupadli mieszczanie lub przygnębieni starością albo chorobami wyrobnicy i dzieci osierociałe. Istnieją dla nich zakład Towarzystwa Dobroczynności, zakłady szycia, domy dobrowolnéj pracy, ochrony i t. p. instytucye bądź stałe i dawno istniejące, bądź świeżo założone lub chwilowo w miarę potrzeby otwierane a w miarę zasobów rozszerzane. W kwietniu odbyły się na cele wsparcia tych zakładów, loterya fantowa i koncert.

Tegoroczna loterya fantowa niczem się od dawnych nie różniła prócz wyższą ceną biletów, a przeto zapewne i większym pożytkiem. Główna zabawa na tem tu zależy, żeby jak najmniéj wyciągnąć nihilów. Pocieszna to zaprawdę, jak los niekiedy na przekor obdarzy cygarniczką panienkę, a mężczyznę parasolką. Uniosłszy

z téj loteryi jako jedyną pamiątkę pusty piórniczek nihilowy, gwizdałem na nim wracając do domu na nótę z Roberta Djabła: „Złoto jest tylko chimerą“. Ale kiedy mi się piórniczek rozkleił, zastanowiłem się nad ową chciwością wygrania, którą pokryć chciałem pozorem miłosierdzia i zapytałem się w duszy, czy byłbym włożył bez wahania te pieniądze do puszki jałmużnéj, które wydałem na kupno losów. Odpowiedź na to zapytanie wolę zataić, bo mi wstyd prawdę wyznać.

Drugim aktem dobroczynnym w tym miesiącu, ma się rozumieć, z głośnych, bo któż zdoła policzyć dzieła cichego miłosierdzia? — drugim aktem głośnym był koncert na korzyść domu zarobku, instytucyi świeżo założonéj, która zwolna roztropnie prowadzona może się stać źródłem utrzymania dla niejednéj podupadłéj rodziny chcącéj pracować lecz pozbawionéj chwilowo zarobku. Wyznajmy, że nie tylko sam cel miłosierny zgromadził w sali redutowéj to znaczne grono słuchaczy, lecz zarazém a może i głównie, imię hr. Tyszkiewicza znanego w świecie muzykalnym jako wykonawca, kompozytor i krytyk. On był głównym, omal nie jedynym filarem tego koncertu, a że jest amatorem nie zaś z rzemiosła muzykiem, więc dziwić się należy téj pamięci z jaką w każdéj chwili najgłębsze a zawiłe nieraz kompozycye Webera, Dreyschoka, Liszta lub Chopina, wykonywa ze wszystkiemi najdelikatniejszemi cieniowaniami tych różnostronnych autorów muzycznych. Dawać koncert w sali redutowéj, należy zapewne do najwyższych dowodów zaparcia się, dawać go z orkiestrą taką jak na tym koncercie, liczy się już do heroizmu. Szkoda staréj sali Knotza, tam niema perystylu zasłoniętego płócienną ścianą, która tem jest dla muzyki, czem gąbka dla wody, lub wypchany poduszką brzuch Falstaffa dla miecza nieprzyjacielskiego.

Miano również sposobność na dwóch muzykalnych wieczorach słyszeć zdolnego skrzypka p. Mieczysława Starzewskiego tarnowianina. Dzieckiem jeszcze, przed dwunastu podobno laty dawał się on już zaszczytnie słyszeć w Warszawie, a odtąd z wiekiem talent jego rósł pod kierunkiem umiejętnego dyrektora konserwatorium wiedeńskiego p. Hellmesbergera. W roku zeszłym otrzymał p. Starzewski wielki medal, a dziś stoi na tym

szczeblu z którego krok tylko jeden przedziela go od znakomitości Wieniawskich, Ernstów i t. d. Podziwiano wykwintność i świetność gry jego w koncercie Allarda, rzewność i delikatność w „melancholii“ Hellmesbergera, a wielką mechaniczną biegłość i siłę w przezwyciężeniu niesłychanych trudności jakie Vieuxtemps nagromadził w wielkim swym koncercie. Odegranie tego to koncertu zjednało p. Starzewskiemu medal, który nietylko jest nagrodą talentu, ale i pracy z jaką się do doskonałości dochodzi. Mylne jest mniemanie, jakoby poecie, malarzowi, muzykowi dość się było urodzić poetą, malarzem, muzykiem, aby być nim. Wrodzony talent potrzebuje uprawy jak bujna ziemia zasiewu, żeby nie chwastem samym zarastać. Szczególnie podobał się w p. Starzewskim kierunek jego muzykalnego talentu: nie popisuje się z trudnościami, bo te pod palcem jego i smyczkiem schodzą do rzędu najspokojniejszéj egzekucyi, nie goni za effektami, w grze jego nie masz łamanych sztuk czém tak wielce grzeszą dzisiaj, ale pewność, okrągłość każdego przejścia, spokojność pociągu smyczka, wykończone oddanie myśli kompozytora przypominają niekiedy poważną grę Lipińskiego. Żałować tylko należało, że stan zdrowia niepozwalał p. Starzewskiemu dać się słyszeć publicznie, bo na koncercie nie można poprzestać na odegraniu jednego utworu, lecz wypadałoby znaczną część wieczora grą swoją zapełnić, na co mu sił zbywało. Wyjazd jego za granicę na parę lat, nietylko mu do odzyskania zdrowia posłuży, ale zapewne zbogaci jeszcze jego talent i doda mu blasku europejskiego skrzypka.

Kiedy już mię tak rozkołysała harmonia, że pisząc to, każda kropka nad *i* wydaje mi się być nutą przypisną, nadmienić muszę, że mieliśmy tu i na scenie prawdziwie muzykalne wielkości, panie Hermann-Czillag i Palm-Spazzer. Rozbierać ich talent byłoby to powtarzać znane już rzeczy; nic większego na pochwałę ich powiedzieć się nie da, nad to, że są to śpiewaczki pierwszego rzędu, które po pierwszych stolicach Europy zyskawszy sławę i złoto, przybyły i tu po skromniejsze owacye, a może też poczytały nas za niezmiernie muzykalnych, bo za takich przynajmniéj mają nas w Wiedniu fabrykanci fortepianów, którzy bez przerwy do Krakowa wysyłają

16

swoje wyroby. Jest to takie samo złudzenie jakiemu już uległ patron statku parowego na Renie, podziwiając Anglika, który ze statku nie wysiadając, dziesięć razy tam i napowrót odbył przejażdżkę wzdłuż czarujących brzegów téj rzeki.

— Musisz pan być wielkim miłośnikiem pięknych widoków, kiedy tyle razy podróż Renem odbywasz?

— Panie kapitanie — odrzekł Anglik — odstąp mi twego kucharza, nie mogę się odjeść jego kotletów.

O mało mię ta *associatio idearum* między fortepianem a kotletem leżąca może w podobieństwie ich formy, nie zbiła z tropu przedstawień publicznych, niewyczerpanego do Kroniki przedmiotu. Nie zabawię wszakże przy nim długo, właśnie dla tego, że wiem iż go nie wyczerpię. Od obchodu jubileuszu teatralnego z nieuniknionym ogniem bengalskim, aż do „Pepity w Słomnikach“, teatr krakowski przechodził przez wszystkie fazy sztuki dramatycznéj: opera, tragedya, dramat, komedya i fraszka. Podziwiać należy w tak krótkim przeciągu czasu tę różnostronność małego grona aktorów naszych, z których każdy nieledwie co dzień co innego przedstawiać jest zmuszony. Gdzie tu czas dla studyów? a przecięż inaczéj być nie może, tam gdzie dwa lub trzykrotne na tydzień przedstawienia jeszcze i tak nie zapełnią zawsze wszystkich ławek. Benefis wszakże panny Radzyńskiéj ulubionéj i zasłużonéj artystki, gdyby był na dwa wieczory rozłożony, i tak jeszcze sprowadziłby tłum publiczności umiejącéj ocenić prawdziwe zasługi. Winszujemy także Dyrekcyi nabytku takiego jak p. Miłaszewski: był on potrzebny do uzupełnienia grona i dobrego obsadzenia repertoaru. Wkrótce grono polskich aktorów wyjeżdża na przedstawienia gościnne, których kolej od Wiednia poczyna. Życzymy mu w téj wędrówce powodzenia, lubo się obawiamy zbyt surowéj krytyki tam gdzie nawyknięto widzieć pierwsze talenta dramatyczne.

Od dni kilku niesłychany ruch panuje u nas w mieście. Zaludniają się hotele przybyłemi kupcami, w budach na rynku rozkładają towary, improwizowane kramy rozstawiają na stołach pod płóciennym dachem, a sprzedawać będą na pół darmo, jak głoszą afisze. Kupcy tylko tutejsi ze spuszczoną głową i założonemi rękami stoją przed pustym sklepem, widząc jak cała czereda chci-

wych nowości mieszkańców począwszy od wielkiéj damy aż do najniższéj subretki przeciąga koło nich w milczeniu, przekonana, że jakieś niewidziane tu nigdy stroje pojawią się, że fabryki całéj Europy umyślnie na ten jarmark wysiliły swój dowcip i tajemnice nowych deseniów zdumionemu światu rozłożyły na rynku krakowskim. Nie chcę wszakże przedmiotu tego na pół przerywać i zostawiam go w całości do następnéj Kroniki, bo to dopiero początek jarmarku. Ruch jego właściwy jeszcze się nie objawił. Jest to tylko prolog. Epilogiem jarmarku będzie elegia mężów nad pustkami kieszeni wypróżnionéj i chór żon uwielbiających nowe stroje. Brakuje jeszcze budy z bajazzem — niech ją czytelnik uzupełni z Jana Nep. Kamieńskiego:

„Panowie i Panie! najpiękniéj prosimy
„W téj budzie dość miejsca, w niéj wszystkich zmieścimy.“

P. S. Pogoda śliczna — niedźwiedź na Rynku tańcuje.

Lwów w kwietniu.

Pierwsze wiosenne dni zawitały nakoniec i do nas, z niemi jak zwykle wszystko woła: „na wieś! na wieś! przecież raz ta zima skończyła się“. — Niewdzięczny świat! Zmiana jest mu potrzebnym warunkiem uciech. Na odchodzącą zimę spogląda z obojętnością. „A przecież to zima was zgromadzała w liczne, świetne, urocze koła; zima niosła wam zabawy, bale, tańce; zima robi ludzi więcéj towarzyskiemi, ułatwia zbliżeniem się zamianę myśli, zradza niejedno dobro dla was i dla bliźnich“. — Daremnie prawisz apologi zimy, nikt o niéj już teraz wiedzieć nie chce, jak o walkach krymskich. Jak na giełdach „pokój! pokój!“ tak u nas „wiosna! wiosna!“ Ztąd perspektywa, że wkrótce Lwów będzie pusty.

Proszę jednak tego wyrazu nie brać zbyt literalnie i zostawić mu właściwą prawdę. Co do téj, mogę się powołać na następujące świadectwo: „To nieznośne lato już nadchodzi“ mówi mój fryzyer, (bo fryzyer ucywilizowany według najnowszego wzorca, ma sobie za obo-

wiązek bawić gościa rozmową jaką, w odwet za skrzypienie nożyczkami nad uchem.)

— A dla czegóżto nieznośne?

— Proszę pana, kiedym był w szkołach na chirurgii, bo ja uczęszczałem także na chirurgię, nieboszczyk pan Berres, doktor, powiadał nam, że człowiek w zimie więcéj zje jak w lecie; a ja proszę pana w lecie więcéj przejem, niż w zimie, bo co zarobię w zimie, wszystko poszło w lecie.

— No to widać, żeś dobrze zrozumiał pana Berresa. Może inna przyczyna tego, np. brak zarobku.

— A cóż ta pora warta, w któréj niema zarobku.

— Inni możeby właśnie dla zarobku chwalili lato.

Mój artysta, który sądzi, *que tout finit où finit son domaine*, zawołał z podziwieniem:

— Broń Boże! a kto we Lwowie chwali lato, kiedy zaledwo na dzień jeden ekwipaż ujrzeć można; kiedy wiele okien zakrywa się zasłonami, aby ich nie odsłonić aż w listopadzie; kiedy kupcy w sklepach ziewają lub książki czytają; kiedy w teatrze więcéj osób czasem na scenie, jak w lożach i na parterze, choć teraźniejsza dyrekcya i w zimie to szczęście często miewa; kiedy zresztą cukiernicy i fryzyery muszą wynosić się do wód, a modniarki i jubilery na jarmark do Tarnopola, do Ułaszkowiec itd.

Już myślałem że znowu jaka zaraza ma przepłoszyć Lwowian, gdy oto wylatuje jak bomba ostatni argument:

— Wszyscy państwo wyjeżdzają na wieś, balów ani wieczorów nie będzie, a my — kto nie myśli przeziewać lata lub drzymać w sklepie, ten musi za państwem daléj.

— A dokądże to pan Bóg prowadzi w tym roku?

— Do Truskawca, panie; tam co niedziela bal, ledwie nie co wieczór jakaś zabawa i toalety, tam fryzyerowi jak w zimie. W lecie kiedy panów niema, niema co robić we Lwowie.

— A kontrakty?

— Panie! albożto kontrakty? to tylko cień kontraktów. Mój nieboszczyk ojciec niegdyś także perukarz opowiadał, że dawniéj w kontrakty, kiedy się panowie zjechali, cały Lwów wyglądał jak wielki kilkutygodniowy bal; a po kontraktach wszystkie sklepy tak były

próżne, jakby Tatarzy miasto zrabowali. Dziś mój brat, dependent u adwokata powiada, że kontraktów nie robią, tylko intabulacye.

— To ma swoje słuszne powody. Świat oszczędza i dobrze czyni. Nie trzeba nadużywać darów Opatrzności.

— A kto zarabia uczciwie, niech mało je w lecie. A to pięknie. To pan Dobrodziéj coś tak mówi jak nieboszczyk p. doktor Berres? Nie, my za państwem do Truskawca, do Lubienia, na jarmarki, my także jeść chcemy. A coby to było, gdyby państwa na świecie nie było? — Może pan każe zapiéc i wypomadować?

— Niéma co, nie trzeba.

— Ot widzi pan, jak tu błogosławić lato, trudno jednéj głowy na dzień utrefić, a co to będzie kiedy się państwo porozjeżdżają.

Widząc, że mój artysta *amicitias utilitate probat*, i z tego tekstu zabiera się do długiéj przemowy, powstałem, i położywszy na stole cenę zwykłą, wyszedłem do kościoła na oratorium Hajdena, był albowiem Wielki Piątek.

Oratorium Hajdena! Tak, my we Lwowie mówiąc o muzyce choć nie wiele możemy, to przynajmniéj wiele mamy chęci, a tą razą nawet wiele odwagi. Wskrzeszone znowu towarzystwo muzyczne, radeby dać znać o sobie w sposób godny, i tak przyszło do oratorium w kościele katedralnym, a wypadek tych dobrych chęci był wcale niespodziewany. Introdukcyą w *D mol* odegrano zupełnie z godnością i zatrzymaniem charakteru wzniosłego treści, toż samo i numera 1szy *(B dur)* 2gi *(C mol)* zaczynający się kwartetem odśpiewanym przez pannę Ambros, panią Grodker i pp. Subera i Szumlańskiego. Ostatniego głos basowy, pełen świeżości i dźwięku ożywiał harmonię i dopomógł do utrzymania właściwego charakteru téj szczytnéj muzyki. Inne numera tego utworu byłyby doznały podobnego powodzenia, gdyby instrumenta metalowe dzisiejszego wynalazku, tak zwane *puzany* i *bombardony* zastósowały swój głos do całości harmonii i nie odzywały się głosem zwalenia murów Jerychu. Popełniły one anachronizm. Kiedy Hayden tworzył swoje oratorium, nie było jeszcze w orkiestrze owych ogromnych metalowych potworów, należałoby więc, aby się one zastósowały do kompozycyi,

i swoje *fortissimo* po dawnemu rozumiały. Kościół był przepełniony: nie zbywa i u nas na wielbicielach klassycznéj muzyki.

Nie sądźcie jednak, by sama tylko muzyka Haydena zapełniła ludem świątynię pańską. Kto zna Lwów od dawna, jak wasz korespodent, i już kilka dziesiątków lat ma za sobą, ten dostrzeże wielkiéj różnicy między usposobieniem religijnem dawniejszych lat, lat pokongresowych i teraźniejszego czasu. Dzięki niebu, z uciechą spoglądamy na wzrastające coraz bardziéj usposobienie umysłów dla poszanowania wiary i religijnych obrzędów. W ogólności w dzisiejszym świecie liczne rozczarowania, które czas przyniósł, obaliły dawny wolterianizm i niedawny hegelianizm w wielkiéj liczbie umysłów, tak w tych co Woltera i Hegla bliżéj poznali, jak w tych, co ich nie znając za krzywym kierunkiem swego czasu poszli. Bożyszcze niemieckiéj filozofii runęło w nagiéj swojéj czczości. Napróżno usiłują Moleschott i consortes w równie nagim materyalizmie odbudować jego ołtarze. Nie przypadała też nigdy bardzo do smaku naszéj młodzieży niemiecka filozofia spekulacyjna, a ci co na czas jakiś zaciągnęli się pod jéj chorągwie, widzą, że pod tym sztandarem abstrakcyjnéj nicości nie można się dobić prawdy, a najmniéj pociechy w życiu ziemskiém i zaziemskiém. Lecz dosyć o tém. Wolę wspomnieć o kilku budujących przykładach, które do serca więcéj mówią i więcéj czci dla siebie jednają, niż owa, jak ją tam ktoś trzeźwy nazwał, *Trostlosigkeitstheorie*; chcę mówić o istniejących we Lwowie zakładach dobroczynnych.—

Najstarszym z nich we Lwowie jest dom ś. Łazarza przez obywateli miejskich przed parą set laty założony. Według ostatniego przeglądu administracyi tegoż, mieści się w nim 60 ubogich. Zakład ten ma swego własnego kapelana, którego wysyła kapituła lwowska obrz. łac., jako sukcessorka majątku należącego niegdyś do kościoła ś. Ducha; wszakże największy ciężar ponosi tak zwany fundusz miejski ś. Łazarza.

Drugim zakładem tegoż rodzaju jest Instytut ubogich w r. 1814 założony i potwierdzony przez N. Cesarza Franciszka I. Na czele tego zakładu stoi zawsze Arcybiskup lwowski obrz. łac. jako prezes zakładu ubogich;

zarząd sam prowadzi komisya składająca się z prezesa wyżéj wspomnionego, z radzcy rządowego, z trzech kanoników z których jeden z każdego obrządku: łacińskiego, ormiańskiego i ruskiego, z superintendenta luterskiego wyznania, dyrektora policyi, radzcy magistatu i z czterech obywateli miasta. Sekretarzem i referentem komisyi téj, jest zwykle kanclerz konsystorza łacińskiego. Fundusz zakładu tego powstał z darów prywatnych, a szczególnie przez zapis ś. p. kanonika infułata Hofmana, który ten zakład uczynił dziedzicem całego majątku swego, przez co fundusz ubogich wzniósł się do 160,000 złr., którego renta roczna wraz z ubocznemi darami niestałemi do 12,000 rocznie wynosi. Zakład ten utrzymuje w domu własnym 240 ubogich. Prócz tego rozdaje on miesięcznie porcye po 2 złr. ubogim za obrębem zakładu żyjącym, a którzy jeszcze po części zarobkowi oddać się mogą. To wsparcie rozdawane, jako też utrzymanie samego zakładu wynosi rocznie 16,000 złr., a brakujące cztéry tysiące do powyższéj renty uzupełnia kassa miejska. Z darów dobroczynnych zakład kupił sobie przed dziesięciu laty na własność dom za 10,000 złr. Największy w tém udział ma hrabina Honorata Borzęcka, która nietylko dom ten własnym swym kosztem do użycia zrestaurowała i urządziła, lecz późniéj dla księdza i rachmistrza osobny dom na swój koszt postawić kazała, dokupiwszy niemały kawał gruntu przyległego na ogród. Niedawno taż sama pani przeznaczyła dług jeden wynoszący 6,000 złr. na wybudowanie nowego domu, aby oprócz 240 osób więcéj jeszcze pomieścić można. Dom ten już pod dach wzniesiony wkrótce ukończonym będzie.

Zakład ochrony małych dzieci. — Pierwsze usiłowania ku jego założeniu zawdzięczamy ówczesnemu prezesowi sądów szlacheckich, a dzisiejszemu Ministrowi Sprawiedliwości baronowi Krausowi, jako téż teraźniejszemu Namiestnikowi Wyższéj Austryi baronowi Eminger. Pod ich zarządem zakład ten wzrósł tak znacznie, iż go umieszczono w dwóch domach na przedmieściach różnych, i zebrano kapitału funduszowego do 13,000 złr.

Po oddaleniu się wspomnionych założycieli ze Lwowa, zakład przeszedł pod zarząd Magistratu lwowskiego, w któréj to epoce nastąpiły mniéj szczęśliwe dla niego

koleje, żył bowiem z kapitału. Następnie dołączona została do tego zakładu tak zwana *Crêche*, a na czele obojga stanęła JE. Namiestnikowa hr. Gołuchowska, dama pałacowa Najjaśniejszych Państwa. Odtąd zakład ten wznosi się widocznie i rokuje najpomyślniejszą dla siebie przyszłość, którą jedynie troskliwéj opiece i gorliwym chęciom swojéj Naczelniczki zawdzięczać będzie.

Zakład ślepych.— Ś. p. Skrzyński założył go w roku 1850, wybudował dom, dziś wartości 20,000 złr., i zostawił mu kapitał 10,000 złr. na uposażenie. Z woli fundatora lub jego sukcessorów stoi na czele tego zakładu Dyrektor, któremu Namiestnik kraju członków dodaje. Dziś ten zakład posiada fundusz do dwudziestu kilku tysięcy złr. wynoszący, z darów i zapisów wynikły, utrzymuje nauczyciela udzielającego stósowne nauki dzieciom, których zakład do 18 liczy. Do zakresu nauk udzielanych należy religia, muzyka i niektóre rzemiosła, jakoto: szewstwo, koszykarstwo, robienie mat i t. p. z czego corocznie publicznie odbywają się popisy. Wyroby tego zakładu sprzedają się, a dowodem, że i ślepi przy stósownėm kształceniu mogą być użyteczni, jest, że jeden z uczniów tego zakładu poszedł już na organistę i więcéj ich sposobi się do tego zawodu; ślepi bowiem okazują zwykle wiele talentu do muzyki. Czyn więc poczęty w miłości bliźniego rzuca światło w ciemnie nieprzystępne i zasiewa ziarno pożytku nawet pod brzemieniem niedoli.

Szpitalik dla małych dzieci chorych założony przed dziesięciu laty i dotąd pod naczelnym zarządem księżnéj Jadwigi Sapieżyny zostający. Zakład ten opatruje corocznie do paręset dzieci biednych rodzin, które w chorobie otrzymują pomoc lekarską i staranną opiekę. Niezmordowane usiłowania Księżnéj opiekunki postawiły zakład ten w pomyślnėm położeniu, tak iż z darów dobroczynnych, a szczególnie z daru hrabiny Honoraty Borzęckiéj 5000 złr. wynoszącego, kupiono dom na własność, a nadto z zebranych darów, składek, urządzonych na ten cel teatrów lub zabaw pokryto zaległy niedobór. P. Adamski obywatel tutejszy, jako członek czynny wielu z pomienionych zakładów dobroczynnych, gorliwie zajmuje się ich zarządem.

O innych zakładach dobroczynnych doniosę późniéj,

a chociaż to rzeczy wiadome w kraju, wszelako zacnym chęciom i cnocie jakże nie złożyć hołdów zawsze i wszędzie? Pozwólcie mi zakończyć je słowy Hołowińskiego:

Rajskiém to szczęściem pośród tego świata
Błogie uczucie: że się wsparło brata.

Poznań w kwietniu.

Nie bez wahania się list ten zaczynam, bo w obec strat bolesnych, klęsk wewnętrznych, zawodów zewnętrznych, słuszną jest obawa, by pismo moje nie było jakoby fałszywym tonem śród listów, które z innych, szczęśliwszych stron odbieracie—ale trudno rzeczywistość inną oddać, jaką jest w naszym biednym kraju.

W ciągu ubiegłego miesiąca, zakończył życie w Turwi, ś. p. Aleksander Koncewicz Dr. Medycyny, w pełni wieku, bo w 32gim roku życia swego; od 13 lat przybył w nasze strony z Warszawy, nauki uniwersyteckie w najświetniejszy sposób w Berlinie ukończył, ale jako nie tu urodzony, nie mógł wedle praw pruskich praktykować — dla jego gorącéj, za pracą i poświęceniem tęskniącéj duszy, był to dotkliwy zawód, który niezawodnie bardzo się przyczynił do nadwątlenia sił jego. Tylko nadzwyczajne klęski, zdobywały dla niego możność poświęcenia się dla ludzkości, raz więc przed kilku laty, w czasie srogiéj cholery, wezwany został do pracy; obecnie, powtórnie panujący tyfus otworzył mu pole zasługi ale zarazem i ofiary, bo pielęgnując innych, poświęcenie swe życiem przypłacił. Krótki był pobyt jego na téj ziemi, lecz w zamian tego Bóg użyczył mu stałéj siedziby grób otwierając; pośród nas zaś, zarówno uszanowanie i zaufanie starszych, jak miłość i przyjaźń rówienników wieku, w krótkim czasie zdobyć sobie umiał — dowodem tego był pogrzeb jego, gdzie oprócz mnóstwa wdzięcznego ludu, zebrało się znaczne grono duchowieństwa, najpoważniejszych obywateli, i szczerze miłującéj go młodzieży, która do grobu zwłoki jego zaniosła. X. Prusinowski serdecznie i wymownie przemówił do zasmuconych.—Obok medy-

cyny, któréj głównie się oddał, silna intelligencya, wszechstronna nauka zgasłego, i na inném odznaczyły się polu, różnemi pracami poważnéj treści po pismach peryodycznych zamieszczanemi.

Pamięć tego młodzieńca, który życiem, wyrazem twarzy, ujmującemi formami towarzyskiemi tak wydatnie przedstawiał harmonią umysłu i serca, jaką tylko gorąca wiara religijna dać może, nie wygaśnie nigdy z pamięci jego znajomych, przyjaciół, oby i przykład jego żywym pozostał na chwałę Boga a pożytek kraju. Rzewny nekrolog zmarłego, zamieszczony w Gazecie W. Kstwa Poznańskiego z 3go kwietnia, wiernie oddał żal ogólny jaki zgon ten wywołał — a zaledwie wieść żałobna o śmierci Dra Koncewicza obiegła Księstwo, a już ta sama choroba nowéj, bolesnéj z śród nas zażądała ofiary.

Pan Marcelli Żołtowski utracił córkę jedynaczkę, jeszcze niespełna 16 lat liczącą; jeżli śmierć tak młodéj osoby zawsze rozrzewnić musi, o ileż więcéj tą razą, gdzie cios ten srogi dotknął jednego z najzacniejszych i najwięcéj szanowanych obywateli kraju naszego. Współudział jest téż tak ogólnym, tak serdecznym, że mógłby stać się pociechą znękanym rodzicom, gdyby pociecha w podobnych razach zkąd inąd jak z nieba spłynąć mogła.

Smierć Kasztelana Koźmiana i Ordynata Zamojskiego, i u nas pokryły żałobą członków ich rodzin, przyjaciół lat ubiegłych, a śmierć pierwszego patryarchy wieszczów naszych, nie mogła być obojętną każdemu co zasługi na polu literatury ojczystéj szanować umie.

Przechodząc od strat bolesnych do klęsk wewnętrznych, trudnoby je wszystkie wyliczyć: w jedném słowie dadzą się streścić — że ruina majątkowa dotknęła bardzo znaczną część Księstwa, a w wielu powiatach jest głód wyraźny — a nawet tyfus głodowy gdzieniegdzie pojawiać się zaczyna, ale dzięki Bogu dotąd nie epidemiczny, w skutku zachodów i poświęcenia się duchowieństwa i właścicieli. Dwuletni nieurodzaj, strata kilkukroćstotysięcy owiec, znacznéj liczby bydła rogatego, zachwiała większą część majątków; doświadczeni gospodarze twierdzą, że w dwóch ostatnich latach Księstwo utraciło niezawodnie tyle, ile fundusz umorzenia Towarzystwa kredytowego wynosi, to jest około 10 milionów

talarów. W takim stanie konkurencya z obcym kapitałem, który z całéj Rzeszy tu płynie, bo tu ziemia jeszcze tańsza niż gdziekolwiek a ułatwienia wszelkie, staje się coraz trudniejszą, nowych nabywców co chwila liczba się wzmaga, co postać kraju zmienia. Wymarznięcie przynajmniéj $^3/_4$ części rzepaku, do upadku majątkowego jeszcze się przyczyni, bo w wielu okolicach z braku własnéj pszenicy do siewu i funduszu do jéj zakupienia, niestosunkowo wiele rzepaku zasiano. Bank w Poznaniu świeżo założony, nie zapobieży téj kryzys finansowéj, sądząc z zasad na jakich powstaje, z akcyonaryuszów i osób zarząd stanowiących — równie trudno się łudzić, by nowe Towarzystwo kredytowe złemu zaradzić mogło, najprzód z powodu, że dotąd tylko o niém mówią, ale do wprowadzenia go w życie zdaje się jeszcze daleko; powtóre, że ma być ono odrębném od istniejących, pod zarządem osób mianowanych w formie biurokratycznéj, zapewne więc trudności przejścia z obecnych do nowego będą tak wielkie, że pomocy i ratunku znacznego trudno się spodziewać, tém więcéj gdy niebezpieczeństwo tak groźném i blizkiém.

O zawodach publicznych niepotrzebnie mówić, i nie tu pole do tego. Co do literatury, jeżli nie dostaniemy cenzury, to zupełnie pewnie zamilkniemy, wydawcy bowiem nie ośmielą się do żadnéj publikacyi — myślemy że stan obecny pochodzi z zbytniéj ostrożności z jednéj a nieznajomości języka polskiego z drugiéj strony, dość wam powiedzieć, że obok wielu innych dzieł, wydanie Pism Kaspra Miaskowskiego, które np. w Warszawie wolno się sprzedaje, tu przez policyą opieczętowane zostało, o ile jeszcze egzemplarzy znaleziono w księgarniach. *Ziemianin*, pismo rolnicze, które Towarzystwo agronomiczne Gostyńskie znów wydawać postanowiło, dotąd nie może znaleźć drukarza, bo ostatecznie każdy drukarz obawia się odebrania sobie konsensu.

Towarzystwa agronomiczne szerzą się po kraju, ale oprócz Gostyńskiego i Wrzesińskiego, po większéj części niewiedzieć co reprezentują i co znaczyć mają — by wam dać przykład wydatny, dość powiedzieć, że w powiecie Kościańskim założono podobno towarzystwo, bez wezwania do przewodnictwa a nawet udziału jen. Chłapowskiego, którego zasługi pod względem podniesienia

rolnictwa, trochę daléj jak w granicach Księstwa są znanemi i ocenianemi.

Kończę wiadomością nieco pociechy niosącą przy tych różnorodnych boleściach i krzyżach, jakiemi Bogu się podoba kraj nasz nawiedzać — oto Missye znów się już rozpoczęły z wiosną, pierwsza w Biechowie pod Wrześnią; JWX. Biskup Stefanowicz pospieszył dzielić prace missyonarzy.

Berlin w kwietniu.

Doznawszy z powodu kilku nadzwyczajnych wypadków, zaszłych w pierwszéj połowie ubiegłego miesiąca, niepospolitego fizycznego i umysłowego wstrząśnienia, Berlin powrócił pod uroczym wpływem świąt wielkanocnych i pięknych dni wiosennych, do swéj normalnéj spokojności. Powracam zatem i ja do przerwanego ostatnim listem szkicu towarzyskich stosunków jego, a naginając myśl i wyobraźnię do przyjętéj przez Redakcyą dla téj części pisma zasady *utile dulci*, chwytam na pióro z toczącego się przedemną fizycznego i duchowego żywota stolicy pruskiéj najwięcéj takie szczegóły, które wskazanemu celowi przed innemi odpowiedzieć są zdolne. W jakim to czynię porządku, w jakiém następstwie odrabiam szczegół jeden po drugim, to dla całości i jedności obrazu zdaje się być tak samo obojętném, jak gdy malarz przeniesione z kartonu na płótno lub ścianę główne zarysy kompozycyi od jednego lub drugiego przedmiotu wykończać zacznie. Wszakże prawdopodobnie zacznie najczęściéj od tego, który stanowi środkowy punkt obrazu, a jeźli to jest portret, zacznie zapewne od najcharakterystyczniejszego rysu fizyonomii: od oczu, czoła, ust, nosa lub innéj części.

Używając téj saméj wolności, bo mam także obraz do odmalowania, i mogąc pod każdym względem i z najsłuszniejszych przyczyn uważać Berlin za istotę żyjącą, organiczną, za indywiduum mające ciało i duszę, głowę, gębę, nogi, ręce, piersi, płuca, żołądek i inne wyrażalne i niewyrażalne członki — znam przecież pewnego hrabiego w Księstwie, który z wielką fantazyą i nie-

małym dowcipem, a większém jeszcze siebie samego zadowoleniem, tak samo sobie cały glob, całego planetę naszego przedstawia, i wskazuje w nim członki, któremi jé, pije, trawi i wszystko to co każdy zwierz robi,— mogąc więc, mówię, z większém prawem, wystawić sobie Berlin jako indywiduum organiczne z takichże członków złożone, nie widzę wcale powodu, dla któregobym, malując obraz jego, nie miał zacząć np. od uszu.

Od uszu?— tak, od uszu, szanowny Redaktorze. Dziwi cię taki początek? Ciebie, który patrzysz, wąchasz, smakujesz, żujesz, oddychasz, czujesz, myślisz, słowem, żyjesz uchem, chociaż nie powiem, że jak wielu tobie podobnych, żyjesz z ucha? Ciebie, który siedzisz w pracy po uszy, a gdy ci ją przychodzący gość przerywa, ściska sz go witając i żegnając uszyma; ktory zawsze pełne masz świata całego uszy, a mając, gdziekolwiek się ruszysz, pióro za uchem kładziesz niem nieustannie drugim w uszy, czy chcą czy niechcą, czy im miło czy niemiło, niesłychane rzeczy; nacierasz także raz po raz uszu to temu to owemu, a cieszysz się zawsze, gdy sam w takim razie z zdrowemi uszyma do domu powracasz? Ciebie, który nieprzestając na własnych uszach, oglądasz się w kraju i zagranicą za cudzemi, i każdego korespondenta, którego wziąłeś na ucho, chciałbyś na obraz i podobieństwo swoje, na ucho przekształcić, z posługującemi mu wszystkiemi innemi organami?— Nawiasem mówiąc, dziękuję za honor co do méj osoby, jeżeli to ma być taki i ten, którego godłem latarnia. Zawsze to prześliczna postać— człowiek przemieniony na ucho: starożytność jéj nie znała, Owidiusz zna tylko stookiego Argusa, pilnującego z rozkazu zazdrosnéj Junony panny Jo, w krowę przemienionéj kochanki donżuanującego Jowisza, a którego Leporello-Merkury, aby panu swemu dogodzić, ukamienował, a wedle innych muzyką (miał więc i uszy) uśpił, potem mu głowę odciął.— Tobie więc, nowożytny stouchy Redaktorze, najmniéj przystoi dziwić się, że obraz olbrzyma berlińskiego, który mam przed sobą, od uszu chcę zacząć malować.

Uśmiechasz się? Myślisz może o oślich lub zajęczych uszach, które chcę przyprawić olbrzymowi? Bardzo się mylisz. Biorę rzecz na seryo. Nie mam wcale zamiaru pozbawiać biednych osiołków i zajączków ich przyro-

dzonéj, niewinnéj, naiwnéj i tak niesłusznie przez wszystkich pogardzanéj ozdoby i cnoty. Mówię o ludzkich uszach, które małości swojéj bynajmniéj wstydzić się nie potrzebują, albowiem nieprzebraną ilością i rozmaitością cnót swych przewyższają one owe kolosalne prototypy organu słuchu nie tylko w ogóle, lecz i w tych funkcyach, które tamtych są jedyną właściwością. Przysłuchaj się tylko, mój wszystko słyszeć chcący Redaktorze, obradom pewnych zgromadzeń politycznych, które się nazywają ciałami prawodawczemi, parlamentami, sejmami, izbami, landtagami, i t. d., zaczynając np. od Paryża: przekonasz się, jakie to tam pojętne, jak wykształcone, jak delikatne, jak powolne ku słuchaniu mają uszy! Żadnego zająca, żadnego osła uszy nie mogą z niemi wytrzymać porównania. Tam żadne słowo wyrzucone z góry nie idzie mimo, żadne nie pada na ścianę, żadne nie przebrzmiewa głuchém echem. Po kiwających się głowach jak na figurkach chińskich, poznasz, jaki to tam posłuch. To tylko cywilizacya podnieść go może do takiego stopnia. Albo przysłuchaj się np. rozmowom pewnych salonów. Z jaką to tam ciekawością chwyta ucho najdrobniejsze szczegóły rozpraw o balach, obiadach, prezentacyach, wyścigach konnych, modach, strojach, grze na giełdzie i w karty, zalotach, przygodach, tryumfach lub klęskach miłosnych, niekiedy dla odmiany i o literaturze, o *Filles de marbre*, *Demi Monde*, *Dame aux camelias*, niekiedy i o sztuce „jak Rubens w marmurze jeszcze lepiéj rznął twarze, a w architekturze nie było celniejszego mistrza nad Wandyka.“ Albo, jeżeli nie chcesz nurzać się po uszy w niewypowiedzianie miłych i powabnych szumowinach cywilizacyi zachodniéj, która się wezbranemi potoki na Europę rozlewa, i tak ją czyni do siebie podobną, że niezadługo nie poznasz, czyś Francuzem, Anglikiem, Niemcem, Turkiem lub Żydem, a nawet czyś jeszcze człowiekiem; to odwróć ucho w przeciwną stronę, może wiatr ztamtąd idący coś innego ci przyniesie. Czy cię nie dolatuje jakiś przenikliwy, przerywany głos, rozlegający się w trzech częściach świata? Głos będący wyrazem siły i ducha najrozleglejszego w świecie mocarstwa? Głos tak podobny do tego, co brzmi na Zachodzie, a spełniający przepowiednię nowożytnego Cezara,

co się stanie z Europą za lat pięćdziesiąt? Głos ten powinieneś znać, i znasz go bardzo dobrze, słyszałeś go stokroć w życiu. Delikatny, dźwięczny, harmonijny, uprzejmy, jak głos ukształcenia, u góry, wzmacnia się, nabrzmiewa, twardnieje, surowieje coraz więcéj ku dołowi, a u samego spodu grzmi, huczy, tętni, wyje jak orkan, straszliwém, pokorném, przez miliony ust powtarzaném słowém: słuszaju! słuszaju! słuszaju! To także głos porządku społeczeńskiego, głos cywilizacyi, głos ery cezarów! Każdy inny jest głosem wołającego na puszczy. Temu nie dawaj ucha, albo przestań być redaktorem, zabierz manatki, wstąp po mnie, pojedziemy do Mormonów, gdzie zostaniemy świętymi.

Widzisz więc mój miły Redaktorze — z uchem i piórem w herbie, bo to dziś znaki lojalności i talentu — że, czy to będę uważał Berlin za jestestwo organiczne, mające ciało, duszę, pięć zmysłów, szósty wykręt i kilka innych organów funkcyonujących lub niefunkcyonujących; czy będę wychodził z natury i powinności korespondenta zamienionego przez ciebie na ucho; czyli wreszcie będę poglądał na dzisiejszy stan społeczeństwa europejskiego odbierającego cywilizacyą przez zmysł słuchu; w każdym razie powinienem być dostatecznie przed tobą usprawiedliwiony, że obraz mój od ucha zaczynam.

Ależ, mój drogi, poco się tyle usprawiedliwiasz? Zacznij sobie od czego chcesz, ale zacznij. Z przeproszeniem mojego łaskawcy, to jemu łatwiéj powiedzieć, niż mnie wykonać. Nie naraz sztuka. Kraków nie naraz był zbudowany. Panu Dobrodziejowi chodzi o list na miesiąc kwiecień, kalkulujesz jak redaktor, jak dziennikarz, który żyje nowinami z dnia na dzień. Mnie zaś chodzi nie o jeden, lecz o kilkaset, najmniéj o kilkadziesiąt listów, bo sądzę po coraz silniejszym zapuszczaniu korzeni w ziemię, żeś się, szanowny Redaktorze, z „Dodatkiem“ twoim, na długi żywot przygotował, a mniemam, że i Berlin tak prędko z ziemi nie zniknie, i przynajmniéj połowę tak długiego czasu istnieć będzie, jak „Dodatek do Czasu“, co uważam za bardzo do prawdy podobne. Więc, mój łaskawco, kilkadziesiąt, kilkaset listów, to całe dzieło, to praca, któréj nie można tak lekkomyślnie rozpoczynać, tém mniéj, że to ma być

kronika Aten nad Sprewą, miasta tak mądrego, że od zbytniego natężenia się w pracowni myśli, jednym włosy na głowie całkiem wychodzą— nigdzie niemasz tylu łysych co w Berlinie,— drugim na jawie i we śnie dębem stoją — to też nigdzie niemasz tylu perukarzy i fryzyerów, jak tutaj. Coby więc sobie czytelnik pomyślał o piszącym z takiego miasta i o mieście takiém, gdyby mu rzeczy bez planu i bez systemu przedstawiał? Powiedziałby, że mieszka w Berlinie, lecz zamiast Hegla, sieczkę ma w czuprynie. Ja więc, szanowny mój Redaktorze, nie myślę bynajmniéj mózgu mego na sieczkarnię obracać i krajać dla ciebie co miesiąc z bieżących wypadków nie mające z sobą żadnéj spójni korespondencye. Z sieczki nie złożysz napowrót snopa, z pisanych bez ładu korespondencyj nie skleisz całości, nie utworzysz jednego całkowitego obrazu, obrazu organicznego jestestwa, do którego Berlin wyżéj porównałem.

Zacząć więc, szanowny Redaktorze, jak tego żądasz, to rzecz łatwa; zacząć tak sobie, ni w pięć ni w dziewięć, od tego co samo do głowy przychodzi i jak przychodzi; i tymże sposobem i takąż przypadkowo z chwilowych okoliczności schwyconą treścią zapełniać korespondencyą jednę po drugiéj. Może ten sposób pisania więcéj się publiczności podoba. Ale czyż to we wszystkiem należy publiczności dogadzać? Ot co jest, jak mówi prowincyał bernardynów nieświeżskich w „Obrazach litewskich.“ To nie moja rzecz, bo przyznam ci się, szanowny Redaktorze, że mię nudzi to ciągłe żebranie jałmużny u bieżących wypadków. Zysk to bardzo skąpy, powszedniego chleba zań nie kupisz. Nie mam wreszcie czasu do zbierania codziennych brukowych lub salonowych wiadomostek lub plotek, a mniéj jeszcze do ich notowania. Pamięć zaś czém innem zajęta, jedném uchem je wpuszcza, drugiem wypuszcza. Trzeba więc ją przykuć do ważniejszych przedmiotów, przy których wtedy i przelotne rzeczy tém łatwiéj się spamiętają. Kronika na tém nie straci, bo nie będzie w niéj nieuniknionego w przeciwnym razie powtarzania, które nudzi nawet w Homerze. Wypada więc, powtarzam, zrobić przedewszystkiém jakikolwiek plan czyli rozkład obrazu, oznaczyć grupy, odszukiwać ich chara-

kter, ustawić je w stósownéj perspektywie, powiązać jedne z drugiemi właściwym wyrazem i ruchem, a wszystkim dać kierunek ku głównéj myśli obrazu. Na obraz sam będzie można, dla większego efektu, koniecznego warunku dzisiejszéj mody, rozlać potrójne światło — słońca, księżyca, lampy, rzucić kilka gatunków cieni, w razie potrzeby połyski błyskawicy, rozdzierające ciemności nocne. Wreszcie, ponieważ obraz zbyt wielkie ma rozmiary, stósowna będzie zrobić go ruchomym, posuwającym się, na wzór cykloram amerykańskich, od nie wielu lat w modzie będących. Tym sposobem i całość i szczegóły w swoim każdy ujrzą się świetle, i jedność obrazu będzie organicznie we wszystkich swych częściach zachowana.

Bardzo pięknie, ale to tylko opis planu, a plan sam jaki? Niezmiernie się niecierpliwisz, szanowny Redaktorze, tak że gotówbym już był pisać i bez planu. Oto go masz.

Za podstawę rozkładu materyi przyjmuję pięć zmysłów i szósty wykręt. Berlin będzie najprzód uchem, to jest, będzie przedstawiał się najprzód przez zmysł słuchu; dla tego właśnie najprzód przez ten, a nie przez inny, bo oprócz wyżéj wspomnianych przyczyn, zmysł ten jest od niejakiego czasu dominującym w Atenach nad Sprewą. Będzie potem okiem, czyli powtarzając jak wyżéj, będzie się przedstawiał przez zmysł wzroku. Będzie następnie nosem, to jest, zmysłem powonienia. Będzie daléj językiem, to jest, zmysłem smaku. Będzie wreszcie ciałem organiczném, to jest, zmysłem dotykania czyli czucia. Będzie w rezultacie, czyli w teoretycznem i praktyczném wszystkich tych zmysłów zastósowaniu, uduchownioną istotą wykrętu, to jest, tych nieskończonych sposobów i sposobków życia umysłowego i fizycznego, przez które człowiek opanował naturę i stworzył sobie świat udzielny ducha, wyższy, wznioślejszy, cudowniejszy od natury, a w używaniu go, stworzył na nim takie sprosności i nikczemności, że natura wzdryga się na samo ich wspomnienie. Otóż i cały plan. Samą fizyologią zmysłów mało się myślę zajmować, najwięcéj tyle tylko, ile do lepszego i weselszego przedstawienia tego lub owego szczegółu, zastanowienie się podobne będzie potrzebném. Psychologiczna i antropologiczna ich strona główną od-

grywać będzie rolę. Z niéj brać będę rysy i farby do charakteryzowania pojedynczych szczegółów i grup obrazu. Nadmienić mi tylko jeszcze wypada, w własnym interesie, że tych pojedynczych części nie mam zamiaru od razu w całości wykończać. Świat natury lub ducha należący do jednego zmysłu jest zbyt obszerny, aby go na małéj przestrzeni jednego lub kilku listów można pomieścić. Przedewszystkiem więc o ogólny charakterystyczny zarys takiego świata na widnokręgu berlińskim chodzić będzie, w szczególności o najwydatniejszą jego stronę, o bezpośredni produkt funkcyi tego zmysłu, o którym właśnie będzie mowa. Takim produktem np. może być malarstwo przy zmyśle wzroku. Jeżeli więc w późniejszych listach o tym samym przedmiocie mówić wypadnie, to będzie to tylko szczegół, dopełniający poprzedniego głównego oddziału. Wzgląd na bieżącą kronikę miesięczną inaczéj postąpić nie dozwala. W przekonaniu więc, szanowny Redaktorze, że się na takowy plan pracy mojéj zgodzisz, przystępuję wprost do rzeczy, ale jak widzisz, nie w tym, lecz w następnym liście. Przedstawię w nim najdoskonalszą stronę ucha berlińskiego — muzykę. Spodziewam się, że mnie w nim z większą niż w niniejszym uwagą słuchać będziesz, muzykalny stouchy Redaktorze!

Drezno w kwietniu.

Nikomu nie radzę przyjeżdzać do Drezna w miesiącu kwietniu. Dzień ni długi ni krótki, temperatura ni zimna ni ciepła, ruch miejski ni ożywiony ni martwy, wszystko nosi na sobie charakter nijaki, tymczasowy, jakby w oczekiwaniu świetniejszéj kampanii. Hotele, dziękując za łaski zimowym i mniéj pożądanym gościom, gotują mieszkanie dla letnich turystów, na których polega główne ich żniwo. Familie polskie, które tu bawiły przez zimę dla edukacyi, zwijają swoje manatki, wymawiają komorne gospodarzom, zapowiadają koniec godzin profesorom, sposobią się do wyjazdu z panienkami opatrzonemi w patenta dojrzałości. Te z pomiędzy nich, które tu zatrzymał interes zdrowia, odbywają kon-

sultacye z lekarzami, układają plany przyszłéj kuracyi, kreślą marszruty do wód mineralnych jakie im sztuka zaleca. Teatr nawet, co przynosi Droznu tyle zaszczytu, jest w téj chwili ni dobry ni zły, rozpożyczył celniejszych swych artystów innym stolicom niemieckim. Pan Dawison i pani Bürde-Ney (od niejakiego czasu Jenny Ney) zbierają laury w Berlinie, Pani Beyer-Brük w Wiedniu. Podobnym panom i paniom, trudno zganić gorączkę błąkania się po świecie: ich podróże są to w istocie przejażdżki pod róże, a raczéj po róże. Entuzyazm Berlińczyków ogłosił pana Dawisona pierwszym aktorem Niemiec i pożegna go jak mówią, gratyfikacyą pięciu tysięcy talarów za 12 reprezentacyj. Panna czy pani Ney (bo nie wiem już jak te panie tytułować) pojedzie do Londynu, i za trzy miesiące ma z sobą przywieść 20,000 talarów. — Jeden tylko pan Devrient żegna się z przyszłością i literalnie zstępuje ze sceny. Na Wielkanoc skończyło mu się 25 lat służby na tutejszéj scenie, dające mu prawo do emerytury. Obchodził to srebrne wesele w tym miesiącu, występując po raz ostatni w roli Margrabiego Pozy w Don Carlosie. Jest to taż sama rola, w któréj przed 25ciu laty zaczynał tu swój zawód, którą najwięcéj w życiu swojem lubił, sam ją niejako utworzywszy i wydoskonaliwszy. Abdykacye artystów równą im czasem przynoszą pociechę co i koronacye. Doświadczył tego pan Devrient przy pożegnaniu. Że grał po mistrzowsku, tego się każdy spodziewał, ale nikt sobie nie wyobrazi zapału spółczucia, jakiém go wynagrodziła publiczność. Przez cały ciąg reprezentacyi scena wyglądała jak ogród, tyle mu rzucano bukietów i wieńców. Wywoływany po tysiąc razy, podziękował jéj naostatek, w wyrazach tak rzewnych i czułych, że gdyby był nie zakończył swéj mowy wyrazem: *do zobaczenia*! wszyscyby się rozeszli ze łzami w oczach. Pan Devrient będzie jeszcze występował na scenie drezdeńskiéj, ale już nie z obowiązku. Spotkały go i inne hołdy. W dzień reprezentacyi przed południem, deputacya od kolegów przyniosła mu do domu wiersz pożegnalny, który zaraz odśpiewało kilku śpiewaków. Naczelnik deputacyi wystąpił z mową i złożył mu w darze srebrną tarczę z dębowym wieńcem, na którego liściach wyryte były nazwiska wszystkich arty-

stów sceny. Wieczorem, gdy wchodził do teatru, zastał garderobę ubraną w kwiaty a na jednéj z jej ścian, dwa afisze Don Carlosa, jeden z r. 1831 drugi z roku 1856 wydrukowane obok siebie na welinowym papierze i oprawione za szkło. Po skończonéj reprezentacyi, niższe personale teatralne odprowadzało go z pochodniami do domu. Nazajutrz król przysłał mu na pamiątkę brylantowy pierścień z cyfrą, a siostra królewska księżna Amalia (także autorka dramatyczna) kosztowną broszę. Któryż artysta sceniczny nie pozazdrościłby podobnego jubileuszu?

Teatr tutejszy mógł śmiało rozpuścić część swoich artystów na urlopy, bo w przeciągu trzech upłynionych miesięcy, obdarzył publiczność trzema nowościami: jedną wielką operą, jedną wielką komedyą i jedną wielką dramą. Operę *Santa Chiara* wystawiono tu z równą niemal pompą jak w Paryżu; tłómaczą to stosunki dostojnego kompozytora z dworem tutejszym, ile że sam zjechał, żeby się przypatrzéć effektowi swéj pracy, w własnéj ojczyznie. Znawcy utrzymują, że ta opera zamyka w sobie prawdziwe piękności. Moim szlacheckim rozumem zaprzeczyć nie śmiem, a potwierdzić nie mam ochoty! Jestem sobie po prostu melodysta nie harmonista, nie lubię muzyk, które mi nie pozostają w uszach, i dziękuję za sztuki, na które każą mi chodzić trzy lub cztery razy, żeby je zrozumieć. Raz drzymać, zgoda, ale trzy razy, upadam do nóg, i gdyby mnie pan Liszt gwałtem ciągnął na Tannhäuserów, powiedziałbym mu: „odczep się ode mnie mój królu, i daj mi święty pokój“ O panu Liszcie kursuje w tych dniach osobliwsza anegdotka. Wiecie że i muzyka ma swoją *młodą Italią*; jej stolicą jest Weimar, arcykapłanem Liszt, a prorokiem Wagner, autor Tannhäuserów. *) Otóż przed kilku tygodniami przyjechali do Liszta do Weimaru dwaj jego przyjaciele Berlioz i Littolf. Liszt zaprosił ich na obiad, a przed obiadem na próbę nowéj opery Wagnera pod tytułem: *Lohengrün*, która ma być arcydziełem, odsłaniającem styl muzyki przyszłych

*) Pan Wagner skompromitowany w wypadkach 1848 opuścił swoją ojczyznę i bawi dziś w Anglii, jest on bratem znakomitéj śpiewaczki w operze berlińskiéj.

wieków. Berlioz i Littolf stawili się na próbie, ale po pierwszym akcie taki ich sen zmorzył, że chcąc niechcąc wrócili do hotelu, żeby się jakim kordyałem ocucić. Po skończonéj próbie Liszt przybiega do nich, wyrzuca im ich obojętność, wzywa na dyskussyę o zaletach nowéj opery i nareszcie uniesiony gniewem, ciska im w oczy następujące *dictum acerbum*: „Wagner wart więcéj niż wy obadwa“ To wyrzekłszy wyszedł, trzasnął drzwiami i skwitował ich z obiadu; czy i z przyjaźni? nie wiadomo. Z fanatyzmem trzeba bardzo ostrożnie, jak z jajkiem. Są tu muzycy z długiemi włosami których taka porywa wściekłość gdy ktoś palcem zakrzywi na Wagnera, że fraszka oburzenie niektórych krakowianek, gdy ktoś poszydzi z tańcujących stolików.

Wracam do tutejszego teatru. Nowéj komedyi, pod tytułem: *Ella Rose* dostarczył pan Gutzkow, dzisiejszy Scribe niemiecki, który już napisał dziewięć tomów rozmaitych sztuk dramatycznych Miał on. tu do odreparowania wielkie fiasco, którego doznała przedostatnia jego sztuka: *Lentz und Söhne*. Był to niby płastyczny obraz obyczajów dzisiejszego wieku, ale przepełniony tak głębokim dowcipem, że gdybyś nawet nadstawiał ucha z uwagą jakiéj wymagają Szekspirowskie dyalogi, nie zrozumiałbyś i połowy. Pan Gutzkow rozgniewany zimném przyjęciem jego pracy (bo gniewać się umie) wycofał ją z repertoaru zaraz po pierwszéj reprezentacyi, wyrzekając się pracowania dla widzów, nieumiejących cenić prawdziwéj rzeczy wartości. Z czasem jednak, wzięła w nim górę zimniejsza rozwaga: postanowił podwoić gorliwość w odzyskaniu ich łaski i zdobyć bądź co bądź Sebastopol. Na ten koniec przygotował *Ellę Rosę*. Kto przysięga że zwycięży, powinien posunąć uzbrojenie do najwyższéj potęgi. Tak téż uczynił pan Gutzkow; wyciągnał na scenę wszystkie siły teatralne, rozdając nieme nawet role artystom pierwszego rzędu; pozyskał sobie przychylne pióro krytyki i dokazał swego. Publiczność przyjęła sztukę rzęsistemi oklaski i zaszczyciła autora wywołaniem. Mojem jednak zdaniem, nowy ten utwór, po raz pierwszy słucha się z interesem, ale pójść na niego drugi raz, nie bierze ochota. Główne tło sztuki zdaje mi się nienaturalne, bo proszę tylko posłuchać: Najpoczciwsza żona, opuszczona

przez zimnego męża, zrujnowanego przemysłowemi spekulacyami, z potrzeby poświęca się muzom, odkrywa w sobie talent nieporównany, wzbudza podziw całego świata, uszczęśliwiona nowym swym zawodem oddaje serce szlachetnemu poecie, który w niéj pierwszą iskrę jeniuszu rozbudził. Wtém po pięciu latach, mąż wraca bogaty, nasza heroina porzuca szczęście, porzuca sławę i wraca w jego objęcia. Jest to, przyznam się, bardzo moralnie, ale cokolwiek nie praktycznie i publiczność odchodzi z żalem, że heroina nie była więcéj występną, że nie została wierną człowiekowi daleko godniejszemu jéj serca. Oględny autor strzedz się powinien podobnych sytuacyj, a przynajmniéj usprawiedliwiać je czemś więcéj, niż suchym obowiązkiem. Gazety zapowiedziały sztuce długą przyszłość, tymczasem ta przyszłość jakoś się zatrzymała w téj chwili. Na pierwszą reprezentacyą zabijano się o bilety, na drugą i trzecią dostał ich każdy co chciał, a na czwartéj kto się obejrzał na salę, śpiewał już z Wirgiliuszem:

„*Apparent rari nantes in gurgite vasto*"

Słowem, po czwartéj reprezentacyi, dyrekcya teatralna postanowiła trochę sobie wypocząć i odłożyć dalsze *ad feliciora tempora.*

O trzeciéj nowości, to jest o dramacie pana Hamer pod tytułem *Die Brüder*, nie wiele wam powiem. Na pierwszą reprezentacyą trudno się było docisnąć; a drugiéj dotąd nie dano z powodu nagłéj słabości głównéj aktorki. Krytyka teatralna unosi się nad zaletami tego utworu, ale krytyki, pisywane zwłaszcza przez jedną osobę, nie zawsze są ewangelią. Pani Birch-Pfeiffer naprzykład, która układa czasem wcale ładne sztuczki, nie może się tu doczekać ani słówka pochwały; a kiedy są osoby o których zawsze źle, mogą być i takie, o których zawsze dobrze. Nie uwierzę więc aż zobaczę.

Ukończona wojna sprawiła tu równą radość jak w innych krajach Europy. Spiewano Tedeum z powodu podpisanego pokoju, śpiewano Tedeum z powodu narodzin następcy francuzkiego tronu, ale uboższa część mieszkańców spiewa jeszcze Tadeusza, bo drożyzna pierwszych

artykułów życia, dotąd nie ustaje. Zgadnijcie też komu się tu najwięcéj uczuć dały skutki prowadzenia wojny, acz w niéj Saksonia nie brała udziału? pannom na wydaniu. Na nic im się nieprzydała neutralność. Urzędownie ogłoszony rapport statystyczny pokazuje, że w r. 1855 było o 8% mniéj małżeństw, niż w roku poprzednim. Coby to było, gdyby wojna potrwała dłużéj? Z ubytkiem małżeństw wykrył się w téjże saméj proporcyi i ubytek w narodzonych dzieciach. Chwilowa strata w młodéj populacyi nie byłaby jeszcze dla Saxonii tak wielką klęską; snuje się tu po ulicach i promenadach tyle drobiazgu, że musisz bardzo ostrożnie chodzić żeby które nie potrącić lub nie przydeptać; ale przy téj okoliczności zgorszył nas inny rezultat. W liczbie urodzonych w roku 1855 dzieci, pokazała się czwarta część naturalnych a raczéj nienaturalnych, jak gdyby każda czwarta matka, poślubiła z rozpaczy maksymy niewiast sekty Mormonów. Byłoby może gorzéj gdyby wojna nie miała i dobréj strony, gdyby nie podniosła cokolwiek ducha religijnego. Kiedy trwoga to do Boga, mówi przysłowie. W roku 1855 na stu tysiącach mieszkańców Drezna, liczono blisko 50,000 komunikantów (obrządku protestanckiego); nie jest to jeszcze tyle jak przed 200 laty, kiedy na pięciudziesięciu tysiącach mieszkańców przystępowało 90,000 do pańskiego stołu, ale zawsze więcéj niż w poprzednich latach pokoju. Nie liczę w tem ludności katolickiéj; ta co raz się powiększa i pełni obowiązki chrześciańskie co raz przykładniéj; w r. 1855 na pięciu tysiącach dusz, komunikowało przeszło 7000.

W innych ułomnościach ludzkich, wojna niezrządziła tu wielkiéj zmiany. Liczba występków taż sama, przeistoczyły tylko swoją naturę. Mniéj oszustw, mniéj morderstw i t. p. ale więcéj kradzieży; naturalna konsekwencya biedy.

Apropos kradzieży, muszę wspomnieć o jednéj, która tu niedawno poruszyła całe miasto. Pewnego poranku sąd kryminalny ogłosił 500 talarów nagrody, za wykrycie sprawcy kradzieży dwudziestu kilku tysięcy talarów w akcyach, obligacyach i innych papierach publicznych. Każdy wybiegł na ulicę żeby powziąć języka, komu i jakim sposobem wyrządzono tak niemiłą surpryzę. Go-

spodarz mego hotelu rozesłał na zwiady wszystkich swoich kelnerów. Pokazało się, że kradzież popełnioną została u pewnéj majętnéj wdowy, że pieniądze schowane w blaszane pudełko, leżały w zamkniętym kantorku, że złodziej wyniósł je niewiadomo którego dnia, niezostawiwszy żadnego śladu gwałtu i nietknąwszy się innych kosztowności. Podobne fakta niezaintrygowałyby tak dalece publiczności, gdyby im nie towarzyszyły inne okoliczności, noszące na sobie jakąś barwę tajemniczą. Poszkodowana taiła kradzież przez cały miesiąc, wiedziała o sprawcy; niechcąc go kompromitować próbowała wszelkich środków do skłonienia go aby się upamiętał i szkodę zwrócił, i dopiero gdy nic nie pomogło, zdecydowała się na esklandr. Osobą na którą pada jéj podejrzenie, ma być ktoś taki co z nią niegdyś zostawał w blizkich bardzo stosunkach, używa dotąd dobréj sławy i piastuje zaszczytny urząd w obywatelstwie. Pociągnięty przez sąd do tłumaczenia, jak najmocniéj czynu zaprzeczył, oskarżenie poczytał za potwarz, a uczyniona u niego rewizya nieodkryła najmniejszego śladu występku. Na tém rzecz stoi. Każdy ciekaw jaki będzie skutek dalszego śledztwa, i kto wié czy się z tego zdarzenia nie utworzy jaki dramat pod tytułem: kradzież nie kradzież.

Jeszcze jedna nowinka, ale już ostatnia. Na samą wiadomość o zawrzeć się mającym pokoju, zjechał tu gość, który objeżdża całą Europę. Wiecie co to jest *Credit mobilier*. Jest to instytucya, która garnie do siebie, jakby siłą magnetyczną, wszystkie kapitały i wielkie i małe, a któréj twórcę pana Izaaka Perreire świat finansowy postawi kiedyś obok Kolumbów, Franklinów, Jennerów i Wattów. Wynaleziona we Francyi (czegóż Francuzi nie wymyślą!) przeszła już po za Pireneje, po za Ren i zapewne przejdzie niebawem do Rossyi i do Turcyi, bo jakoś i owe ludy *nieskażonych obyczajów i czystéj wiary*, co to zdaniem niektórych smętoszów, mają kiedyś zdeptać cywilizacyą *zgniłego zachodu*, wyglądają jéj jak kania dżdżu. Otoż tedy ów *Credit mobilier* w przejeździe na Wschód, zatrzymał się w Lipsku i utworzył kompanią dla Saksonii. Dzień 26 i 27 marca wyznaczonym był na zbieranie subskrypcyi. Policya tutejsza, ostrzeżona przykładem Paryża, ogłosiła ośmiu dniami wprzódy program porządku jakby na jaką uroczystość

koronacyjną. Wskazała ulice wolne od cyrkulacyi pojazdów, naznaczyła punkta w których się ma zaczynać processya do świątyni Plutusa, przepisała kolej pochodu, objętość szeregów itp. Ostrożności te pokazały się zbyteczne, ścisk ludzi znoszących złoto (bo każdy podpisujący powinien był złożyć dziesiątą część kapitału) nie był tak wielki, ale zamiast półczwarta miliona talarów podpisano 450 milionów, to jest przeszło sto razy więcéj niż było potrzeba, tak iż gdy przystąpiono do proporcyonalnego podziału akcyj, mali kapitaliści odeszli z kwitkiem. Byłem świadkiem jak jeden z tych ostatnich użalał się przed bankierem na niesprawiedliwość, że też człowiekowi z małemi pieniędzmi nie można się docisnąć do żadnego zysku. — „Moi panowie — rzekł mu bankier — po co wam się mięszać do rzeczy która do was nie należy. Jeżeli chcecie akcyj, czemu nie przychodzicie do nas, my wam ich sprzedamy ile tylko żądacie, ma się rozumieć za opłatą prymki, podług kursu. Oto i dzisiaj, za 100 talarów daj 125 a jestem na twoje usługi.

— Ale jabym właśnie chciał bez prymki, podług nominalnéj wartości i z pierwszéj ręki.

— Żądanie niewłaściwe mój panie. Czy kupujesz Wpan z pierwszéj ręki pieprz, cukier, rozynki, bławaty? Nie kupujesz, idziesz do kupca który handluje temi towarami i płacisz cokolwiek drożéj. Otóż my bankierowie handlujemy akcyami, naszym towarem są papiery publiczne, zkądże ta pretensya żeby nie kupować od nas?

— Zkąd? ztąd że subskrypcya każdemu wolna i nam i panom, i jeździć po nią daleko nie trzeba.

— To zupełna illuzya mój panie. Wpan podpiszesz sto, a ja podpiszę milion; Wpan stawisz talara, a ja uderzę banco! co mówię banco? dwa razy, trzy razy, dziesięć razy banco! a więc jak przyjdzie do proporcyonalnego podziału, ja zawszę dostanę coś a Wpan dostaniesz tyle co nic i żal się Boże twoich zachodów. Czyż to nie lepiéj udać się do nas po towar, choćby go zapłacić cokolwiek drożéj? Ryzykujecie więcéj a nie chcecie ryzykować mniéj. Czyż to my wam utrudniamy spekulacye? owszem ułatwiamy. Wy spekulujecie na dobre, a my spekulujemy tylko na waszych spekulacyach, co jest wielka różnica.

Mowa bankiera trąciła cokolwiek cynizmem, ale niestety! zamykała w sobie wiele prawdy. Trudna to walka z siłą złota. Rząd tutejszy wszystko robił, żeby akcye kredytu saskiego dostały się w ręce prywatnych mieszkańców; nic nie pomogło: massa akcyj dostała się po większéj części bankierom zagranicznym. Sam Rotszyld kazał podpisać na 30 milionów, choć ich tylko było półczwarta. Dziś jeden drugiego wyściga żeby ich się pozbywać z największym ile możności zyskiem; z początku kazali sobie płacić po 25 tal. przewyżki za akcyą, dziś już żądają daleko mniéj i spadek ceny trwać będzie dopóty, dopóki akcye nie przejdą w stałe ręce. Może kto z waszych czytelników uczuje kiedyś pokusę do jakiego nowego kredytu *mobilier*, niechże sobie pamięta trzy rzeczy: *pro primo*, jeżli nie ma milionów niech się nie ciśnie do podpisu, bo to mu się na nic nie przyda; *pro secundo*, jeżli ma ochotę kupić z prymą, niech się nie spieszy. Pierwsze ceny są zwykle podejrzane, nastrojone przez bankierów. Niech czeka póki nie minie gorączka; *pro tertio*, niech pamięta, że każdy *Credit mobilier*, byleby był prowadzony porządnie i uczciwie, choćby nie robił tak kolosalnych interesów jak francuzki lub austryacki, może zawsze rachować na zysk bankierski, to jest od 10—15 od sta, bo sam nie jest niczém inném jak stugłownym bankierem.

Ale ja tu prawię o finansach, a sam je nie tęgo prowadzę, mój komisarz nie przysyła mi pieniędzy. Skoro jednak przyśle, porzucam tutejsze miasto i wracam do mego Karlsbadu po coś ważniejszego niż finanse, to jest po zdrowie. Nie dziwcie się przeto, jeżli nastąpi przerwa w naszych korespondencyach.

Paryż w kwietniu.

Nie mało nasłuchaliśmy się za młodu o świetności napoleońskich czasów. Każdy z nas miał ojca, stryja, wuja, lub sędziwego przyjaciela co grał rolę w tych tytanicznych dramatach, których teatrem był świat cały. Wszystkie te *piony*, *laufry* i *skoczki* olbrzymiéj napoleońskiéj szachownicy, któremi Bonaparte zdobywał *wieże*

i matował *króle*, zgadzają się, że Paryż nigdy nie był świetniejszy jak w epoce ślubów Napoleona Igo z arcyksiężniczką Austryacką. Mówią, że nigdy za czasów największéj potęgi dawnéj monarchii nie widziano uczt wspanialszych we francuzkiéj stolicy, ani tyle głów ukoronowanych nad brzegami Sekwany — nigdy arystokracya nie była tak bogata i hojna jak wtedy, nigdy tyle złotych haftów i gwiazd nie błyszczało na mundurach, ani tyle dyamentów na sukniach damskich, na które patrząc wydawało się, iż wszystkie bogactwa kuli ziemskiéj spłynęły do salonów paryzkich.

Otóż, obecny stan Paryża przypomina opowiadania naszych weteranów — a chociaż młoda generacya wyleczona na pół z ojcowskich słabostek, patrzy na te tryumfy i dostatki bez entuzyazmu i spółczucia, przyznać atoli musi jako bezstronny sędzia, że Paryż jest dziś co się zowie przepyszny, a świetność jego bardzo podobna do blasku jaki rzucał pod koniec 1809 roku, kiedy cesarstwo Napoleona doszło do szczytu swéj potęgi — kiedy odgłos zwycięzkiéj pobudki z pod Wagram brzmiał jeszcze w sercach ościennych monarchów — kiedy stanął pokój pomiędzy Francyą i koalicyą, a królowie i książęta krążyli jako satelity w około Napoleona ciągnącego za sobą całą Europę.

Teraźniejszy Paryż podobny jest do tamtego, z tą różnicą, że bogactwo ulic odpowiada bogactwu salonów, a świetność drugiego cesarstwa nie pała jaskrawym ogniem przelotnego meteoru, nie wydaje się być spotęgowanym blaskiem słońca ciśnionego wieńcem chmur burzliwych, ale spokojnym promieniem gwiazdy błyszczącéj na pogodném niebie. Dzisiejszy Paryż kwitnący, artystyczny, bogaty, przebudowany z gruntu i ustrojony rzędami przepysznych nowych gmachów, tém słuszniéj zasługuje na nazwę Aten nowożytnych, że istniejąca władza nie tylko pracuje usilnie nad przysporzeniem Francyi bogactwa, ale i objawia je na zewnątrz w formie przypominającéj starożytne splendory.

Zeszłoroczna Wystawa była tylko hasłem do wystawy powszechnéj w Paryżu. Od czasu jak zamknięto podwoje świątyni Przemysłu, wszystkie sklepy zajaśniały nieznanym przedtém przepychem — nowych zaś namnożyło się tyle rozsianych na ogromnéj przestrzeni a na-

pełnionych samemi dziełami sztuki, że kto potrzebował tygodnia na obejrzenie gmachu elizejskiego, dziś przez pół roku nie obejrzy wszystkich nowych arcydzieł.

Jeżeli taki był stan handlu podczas wojny, jeżeli Paryżanie jedném zaledwie uchem słuchając co się dzieje na teatrze wojennym, wytężali całą uwagę i energią na wewnętrzne finansowe operacye, łatwo wyobrazić sobie, jaki będzie wzrost tego miasta po zawarciu upragnionego pokoju.

Że dzisiejsza Francya postradała zupełnie dawnego ducha wojennego, to zdaje się nie było tajemnicą dla nikogo, nikt jednak nie przypuszczał, że tak się spragnioną pokaże pokoju i witać go będzie z tak niesłychaną radością.

Widziałem Paryż w rozmaitych paroksyzmach uciechy: widziałem go w lutym 1848 roku jak się radował z ogłoszenia rzeczypospolitéj — późniéj, jak wyprawiał uczty prezydentowi — jak po *coup d'état* cieszył się z przywrócenia cesarstwa — jak fetował ślub Ludwika Napoleona — jak obchodził wygrane w ostatniéj wojnie bitwy, i po dwakroć wzięcie Sebastopola, raz na rok przed zdobyciem téj fortecy, drugi raz po jéj zdobyciu — jak witał królowę Wiktoryą i powracające z Krymu gwardye — jak 16 marca obchodził narodziny Napoleona IV — ale nie widziałem go nigdy takim, jakim był teraz po ogłoszeniu pokoju. Wszystkie te uczty które nam się pierwéj wydawały wspaniałemi, zbladły zupełnie obok trzechdniowéj fety, do któréj dały hasło sto jeden wystrzałów działowych, zwiastujących miastu 30go marca o drugiéj z południa zawarcie pokoju.

Jeszcze nie przebrzmiał upragniony sygnał, a już wszystko co żyło wyległo na ulice, i wszystkie domy w mgnieniu oka ustroiły się w różnobarwne chorągwie, pomiędzy któremi dwugłowy orzeł na pomarańczowém polu najgęściéj powiewał. Na włoskich bulwarach naprzeciwko *Maison Dorée*, ukazał się ogromny portret Cesarza Aleksandra II. wraz z kolosalnym herbem Rosyi i rosyjskim napisem „*Boże Cara chroń.*“ Podczas kiedy jedni witali go okrzykami najżywszéj sympatyi, drudzy wyrywali sobie *Monitora* oznajmiającego szczęśliwy wypadek, lub cisnęli się do rozlepionych po rogach ulic afiszów, na których także zieleniała różczka oliwna.

Zaledwie blask zachodzącego słońca przestał oświecać rozradowane oblicza Paryżanów, wzięto się do zapalania illuminacyi. Wnet, jak Paryż wielki, zajaśniały po domach od dołu aż do poddaszów, długie linie kolorowych lampionów, przerywane co kilkanaście kroków jakąś niespodzianką przygotowaną przez jeszcze gorliwszych zwolenników pokoju, jakoto: transparentem z wiwatami, gazową cyfrą monarchów, bukietem z trójkolorowych lamp, swiatłem elektryczném, ognistym wierszem na cześć pokoju — i tam daléj. Kto niemiał domu lub mieszkania, któreby mógł illuminować, illuminował sam siebie — co krok spotykałeś kogo z dwoma latarniami w ręku, lub latarnią na głowie zamiast kapelusza. Ktoby nie wiedział że Ludwik Napoleon panuje Francyi, pomyślałby pewnie patrząc na te chodzące po mieście latarnie, że to nowe francuzkie Diogenesy szukają ze świecą człowieka.

Dom Rotszylda gorzał jak stos ofiarny, równie wszystkie rezydencye prywatne wyjąwszy domu Thiersa, który nawet jednéj łojówki nie wystawił — na szczęście, ogródek przedziela go od ulicy, inaczéj pewnie by postradał szyby owéj nocy.

Do pierwszéj z północy tłum ludzi na wszystkich ulicach był tak wielki, że niepodobna się było przecisnąć pieszo a cóż dopiero powozem. Nazajutrz od rana znów wszyscy wysypali się na miasto ponawiając też same okrzyki, illuminacye, manifestacye — i tak trwało przez trzy dni. — Entuzyazm ten jedyny w swoim rodzaju, zanotować warto — prawdziwa byłaby szkoda żeby tyle zapału jaki Paryż w ciągu tych trzech dni wyszafował, miał przeminąć bez śladu dla potomności.

Wybuchy pokojowéj radości spółziomków, natchnęły jednemu z tutejszych humorystycznych dzienników wyborną anegdotę. Opowiada on, że skoro telegraf zawiadomił sąsiadów za kanałem o szale szczęścia w jaki wtrąciło Francuzów pogodzenie się z Rosyą, Anglicy uznali chwilę za stosowną pomszczenia się aby jednym figlem za figle, które im nieustannie płatają Francuzi. Na raz tedy pojawiło się na rozmaitych punktach Paryża kilkuset Cobdenów. Gdzie tylko zapukał z nich który i nazwał się imieniem reprezentującém ideę błogiego pokoju, przyjmowany był z nieopisaną gościnno-

ścią. Z powozu wynoszono go na rękach i sadzano na najwygodniéjszéj kanapie w całym domu. Gdzie się pokazał ścigały go owacye i wiwaty.

Do jednego z takich Cobdenów miasto wysłało deputacyą celem złożenia dziękczynień temu, którego idea wielka i niczem niezachwiana wytrwałość z jaką przy niéj obstawał, zwyciężyła świat nakoniec, i przekonała go, że po za pokojem niema nic prócz płaczu i zgrzytania zębów.

Anglik wierny swéj roli słuchał długo cierpliwie francuzkiéj wymowy, co jak młyn parowy pytlowała wielkie idee rzucając w około piasek i plewy — aż na raz jakby ze snu zbudzony syn Albionu krzyknął: „*Taisezvô!*“ Deputacya zmięszana zamilkła na chwilę — a gospodarz mysląc że może znużenie z podróży, niedość gościnne przyjęcie lub choroba, tak nieżyczliwie usposabiają gościa, przystąpił pytając go, czy nie słaby i czem by mu służyć w téj chwili? — Daj rozbifu i dużo wina, rzekł pacyent.

Uradowany gospodarz sam służył do stołu — a deputacya znów nawiązawszy zerwane struny na nowo rozpoczęła swe trele. Anglik był już w połowie rostbifu, kiedy poczucie godności narodowéj przeważyło w nim apetyt i wszystkie inne względy; zerwał się i potrząsając widelcem: „*Vô m'embêtez beaucôo avec votre paix!*“ zawołał, po czem trzasnąwszy drzwiami wyszedł wielkim krokiem i nie oparł się aż w Londynie, gdzie nie było ani illuminacyi, ani fajerwerków, ani transparentów, ani chorągwi, ani radości z zawarcia pokoju. —

Jeżeliś jeszcze nie usnął czytając ten pokojowy opis, który nużący być musi jak wszystkie obrazy doskonałego szczęścia na tym padole płaczu — przedstawię ci dla dywersyi bitwę — krwawą, zażartą, namiętną, brzemienną nadziejami i pełną wielkich epizodów — tylko przepraszam z góry, że będzie to bitwa na płótnie, co mi zapewne wybaczysz przez wzgląd że w téj chwili innéj nie mam pod ręką.

Horacy Vernet wymalował dla księcia Hieronima *Bitwę nad Almą*, a raczéj jeden ustęp téj bitwy — chwilę — kiedy książe Napoleon ustawia dwie baterye dział mające zasłaniać przeprawę jego dywizyi przez rzekę.

Nowoczesna strategia tak rozszerzyła pole bitwy, a

wynalazek broni palnéj tak je ogołocił z dawnéj epicznéj poezyi, że nawet Vernet, ów Homer bojów XIX wieku, w niemałym znajduje się kłopocie, mając dramatyzować systematycznym szpalerem wyciągnięte linie piechoty z jedną w górę podniesioną nogą, lub konne szwadrony sztywne, proste i ustawione równolegle jak rzęd samowarów.

Poezya bojów nowoczesnych nie jest jeszcze pochwycona i określona jak poezya walk starożytnych — trzeba ją odgadywać i nowe dla niéj obmyślać formy. Dla tego to zapewne spółcześni malarze bitew przed Vernetem, trzymając się ślepo teoryi starożytnych mistrzów, ograniczali się na ustawieniu we środku walczącéj grupy, a resztę obrazu osłaniali dymem strzałów armatnich, które zupełnie wykluczone z akcyi, były tém w krwawym obrazie, czem wybuchający wulkan pośród pejzażu. Żołnierze ich walczyli ze sobą *corps à corps* jak Achillesy lub Ajaxy, a konnica na pół naga występowała jakby na marmurowych rumakach Fidiasa. — Taki układ boju jest zapewnie piękniéjszy od tego, jaki stworzyła nowoczesna strategia, ale razi nieprawdą.

Dzisiejsze pole bitwy podlega prawom jeometryi, do których artysta koniecznie zastosować się musi, jeżeli chce malować wiernie. Zdarzają się i teraz tu i owdzie pojedyncze utarczki, ale cała akcya odbywa się massami. Wódz władający gromem téj nawałnicy nie walczy sam jak Hektor, ani nie zgarnia lanc w swe piersi jak Winkelried — nieruchomy, z lunetą przy oku, stoi na wyżynie jak posąg kamienny, zapalając lub gasząc bój jedném słowem, jedném nieznaczném skinieniem ręki — stoi, jak myśl dominująca ruchy olbrzymiego ciała, które się zowie armią.

Vernet pierwszy zrozumiał moralną potęgę wodzów nowoczesnych i usiłował zastąpić nią fizyczną potęgę pogańskich bohaterów; ale myśl wzniosła nie zawsze da się uplastycznić efektownie — dowodem freski Corneliusa, które tylko w opisie wydają się przecudnie — dowodem obrazy samego Verneta, które choć są wiernym dagierotypem dzisiejszych bitew i górują nad starożytnemi siłą moralną swych przywódców, niemogą atoli iść w porównanie pod względem artystycznym z walkami jakie przedstawiał Salvator lub Casanova.

Cożkolwiek bądź, Vernetowi należy się zasługa że może z ujmą swéj sławy porzucił sfery idealne w których zamykali się jego poprzednicy, a przez miłość prawdy zstąpił odważnie w zakres rzeczywistości, mniéj piękny, ale zgodny z duchem czasu.

Tutejsi krytycy jako wielki błąd zarzucają wernetowskiéj *Bitwie nad Almą*, że główna figura tego obrazu, książe Napoleon, jest zupełnie chybiony. Pojąć nie mogą, jakim przypadkiem przytrafić się to mogło Vernetowi, który lepiéj niż ktokolwiek bądź umie uchwycić podobieństwo, jak tego dowiódł na tylu obrazach przedstawiających całe gruppy wojskowe złożone z portretów osób żyjących. Krytycy mają zupełną słuszność: nietylko twarz i postawa księcia podrzędną w tym obrazie gra rolę, ale co dziwniejsza, koń jego wcale nie wernetowski, razi mizernym kształtem. Rzeczywistym bohaterem obrazu nie jest książe Napoleon, ale Spahis w białym turbanie i marsowéj pozie, oparty o swą lancę, nieruchomy, udrapowany w szkarłatny burnus.— Że tak jest, nie ulega kwestyi — chodzi tylko o to, czy co oficyalni krytycy zwą błędem, nie jest raczéj ze strony artysty złośliwym figlem, a jeżli wolisz, słusznym wymiarem sprawiedliwości. — Malownicze dwie figury Spahisa i przy nim stojącego Zuawa z owym sztandarem co błyśnie za chwilę na przeciwległych wyżynach, są wspaniałém uosobieniem afrykańskiéj Francyi, która całe półki nowych Achillesów wyrzuciła na Krymskie wybrzeża. Trudno przypuścić, żeby artysta co takich umie malować żołnierzy, mógł robić błędy w obrazie — nie, nie, z wielkiem przeproszeniem tutejszych artystycznych wyroczni, my ten błąd nazwiemy największą zaletą wernetowskiego obrazu.

Na poparcie powyższego twierdzenia przychodzą w pomoc wszystkie gruppy konne i piesze oddane, niemożna lepiéj. Koń komendanta Bertranda biegnący wprost na widza w potrójnym galopie, jest arcydziełem. Ranny Zuaw podnoszący w górę pałasz zdobyty na nieprzyjacielu i ustrojony w trójkolorową wstęgę, a drugą ręką wspierający rannego highlandera, tchnie stoicyzmem i zapałem wziętym żywcem z natury tego niezrównanego żołnierza. Na licach zabitego jenerała angielskiego niesionego na płaszczach, zastygła wraz z życiem duma i

zimna odwaga owych nieprzepartych szeregów, które były podziwem ostatnich czasów.

Drugi plan obrazu cały jest w ruchu: na lewo pali się wioska Burłuk — Zuawy do pasa we wodzie przeprawiają działa przez rzekę — pierwsze kolumny na pół zaćmione dymem, już spinają się po przeciwległém urwisku; na wyżynie, daleko, daleko, jak czerwone mrowisko widać biegnące do szturmu bataliony Zuawów, gwałtowny atak dywizyi Canroberta, i Bosqueta nacierającego na lewe skrzydło nieprzyjaciela — wszystko oddane wyraźnie i naturalnie, wydaje się jakby rzeczywista bitwa widziana przez odwrotny koniec lornetki. Niknący horyzont opasuje w półkole modra wstęga morskich odmętów, i dymne kłęby wystrzałów floty co jak wieńce róż białych wylatują w powietrze.

Takie są główne zarysy tego widoku, a raczéj ramy jego, które jeżeli zdołasz wypełnić imaginacyą, mieć będziesz co się zowie piękny obraz. —

Po opisie bitwy opis muzyki — zawołasz, rzuciwszy okiem na ciąg dalszy — brakuje już tylko opisu kolorów żeby relacyą uczynić kompletnie zabawną. — Prawda. Ale gdyby to tylko czytać co zabawne lub mądre, lektura musiałaby się ograniczyć do kilku książek — a to mało na zapełnienie życia w naszych literackich czasach. Uzbrój się przeto w cierpliwość i czytaj daléj — kolory już ci na ten raz daruję.

Z początkiem kwietnia teatr włoski wokalny bardzo świetnie zakończył swoje reprezentacye wspierany niezrównaną akcyą i sympatycznym głosem Giulii Grisi, która porzucając na zawsze scenę, chciała jeszcze raz zaśpiewać w téj saméj sali, o któréj ściany obiły się pierwsze echa jéj rodzącéj się sławy. — Giulia Grisi znowu ukazała się Paryżowi w roli Normy, w téj przepysznéj roli, któréj piękności pierwsza wyśpiewała światu i pozostała w niéj pierwszą; bo chociaż inne śpiewaczki dorównały jéj głosem, to żadna nie dorównała postawą. Wyższa o całą głowę od wszystkich spółczesnych artystek, Giulia z posągową twarzą i potężnemi ramiony, zdaje się być odlana umyślnie do roli Normy w zatraconéj formie kapłanki Druidów.

Na tych co ją dawniéj znali, których potok srebrnego jéj głosu wtrącał w zachwyty, napróżno szukane poźniéj

po teatrach i koncertach całego świata, teraźniéjsze wystąpienia Grisi czynią wrażenie wspaniałego zachodu słońca. Czuć jakiś ubytek w téj jeszcze promiennéj gwieździe. Potężna Diva jeszcze nad szczyty swych świętych dębów wylatuje natchnieniem — a jednak rzuca cień jakiś smutny na tych których młodość opromieniała.

Nic jak muzyka nie przypomina przeszłości — nic jak ona nie uplastycznia obrazów od wieków zasypanych jak druga Pompeja popiołami sercowych wybuchów. Każdy ton znanéj pieśni spada na duszę jak uderzenie młota odsłaniającego z popiołów cały świat dawny zapadły... za każdym akordem wstaje z martwych jakiś budynek przeszłości opleciony girlandą kwiatów uschłych a jeszcze kolorowych i wonnych. Pieśń co nam brzmiała nad kolebką, przypomina modlitwę zmówioną niegdyś na kolanach matki — późniéjsza, wesołe tańce i niewinne pustoty — jeszcze późniéjsza, najmilsza i ostatnia, przypomina niepokoje burzliwego życia, zachwyty i katusze goniącéj za ideałem duszy. Późniéj już się w nas żadna nie odbije nuta, bo późniéj serce bronzuje się lub pęka.

Otóż, ostatniego wieczora *Casta Diva* cofnęła mnie o dziesięć lat w tył. Oparty o aksamitną kolumnę loży, widziałem oczyma duszy inny wcale wieczór, chociaż taż sama wtórowała mu nuta. Wtedy grano także Normę, ale słuchano jéj inaczéj. Rubini grał Poliona — Grisi Normę; Lablache Tamburini i Pasta rozebrali pomiędzy siebie inne role główne.

Pod koniec sztuki kiedy Norma przed gorejącym stosem rzucu kochankowi bolesny wyrzut w formie duetu, który jak krople łez na serce spada szemrząc po cichu: „*Qual cor tradisti, Qual cor perdesti*“ — a dumny Rzymianin na klęczkach odpowiada jéj: „*Ah troppo tardi t'ho conosciuta, sublime donna io t'ho perduta*“ — cała sala podniosła się do sycylijskiéj temperatury i zerwał się jeden z owych włoskich huraganów entuzjazmu, niepojęty i nieznany przedtem we Francyi; sala trzęsła się cała: klaskano, tupano, krzyczano, byli tacy co płakali na głos, kilku Włochów dostało palpitacyi serca, kobiety mdlały po lożach i nikt ich nie cucił, bo nikt nic nie widział ani słyszał tylko Normę i Poliona, i jak szalony wrzeszczał *brava!! brava!!* — Rzęsisty deszcz

kwiatów padał bez przerwy, aż na scenie kwietna zamieć powstała. *La Sacerdotessa* poważnie kłaniała się w koło — w tém nagle z właściwym włoskiéj naturze popędem, jakby tknięta wyrzutem że ten entuzyazm nie jéj się saméj należy, wybiegła za kulisy i za chwilę wyszła na scenę tyłem, ciągnąc obiema rękami małego człowieczka w nankinowych obcisłych spodniach i niebieskim fraku, nogami i rękami opierającego się przemocy potężnéj Divy, która podobna do olbrzymiego posągu ateńskiéj Pallady, stała trzymając w ręku trzepocące się *Zwycięstwo*.

— *Evviva Bellini! Evviva sublime Maestro!!* wrzasnęła sala podwajając oznaki zapału.

Sublime Maestro nieprzytomny, zarumieniony, z pochyloną głową i spuszczonemi oczyma, stał jak na żarzących węglach trzymany silną dłonią Normy pod grzmotem oklasków — aż upatrzywszy na podłodze najpiękniejszy wieniec, podniósł go — spiąwszy się na palce położył kwiaty na czarnych warkoczach Normy, i jednym skokiem wpadł za kulisy. „Teraz już mogę umrzeć“ — zawołała Grisi, i zakryta czarną krepą wstąpiła na stos. —

Oto co przed dziesięciu laty widziałem tutaj w témże samém miejscu, oparty może o tę samą kolumnę — oto co mnie i wielu innym przypomniał zeszłego wieczora śpiew Grisi. Powiedz, czy nie warto jéj słuchać chociażby tylko na to żeby takie budzić przypomnienia? Jeżeli wszystko minąć musi, i wszystko mija jak kwiat będący motylom gospodą, cóżby się z nami stało, gdybyśmy nie mieli wspomnień?

Londyn w kwietniu.

Jednem z ważnych tu zjawisk jest, że piśmiennictwo angielskie w rozmaitych odnogach wzmaga się na wysoką stopę. Niedość, że mnóstwo co tydzień wychodzi dzieł o różnych przedmiotach umiejętności, nauk i sztuk, a osobliwie podróży ogarniających całą przestrzeń morza i ziemi; lecz nadto, piśmiennictwo dziennikarskie

przybiera na się olbrzymie zakresy i objętość. Oprócz dzienników zdawna znanych jako to: *Chronicle*, *Herald*, *Post*, *Advertiser*, *Daily News*, *Standard*, *Sun*, *Globe* i *Times*, który ostatni jak Lewiatan objętością swą nad wszystkiemi góruje i zdaje się ogromem swym je przygniatać; oprócz rozlicznych dzienników na prowincyi, gdzie niemasz jednego nawet miasteczka coby nie miało swego miejscowego dzienniczka, kiedy większe z nich jak np. Plymouth połączone z Devonport posiadają na 100,000 mieszkańców sześć tygodniowych dzienników wyrównywających londyńskim, — pomimo tak wielkiéj ich liczby, widzimy przecie co miesiąc i co kwartał, od czasu zniesienia podatku stemplowego, zjawiające się nowe dzienniki. Nie tyle już chodzi między niemi o wewnętrzne zalety i dobroć, gdyż jednym i drugim nie zbywa na piszących dobrze, tak że nowe dzienniki nietylko wyrównywają dawnym zaletami, lecz częstokroć je nawet przewyższają — ile raczéj chodzi im o współzawodnictwo w zniżaniu cen. Owóż taniością swą nowe dzienniki walczą z dawniejszemi i usiłują je pobić, bo kiedy te ostatnie zachowują się przy wysokich cenach 4 do 5 pensów za egzemplarz, nowe natomiast dając równą ilość materyi i druku zniżają cenę do 1 penna, — i nawet dla oszczędzenia kosztów przesyłki pocztą, przez osobnych ajentów po kraju rozwożą. Z przyczyny trudności tak rozdrobnionéj administracyi przedsiębiorstwo to nie zawsze się udało, i redakcye zbankrutowały; należały one po większéj części do pojedynczych osób i wydawców. Współzawodnictwo dziennikarskie niedało się przecież tem odstraszyć. Potworzyły się spółki do wydawania dzienników z ogromnemi kapitałami, chcące bądź co bądź albo zwalić dawne dzienniki albo zmusić je do zrównania cen ze swemi. Do rzędu takich należą *Daily Telegraf* i *Morning Star* (gwiazda poranna). Jako omnibusy ludzi po Londynie, tak one teraz poczęły rozwozić oświatę po kraju, za najniższą jaka może być cenę — za penna. Na jak długo, czas to pokaże. Inne redakcye, a mające w tem cokolwiek doświadczenia, niewróżą im zysków. Niedziwiłbym się wszakże, gdyby się we wróżbach zawiodły. W Anglii czytanie gazet zamieniło się w potrzebę dla ludu; gazety nazywane są księgą ubogiego *(poor mans book)*; a przeto o ile więcéj

céj jest ubogich czytelników co na penna się zdobędą (a i bogaci taniością niegardzą), o tyle można liczyć na podobieństwo utrzymania się tych pism jednopennowych.

Oprócz gazet dziennych i tygodniowych, wychodzą jeszcze tak zwane *Serials*, czasopisma poświęcone wyłącznie szczególnym przedmiotom religijnym, politycznym lub towarzyskim, a mocno uwagę powszechną zajmującym. Ogłaszane bywają zeszytami w oznaczonych terminach i pisane stylem przystępnym. Trzymają one miejsce między gazetami a miesięcznemi czasopismami zwanemi *Magazine*. Takich *serials* czyli szeregowców wychodzących jakby na harc, naliczyłem w téj chwili sześć: jeden z nich poświęcony jest wyłącznie wyjaśnieniu następstw z obecnej wojny. Lecz wspomnę tu tylko o drugim z nich, pod tytułem *The Great World of London* (Wielki świat Londyński) przez Henryka Mayhew, byłego współpracownika do *Puncha*, tego londyńskiego *Charivari*. Pierwsza i druga część tego pisma już wyszła. Opisuje w niem wydawca stolicę angielską z różnego punktu widzenia, tak rzeczywistego jak i wymarzonego, jak mu go bujna wyobraźnia na myśl nastręcza. Znajdujemy tam obraz panoramiczny Londynu, jego ulic i sklepów, bogactw obok ubóstwa, przepychu obok nędzy; opis różnych klas robotniczych i próżniackich, szczególnie jaki jest świat Londynu prawniczy, lekarski, duchowny, kupiecki, uczony, teatralny, modny, polityczny, wojskowy, marynarski, wyrobniczy, kryminalny, podróżny, mądry i szalony! Pod tylu różnemi względami p. Mayhew obraz stolicy i jéj ludności skréśla, jedno w nim wyjaśnia, ocenia drugie, a wszystko jaskrawemi barwami narzucone — oczywiście z powodu trudności jaką ma autor w znalezieniu i dobraniu kolorów na odmalowanie tylu nadzwyczajnych rzeczy jakie mu się tłumem nastręczają. Pierwszy rzut oka na stolicę czyni p. Mayhew z balonu; inaczéj niezdołałby ogromu jéj objąć ani dostrzedz jéj granic. *Londres c' est plus qu' une ville; c' est une province couverte de maisons*, jak się dowcipnie Horace Say, francuzki ekonomista o téj stolicy wyraża. Lecz sądzić o tak wielkiéj stolicy jak Londyn z saméj tylko powierzchni jaką zajmuje na ziemi, dzielić ją na obwody lub powiaty, to według

p. Mayhew za mało i wydaje się mu niestósownèm, on woli raczéj nazwać ją królestwem, albo jeszcze właściwiéj jak to tytuł jego pisma nosi: wielkim światem londyńskim. Na poparcie, że Londyn zasługuje na to imie, którem go ochrzcił, powiada, że przestrzeń jego zajmuje 122 mil kwadratowych (angielskich), liczy w swym obrębie 327,391 domów i 2.362,236 mieszkańców, do 10,500 różnych ulic przejezdnych, niektóre z nich jakoto Oxford-street, mające milę i więcéj długości. Bruk tych różnych ulic kosztował do 40.000,000, a sama naprawa jego teraz wynosi przeszło 1.800,000 rocznie. Mieszkańcy miasta, gdyby rozstawieni byli po dwóch parami i jednym rzędem, taki rząd rozciągałby się wzdłuż na 670 mil (ang.), który aby przejść po trzy mil na godzinę, potrzebowałby więcéj niż 9 dni i tyleż nocy, zanimby przeciągnął w takiéj procesyi. Taka procesya byłaby prawdziwym dziewięciu dób cudem. Opisawszy tę rozległość stolicy jak się mu wydawała z balonu nasauskiego — poczytywanego za największy, bo na nim kilka osób odbyło podróż z Londynu aż do Nassau — autor spuszcza się z góry na dół i wchodzi nawet w tak drobne szczegóły, jak naprzykład: ile Londyńczycy potrzebują rocznie pokarmu na wyżywienie. Wylicza zatem, że zakupuje się dla miasta na mięsiwa różnego rodzaju bydląt blizko za 9.000,000 fst., mianowicie cieląt do 30,000 sztuk, świń 34,000, wołów 277,000, a owiec do 1.480,000. Przechodzi następnie do trunków jakich stolica dla swéj ludności rocznie potrzebuje, i wylicza poszczególnie ich gatunki i ilość, jako to: 65,000 pip wina, 2.000,000 garncy wódek i spirytusów, 43.200,000 garncy porteru i piwa, a wody garncy 19.215.000,000. Trudno tu wyliczać ilość spożywanych owoców różnego gatunku, krajowych lub przywożonych ze stałego lądu i z Ameryki. Na sam opał i kuchenne potrzeby wychodzi 3.000,000 beczek węgla. Co do saméj mowy mieszkańców stolicy, przypomina ona nam mieszaninę języków wieży Babilońskiéj. Ile mów i narzeczy znajduje się na świecie, wszystkie można słyszeć na ulicach przebijające się z pośród rodowitéj mowy londyńczyków dzielącéj się na klasyczną i różne dyalekta ludu. Każda klasa i rzemiosło ma właściwy sobie odmienny język. Marynarz mówi swoim, rybak swoim, jockey swoim,

nawet żyd skupujący starzyznę na tandetę woła swoim: *old clos!* Boxarze bijący się na pięści, *wrestlers* idący w zapasy, wyrażają się swym technicznym językiem. Cech złodziejski (*swell mob*), który jest liczny w stolicy i ma rozgałęzienia swe po prowincyach, ma także swój osobny język i znaki tajemnicze, po których się jego członkowie jak Masoni poznają i w przykrych położeniach ratują. Ta odmienność mów i nawet samego wysłowienia — a londyńskie poczytuje on za najgorsze — rozciąga się do wszelkich innych zawodów życia i przemysłu, tak że z ich mowy i zgięcia głosu nietrudno dla mających cokolwiek doświadczenia poznawać różnych klas zatrudnienia, nałogi, talenta, przesądy, namiętności — słowem, cnoty i zbrodnie. Świat londyński jest wielkiém ogniskiem, gdzie można widzieć skupienie razem największych sprzeczności, rozwój złego i dobrego i rozpromienianie się obudwóch szeroko na okręg świata.

Towarzystwo geograficzne odbyło niedawno jedno z swych posiedzeń, na którém roztrząsano potrzebę zajęcia i osiedlenia północnéj części Australii; lecz pierwéj jak się członkom zdawało, należałoby ją zwiedzić i rozpatrzeć się w niéj, przez wysłanie światłych i doświadczonych ludzi. Na wykonanie takiéj wyprawy, hrabia Strzelecki, nasz ziomek, który jest członkiem Towarzystwa, oświadczył, że miał 10,000 fst. doręczonych sobie od p. Uzielli do użycia, w razie gdyby rząd odmówił wysłania takowéj missyi eksploracyjnéj z własnego ramienia. Pan Strzelecki, albo jak go tu jako szlachcica polskiego tytułują hrabia S., opuścił był kraj na kilka lat przed rokiem 1830, z powodów zupełnie osobistych czyli domowych, które pomijam jako wcale tu nie należące. Przebywał niejaki czas w Anglii, a następnie udał się do Australii i tę mało znaną część świata a w złoto obfitującą pierwszy dokładnie opisał, a to pod najważniejszym bo geologicznym względem. W Australii był on jak najlepiéj widziany przez gubernatora angielskiego osad tamecznych; urzędnicy i obywatele przyjmowali go w swych domach, i znam osoby co go wtedy pamiętają. Wydaniem dzieła swego o Australii za powrotem do Anglii zwrócił na siebie uwagę nietylko mających stosunki kupieckie z opisaną przez niego częścią świata, lecz także i uwagę samego rządu. Podczas pa-

miętnego głodu w Irlandyi przed kilkoma laty, użyty był przez rząd do rozdziału pomiędzy ubogich, funduszów ze składek na ich rzecz zbieranych. Przy podziale tych funduszów sprawił się w komissyi z takiém zewsząd zadowoleniem, że otrzymał od królowéj order łaziebny i w nagrodę pensyą roczną ze skarbu. Teraz używany bywa przez rząd do szczególnych poleceń i komisyj, mianowicie handlowych i finansowych, w czém zdaje się posiadać wiele znajomości.

W poprzedzającym liście przyrzekłem wam co donieść o narodowéj naszéj literaturze w Anglii. Uiszczam się z tego długu. Ograniczę się wszakże jedynie do ostatnich i najnowszych usiłowań w przedmiocie naszego piśmiennictwa.

Naprzód powiem, że mamy w Tottenham drukarnię polską, w któréj na przypadek potrzeby polskie pisma się drukują, i czasem nawet Anglicy się do niéj udają. Przeszłego roku np. z drukarni téj wyszedł Nowy Testament polski stereotypowany dla Towarzystwa Biblijnego. Jest ona własnością Aleksandra Rypińskiego, który jest oraz drukarzem i pisarzem. Na dowód wyliczam tu jego poezye wydane pod tytułami: *Raj i Pery*, tłómaczenie poematu Tomasza Moore, w Londynie 1852. — *Polska*, poemat J. G. Fergusona, r. 1852. — *Niaczyścik*, ballada białoruska pisana w białoruskiém narzeczu, które autor będąc rodem z pod Witebska doskonale sobie przyswoił, i nawet akcentami śpiewność jego w balladzie swéj oznaczył. — *Sierżant Filozof*, legenda albo sen o przechodzeniu dusz, zabytek z dawnéj wojenki, Londyn, 1854. Legenda ta przełożona już jest na język francuzki, a angielski przekład w téj chwili gotuje się do druku. Ostatnie dwie poezye pisane w lekkim humorystycznym stylu. Te i poprzednie pisma jego są wszystkie osnowane na podaniach i zabytkach pieśni ludu.

Napoleon F. Żaba wydał swe poema: *Nadzieja*, w czterech częściach, i inne poezye. Londyn, 1853. W tym znów roku ogłosił w angielskim języku Najgłówniejsze rysy Historyi Polskiéj, pod tytułem: „*The Principal Features of the History of Poland. London 1856.*“

Dwa lata temu wyszła bezimiennie: *Powieść z czasu mojego* czyli *Przygody Litewskie.* Londyn 1854. Wystawia ona obraz życia towarzyskiego i obyczajów owo-

czesnych, i w znacznéj części osnowana na prawdziwych zdarzeniach. Autorem jéj jest kapitan Jackowski.

Lach Szyrma przełożył na język angielski ostatnie dzieło prozą pisane przez Adama Mickiewicza i *Dziennik Ewy Felińskiéj;* ostatni wydany jest pod tytułem: „*Revelations of Siberia*, *by a banished Lady*, in 2 vols. Colburn and co., London, 1852". Wydał także w tłómaczeniu znaną powieść *Kirdżali* przez Michała Czajkowskiego pod tytułem: „*The Moslem and the Christian or the adventures in the East. By Sadyk Pasha. Translated and revised*, *with original Notes*, *by Colonel Lach Szyrma. In 3 vols. London*, *Hurst and Blacket 1855.*" W przypiskach do ostatniéj powieści tłumacz miał szczególnie na celu objaśnienie historyi i obyczajów ludu krain naddunajskich, mało cudzoziemcom dotąd historycznie znanych, a obecnie na wielką polityczną widownię świata występujących.

Posiada angielska literatura także tłumaczenie prozą, Wallenroda Mickiewicza, przez kapitana Jabłońskiego. Przed trzema laty umarł on we Francyi, gdzie się był udał dla poratowania zdrowia.

Bronisław Wareski wydał w obecnéj porze: Obraz statystyczny Rosyi przez Arseniewa (*Statistical sketches of Russia*). Do niego dołączył w przekładzie z rosyjskiego: Rys polityki rosyjskiéj w obecnéj wojnie na Wschodzie przez Pogodina. Tenże młody pisarz poświęca swe pióro utworom poezyi. Ile ja sam i inni rodacy o nich wiedzą, są one: 1. *Beduini* powieść romantyczna, w trzech pieśniach, przeszło 2000 wierszy. — 2. *Poemat niedośpiewany*, osnowany na tle dziejów nowoczesnych i nieco większéj objętości od pierwszego. — 3. *Orla*, powieść romantyczna kroacka, na wzór Maryi Malczewskiego. — 4. *Juliusz Cezar* Szekspira, tłómaczony wierszem. — 5. *Burza i Ruiny*, dwa poemata. — 6. *Duma o Banie.* Oprócz wymienionych pisał on ballady, sielanki, śpiewki i różne rozmaitości. To wszystko leży i pomnaża się w jego tece dopóki sposobność nie zawita do wydobycia ich z pod klucza.

Ponieważ raz wpadłem na rękopisma, niechże i daléj tę rzecz prowadzę. Dostały mi się do rąk prace piśmienne ś. p. hr. Molla, o którym jużem pierwéj udzielił wam niektórych szczegółów. Przeglądając je znala-

złem kilka dramatów wierszem pisanych. Nie mogąc w téj chwili dostatecznie wejść w ich zalety i o ile one przydałyby się na wystawę na scenie polskiéj, tyle tylko nadmieniam, że prawie wszystkie są pisane jako i inne zmarłego utwory, wedle wzorów dawnéj szkoły francuzkiéj: wyliczam tylko ich tytuły: — 1. Zenobia — 2. Gdzie miłość prowadzi. — 3. Polak w stolicy Szkockiéj. — 3. Sieroty Warszawskiéj Pragi, drama w 5ciu aktach „z dedykacyą dla starożytnéj Akademii krakowskiéj przez hr. Mola dawnego ucznia téjże Akademii.“ — 6. Różne poezye, jako to: Lafayette, poemat obszerny — Przygody nasze — Matka Pielgrzymka i Wędrownik, ballada — Sieroty.

Wyczytawszy z *Czasu* z jakim czcigodnym zapałem i gorliwością zbierają się piśmienne zabytki w kraju, i wiele z nich ogłasza się drukiem, nie mogę zamilczeć że i my tutaj idziemy waszym torem. W Londynie istnieje od roku 1837 Grono Historyczne, którego wyłącznym jest celem wyszukiwanie starodawnych zabytków, i robienie wypisów historycznych z dawnych rękopismów, gdziekolwiek one się znachodzą, czy to w Muzeum Brytańskiém, czy po bibliotekach publicznych, lub w archiwach rządowych za pozwoleniem od rządu zyskanem. Zbiór tych wypisów w różnych językach był dotąd obfitym, i ile ich się uzbiera, odsyłane bywają do biblioteki w Paryżu na przechowanie. Grono osobnego sekretarza na ten cel utrzymuje. Powinszować też Krakowowi trzeba względów rządu Jego Ces. Król. Ap. Mości że zamianował p. Popiela konserwatorem dla zachowania dawnych zabytków w W. Ks. Krakowskiem.

Na licytacyi w Bolton wystawiona była na przedaż sławna biblia Bowyerska (*Bowyers Bible*) w 45 tomach, z mnóstwem rycin, nad któremi do 600 rytowników pracowało. Sprzedaną była panu Robertowi Heywood za 550 f. st. Przypomniała mi się przytem sprzedaż przed kilkoma laty, i podobnież przez licytacyą, naszéj Biblii Radziwiłłowskiéj, *in folio*, z piękną oprawą, i od tylu wieków bez najmniejszego uszkodzenia. Nabył ją Thorpe księgarz londyński za 62 f. st. Była ona w posiadaniu księcia Sussex, stryja królowéj, którego biblioteka słynęła najliczniejszym zbiorem Biblij różnych wydań i w różnych językach. Po jego zgonie rzadka Bi-

blia Radziwiłowska poszła w cudze ręce. Rzadki ten zabytek radbym widzieć przeniesiony do jakiéj publicznéj biblioteki polskiéj. Byłby jéj ozdobą.

Umarł w Anglii, gdzie tylu królów schronienia dla siebie szukało, król, i jaki jeszcze — król Cyganów. Mieszkanie miał pod Norwood w bliskości Londynu, w miejscu, nazwanem (snadź od jego rodu) Górą Cygańską (*Gipsy-hill*). Nazywał się Samuel Cooper, i pod tém mianem uznawany był przez cyganów za naczelnika. Był on jednym i ostatnim z jedenastu synów zmarłego ich króla, który sam i synowie idąc za rzemiosłem zwyczajnem Cyganom, nie najlepszą w tamtejszych okolicach, a osobliwie w Hrabstwie Surrey, po sobie zostawili pamięć. Zmarły król Samuel miał dwie żony: po śmierci pierwszéj pojął drugą, a ta była wdową po bracie zabitym przez drugiego brata. Posiadał kilka morgów ziemi opodal od Norwood, gdzie żył przez wiele lat z swą rodziną pod namiotami i na wozach, a puszczając się na swe zwyczajne włóczęgi, nie zostawiał nigdy téj mieściny saméj, nie pozostawiwszy tam dziecka, konia lub psa. Własność tę zdawna posiadał, dopóki niezapotrzebowaną była na koleje żelazne do pałacu kryształowego. Kiedy król cyganów znaglony był ustąpić ją towarzystwu kolei za wynagrodzeniem, postradawszy kawał pustego gruntu, nie miał gdzie rozstawiać namiotów i z rodziną już zmuszony był mieszkać pod dachem i w murowanym domu. Zła dola jednak tak zrządziła, że kiedy siedział przy pracy, — może przy lutowaniu starych kociołków, lub splataniu koszyków — ogień nagle wybuchnął w domu. Dla uratowia domu Samuel z dwoma synami spiesznie wlazł na dach, i zmoczonemi w wodzie szmatami potrafili przydusić pożar. Lecz gdy tak byli zajęci gaszeniem ognia na dachu, ojciec uczuł nagle ból w boku lewym i zawołał na syna: „Nelsonie Cooper, mdło mi — upadnę“. Synowie rzucili się by go wstrzymać, posadzili go na bezpieczniejszém miejscu na dachu — trzeźwili; lecz napróżno — Król skonał. Przypadek ten sprowadził, jak w razach nagłéj śmierci zawsze bywa, śledztwo rządowe (coroner's inquest). Lecz pokazało się, że umarł naturalną śmiercią, na chorobę serca, na co od niejakiego czasu był się skarżył i nawet lekarskiéj pomocy zasięgał.

Sąd przysięgły zatem wydał wyrok, iż Samuel Cooper umarł z przypuszczenia bożego. Śledztwo to z powodu śmierci człowieka uznawanego za króla wszystkich cyganów angielskich, nie mało zainteresowało publiczność okolicy, tłum ciekawych zebrał się na miejsce obrzędu. Cyganów mnóstwo tuła się jeszcze po Anglii. Można ich spotykać z brykami i namiotami przy gościńcach i na pobocznych drogach przy tlejących ogniskach. Główném ich zatrudnieniem bywa jak i u nas wróżenie i kowalstwo — bo pokrywam tu milczeniem łapanie kur, owiec i wszystkiego innego co po drodze im szczęście nadarzy. Badacze pochodzenia narodów w Anglii, wywodzą ich rodowód z Indyj, zkąd jako plemie prześladowane zmuszeni byli do rozsypania się po świecie. Dawniéj naznaczono im za ojczyznę Egipt, do czego podobieństwo *Gipsies* (bo tak się Cyganie w Anglii nazywają) do Egypcyan, było głównie powodem; lecz ten wywód źródłowowy uznany jest teraz za zupełnie bezzasadny i mylny, jak to najczęściéj bywa z rozumowaniami na źródłosłowiu opartemi. Głębsze badania nowoczesnych pisarzy dowiodły, że ród wędrownych Cyganów czyli Zingarów, nie jest afrykański lecz azyatycki. Wszędzie zostaje w stanie wielkiego poniżenia i podług charakteru różnych rządów mniéj lub więcéj używa swobody do wrodzonego sobie tułactwa. Dobrze, że teraz w Księstwach Naddunajskich zyskał przecież jakie takie dla siebie usamowolnienie.

Cieszy mnie to że w Krakowie odbywa się wystawa sztuk pięknych. Na tutejszą wystawę przygotowują się także wielkie utwory. Wspomnę tu choć o jednym historycznym, z pod dłuta snycerza Thomson. Jest to Boadicea nieszczęśliwa królowa dawnych Bretonów, z dwojgiem córek, w jednéj grupie z marmuru. Wyobrażona jest właśnie w chwili najgłębszego czucia kiedy pobudza Bretonów do pomszczenia się wyrządzonych krzywd jéj saméj i jéj dzieciom. Zajmuje ona pośrodkowe miejsce w téj grupie, w draperyi nakształt Normy. Postawa jéj pełna godności, oczy wzniesione, brwi zmarszczone gniewem, usta ściśnione jakoby przez to tem silniéj chciała wyrazić uczucie, które nią miota. W prawéj ręce trzyma podniesiony miecz, — miecz krótki nakształt rzymskiego. Przed nią obie córki pochy-

lone u jéj stóp leżą, jakby dwie lilie od burzy zmiecione, zelżone— niezdolne głów swych podnieść by spojrzeć na swych braci. Ogólny wyraz całéj grupy jest utworem wysokiego rzędu i charakteru. Przeznaczony on jest dla akademii sztuk pięknych na tegoroczną wystawę.

Taki posyłam wam różnobarwny, jakby kalejdoskopowy obraz rzeczy tutejszych. Kończę, bo większy niemógłby może pomieścić się w waszych ramkach.

Rzym w kwietniu.

Pewien Anglik zapytany co to jest Rzymianin, odrzekł: „Jest to zwierzę które śpi przez sześć miesięcy, „a przez drugie sześć miesięcy ssie krew cudzoziem- „ców.“ Słuszne to bardzo spostrzeżenie, bowiem dla Rzymianina XIX wieku, *panem et circenses*, jest cudzoziemiec, *il forestiere*, którego o ile tylko może, zdziera, aby gdy nadejdą gorące miesiące, mógł się duszą i ciałem oddać włoskiemu *dolce far niente*. Wyglądają oni z niecierpliwością pierwszych dni zimy, liczą przybyłych, klassyfikują ich majątki i podług tego sądzą, czy rok będzie korzystny lub nie. Z końcem więc zeszłego, nie małe było ich zmartwienie, kiedy cudzoziemcy nie przybywali a hotele i mieszkania stały wszędzie pustkami. Atoli od nowego roku, nie wiem prawdziwie dla jakich przyczyn, zjawił się taki natłok podróżujących, że od 1go stycznia do pierwszych dni marca, złożono na policyi trzydzieści i sześć tysięcy paszportów. Ci zaś co się opóźnili i zawitali tutaj dopiero na uroczystości Wielkiego Tygodnia, musieli formalnie koczować lub szukać schronienia na poddaszach. A kiedy się co rok powiększa liczba przybywających na pomienione uroczystości, zdaje się, że nadal nie będzie już podczas Wielkiego Tygodnia żadnych ceremonij w kaplicy sykstyńskiéj, tylko je odprawiać będą w saméj bazylice śgo Piotra. Zamiar ten pochwalić musimy. Widzimy co rok takich, którzy przybywają z dalekich krajów, poświęciwszy czasem ciężko zarobiony grosz dla odbycia świętéj pielgrzymki i widzenia wszystkiego, a potem zmu-

szeni są zostawać za drzwiami. Opisywać wam obchody Świąt Wielkanocnych nie jest moim zamiarem. Któż nie czytał już sto razy ich opisu, lub nie był choć raz w życiu w Rzymie? Ale wspomnę tylko, że podczas postu były niemal po wszystkich kościołach kazania z przygotowaniem do spowiedzi Wielkanocnéj. Nam zaś wykładał naukę w niedziele, ksiądz Hieronim Kajsiewicz, w kościele śgo Klaudyusza. Francuzom i cudzoziemcom nie umiejącym po włosku, trzy razy w tydzień, w kościele *St. Louis des Français* ksiądz Causette, bardzo uczony człowiek lubo z nieprzyjemnym akcentem południowym. Nareszcie najznakomitsze kazania słyszałem w kościele *Gesù*, dokąd uczęszczała cała arystokracya rzymska i gdzie zresztą był zawsze taki natłok ludzi, że trzeba było przyjść godzinę pierwéj dla znalezienia miejsca. Znakomity kaznodzieja jezuicki, ojciec Fontana, co dzień pocałych godzinach przemawiał tam do wiernych. Trzeba mieć szczególną pamięć, ażeby powiedzieć z rzędu czterdzieści kazań, bo się nie improwizuje z ambony, gdzie trzeba każde słowo wziąść pod rozwagę. A na poparcie mojego twierdzenia powiem, że gdy jeden dworzanin Ludwika XIV zbliżył się do ojca Massillona i zapytał go, kiedy zaimprowizował najlepsze kazanie; kaznodzieja odrzekł. „W dzień, kiedym się go najlepiéj nauczył na pamięć“. — W niedzielę palmową, podczas Mszy Swiętéj, którą tak solennie odprawia Papież w bazylice S. Piotra, w chwili kiedy zaintonowano *Credo*, dał się słyszeć z warowni S. Anioła strzał działowy. Wiedzieliśmy już że tym sposobem Francuzi oznajmią wiecznéj stolicy, szczęśliwe rozwiązanie Cesarzowéj Eugenii. To nie przeszkadzało jednak, że ta wiadomość wszystkich nas nie mało zelektryzowała, a gdy padł dwudziesty i pierwszy strzał, powstał w kościele a szczególniéj w trybunie dyplomatycznéj szmer wcale nie przyzwoity. W ambasadzie francuzkiéj miał być bal na uczczenie nowonarodzonego Napoleona, ale dla ciągłéj słabości posła hr. de Rayneval, musiano wstrzymać zabawy. Rozeszła się nawet pogłoska, jakoby wspomniany poseł miał opuścić Rzym z nieograniczonym urlopem.

Od Świąt mieliśmy dopiero dwa wieczory tańcujące i bodaj się na tem zakończą tegoroczne bale: jeden u

Księstwa Doriów, a drugi u *Chargé d' affaires* brazylijskiego pana Figueiredo. W teatrze zaś przedstawiono po raz pierwszy „Nieszpory Sycylijskie", pod tytułem *Giovanna de Gusman*. Powszechnie podobała się ta nowa muzyka Verdego, a została wykonaną po mistrzowsku przez pp. Coletti i Fraschini. Biednego zaś Roberta Diabła, jak cenzura zaczęła chrzcić i obcinać mu pazury, to zrobiła z niego takiego dziwoląga, że go już nie śmią przedstawić ciekawéj publiczności.

Przyjechała nareszcie tutaj z Neapolu owa gwiazda północna, o któréj wam już wspomniałem w ostatnich moich listach. Jéj przyjazd oznajmił dwoma dniami piérwéj tu przybyły *en courrier extraordinaire* książe de Rohan. Bagatela! To nie żarty takie kuryery! *Roi ne puis, prince ne daigne.... courrier suis*! Rzym, który mimo całéj swéj powagi, jest jak wszystkie mniejsze stolice, zajęty światowemi plotkami, przez kilka dni o niczem innem nie mówił, tylko o zjawieniu się téj jasnéj planety. Naszem życzeniem było, widzieć piękną tę rodaczkę w wielkim świecie, ale dla krótkiego pobytu nie chciała zabierać nowych znajomości. Ciekawością zdjęty, poszedłem do niéj, gdzie w jéj salonie znalazłem tak dobrane towarzystwo, żeby go mogła pozazdrościć najzaciętsza z naszych dewotek. Spotkaliśmy tam kardynała Ugolini, księcia de Rohan, margrabiego de Noailles, hr. Spada, kilku Monsignorów i nareszcie parę figur z ambasady francuzkiéj. Mówią, że nasza gwiazda północna liczy w gronie naszych rodaczek wiele nieprzyjaciołek. Rzecz łatwa do pojęcia, bo kiedy żadna z naszych choć najładniejszych polek nie wytrzyma z nią porównania, to cios zanadto bolesny, żeby go tak prędko darować. Pokazała się ona raz tylko ciekawym rzymianom na wyścigach konnych. Wystąpiła w bogatéj i gustownéj toalecie i chociaż rzymianki przywdziewają na ten dzień, co im tylko Paryż dostarcza najnowszego *pour la demi-saison*, to jednak najlepiéj dowodzi jak sądzę, że była bohaterką tego dnia, iż powoli cała „złota młodzież" opuściła inne rozmowy, aby powiększyć koło, w którem ona królowała. Przestraszyły się piękne rzymianki na widok tak niebezpiecznego nieprzyjaciela i dopiero się uspokoiły, gdy się

dowiedziały, że nasza planeta opuszcza Rzym za dwa tygodnie.

W dziwnie pięknem miejscu nazwaném *la Cecchina*, odbywają się wyścigi konne. Na ogromnéj płaszczyznie, zieleniejącéj się już całą świeżością wiosenną, z któréj widać z dala Tivoli, Rocca di Papa, Frascati i całe pasmo gór Sabińskich, których szczyty tu i owdzie jeszcze bieleją od śniegu, zjeżdza się całe towarzystwo rzymskie. Same przez się wyścigi są wielką lichotą, a bieguny, po największéj części, proste szkapy. Dziwnie brzmią na téj ziemi wspomnień, słowa ulubieńców *sportu* jak np. *turf-heats-refuse* i t. d. ale może z czasem i tutaj zasmakują na prawdę w téj zabawie, tem więcéj, że prezesowie, książęta Borghese i Odescalchi, dokładają największego starania, aby ustalić modę wyścigów. Wspomniemy tylko o dwóch *steeple-chase*. W pierwszym jeździli sami panowie. Naturalnie że wygrał Anglik, sławny zresztą jeździec, p. Knight. W drugim, na lichym koniu włoskiéj rasy, jockey margrabiego Vitelleschi. —

Jakiś szlachcic, obywatel, rodak czy ziomek — nazwijcie go zresztą jak chcecie — przybył niedawno z nad brzegów Wisły do Civita-Vecchia, ale przybył ze zbolałym zębem. Wylądowawszy, kazał sobie pokazać mieszkanie dentysty dla spiesznego rozstania się z trzonowym nieprzyjacielem. Civita-Vecchia posiada tylko jednego artystę w téj sztuce, a przytem jest on golibrodą i piastuje jeszcze jakiś inny wysoki urząd. Ucieszył się niepospolicie nasz operator na widok schorzałego cudzoziemca, przeczuwając w nim nie-małe wynagrodzenie. Po odbytéj szczęśliwie operacyi, nasz wędrownik wychodzi, mówiąc że w pośpiechu zostawił pieniądze w hotelu, ale że z temi natychmiast wróci. Artysta-urzędnik czeka parę godzin, nareszcie znudzony posyła do gospody, gdzie się dowiaduje ze zgorszeniem, że jego pacyent przy najlepszém zdrowiu zemknął dyliżansem do Rzymu. Niewiadomo czy ów słowianin był dystraktem, czy kawalerem industryi, ale co pewna, to że dentysta z całą zawziętością mieszkańców południowych krajów, zaprzysiągł mu wieczną *vendettę*. Na drugi więc dzień, wysyła swoją żonę do Rzymu, oddawszy jéj *corpus delicti*, to jest dziwnéj wielkości na wpół czarny

trzonowy ząb. Przybywszy tutaj dowiaduje się ta posłuszna małżonka, że się *Polonia* zwykle zbiera wieczorem w kawiarni *Grecco*. Przychodzi więc tam i opowiada nam każdemu z kolei, jak jéj mąż stał się ofiarą ratując naszego rodaka. Chciała ona koniecznie żeby nas wszystkich bawiących teraz w Rzymie, zawołano do generała S.... jako najstarszego wiekiem i żeby nam ten kazał, zapewne na kommendę, pokazać zęby dla złapania delinkwenta. Mówiła, że mąż jéj nigdy nie myślał darmo robić téj operacyi i opierając się na naszem przysłowiu, iż tylko darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, twierdziła, że ma prawo żądać od nas, abyśmy się wszyscy poddali téj próbie. Jeden z naszych artystów przemówił do niéj jak najczuléj i opowiedziawszy jéj pierwéj przygodę, która nas także dawniéj spotkała z Włoszką, z królową Boną, radził, żeby się zabezpieczyła na summach neapolitańskich.

Co do nowości literackich, mogę wam donieść najprzód: że w trzecią sobotę kwietniową wyszedł w *Civiltà Cattolica* artykuł o literaturze polskiéj, który najchlubniéj wspomina o waszym dzienniku; potem powiem, że temi dniami przejeżdżał przez Rzym, udając się wprost na Neapol, Maltę, Tunis do.... Poznania, młody autor z Warszawy p. Ludwik Niemojowski. Zamiarem jego jest drukować swoje prace w Księstwie Poznańskiem u Żupańskiego. Miałem sobie uprzejmie udzielony od poety rękopism jego p. n. *Obrazy z Pisma Świętego.* W téj pracy, piękną zalecającéj się polszczyzną, jest wiele ślicznych ustępów, pełnych świeżości i kolorytu obrazów, pomysłów jędrnych i samodzielnych, przy niepospolitéj harmonii wiersza. Zapewne praca p. Niemojowskiego będzie przyjęta i powitana ze słusznem ziomków naszych współczuciem, skoro się ukaże na literackim widnokręgu; niech mi więc będzie wolno dać wam niejaki przedsmak tego literackiego zjawiska, przytaczając tutaj krótki wyjątek ze wspomnionego utworu. Jest to chwila, w któréj Mardocheusz wysyła posłańca do Estery przypominając niedolę żydów:

„Powiedz królowéj“ — gniewnie mąż zawoła,
„Że gdy kraj cały grzmi płaczem żałości,
„Że gdy lud cały gnie w prochy swe czoła,

„Hańbą jest błyszczeć odzieniem radości!
„Powiedz królowéj, że hańbą ta siła
„Co wstaje z mogił ojców, braci, mężów,
„I chleb, którego krew plony zrosiła,
„I blask co świeci z morderczych orężów.
„Powiedz królowéj, że żyć wśród zniszczenia,
„Pić łzę rozpaczy, jeść ziarno katuszy,
„Zmieszać śpiew szczęścia z jękami cierpienia,
„Jest piętnem podłéj i nikczemnéj duszy!“

I potem daléj, kiedy Estera mówi Mardocheuszowi, że zginie jak się stawi nie zawołana przed Aswerusem:

— „Więc giń“ rzekł starzec „bo blask twojéj chwały
„Może nasz popiół w grobach sponiewierać.
„Bo gdy swe prochy ród twój grzebie cały,
„Żyć tobie hańbą — a chlubą umierać!
„Wiedz, że nie dosyć zbawić się od zgonu,
„Nie dosyć złotem i wdziękami słynąć:
„Gdy płód krwi naszéj królów sięgnął tronu,
„Zbawić nas musi — albo z nami zginąć.“

Warszawa w kwietniu.

Skarżycie się w Krakowie i słusznie bardzo na ogromną różnicę w wydatkach codziennych, jakiéj doświadczacie skutkiem poskoczenia w górę cen, które dawniéj były stosunkowo bardzo nizkie u was. Ale cóż my tu w Warszawie mamy powiedzieć? Życie i utrzymanie się w naszém mieście droższe jest niżli w Berlinie, Wiedniu, Paryżu, a dorównywa prawie Londynowi i Petersburgowi. Ma się rozumieć, że w tych miastach za pieniądze które się u nas po części marnują, więcéj jest zabaw i przyjemności życia a nawet wygód i rozrywek. W Paryżu naprzykład, kto zna dobrze miasto i wie gdzie czego szukać, może żyć wygodnie tanim porównawczo kosztem, chociaż prawda i to, że kto chce zbytkować, ten do syta zadowolnić się może i w krótkim czasie stracić majątek, ale przynajmniéj jak to powiadają: *użył świata za to.* U nas zaś na niczém oszczędzić nie po-

dobna, a ci którzy stracili majątki, nie mogliby nawet powiedzieć na co je stracili.

Już nie mówię o cenach żywności, bo w tych drożyzna jest przypadkową, skutkiem wojny, nieurodzajów, złego wydatku zboża, zarazy na kartofle, braku rąk do pracy itp. chociaż drożyzna chleba wszystko inne za sobą pociąga. Ale u nas mamy to przekonanie na smutném doświadczeniu oparte, że jak ceny raz poskoczą, to potém przy sprzyjających nawet okolicznościach zniżą się bardzo mało, i stan drożyzny staje się normalnym stanem, dopóki znowuż jaka przyczyna nie wpłynie przeważnie na podrożenie wszystkiego. Nie tu miejsce wyliczać szczegółowo ile co kosztuje, powiem wam tylko, że najlichsze wyżywienie służącego lub służącéj wynosi od 50 gr. do 2 złp. dziennie, a z tego bierzcie miarę. Ogłoszenie pokoju mało nam czuć się dało pod tym względem, chleb tylko staniał po groszu na funcie i sprzedaje się obecnie po dziewięć groszy funt, reszta pozostała tak samo.

A tymczasem chociaż podrożały pożywienie, lokale, ubiór; dochody pozostały też same, owszem można powiedzieć, zniżyły się co do ogólnéj ilości. W Warszawie mianowicie najwięcéj ucierpiała klassa ludzi pobierających stałe peryodyczne płace, jako to urzędników i oficyalistów rządowych, którzy składają wielką część ludności warszawskiéj. Liczne sprawy wytoczone lichwiarzom w ostatnich czasach, nie wykorzeniwszy lichwy ścieśniły ją jednak; bardzo to piękny i chwalebny krok, ale niestety, w nieszczęśliwych wymierzony czasach, sprawił też same skutki co wypędzenie Maurów z Hiszpanii, jeźli się wielkie z małém równać godzi. Kredyt upadł zupełnie, żydzi zaprzestali pożyczać pieniądze i mnóstwo ludzi znalazło się w rozpaczliwém położeniu. Lichwa zagnieździwszy się u nas tak zgangrenowała wszystko w około siebie, iż ażeby chociaż w części zaradzić straszliwym skutkom téj choroby społecznéj, trzeba było rozszerzyć jeszcze rany. A na to nie było rady. Słyszałem wielu skarżących się na usiłowania, które podjęte dla ich ocalenia, popychały ich jeszcze w przepaść.

Któż obok głodu panującego po wsiach, obok niedostatku w stolicy, obok ciągłych nieurodzajów, ruiny majątków i klęsk różnorodnych, które w ostatnich latach

na nas spadły, któż mówię wytłumaczy ten popęd do zbytków, który czuć się daje w naszém mieście? Wyszedłszy na ulicę w dzień pogodny, kiedy tłumy przechadzających zalegają trotuary, dziwić się trzeba kosztowności strojów i różnego przyboru tualetowego zdobiącego wdzięki i niewdzięki niewiast warszawskich. A i panowie nie żałują sobie w niczém. Miasto nasze podobném jest trochę do bankiera, który czując się bliskim bankructwa podwaja wydatki, naprzód dla niepoznaki, powtóre dla tego, że nic już nie ryzykuje. Bo nawet i wielkich majątków nie ma już prawie u nas; pomiędzy najwyższą klassą spółeczeństwa na palcach by można zliczyć tych, którzy nie świecą błyszczącą nędzą, których fortuna nie jest fikcyjną, szychem naśladującym połysk złota. Jedni potracili co mieli i utrzymują się.... z długów, drudzy przez złe administrowanie majątków albo kradzież oficyalistów z rozległych dóbr żadnych nie mają dochodów, owszem, dopłacać jeszcze muszą. A tu trzeba jednak żyć w świecie i żyć na stopę do któréj się przywykło, stopę podwyższającą się coraz. Wykwintność i drogość mieszkań, umeblowania, ekwipażów, wzrasta coraz bardziéj. Salon Ordynatów Zamojskich, w pałacu ich przy placu bankowym, który przed kilkunastu latami za najzbytkowniéj urządzony w Warszawie mógł być uważanym, obecnie w porównaniu do kilkunastu salonów w ostatnich latach urządzonych, nędzną i ubogą prawie przybrał powierzchowność. Pałace zjadają częstokroć dobra, prawda że i w tych dobrach nie ma co jeść. Niedalekie to jeszcze czasy, kiedy bankier warszawski posyłał wozy obładowane żywnością na użytek chłopów tutejszego magnata, którzy umierali z głodu.

Bankierzy, a tych mamy kilku rzeczywiście majętnych, utworzyli nowy żywioł arystokracyi pieniężnéj, i kilku z nich wdarło się podbojem do niektórych domów w wyższych sferach, chociaż zawsze jako goście, jako przybysze są oni tam uważani. Aleć i pomiędzy tymi bankierami wieluż już mieliśmy takich, których głos publiczny za bankrutów ogłaszał? Płonne to zapewne wieści, oparte o ile się zdaje na nadzwyczajnych wydatkach, często prawie nad możność podjętych, ale źle już bardzo iż takie wieści chodzą, bo reputacya bankiera tak

jak reputacya panien na wydaniu, żadnéj plamy na sobie dopuszczać nie powinna.

Och te panny na wydaniu, biedne to są u nas stworzenia! Marnieją jak kwiatki na podciętych łodygach, bo tych którzy mogą i chcą się żenić bardzo ograniczona liczba. Tam paryzcy sprawozdawcy dziennikowi narzekają na brak tancerzy, u nas by ich znalazło się cokolwiek, ale też tancerzy tylko. Tak zwane *partye*, to jest ludzie którzy są w stanie utrzymać dom i rodzinę tak stają się rzadkimi, że można ich zaliczyć do rodzaju skamieniałości przedpotopowych. Panny mówią z westchnieniem: „Słyszałyśmy od matek i babek, że kiedyś w Warszawie żeniono się, a teraz....“ Bo też kiedyś a teraz, to wielka różnica; kiedyś była młodzież, teraz mamy dzieci i starców, młodzieży już nie ma; kiedyś można było utorować sobie drogę w świecie, wyrobić pozycyę i majątek, teraz dwa tysiące złotych polskich pensyi na urzędzie, to najwyższa karlera, do któréj młody człowiek średniego stanu wzdychać może; kiedyś wielcy panowie mogli dopomagać młodzieży, trzymali ją po dworach, kierowali (jak to mówią) *na ludzi*, teraz trzeba by nieraz wielkim panom dopomagać; kiedyś kto nie był magnatem, przestawał na miernem życiu i utrzymaniu domu a w szkatule było pełno, teraz lada gdzie palisandry, mahonie, aksamity, atłasy, adamaszki, koronki, złoto i klejnoty, a to wszystko na kredyt; zresztą, kiedyś zasługa przynosiła pieniądz, teraz pieniądz przynosi zasługę, więc nie dziw iż się nie żenią.

Ot ciekawy w tych dniach roztrzygnął się proces pomiędzy panną a kawalerem, tylko kawaler należał do złotej młodzieży a panna była z baletu, z tego naszego warszawskiego baletu, co jest Indyami Wschodniemi dla pewnego rodzaju istot płci żeńskiej, które mają rozum w nogach a serce w kuferku.

Otóż kawaler wystawił na imie panny kilka obligacyj a w każdej z nich zeznawał że winien jest pannie taką a taką summę pieniędzy; rewersa były spisane podług wszelkich form prawnych i nie zapomniano dla uniknienia wszelkich kwestyj, o tych koniecznych wyrazach: „których walutę w gotowiźnie odebrałem.“

Po rozerwaniu czułych stosunków, parę z tych rewersów spłacił kawaler własnemi funduszami, ale pozosta-

wał trzeci najważniejszy, podobno na 20,000 zł. pol. wystawiony; pieniędzy już zbrakło a panna groziła procesem: trzeba się więc było udać do opatrzności, która w postaci skąpego ojca czuwa zawsze nad marnotrawną młodzieżą.

Nastąpiło najzupełniejsze wyznanie błędów i obietnica poprawy. Skutkiem tego, sprawiedliwość rodzicielska postanowiła, iż synowi błędy będą przebaczone pod warunkiem, iżby schowawszy do szuflady lorynetę teatralną a wspomnienia warszawskie zamknąwszy w głąb piersi (styl dramatyczny), dopilnował odtąd centryfugów cukrowarnych i angielskiej młockarni, co zaś do wspomnionego rewersu rodzic postanowił, iż ponieważ Terpsychora i tak kilkadziesiąt już tysięcy otrzymała za swoje *pas d'ensemble*, powinna poprzestać na tem i nie upominać się o 20,000 zł. pol., które jej się w żadnym razie nie należą.

Ale panna nieprzystała na ten wyrok, owszem, rzuciła się w objęcia adwokata, naturalnego obrońcy niewinności i zapozwała kawalera o zapłacenie długu z prawa jej przypadającego. Rzecz wytoczyła się przed sądy. Obrońca panny ukazał rewers stanowiący prawny dowód, obrońca zaś kawalera a raczej opatrzności rodzicielskiéj przytoczył naprzeciw temu, że strona zapozwana nie zaprzeczając właściwości rewersu, utrzymuje, iż *waluty w gotowiznie nie odebrała*. Naznaczono pozwanemu przysięgę. Sprawa od trybunału przeszła do apellacyi, nareszcie panna przegrała sprawę i została skazaną na koszta procesu z przyczyny iż kawaler udowodnił przysięgą, iż rzeczywiście *waluty w gotowiznie nie odebrał*, jeżeli zaś odebrał jaką walutę, ta żadną miarą w obliczu prawa za gotowiznę przyjęta być nie może.

Powiedziałem wam już że wiadomość o pokoju nie wiele dotychczas wpłynęła na zniżenie cen a tem samem podwyższenie ruchu. Jednakowoż zaraz nazajutrz po téj wiadomości rozpuszczono nowowziętych rekrutów, dwadzieścia kilka tysięcy ludzi co przy braku rąk do pracy który coraz bardziéj dawał się tu uczuwać, błogie dla kraju przyniesie skutki. Więc też pomiędzy ludem, zaraz po wypuszczeniu bardzo wielka panowała radość, na śmierć się zapijali z uciechy. Szczególniéj radości żydów nie możecie sobie wystawić, bo już bądź co

bądź, oni nie mają wcale powołania na Leonidasów i Scypionów. A ponieważ kryją się tak po dziurach jak tylko zasłyszą o brance iż niepodobieństwem prawie ich wytropić, postanowiono brać ich w daleko młodszym wieku niżli innych. To wywołało pomiędzy nimi rwetes niesłychany i strach paniczny. Żyd niczego nieszczędzi żeby się wydobyć od tak straszliwéj ostateczności. Znam jednego tutaj bardzo bogatego żyda, który ma kikanaścioro dzieci a za każdego chłopca dał zastępcę. I regularnie co rok nowy mu Lejserek przybywa, a skoro się narodzi, zaraz po obrzezaniu żyd godzi zastępcę, a zapytany o przyczynę odpowiada, iż to daleko bezpieczniej, bo i taniéj kosztuje i nie wiedzieć co będzie w przyszłości, bo prawi „*żydowie* tak zasłynęli za odważnych, że ich od piersi wkrótce będą brali do wojska.“

O teatrze tym razem nie wiele wam powiem: z nowości mieliśmy małą komedyjkę Scribego pod tytułem: *Moja Gwiazda* i dramat Jerzego Sanda *Mauprat*, komedyjka grana dobrze, sztuczki bowiem tego rodzaju właściwie dają się u nas obsadzać i odegrać, to jest *cheval de bataille* naszego teatru. — Co do dramatu (wiatr wieje teraz u nas na dramata), wybór jego nie szczególny, bo dalibóg nie wiele tam się dopatrzyć można. Już to wielu krytyków robiło tę uwagę, że pani Sand powinnaby poprzestać na pisaniu powieści i rzeczywiście powieść Mauprat daleko lepsza od dramatu. Mnóstwo tam strzałów, pożarów, szturmów, sztuk gimnastycznych itd. Efekta tego rodzaju podobają się pewnéj publiczności ale to nie dowód — sztuka jednak dobrze była obsadzoną. Palińska ciągle się kształci i może zajść daleko, byleby tylko chciała unikać zbytecznéj patetyczności tak w deklamacyi jak i w giestach — Komorowski znalazł nadspodziewaną siłę i energię, mówią że zakochany, miłość cuda działa — Królikowski grał dobrze, u niego każden krok, każden giest, każden wyraz z góry wyrachowany i obmyślony; artysta ten widocznie wiele bardzo pracuje, a role czarnych charakterów jak Jana Mauprat którą w nowéj dramie przedstawiał, najwłaściwszemi są do jego rodzaju talentu — reszta wszystko role drobne: Rychter nic nie mógł ze swojéj zrobić, bo też i rola niewdzięczna: wiele słów mało rzeczy, Chęciński coraz bardziéj się kształci, przed tym mło-

dym artystą piękna może być przyszłość, bo chętny, pracowity i talentu mu nie brak, a nie wiem dla czego u nas używają go za popychadło do wszelkiego rodzaju ról drugorzędowych i zastępczych. —

Ależ nie takich sztuk jak Mauprat nam potrzeba! Nie pustéj tylko zabawy i rozstrojenia nerwów żądamy po teatrze naszym, teatr u nas powinien mieć ważniejsze powołanie. Nieszczęściem jest, iż naśladujemy błędy drugich wtedy właśnie gdy oni z tych błędów poprawiać się zaczynają; we Francyi Augier i Ponsard nastąpili po Dumasie, a my zaczynamy dopiero lubować się w chorobliwem usposobieniu teatralnem, z którego się Francya wyleczyła. Jak owe ubiory przestarzałe, któremi Europa zasila mieszkańców Oceanu południowego, tak nam Zachód przesyła przestarzałe ideje. — A my połykamy to wszystko w najlepszéj wierze i nieświeże prasowane jarzyny bierzemy za nowalie. —

Już to przynajmniéj pani Lotti della Santa śpiewaczka która bawiła tu przez parę tygodni nie może być nazwaną przestarzałym pokarmem. I wiek młody i głos świeży i talent w całéj sile wzrostu i sława rozpoczynająca się dopiero, ale zaprawdę piękna to jutrzenka. Pani Lotti powinna wkrótce zająć miejsce pomiędzy najznakomitszemi śpiewaczkami europejskiemi, a tyle tam wakansów zrobiło się w ostatnich czasach, że nie trudno jéj będzie dostać się na te wysokości. Warszawa kwiatami jéj zasłała drogę, ale niech się nie bardzo pyszni z tego zaszczytu, bo taki sam za każdem prawie przedstawieniem spotyka nasze baletniczki.

W literaturze dziennikarskiéj ruch ogromny, gazety nasze wyglądają jak konie na wyścigach: starają się ubiedz jedna drugą. Od pierwszego kwietnia wyszła już *Kronika*, musicie ją mieć u siebie. W piśmie tém pojawiła się nowa strona, obca jeszcze prawie warszawskiemu dziennikarstwu, mnóstwo tam ukazuje się artykułów przemysłowych, ekonomicznych i t. p. w ogóle poważnéj treści.

Gazeta Warszawska i *Codzienna*
Wydobyły z pochew miecze
Jedna rąbie druga siecze.

Do tego rozlewu atramentu miesza się i *Kuryer* od pewnego czasu systematycznie przez *Gazetę Warszawską*

napadany i broniący się wedle możności. Czas by już zaprzestać téj gorszącéj polemiki, z któréj nic nie przyjdzie ani czytelnikom ani prowadzącym ją pismom; nie chcę tu rozstrzygać czyja wina, notuję tylko fakt. Wydawałoby się jakby gazety nasze dały obecnie przytułek owéj dawnéj kłótliwéj sejmikowéj szlachcie, u któréj nie obeszły się żadne rozprawy bez kiereszowania czerepów i szermowania zajadłego: zawsze gdzieśkolwiek nasze dawne *liberum veto* przedrzeć się musi.

O śmierci Kajetana Koźmiana w pismach warszawskich drukowano już dwadzieścia kilka artykułów i artykulików a niezawodnie nie skończy się na tem. To trochę za wiele. Jest to wadą w dziennikarstwie tutejszém, że jak złapią jaki przedmiot, to nie mogą się już od niego odczepić. Każdy chce wtrącić swoje trzy grosze, a jeden za drugim powtarza to samo. Tu i owdzie drukowano wiersze zmarłego, kto wziął jaką gazetę do ręki, ten zostawał zagrzebany po uszy w nawale klasycyzmu.

Nowin literackich nie wiele, w ruchu księgarskim stagnacya; dzieł drukuje się nie wiele i kupujących mało. Dopiero przy zjeżdżaniu się szlachty na świętojański jarmark wszystko się jakoś ożywi. Z poezyj nowych przyszedł do nas świeżo do Warszawy, u was zapewne dawno już znany *Lesław*, poemat dramatyczny Zmorskiego, wyszedł także z druku *Salomon* dramat przez Wacława Szymanowskiego, i poezye autorki „W Imię Boże.“ Już to poetek u nas teraz nie, brak, a każda z nich pisze najmniéj za czterech mężczyzn, więc możecie sobie wystawić jak straszliwą powodzią poezyi zalani jesteśmy. Pani Ziemęcka przygotowała do druku dzieło pod tytułem: „Zarysy Filozofii katolickiéj.“ Jest to owoc kilkoletniéj pracy autorki, która od pewnego czasu złamana ciężką chorobą zerwała wszelkie stosunki ze światem i zamknęła się w domu i w sobie. Utwór to poczciwy treścią i zakresem, sumienny obrobieniem a w porę przychodzi, bo dzieł tego rodzaju w literaturze naszéj brak. Korzeniowski wykończa nową powieść podobno dla *Gazety Warszawskiéj*, Kraszewski pisze ich aż dwie na raz: płodny ten talent ciągle sam w sobie się odnawia, można go przyrównać do literatury francuzkiéj, która już tyle wydawszy, wiecznie jednak świe-

ża odradza się na nowo. Odyniec napisał tragedyę pod tytułem: „Barbara Radziwiłłowna,“ ci co czytali ustępy wielkie im oddają pochwały, nie wiadomo jednak czy wymagania cenzury dozwolą mu drukować to dzieło. Chodźko także wykończył parę nowych powieści. Wolf drukuje dawno zapowiedziane „Pamiętniki Michałowskiego“ przez autora Listopada i „Wyprawę po żonę“ Korzeniowskiego, którą już przed rokiem nabył i niewiadomo dla czego przetrzymał tak długo. Zamierza on podobno jeżeli się da, w ostatnich tomach Skarbczyka zamieścić parę poematów albo przynajmniéj wyjątków z poematów autora Wallenroda, coby wielce podniosło wartość tego zbioru, w którym utwory naszych poetów straszliwie pokiereszowane, niepodobne prawie do siebie. Trypplin sypie jak z rękawa, — kończy już „Maskaradę w obłokach“ w *Gazecie Codziennéj*, a teraz wzniósł się nad obłoki i wydaje: „Podróż po księżycu“. Gdzie go daléj jeszcze uniosą skrzydła fantazyi, vulgo kłamstw i plagiatów literackich! Ten człowiek chce się gwałtem dostać *ad astra*, ale nie przez stosy angielskich, francuzkich i niemieckich kompilacyj droga tam wiedzie.

Warszawa stroi się w nowe budynki, w szczególności część miasta sąsiadująca z koleją żelazną, która za lat kilkadziesiąt będzie może sam środek miasta stanowić. W początkach maja spodziewamy się Najjaśniejszego Pana, i zapowiadają nam liczne bale i zabawy publiczne. W oczekiwaniu tego wszystkiego, nie rozjeżdżają się jeszcze po wsiach, jak to innych lat zaraz po Wielkiéjnocy bywało.

Antoni Kłobukowski Redaktor odpowiedz. Antoni Czapliński Rząd. Druk.